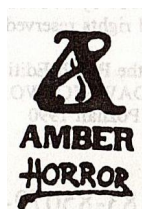


F. Paul Wilson

TWIERDZA

Przełożył:
PIOTR W. CHOLEWA



PODZIĘKOWANIE

Autor chciałby wyrazić swoją wdzięczność dla profesora Rado L. Lenceka, wykładowcy języków słowiańskich Uniwersytetu Columbia, za jego szybką i entuzjastyczną reakcję na bardzo dziwną prośbę obcego człowieka.

Autor przyznaje także, że w oczywisty sposób zawdzięcza wiele Howardowi Philipowi Lovecraftowi, Robertowi Erwinowi Howardowi i Clarkowi Ashtonowi Smithowi.

F. Paul Wilson
kwiecień 1979 – styczeń 1981

WARSZAWA, POLSKA
Poniedziałek, 28 kwietnia 1941
godz. 08.15

Półtora roku temu na drzwiach widniało inne, polskie nazwisko, a pewnie także funkcja i nazwa wydziału czy biura polskiego rządu. Lecz Polska nie należała już do Polaków i stary napis zamazano czarną farbą. Stojąc przed drzwiami Erich Kaempffer próbował przypomnieć sobie tamto nazwisko. Nie obchodziło go specjalnie, chciał tylko sprawdzić swoją pamięć. Plamę farby przykrywała teraz mahoniowa tabliczka, lecz czarna farba wystawała spod niej po dziś dzień. Napis na tabliczce brzmiał:

SS OBERFÜHRER W. HOSSACH
RSHA - WYDZIAŁ CZYSTOŚCI RASOWEJ I PRZESIEDLEŃ
Dystrykt Warszawski

Staął na chwilę, by się uspokoić. Czego mógł chcieć Hossbach? Skąd wezwanie o tak wczesnej porze? Był zły na siebie za to zdenerwowanie, ale w SS nawet do najpewniejszych pozycjach, nawet oficer awansujący tak szybko jak on, każdy odczuwał przypływ niepokoju, gdy kazano mu się stawić w gabinecie przełożonego „natychmiast”.

Kaempffer po raz ostatni odetchnął głęboko, opanował zdenerwowanie i wszedł. Kapral pełniący funkcję sekretarza generała Hossbacha zerwał się i stanął na baczność. Był tu nowy i nie poznał Kaempffera. Nic dziwnego, miniony rok Kaempffer spędził w Auschwitz,

— Sturmbannführer Kaempffer — powiedział tylko, pozwalając młodzikowi domyślić się reszty. Kapral zrobił zwrot i ruszył do gabinetu Hossbacha. Wrócił niemal natychmiast.

— Oberführer Hossbach prosi pana, *Herr Major*.

Kaempffer wyminął go i wszedł. Hossbach siedział za biurkiem.

Ach, Erich! Dzień dobry! — zawołał z niezwykłą u niego jowialnością. — Kawy?

— Nie, Wilhelmie, dziękuję — wprawdzie marzył o filiżance kawy, lecz uśmiech Hossbacha kazał mieć się na baczności. Czuł ucisk w pustym żołądku.

— Jak sobie życzysz. Ale proszę, zdejmij płaszcz i rozgość się.

Według kalendarza był już kwiecień, ale w Warszawie nadal panowały chłody i Kaempffer miał na sobie trochę przydługą, mundurowy szynel. Zdjął go powoli i razem z oficerską czapką powiesił na wieszaku. Robił to wyjątkowo starannie, zmuszając Hossbacha, by mu się przyglądał, dostrzegając oczywiste różnice między nimi. Generał był krępy, łysiejący, po pięćdziesiątce. Kaempffer miał dziesięć lat mniej, sportową sylwetkę i czuprynę chłopięco jasnych włosów. W dodatku Erich Kaempffer szedł w górę.

— Przy okazji: gratuluję awansu i nowego przydziału. Obóz w Ploesti to łakomy kąsek.

— Owszem — Kaempffer zachował obojętny ton. — Mam tylko nadzieję, że nie zawiodę zaufania Berlina.

— Jestem tego pewien.

Kaempffer wiedział, że życzenia Hossbacha są równie szczerze, jak obietnice przesiedlenia czynione polskim Żydom. Hossbach chciał dostać Ploesti dla siebie, jak zresztą każdy oficer SS. Możliwości awansu i korzyści osobiste płynące z funkcji komendanta wielkiego obozu w Rumunii były ogromne. W nieustannej pogoni za stanowiskami w potężnej, biurokratycznej maszynie stworzonej przez Heinricha Himmlera, gdzie jednym okiem trzeba było wpatrywać się w odsłonięte plecy człowieka z przodu, a drugim spoglądać czujnie na tego, który następował na pięty, szczerze życzenia powodzenia po prostu nie istniały.

Zaległa nieprzyjemna cisza. Rozglądający się po pokoju Kaempffer z trudem stłumił pogardliwe prychnięcie na widok jaśniejszych prostokątów w miejscach, gdzie wisiały zapewne dyplomy i odznaczenia poprzedniego użytkownika gabinetu.

Hossbach pozostawił nagie ściany. To typowe dla niego. Chciał stworzyć wrażenie, że jest zbyt zajęty sprawami SS, by pamiętać o takich drobnostkach jak malowanie. Wrażenie w oczywisty sposób fałszywe.

Kaempffer nie musiał demonstrować swego oddania. Cały swój czas, z wyjątkiem godzin snu, poświęcał na zabezpieczenie swojej pozycji w organizacji.

Udawał, że studiuje wiszącą na ścianie wielką mapę Polski, ozdobioną kolorowymi szpilkami reprezentującymi skupiska elementów niepożądanych. To był pracowity rok dla wydziału RSHA i Hossbacha; właśnie tutaj wydawano decyzje o kierowaniu polskich Żydów do „obozu przesiedleńczego” w pobliżu węzła kolejowego w Oświęcimiu. Kaempffer wyobraził sobie swój przyszły gabinet w Ploesti, z mapą Rumunii na ścianie i powbijanymi w nią kolorowymi szpilkami.

Nie miał wątpliwości, że wesoły nastrój Hossbacha jest złą wróżbą. Coś gdzieś źle poszło i Oberführer wyraźnie chciał wykorzystać ostatnie dni, gdy był jeszcze przełożonym Kaempffera, by wpakować go w jakąś aferę.

— Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? — spytał wreszcie Kaempffer.

— Nie dla mnie, ale dla Naczelnego Dowództwa. Mamy w Rumunii drobne kłopoty. Właściwie głupstwo...

— Tak?

— Tak. Niewielki oddział wojska, stacjonujący na północ od Ploesti, poniósł pewne straty, zapewne w związku z działalnością miejscowej partyzantki. Ich dowódca chce opuścić pozycję.

— To sprawa armii — majorowi Kaempfferowi ta historia zupełnie się nie spodobała. — Co ma do tego SS?

— Ależ ma — Hossbach wyciągnął rękę i wziął z biurka kartkę papieru. — Naczelne Dowództwo przekazało ją do biura Obergruppenführers Heydricha. Sądzę, że jest to odpowiednia sprawa dla ciebie.

— Dlaczego?

— Oficer, o którego tu chodzi, to kapitan Klaus Woermann, ten sam, na którego zwracałeś mi uwagę jakiś rok temu, ponieważ odmówił wstąpienia do Partii.

Kaempffer pozwolił sobie na chwilę odprężenia.

- A ponieważ jadę do Rumunii, chcesz to zrzucić na mnie.
- Dokładnie. Twój roczny staż w Auschwitz nauczył cię pewnie nie tylko efektywnego prowadzenia obozu, ale też radzenia sobie z partyzantką. Jestem pewien, że szybko załatwisz tę sprawę.
- Mogę zobaczyć ten dokument?
- Naturalnie.
- Kaempffer wziął kartkę papieru i przeczytał dwie krótkie linijki. Po czym przeczytał je raz jeszcze.
- Czy rozszyfrowano to prawidłowo?
- Tak. Mnie też to sformułowanie wydało się nieco dziwne, więc kazałem sprawdzić. Wszystko się zgadza.
- Kaempffer po raz trzeci odczytał wiadomość:

*Żądam natychmiastowego przeniesienia.
Coś morduje moich ludzi.*

Niepokojące. Znał Woermanna z czasów Wielkiej Wojny i zapamiętał go na zawsze jako jednego z najbardziej upartych ludzi pod słońcem. Teraz, w czasie nowej wojny, jako oficer Reichswehry Woermann konsekwentnie, mimo stałych nacisków, odmawiał wstąpienia do Partii. To nie był człowiek, który opuszczałby zajętą pozycję. Jeśli żąda przeniesienia, musi się tam dziać coś bardzo niedobrego.

Lecz jeszcze bardziej niepokoił Kaempffera dobór słów. Woermann był człowiekiem inteligentnym i dokładnym. Wiedział, że podczas transkrypcji i deszyfrowania jego meldunek przejdzie przez wiele rąk i starał się przekazać dowództwu coś ważnego, nie wchodząc jednak w szczegóły.

Ale co? Termin „morduje” sugerował celowe, ludzkie działanie. Dlaczego więc poprzedził go słowem „coś”? Coś — zwierzę, trucizna, katastrofa naturalna — może zabijać, ale nie mordować.

— Na pewno nie muszę ci przypominać — mówił Hossbach — że Rumunia jest raczej krajem sprzymierzonym niż terytorium okupowanym. Dlatego wymagana jest pewna finezja.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Pewnej finezji będzie wymagało także postępowanie z Woermannem. Kaempffer miał z nim stare porachunki.

Hossbach spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu raczej nieprzyjemny grymas.

— My wszyscy w RSHA, aż do generała Heydricha włącznie, będziemy uważnie obserwować, jak dajesz sobie radę z tą sprawą... z a n i m zajmiesz się swym głównym zadaniem w Ploesti.

Akcent położony na słowie „zanim” i poprzedzające je zawieszenie głosu nie uszły uwagi Kaempffera. Hossbach zamierzał potraktować tę krótką wycieczkę w Alpy jako *próbę* ogniową. Kaempffer powinien zjawić się w Ploesti za tydzień. Jeśli nie zdoła rozwiązać dostatecznie szybko problemu Woermanna, ktoś może powiedzieć, że nie jest jednak odpowiednim człowiekiem do kierowania obozem przesiedleńczym. Kandydatów na to miejsce nie zabraknie.

Nagle poczuł, że musi się śpieszyć. Wstał, po czym sięgnął po płaszcz i czapkę.

— Nie przewiduję kłopotów. Wyjeżdżam natychmiast. Zabieram dwie drużyny Einsatzkommando. Gdyby dało się zorganizować transport powietrzny i szybkie połączenia kolejowe, możemy dotrzeć na miejsce jeszcze dziś wieczorem.

— Znakomicie — oświadczył Hossbach salutując.

— Dwie drużyny Einsatzkommando powinny wystarczyć na kilku partyzantów — Kaempffer odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Aż nadto.

Lecz SS-Sturmbannführer Kaempffer nie słyszał już tej pożegnalnej uwagi swego dowódcy. W mózgu huczały mu inne słowa: „Coś morduje moich ludzi”.

PRZEŁĘCZ DINU, RUMUNIA

28 kwietnia 1941

godz. 13.22

Kapitan Klaus Woermann podszedł do południowego okna swego pokoju w wieży twierdzy i wypluł na zewnątrz strugę białego płynu.

Kozie mleko... fuj! Dobre może na sery, ale nie do picia.

Patrzył, jak płyn zmienia się w białą chmurę kropelek i opada na kamienie, trzydzieści parę metrów niżej. Marzył o spienionym kufiu dobrego niemieckiego piwa. Tylko jednej rzeczy pragnął teraz bardziej niż piwa: wynieść się z tego przedsiönka piekła.

Lecz tego nie mógł zrobić. Jeszcze nie. Typowo pruskim gestem wyprostował ramiona. Był więcej niż średniego wzrostu, ale jego twarde niegdyś mięśnie wiotczały coraz bardziej. Miał kasztanowe, krótko przycięte włosy i piwne oczy, lekko skrzywiony, złamany w młodości nos oraz usta zdolne do wesołego szczyrzenia zębów, gdy sytuacja była odpowiednia. Rozpięta do pasa szara koszula odstaniała niewielką otyłość. Poklepał się po brzuchu. „Za dużo kiełbasy”, pomyślał. Zaniepokojony lub rozczarowany, miał zwyczaj przegrzania między posiłkami, najczęściej kawałkiem kiełbasy. Im bardziej był niespokojny albo rozczarowany, tym więcej jadł. Zaczynał tyć.

Spojrzał na małą rumuńską wioskę za wąwozem, skapaną w blasku słońca, spokojną, jakby z innego świata. Odwrócił się i przeszedł przez pokój. Ściany zbudowano z kamiennych bloków, z których część ozdobiono niezwykłymi, mosiężnikowymi krzyżami. Czterdzieści dziewięć krzyży, dokładnie. W ciągu ostatnich trzech czy czterech dni przeliczył je wielokrotnie. Ominął sztalugi z nie dokończonym obrazem i zabałaganione, zbite z desek biurko, by stanąć przy przeciwnym oknie, wychodzącym na niewielki dziedziniec.

Żołnierze, którzy nie mieli służby, stali w małych grupkach, niektórzy rozmawiali przyciszonymi głosami. Większość, milcząca i posępna, unikała coraz bardziej wydłużających się cieni. Zbliżała się kolejna noc. Jeszcze jeden spośród nich miał zginąć.

Ktoś siedział samotnie w kącie i strugał coś pospiesznie. Woermann spojrzał uważnie. Kawałek drewna w rękach żołnierza nabierał kształtu krzyża. Jak gdyby nie dość było dookoła krzyży.

Ludzie się bali. On też. Całkowita zmiana nastrojów w okresie mniej niż tygodnia. Pamiętał, jak maszerowali przez bramę warowni, dumni żołnierze Wehrmachtu, armii, która podbiła

Polskę, Danię, Norwegię, Holandię i Belgię, by po zepchnięciu do morza w Dunkierce resztek armii brytyjskiej w ciągu trzydziestu dziewięciu dni skończyć z Francją. A w tym miesiącu pokonana została Jugosławia, w czasie dwunastu dni, Grecja w czasie dwudziestu jeden, wczoraj. Nic nie mogło się im przeciwstawić. Urodzeni zwycięzcy.

Ale to było tydzień temu. Zdumiewające, jak sześć strasznych śmierci może zmienić zdobywców świata. Martwił się tym. Przez ostatnie sześć dni świat kurczył się i teraz dla niego oraz jego ludzi nie istniało już nic, prócz tego niewielkiego zamku, tego kamiennego grobowca. Spotkali tu coś, czego nie mogli powstrzymać, co zabijało i znikало tylko po to, by powrócić i zabić znowu. Żołnierze tracili ducha.

Żołnierze... Woermann zauważył, że od pewnego czasu w myślach wyłącza siebie spośród nich. Stracił serce do walki tam, w Polsce, niedaleko miasta Poznań... po tym, jak wkroczyło SS i na własne oczy zobaczył, jaki los spotyka „niepożądane elementy”, oszczędzone przez zwyciężki Wehrmacht. Protestował. I w rezultacie od tamtego dnia nie oglądał walki. Tym lepiej. Przestał być dumny z tego, że jest jednym ze zdobywców świata.

Wrócił do biurka. Stał, nie zwracając uwagi na fotografie zony i dwóch synów. Patrzył na rozszyfrowany radiogram:

*SS-Sturmbannführer Kaempffer
przybędzie dzisiaj z oddziałem Einsatzkommando.
Pozostać na posterunku.*

Dlaczego major SS? To była sprawa regularnej armii. SS nic do niego nie miało ani do twierdzy, ani — o ile wiedział — do Rumunii. Lecz tak wielu spraw w tej wojnie nie potrafił zrozumieć. I jeszcze do tego Kaempffer! Kiepski żołnierz, ale bez wątplenia wzorowy SS-man. Po co on tutaj? I po co Einsatzkommando? To przecież grupy eksterminacyjne. Gwardia Trupiej Czaszki. Obsada obozów koncentracyjnych. Specjaliści od mordowania bezbronnych cywilów. To ich akcje oglądał pod Poznaniem. Po co tu przyjeżdżali?

Bezbronni cywile... obracał w myślach te słowa i z wolna na

jego ustach pojawił się uśmiech. Oczywiście jednak pozostały poważne.

Niech SS przybywa. Woermann był przekonany, że za wszystkimi zabójstwami w twierdzy kryje się ktoś nie uzbrojony, w pewnym sensie cywil. Lecz nie bezbronna ofiara, do jakich przyzwyczajone było SS. Niech przyjeżdżają. Niech zaznają trwogi, którą tak lubią budzić. Niech się nauczą wierzyć w to, co jest nie do wiary.

Woermann już się nauczył. Jeszcze tydzień temu śmiały się z takich myśli. Lecz teraz, im bardziej słońce zniżało się nad horyzontem, tym mocniej wierzył... i bardziej się bał.

Tylko tydzień... Przybywając do twierdzy natknęli się na nie rozwiązane zagadki, ale nie czuli lęku. Tydzień. Tylko tyle? Zdawało się, że minęły już całe wieki, odkąd po raz pierwszy zobaczył twierdzę.

PODSUMOWUJĄC: Kompleks rafinerii w Ploesti ma relatywnie dobre naturalne warunki obronne od strony północnej. Przełęcz Dinu w Alpach Transylwańskich stanowi jedyne, niewielkie zresztą zagrożenie. Jak wyszczególniono wcześniej w raporcie, niewielkie zaludnienie i warunki pogodowe w okresie wiosennym sprawiają, że jest teoretycznie możliwe, by znaczne siły wojskowe przedostały się nie wykryte ze stepów południowo-wschodniej Rosji, przez południowe podnóże Karpat i Przełęcz Dinu do punktu położonego ledwie o trzydzieści kilometrów na północny zachód od Ploesti. Od pól naftowych dzieliłyby je tylko łatwe do pokonania równiny. Ze względu na kluczowe znaczenie ropy dostarczanej przez Ploesti zaleca się, by do czasu rozpoczęcia realizacji Planu Barbarossa umieścić na Przełęczy Dinu niewielki oddział wojskowy. Jak wspomniano w raporcie, w połowie przełęczy znajduje się dawna forteca, nadająca się na bazę strażniczą.

ANALIZA MOŻLIWOŚCI OBRONNYCH PLOESTI, RUMUNIA

Przekazano Naczelnemu Dowództwu Reichswehry

1 kwietnia 1941 r.

PRZEŁĘCZ DINU, RUMUNIA

wtorek, 22 kwietnia

godz. 12.08

„Tu nie istnieje długi dzień, niezależnie od pory roku” — myślał Woermann spoglądając na strome skalne urwiska, wznoszące się na jakieś trzysta metrów po obu stronach

przełęczy. Słońce musiało się wspiąć na 30 stopni łuku, zanim pojawiło się nad wschodnią ścianą i po przejściu ledwie 90 stopni po niebie zniknęło znowu.

Skały Przełęczy Dinu były niesamowicie strome, tak bliskie pionu, jak to tylko możliwe bez utraty równowagi i runięcia w dół; nagie ściany poszarpanych głazów, wąskie półki i pionowe szczeliny, od czasu do czasu urozmaicone stożkowatymi osypiskami kamienia. Brąz i szarość, glina i granit, z rzadka pasmo zieleni. Uparte korzenie karłowatych drzew, bezlistnych wczesną wiosną, powykrzywianych i poskręcanych wiatrem, znajdowały jakoś podatne miejsca wśród kamieni, trzymając się gleby niby wspinacze, zbyt zmęczeni, by ruszyć do góry lub w dół.

Za swoim wozem Woermann słyszał warkot silników dwóch ciężarówek, wiozących jego ludzi, a jeszcze dalej przyjemny dla ucha ryk trzeciej, wyładowanej zapasami i bronią. Wszystkie cztery samochody pełzły jeden za drugim wzdłuż zachodniej ściany przełęczy, gdzie naturalna płyta skalna od wieków Nużyła za drogę. Dinu była wąska, jak zwykle górskie przełęcze, średnio jakieś osiemset metrów na całym zygzakowatym przebiegu przez Alpy Transylwanii, najgorzej zbadany obszar w Europie. Woermann spojrzał tęsknie na dno przełęczy, w prawo i pięćdziesiąt stóp niżej. Przejazd przełęczą byłby łatwiejszy i szybszy. Został jednak uprzedzony, że pojazdy nie zdołają stamtąd osiągnąć punktu docelowego. Musieli trzymać się tej drogi w ścianie.

Drogi? Woermann parsknął. To nie była droga. Może ścieżka albo raczej skalna półka. Ale nie droga. Tutejsi Rumuni najwyraźniej nie wierzyli w silnik wewnętrznego spalania i nie zadbali o wygodny dojazd dla używających takiego silnika pojazdów.

Słońce zniknęło nieoczekiwanie; rozległ się grzmot, zajaśniała błyskawica i znowu zaczęło padać. Woermann zaklął. Jeszcze jedna burza. Pogoda tutaj mogła doprowadzić człowieka do szaleństwa. Szcząły raz po raz. spadały pomiędzy ściany, ciskając we wszystkie strony błyskawice, grożąc zmiążdżeniem przez skały, hucząc gromami, lejąc strumieniami deszczu; jakby chciały pozbyć się balastu, by wznieść się ponad krawędź

i uciec. A potem znikaly równie nagle, jak się pojawiały. Tak jak ten.

Po co ktoś miałby tu mieszkać? — zastanawiał się Woermann. Zboże rosło tu marnie, plony wystarczały, by przeżyć, lecz nic więcej. Kozy i owce radziły sobie nieźle, racząc się twardą trawą i wodą z górskich źródeł. Ale dlaczego człowiek miałby wybrać takie miejsce do życia?

Po raz pierwszy dostrzegł twierdzę, gdy kolumna wozów wyminęła stadko kóz, pasących się na wyjątkowo ostrym zakręcie trasy. Natychmiast wyczuł w niej coś niezwykłego, lecz była to raczej przyjemna niezwykłość. Podobna w budowie do zamku, nie była nim jednak ze względu na niewielkie rozmiary. Dlatego mówiono o niej: twierdza. Dziwne, ale nie miała nazwy. Musiała pochodzić sprzed wieków, lecz wyglądała, jakby ostatni kamień przy jej budowie położono dopiero wczoraj. Prawdę mówiąc, z początku miał wrażenie, że gdzieś skęcili w złą stronę. To nie mogła być ta poszukiwana, 500-letnia forteca, którą mieli zająć.

Zatrzymał samochód, sprawdził mapę i przekonał się, że istotnie, tu właśnie ma rozkaz zająć stanowisko. Podniósł głowę i znowu popatrzył na budowlę.

Przed wiekami olbrzymia skalna płyta została wypchnięta z zachodniej ściany przełęczy. Wokół niej biegł głęboki wąwóz, którym płynął strumyk, wypływający, jak się zdawało, gdzieś z wnętrza góry. Na tej płycie wznosiła się twierdza. Smukłe ściany, wysokie może na piętnaście metrów, zbudowano z granitowych bloków, wtapiających się płynnie w wyrastające z tyłu skalne urwisko — dzieło ludzkich rąk tworzyło jedność z tworem natury. Najbardziej jednak niezwykła w tej małej fortecy była samotna wieża, tworząca krawędź muru: o płaskim dachu, wysunięta ku środkowi przełęczy, wysoka na co najmniej 50 metrów licząc od zębatego parapetu do skalnego wąwozu w dole. To była twierdza. Umocnienie z dawnych wieków. Ucieszył się na jej widok, gdyż gwarantowała suche kwatery na czas ich straży na przełęczy.

Tylko jakim cudem zachowała się w tak doskonałym stanie?

Woermann skinął człowiekowi siedzącemu obok w samochodzie i zaczął składać mapę. Mężczyzna nazywał się Oster

i był sierżantem, jedynym sierżantem w oddziale Woermanna. Pełnił też funkcję kierowcy. Teraz dał sygnał, wysuwając lewą rękę, i kolumna samochodów ruszyła do przodu. Droga, czy raczej ścieżka, rozszerzyła się, gdy minęli zakręt, prowadząc do maleńkiej wioski rozłożonej tuż przy zbroczu na południe od twierdzy, po drugiej stronie wąwozu.

Kiedy dojeżdżali do centrum, Woermann uznał, że określenie „wioska” nie pasuje do tego, co zobaczył. To nie była wieś w niemieckim sensie tego słowa, lecz zbiorowisko nędznych, krzywych chatek. Tylko jedna, na północnym krańcu, nie była parterowa. Stała po prawej stronie drogi, miała piętro i szyld nad wejściem. Woermann nie znał rumuńskiego, ale miał wrażenie, że to coś w rodzaju gospody. Nie miał pojęcia, po co była tu potrzebna gospoda — kto miałby tędy przejeżdżać?

Niecałe dwieście metrów za wioską szlak kończył się na skraju wąwozu. Z tego miejsca prowadził drewniany most, wsparty na kamiennych kolumnach, biegnący sześćdziesiąt metrów nad przepaścią — jedyne połączenie twierdzy ze światem. Można by jeszcze dojść do niej wspinając się na pionowe, kamienne mury lub ześlizgując i zjeżdżając na linie trzysta czy czterysta metrów po równie stromym urwisku.

Okiem doświadczonego żołnierza Woermann ocenił strategiczną wartość twierdzy. Znakomita pozycja strażnicza. Cała Przełęcz Dinu widoczna będzie z wieży jak na dłoni, a pięćdziesięciu ludzi na murach może powstrzymać cały batalion Rosjan. Nie sądził, żeby Rosjanie mieli kiedyś tędy przechodzić, ale któż śmiałby kwestionować decyzje Naczelnego Dowództwa?

Woermann był jednak nie tylko żołnierzem. I teraz patrzył na budowlę także w inny sposób, okiem malarza, wielbiciela pejzaży. Czy użyć akwareli, czy zaufać farbom olejnym, że oddadzą tę atmosferę sennej ostrożności? Jedyным sposobem będzie spróbować obu technik. W najbliższych miesiącach *będzie* miał mnóstwo wolnego czasu.

— No jak, sierżancie — zwrócił się do Oстера, gdy zatrzymali się przed mostem. — Jak wam się podoba wasz nowy dom?

— Nie bardzo, panie kapitanie.

— Lepiej będzie, jeśli się przyzwyczaiacie. Prawdopodobnie przesiędziecie tu do końca wojny.

— Tak jest.

Zauważywszy dziwnie sztywny ton Oстера Woermann spojrział na tego szczupłego, smągłego mężczyznę, od którego był prawie dwa razy starszy.

— To już niedługo, sierzancie. Kiedy wyruszyliśmy, otrzymałem wiadomość, że Jugosławia skapitulowała.

— Powinien pan nam powiedzieć, panie kapitanie! To dodałoby nam ducha!

— Tak mamie z waszym duchem?

— Wszyscy chcielibyśmy być teraz w Grecji.

— Tam nie ma oprócz ciężkiego wina, twardego mięsa i dziwacznych tańców. Nie podobałoby się wam.

— Ale walka...

— Ach, to...

Woermann zauważył, że jego żartobliwe nastroje stają się coraz wyraźniejsze przez ostatni rok. Nie była to godna polecenia cecha charakteru niemieckiego oficera, a mogła stać się niebezpieczna dla kogoś, kto nie został nazistą. Nie miał jednak innej obrony przed narastającą frustracją, powodowaną przebiegiem wojny i jego własnej kariery. Sierżant Oster był przy nim zbyt krótko, by to zauważyć. Z czasem się nauczył.

— Zanim będziecie tam dotarli, sierzancie, walka się skończy. Spodziewam się kapitulacji Grecji w ciągu tygodnia.

— Ale wszyscy uważamy, że tam moglibyśmy zrobić dla Führera więcej niż w tych górach.

— Nie powinniście zapominać, że właśnie z woli waszego Fuhrera mamy zostać tu — z satysfakcją zauważył, że słowo „waszego” uszło uwagi Oстера.

— Ale dlaczego, kapitanie? Czemu to służy?

— Naczelne Dowództwo uważa Przełęcz Dinu za połączenie pomiędzy stepami Rosji a polami naftowymi, które mijaliśmy pod Ploesti — wyrecytował Woermann. — Gdyby stosunki Rzeszy z Rosją miały się pogorszyć, Rosjanie mogliby spróbować niespodziewanego ataku na Ploesti. A bez pochodzącego stamtąd paliwa zdolność operacyjna Wehrmachtu zostałaby poważnie zmniejszona.

Oster słuchał cierpliwie, mimo że dziesięć razy słyszał już te wyjaśnienia i sam przekazywał je ludziom z oddziału. Woermann wiedział jednak, że nie jest przekonany. Nie miał o to pretensji. Każdy w miarę inteligentny żołnierz miałby wątpliwości. Oster dostatecznie długo był w armii, by wiedzieć, że to dość niezwykle powierzać doświadczonemu, obeznanemu z walką oficerowi dowództwo czterech drużyn piechoty bez drugiego oficera, a potem cały ten oddział posyłać na jakąś zapomnianą przełęcz w sprzymierzonym kraju. To było zadanie dla jakieś porucznika — żółtodzioba.

— Przecież Rosjanie mają mnóstwo własnej ropy, a my podpisaliśmy z nimi traktat.

— Racja! Jak mogłem zapomnieć! Traktat. Nikt już nie zrywa traktatów.

— Nie sądzi pan chyba, że Stalin ośmieliłby się zdradzić Fiihrera, prawda?

Woermann zdusił odpowiedź, która przyszła mu do głowy: Nie, jeśli twój Fuhrer zdąży go zdradzić pierwszy. Oster by nie zrozumiał. Jak większość ludzi z powojennego pokolenia zaczęła utożsamiać dobro Niemiec ze spełnieniem woli Adolfa Hitlera. Był jakby natchniony, rozpalony przez tego człowieka. Woermann uznał, że jest chyba za stary na takie reakcje. W zeszłym miesiącu obchodził czterdzieste pierwsze urodziny. Był świadkiem, jak Hitler wyrósł z piwiarni do godności kanclerza, a potem boga. Nigdy go nie lubił.

To prawda, Hitler zjednoczył kraj oraz pchnął go na drogę do zwycięstwa i szacunku dla siebie, czego żaden lojalny Niemiec nie mógł mieć mu za złe. Woermann jednak nigdy nie ufał temu Austriakowi, otaczającemu się Bawarczykami z południa. Żaden Prusak nie mógłby zaufać bandzie południowców. Było w nich coś paskudnego. A to, co Woermann zobaczył pod Poznaniem, pokazało mu, jak bardzo paskudnego.

— Powiedzcie ludziom, że mogą wysiąść i rozprostować kości — polecił, ignorując ostatnie pytanie Oстера. Zresztą, i tak było retoryczne. — Sprawdźcie, czy most utrzyma samochody. Zobaczę, jak to wygląda od środka.

Przechodząc przez most Woermann uznał, że belki wyglądają solidnie. Wyjrzał przez krawędź na skały i spieniony strumień.

Kawał drogi do dna, co najmniej dwadzieścia metrów. Lepiej, żeby ciężarówki przejeżdżały puste i pojedynczo.

Ciężkie, drewniane skrzydła bramy były szeroko otwarte, podobnie jak większość okiennic w ścianach i na wieży. Zdawało się, że ktoś urządzał tu wietrzenie. Woermann wszedł na brukowany dziedziniec, chłodny i cichy. Zauważył, że twierdza miała jeszcze jedną część, z tyłu, niewidoczną z mostu i najwyraźniej wykutą w skale.

Rozejrzał się powoli. Wieża wznosiła się nad nim, szare mury otaczały go ze wszystkich stron. Czuł się tak, jakby stanął w kręgu ramion śpiącej bestii, której wolałby nie budzić.

Wtedy zauważył krzyże. Wewnętrzne ściany dziedzińca nabijane były setkami, tysiącami krzyży. Wszystkie tego samego kształtu i rozmiaru, o tych samych, niezwykłych proporcjach: część pionowa miała ze dwadzieścia pięć centymetrów, była prosta u góry i rozszerzona z dołu; pozioma długości jakichś dwudziestu centymetrów i z obu końców podgięta lekko do góry. Najdziwniejsza jednak była wysokość, na jakiej krzyżowały się obie części — odrobinę wyżej, a byłoby duże „T”.

Woermanną trochę niepokoiły te krzyże... coś było z nimi nie w porządku. Podeszedł do najbliższego i przesunął po nim palcami. Część pionowa była z mosiądzu, pozioma z niklu. Obie starannie wykuto i wmurowano równo z powierzchnią kamienia.

Znowu się rozejrzał. Coś jeszcze się tu nie zgadzało, czegoś brakowało. I wtedy zrozumiał — nie było ptaków. Nie widział gołębi na murach. Zamki w Niemczech roiły się od gołębi, gnieźdzących się w każdym zakamarku i na każdym występie. Tu nie dostrzegął ani jednego, na murach, na parapetach ani na wieży.

Usłyszał jakiś dźwięk za sobą i odwrócił się błyskawicznie odpinając kaburę i opierając dłoń na rękojeści lugera. Rząd rumuński był sprzymierzeńcem Rzeszy, lecz nie wszystkie ugrupowania podzielały jego poglądy, z czego Woermann zdawał sobie sprawę — choćby fanatycznie antyniemiecka Narodowa Partia Chłopska, teraz wprawdzie odsunięta od władzy, ale nadal czynna. Tu, w górach, mogą ukrywać się

jakieś grupki jej aktywistów, czekające na szansę zastrzelenia paru Niemców.

Dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejszy — odgłos kroków, ale spokojnych, kroków człowieka, który nie próbuje się skradać. Dobiegał z korytarza za drzwiami w tylnej części twierdzy. Po chwili wyszedł stamtąd mężczyzna koło trzydziestki, ubrany w owczy *cojoc*. W rękę trzymał deskę z rozrobionym tynkiem. Nie zauważył Woermanna. Przykucnął i zaczął łątać pęknięcie muru przy futrynie.

— Co tu robisz? — warknął Niemiec. Według jego informacji twierdza powinna być pusta.

Murarz zerwał się i odwrócił. Wyraz gniewu na jego twarzy znikł szybko, gdy tylko rozpoznał mundur i dotarło do niego, że pytanie padło po niemiecku. Wybełkotał coś niezrozumiale, pewnie po rumuńsku. Zirytowany Woermann pomyślał, że powinien postarać się o tłumacza albo nauczyć się choćby podstaw tutejszego języka, jeśli ma zamiar spędzić dłuższy czas w tym miejscu.

— Mów po niemiecku! Co tu robisz?

Mężczyzna lekliwie pokręcił głową, podniósł palec wskazujący na znak, by chwilę zaczekać, i krzyknął coś, co brzmiało jak „Papa!”.

Trzasnęły okiennice i z okna w wieży wychylił się starszy mężczyzna w wełnianej *caciula* na głowie. Woermann zacisnął mocniej dłoń na rękojeści lugera. Dwaj Rumuni zamienili kilka zdań i starszy zawołał po niemiecku:

— Zaraz schodzę, proszę pana.

Woermann skinął głową i odprężył się. Podszedł do ściany i ponownie przyjrzał się jednemu z krzyży. Mosiądz i nikiel... wyglądały prawie jak złoto i srebro.

— Jest tu szesnaście tysięcy osiemset siedem takich krzyży wmurowanych w ściany — odezwał się z tyłu Rumun. Mówił po niemiecku płynnie, choć z wyraźnym akcentem.

— Liczyłeś je? Czy to tylko taka bajeczka dla zwiedzających?

Według Woermanna mężczyzna mógł mieć trochę powyżej pięćdziesięciu lat. Rodzinne podobieństwo do młodego murarza podkreślały jeszcze takie same lniane koszule i spodnie.

— Nazywam się Alexandru — rzekł sztywno mężczyzna,

skłoniwszy się lekko. — Pracuję tutaj razem z synami. I nikogo nie oprowadzamy.

— To się zmieni już za chwilę. Ale najpierw pewne wyjaśnienia. Dano mi do zrozumienia, że twierdza jest opuszczona.

— Jest. W nocy, kiedy wracamy do domu. Mieszkamy w wiosce.

— A gdzie jest właściciel?

— Nie mam pojęcia — Alexandru wzruszył ramionami.

— Kim on jest?

— Nie wiem — wzruszył ramionami jeszcze raz.

— Więc kto wam płaci? — rozmowa stawała się irytująca. Czy ten człowiek potrafi tylko wzruszać ramionami i mówić „Nie wiem”?

— Oberzysta. Dwa razy do roku ktoś przynosi mu pieniądze, ogląda twierdzę, notuje wszystko i odjeżdża. Oberzysta płaci nam co miesiąc.

— A kto wam mówi, co macie robić?

— Nikt — Alexandru wyprostował się i przemówił ze spokojem oraz godnością. — Robimy wszystko. Mamy pilnować, by twierdza była jak nowa. To wszystko, co musimy wiedzieć. Naprawiamy to, co potrzebuje naprawy. Mój ojciec poświęcił temu całe życie, a przed nim jego ojciec i tak dalej. Po mnie przejmą tę pracę moi synowie.

— Poświęćcie całe życie, żeby odnawiać tę budowlę? Nie mogę uwierzyć!

— Jest większa niż się wydaje. W tych murach, które pan widzi, są pokoje. Są też całe korytarze pod nami, w piwnicach, a także wyryte w skale. Zawsze jest coś do roboty.

Wzrok Woermanna prześliznął się po posępnych murach, w połowie pogrążonych w cieniu, i po dziedzińcu, także zacienionym, choć było wczesne popołudnie. Kto wybudował tę warownię? I kto płacił, by zachować ją w tak doskonałym stanie? Wszystko to nie miało sensu. Wpatrzony w cienie pomyślał, że gdyby to on wznosił te mury, postawiłby je po przeciwnej stronie przełęczy, gdzie przy południowej oraz zachodniej ekspozycji miałyby więcej światła i ciepła. Po tej stronie mrok musiał zapadać wcześniej.

— No dobrze — zwrócił się do Alexandru. — Możesz

kontynuować swoje prace, kiedy się tu rozłożymy. Ale i ty, i twoi synowie musicie meldować wartownikom o każdym wejściu i wyjściu — zauważył, że mężczyzna potrząsa głową. — O co chodzi?

— Nie możecie tu zostać.

— A to dlaczego?

— To zakazane.

— Przez kogo?

Alexandru wzruszył ramionami.

— Zawsze tak było. Mamy utrzymywać twierdzę w dobrym stanie i pilnować, żeby nikt tu nie zamieszkał.

— Naturalnie, zawsze się wam to udaje — powaga starego Rumuna bawiła Woermanna.

— Nie. Nie zawsze. Zdarzało się, że podróżni zostawali tu wbrew naszym radom. Nie spieraliśmy się z nimi; nie wynajęto nas do walki. Lecz żaden nie pozostał tu dłużej niż jedną noc. A większość nawet i tego nie.

Woermann uśmiechnął się. Czekał na coś takiego. Opuszczony zamek, nawet taki kieszonkowy zamek, jak ten, musiał być nawiedzony. Choćby po to, żeby ludzie mieli o czym mówić.

— Co ich wypędzało? Jęki? Widma dzwoniące łańcuchami?

— Nie, proszę pana. Tu nie ma duchów.

— Może ginęli? Jakieś krwawe mordy. Albo samobójstwa? — Woermann bawił się coraz lepiej. — W Niemczech mamy mnóstwo zamków i z każdym związana jest jakaś straszna historia do opowiadania przy kominku.

— Nikt tu nigdy nie zginął — pokręcił głową Alexandru. — Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

— Więc co? Co przepędza intruzów po pierwszej nocy?

— Sny, proszę pana. Straszne sny. I z tego, co słyszałem, zawsze takie same... że jest się uwięzionym w małym pokoiku, bez drzwi, bez okien, bez światła... i jest zimno... bardzo zimno... i jest tam coś jeszcze w ciemności... coś bardzo zimnego... głodnego.

Woermann poczuł chłód na karku. Chciał spytać, czy Alexandru spędził kiedyś noc w twierdzy, lecz oczy Rumuna wystarczyły za odpowiedź. Tak, spędził tu noc. Ale tylko raz.

— Zaczekaj tutaj, aż moi ludzie przejdą przez most — powiedział, odpędzając nieprzyjemne uczucie. — Potem możesz mnie oprowadzić.

Twarz Alexandru wyrażała ostateczną bezradność.

— Panie kapitanie, moim obowiązkiem jest poinformować pana, że zamieszkiwanie w twierdzy jest zabronione.

Woermann uśmiechnął się, lecz bez pogardy czy lekceważenia. Wiedział, co to znaczy obowiązek i szanował jego poczucie u tego człowieka.

— Ostrzeżenie zostało przekazane. Stanałeś wobec armii niemieckiej, której sile nie zdołasz się przeciwstawić. Musisz więc ustąpić. Możesz uważać, że dobrze spełniłeś swój obowiązek.

Powiedziawszy to Woermann odwrócił się i ruszył w stronę bramy.

Wciąż nie widział żadnych ptaków. Czy one też miewają złe sny? Czy także zakładają tu swe gniazda na jedną noc i nigdy już nie wracają?

Wóz dowodzenia oraz trzy puste ciężarówki bez kłopotów przejechały przez most i zaparkowały na dziedzińcu. Ludzie przeszli pieszo niosąc własny sprzęt, by zaraz wrócić na tamtą stronę wąwozu i zacząć przenosić zapasy żywności, generatory, broń przeciwpancerną.

Sierżant Oster zajął się szczegółami, a Woermann ruszył za Alexandru na krótką wycieczkę po fortecy. Wciąż zdumiewała go mnogość identycznych krzyży wmurowanych w równych odstępach w kamienie każdego korytarza, każdego pokoju, każdej ściany... I pokoje... Zdawało się, że są wszędzie: w murach otaczających dziedziniec, pod dziedzińcem, w części tylnej, w wieży. W większości były małe i wszystkie puste.

— Czterdzieści dziewięć pokoi, licząc komnaty w wieży — poinformował Alexandru.

— Dziwna liczba, nie sądzisz? Dlaczego nie zaokrąglono jej do pięćdziesięciu?

Alexandru wzruszył ramionami.

— Któż może wiedzieć...

„Jeśli on jeszcze raz wzmruszy ramionami...”, pomyślał Woermann, zgrzytając zębami.

Szli wzdłuż muru, biegnącego najpierw na ukos od wieży, by potem skręcić pod kątem wprost do skalnej ściany. Zauważył, że krzyże wmurowano także w wysoki do piersi parapet.

— Nie pamiętam, żebym widział jakieś krzyże po zewnętrznej stronie muru — zastanawiał się Woermann.

— Nie ma ich tam. Tylko w środku. Proszę spojrzeć, jak te kamienne bloki są do siebie dopasowane. Trzymają się bez odrobiny zaprawy. Wszystkie ściany w twierdzy są tak zbudowane. To zapomniana sztuka.

Woermann nie dbał o kamienne bloki.

— Mówisz, że pod nami są jakieś pomieszczenia? — spytał.

— Dwa rzędy pokoi pod każdym ramieniem muru, każdy ze szczeliną okienną na zewnątrz i drzwiami na korytarz, prowadzący do dziedzińca.

— Znakomicie. Posłużą za koszary. Teraz chodźmy do wieży.

Wieża miała nietypową konstrukcję. Składała się z pięciu poziomów, na każdym po dwa pomieszczenia, zajmujące całą powierzchnię z wyjątkiem miejsca potrzebnego na drzwi prowadzące ku niewielkiemu, odkrytemu pomostowi. Strome, kamienne schody biegły zygzakiem w górę po wewnętrznej stronie północnej ściany.

Zdyszany po wspinaczce Woermann wyrzał przez blanki otaczające dach wieży na długi odcinek Przełęczy Dinu. Wiedział już, gdzie powinien umieścić swe rusznice przeciwpancerne. Niezbyt wierzył w skuteczność *7.92 mm Panzerbusche 38*, w które go wyposażono, nie sądził jednak, by doszło do ich użycia. Ani moździerzy. Rozstawi je jednak, mimo wszystko.

— Nie da się tędy przejść, by nie zostać zauważonym z wieży — odezwał się sam do siebie.

— Chyba że we mgle — stwierdził nieoczekiwanie Alexandru. — Na wiosnę każdej nocy przełęcz wypełnia gęsta mgła.

Woermann zanotował ten fakt w pamięci. Wartownicy będą musieli mieć otwarte nie tylko oczy, ale i uszy.

— Gdzie są ptaki? — zapytał. Niepokoiło go to. Jak dotąd nie dostrzegł ani jednego.

— Nie widziałem jeszcze ptaka w twierdzy — odparł Alexandru. — Nigdy.

— Nie zdziwiło cię to?

— Cała warownia jest dziwna, *Herr Hauptmann*, te krzyże i w ogóle... Przestałem szukać wyjaśnień, gdy skończyłem dziesięć lat. Po prostu tak jest.

— Kto ją zbudował? — zainteresował się Woermann i odwrócił się tyłem, by nie widzieć wzruszenia ramionami, które musiało nastąpić.

— Jeśli spyta pan pięciu ludzi, dostanie pan pięć odpowiedzi. Każdą inną. Niektórzy mówią, że to dawni władcy Wallachii, inni, że jakiś zbuntowany Turek, jest nawet kilku, którzy wierzą, że twierdzę postawił któryś z papieży. Kto to wie? Prawda ginie, a plotka może się rozrosnąć w ciągu pięciuset lat.

— Naprawdę sądzisz, że trzeba tak dużo czasu? — mruknął Woermann, obrzucając przełęcz ostatnim spojrzeniem i ruszając w stronę wyjścia. — Kilka lat wystarczy aż nadto.

Kiedy dotarli do poziomu dziedzińca, usłyszeli stuk młotków. Alexandru ruszył szybko korytarzem wzdłuż wewnętrznej strony południowego muru. Woermann poszedł za nim. Gdy Rumun zobaczył żołnierzy walących w ściany, podbiegł bliżej, przyjrzał się im uważnie i zaraz wrócił do Woermanna.

— *Herr Hauptmann*, oni wbijają kołki między kamienie! — zawołał splatając dłonie. — Proszę ich powstrzymać!

— Bzdura! Te „kołki” to zwykłe gwoździe i wbijają tylko jeden co jakieś trzy metry. Mamy dwa generatory i ludzie montują oświetlenie. Armia niemiecka nie używa pochodni.

W dalszej części korytarza natknęli się na klęczącego żołnierza, dźgającego bagnetem w jeden z kamiennych bloków. Alexandru stał się jeszcze bardziej podniecony.

— A ten? — spytał chrapliwym szeptem. — Czy też montuje oświetlenie?

Woermann szybko i cicho stanął bezpośrednio za pochłoniętym pracą żołnierzem. Patrzył, jak podważa ostrzem jeden z wmurowanych krzyży, i poczuł, że drży i oblewa się zimnym potem.

— Kto kazał wam to robić?

Szeregowiec drgnął zaskoczony i upuścił bagnet. Jego chuda twarz pobladała, gdy zobaczył dowódcę. Podniósł się na nogi.

— Odpowiadać! — krzyknął Woermann.

— Nikt, panie kapitanie — stał na baczność, patrząc prosto przed siebie.

— Jakie mieliście polecenie?

— Pomóc zakładać światła.

— Dlaczego tego nie robicie?

— Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

— Nie jestem waszym sierżantem, żołnierzu. Nie potrzebuję usprawiedliwień. Chcę wiedzieć, o co wam chodziło, kiedy zdecydowaliście się postępować jak zwykły wandal, a nie jak niemiecki żołnierz. Odpowiadajcie!

— Złoto, panie kapitanie — wyjaśnił bojaźliwie żołnierz. Nie brzmiało to przekonywająco i najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę. — Chodzą słuchy, że zbudowano ten zamek po to, by ukryć skarby papieża. A te wszystkie krzyże... wyglądają jak złoto i srebro. Chciałem tylko...

— Zaniedbaliście swe obowiązki, żołnierzu. Nazwisko?

— Lutz, panie kapitanie.

— Tak więc, szeregowy Lutz, ten dzień okazał się dla was niezwykle owocny. Nie tylko dowiedzieliście się, że krzyże zrobione są z mosiądzu i niklu, nie ze złota i srebra, ale przy okazji zyskaliście miejsce w pierwszej warcie przez najbliższy tydzień. Kiedy skończycie ze światłami, zameldujecie się u sierżanta Oстера.

Gdy Lutz schował upuszczony bagnet i odmaszerował, Woermann odwrócił się do Alexandru. Rumun był błądy i drżał wyraźnie.

— Nie wolno ruszać tych krzyży — powiedział. — Nigdy!

— A dlaczego nie?

— Bo zawsze tak było. Nie wolno zmieniać niczego w twierdzy. Dlatego tu pracujemy. Dlatego nie możecie tu zostać!

— Do widzenia, Alexandru — odparł Woermann tonem, który oznaczał koniec dyskusji. Żywił sympatię dla tego człowieka i jego problemów, lecz rozkazy były ważniejsze. Odwracając się dosłyszał jeszcze błagalny głos Alexandru.

— Proszę, *Herr Hauptmann!* Niech im pan powie, żeby nie ruszali krzyży! Nie wolno ruszać krzyży!

Woermann postanowił to zrobić. Nie dla Alexandru, lecz dlatego, że nie potrafił wyjaśnić nieokreślonej grozy, która go ogarnęła, gdy patrzył, jak Lutz podważa krzyż bagnetem. To nie był zwykły niepokój — raczej zimne, przyprawiające 0 mdłości przerażenie, które na moment ścisnęło mu żołądek. I nie miał pojęcia, dlaczego.

środa, 23 kwietnia

godz. 03.20

Było już późno, gdy Woermann z ulgą kładł się na posłaniu na podłodze swojego pokoju. Wybrał pomieszczenia na drugim piętrze wieży — były powyżej poziomu murów, a nie wymagały zbyt ciężkiej wspinaczki. Pierwszy pokój miał służyć jako biuro, drugi, mniejszy, z tyłu — jako sypialnia. Dwa okna frontowe, pozbawione szyb prostokąty obramowane drewnianymi okiennicami, zapewniały widok na całą szerokość przełęczy, a tylne pozwalały mieć oko na dziedziniec.

Okiennice były otwarte na oścież. Zgasił światło i stanął na chwilę przy oknie. Falująca lekko mgła przesłaniała wąwóz. Po zachodzie słońca z górskich szczytów spływał chłód, by spotkać się z wilgotnym powietrzem dna przełęczy, zachowującym jeszcze nieco ciepła dnia. Rezultatem była płynąca wolno biała rzeka mgły. Tylko gwiazdy oświetlały ten obraz, a było ich tyle, ile można widzieć jedynie w górach. Patrzył na nie i niemal pojmował deliryczny ruch w „Gwiazdzistej nocy” van Gogha. Ciszę zakłócał jedynie cichy pomruk generatorów, usytuowanych w dalekim kącie dziedzińca. Czuł się tak, jakby znalazł się poza czasem. Patrzył, póki nie poczuł, że zaczyna drzeć.

Leżąc już w śpiworze stwierdził, że pomimo zmęczenia nie może zasnąć. Myśli pędziły we wszystkie strony: zimna noc, lecz nie tak zimna, by trzeba było palić ogień... zresztą, i tak nie ma drzewa... Zbliży się lato, więc nie będzie kłopotów

z ogrzewaniem... Ani z wodą — znaleźli w piwnicach pełne cysterny, zasilane stale podziemnym strumieniem... Sprawy higieny to zawsze problem... Jak długo będą musieli tu zostać?... Może pozwolić chłopcom wyspać się jutro porządnie, po dzisiejszym ciężkim dniu?... Alexandru z synami mogliby zrobić jakieś łóżka, żeby ludzie nie musieli leżeć na tych zimnych posadzkach... zwłaszcza jeśli mieliby tu tkwić całą jesień i zimą.
O ile wojna potrwa tak długo.

Wojna... Zdawała się tak odległa. Jeszcze raz wróciła myśl o rezygnacji ze stanowiska. Za dnia potrafił się przed nią *bronić, lecz w ciemności, gdy pozostawał sam ze sobą, powracała i domagała się uwagi.

Nie mógł wycofać się teraz, gdy jego kraj nadal prowadził wojnę. Zwłaszcza tutaj, na posterunku w dalekich górach, zesłany w to miejsce kaprysem któregoś z generałów w Berlinie. To byłaby kapitulacja. Wiedział, czego oczekują: wstąpienie do Partii albo nie dopuszczymy cię do walki. Wstąpienie do Partii albo pošlemy cię na wartę w Alpach Transylwanii. Wstąpienie do Partii albo się wycofaj.

Może po wojnie przejść do cywila. Tej wiosny minęło dwadzieścia pięć lat jego służby. I, sądząc po rozwoju wypadków, może te ćwierć wieku wystarczy. Przyjemnie by było spędzać każdy dzień w domu z Helgą, poświęcić trochę czasu synom i ćwiczyć swój malarski kunszt na pejzażach Prus.

Jednak... wojsko było jego domem od dawna i nadal wierzył, że armia niemiecka przetrzyma jakoś nazistów. Gdyby tylko potrafił wytrzymać tak długo...

Otworzył oczy i spojrział w ciemność. Choć przeciwległą ścianę krył mrok, niemal wyczuwał wmurowane w granitowe bloki krzyże. Nie był religijny, lecz ich obecność sprowadzała jakiś niewytłumaczalny spokój.

To z kolei przypomniało mu dzisiejsze zdarzenie w korytarzu. Mimo prób nie potrafił do końca otrząsnąć się z trwogi, jaka go ogarnęła, gdy zobaczył, jak ten szeregowiec — jakże się nazywał? Lutz? — dłubie przy krzyżu.

Lutz... szeregowy Lutz... ten człowiek sprowadzi kłopoty... lepiej, żeby Oster miał na niego oko...

Odpląnął w sen zastanawiając się, czy czeka tam na niego koszmar, o którym mówił Alexandru.

II

TWIERDZA

Środa, 23 kwietnia

godz. 03.40

Szeregowiec Hans Lutz przykucnął pod nagą, niskowatową żarówką — samotna postać na wyspie światła pośród rzeki ciemności. Zaciągnął się papierosem, oparty o chłodne kamienie ścian podziemia. Zdjął hełm, odsłaniając jasne włosy i młodzieńczą twarz, zeszpeconą nieprzyjemnym wyrazem oczu i ust. Wszystko go bolało. Był wykończony. chciał tylko wśliznąć się do swego śpiwora i na parę godzin zapaść w zapomnienie. Szczerze mówiąc, gdyby tylko w podziemiach było odrobinę cieplej, zdrzemnąłby się tutaj.

Na to jednak nie mógł sobie pozwolić. Pierwsza warta przez cały tydzień była wystarczająco paskudna, a Bóg wie, co by się stało, gdyby ktoś go przyłapał śpiącego na posterunku. Woermann był zdolny wyjść na przechadzkę korytarzem, w którym siedział Lutz, tylko po to, by go sprawdzić. Nie wolno mu było zasnąć.

Co za pech, że kapitan musiał akurat przechodzić obok. Lutz obserwował te śmieszne krzyże, odkąd tylko wkroczył na dziedziniec. Po godzinie pokusa stała się zbyt silna. Wyglądały jak ze złota i srebra, lecz przecież było to niemożliwe. Musiał sprawdzić. No i wpakował się w kłopoty.

Cóż, przynajmniej zaspokoił ciekawość. Żadnego złota, żadnego srebra. Wiedza ta jednak nie była warta całego tygodnia pierwszych wart.

Oślonił dłońmi pulsujący zarem koniec papierosa. *Gott*, ależ tu zimno. Zimniej niż na świeżym powietrzu, gdzie spacerowali po parapecie muru Ernst i Otto. Lutz wiedział, że będzie tu

chłodno. Schodząc do podziemi mówił, że ma nadzieję, iż niska temperatura otrzeźwi go i nie pozwoli zasnąć. Naprawdę jednak chciał przeprowadzić mały rekonesans.

Gdyż Lutz nie był jeszcze przekonany, że nie znajdzie tu papieskiego skarbu. Zbyt wiele na to wskazywało, właściwie wszystko. Krzyże były pierwszym, najbardziej oczywistym znakiem. Wprawdzie nie były to porządne, symetryczne krzyże maltańskie, ale zawsze krzyże. I naprawdę wyglądały jak ze złota i srebra. Dalej: w żadnym pokoju nie widział mebli, co dowodziło, że nikt nie miał zamiaru tu mieszkać. O wiele bardziej znamienna była jednak stała konserwacja — jakaś organizacja płaciła, by utrzymać to miejsce w dobrym stanie. Płaciła bez przerwy od wieków. Od wieków! Znał tylko jedną, która miała możliwości i środki po temu, i która istniała dostatecznie długo — kościół katolicki.

Według Lutza twierdza istniała wyłącznie w jednym celu: by strzec majątku Watykanu.

Gdzieś tu musiał być skarb — za ścianami, pod podłogą. I on go znajdzie.

Przyglądał się kamiennej ścianie po przeciwnej stronie korytarza. Tu, w podziemiach, krzyży było szczególnie dużo. I wszystkie wyglądały tak samo...

...może z wyjątkiem tego na lewo, wmurowanego w blok w dolnym rzędzie, na samej granicy kręgu światła. Jakoś inaczej odbijał słaby blask żarówki. Złudzenie? Inne wykończenie?

A może inny metal?

Lutz zdjął z kolan schmeisser i oparł go o ścianę. Wyjął z pochwy bagnet i przeszedł na czworakach na drugą stronę korytarza. W chwili, gdy ostrze dotknęło złotego metalu pionowej części krzyża, wiedział, że na coś trafił. Metal był miękki... miękki i złoty, jak może być tylko złoto.

Drżącymi rękami wbił ostrze bagnetu pomiędzy kamień i metal, wpychając je głębiej i głębiej, aż poczuł, że mimo coraz mocniejszego nacisku nie wbije go już ani odrobinę dalej. Bagnet dotarł aż do otworu, w który wmurowano krzyż. Był pewien, że bez większego wysiłku uda mu się wydłubać

metalową konstrukcję w całości. chwycił rękojeść i naparł na nią, aż poczuł, że coś ustępuje. Cofnął się, żeby popatrzeć.

niech to diabli! Hartowana stal bagnetu ryła złoto krzyża. Próbował skierować ostrze bardziej na zewnątrz od kamienia, lecz metal nadal wyginał się i rozciągał...

Lutz poczuł, że kamień się poruszył.

Wyciągnął bagnet i przyjrzał się blokowi granitu. Nie było w nim nic nadzwyczajnego: szeroki na sześćdziesiąt, wysoki na jakieś pięćdziesiąt centymetrów, gruby pewnie na trzydzieści. Nie został umocowany zaprawą, tak jak cała ściana. Różnił się tylko jednym — wystawał spomiędzy sąsiednich bloków na dobre pół centymetra. Lutz wstał i przeszedł do drzwi po lewej stronie. Wszedł do pokoju, po czym zmierzył krokami jego szerokość. Następnie przeszedł do pokoju po prawej stronie i powtórzył operację. Proste działania arytmetyczne wyjawily znaczącą rozbieżność. Nie zgadzała się liczba kroków.

Za ścianą była pusta przestrzeń.

Czując nerwowy dreszcz. Lutz niemal rzucił się na wystający blok kamienia i gorączkowo zaczął go podważać. Ale mimo jego wysiłków kamień ani drgnął. Lutz musiał w końcu pogodzić się z myślą, że sam niczego nie zdoła dokonać. Będzie musiał sprowadzić kogoś do pomocy.

Osoba Otta Grunstadta, stojącego w tej chwili na posterunku na murze, narzucała się sama. Otto zawsze szukał okazji, by szybko i bez trudu zarobić parę marek. A tutaj wchodziła w grę dużo większa suma. Za tym kamieniem leżały papieskie miliony w złocie. Lutz był tego pewien. Czuł je niemal.

Zostawiając schmeisser i bagnet pognął w stronę schodów.

— Szybciej, Otto!

— Nie jestem pewien, czy powinienem iść — odparł Grunstadt, podbiegając co chwile, by nie zostać z tyłu. Był cięższy od Lutza, miał ciemniejsze włosy i pocił się mimo chłodu. — Mam tam stać na warcie. Jeśli mnie złapią...

— To potrwa minutę, najwyżej dwie. Już niedaleko — zapewnił go Lutz.

Lutz zabrał z magazynu lampę naftową, po czym dosłownie

ściągnął Grunstadta z posterunku, cały czas opowiadając mu o skarbie, o bogactwie, które wystarczy na całe życie, i o tym, że już nigdy nie będą musieli pracować. Otto szedł za nim jak ćma, dążąca do światła.

— Popatrz — Lutz wskazał na kamień. — Widzisz, jak wystaje?

Grunstadt przyklęknął i przyjrzał się uważnie pogiętym i poszarpanym brzegom wmurowanego krzyża. Wziął bagnet Lutza i przycisnął ostrze do złotego metalu. Zagłębiło się bez większego oporu.

— Tak, to złoto — powiedział szeptem. Lutz miał ochotę go kopnąć, krzyknąć, żeby się pośpieszył, ale Grunstadt musiał sam podjąć decyzję. Patrzył więc, jak tamten sprawdza ostrzem bagnetu wszystkie krzyże w zasięgu ręki. — Cała reszta to mosiądz. Tylko ten jest wart zachodu.

— A kamień, w którym on tkwi, rusza się — dodał skwapliwie Lutz. — Poza tym z tyłu jest pusta przestrzeń, szeroka na dwa metry i Bóg wie jak głęboka.

Grunstadt podniósł głowę i wyszczerzył zęby. Wnioski były oczywiste.

— Bierzmy się do roboty.

Pracując wspólnie osiągnęli pewne postępy, lecz nie dość szybkie, by zadowolić Lutza. Kamienny blok dawał się poruszać minimalnie w lewo i w prawo, ale po piętnastu minutach morderczej harówki sterczał z muru najwyżej na dwa centymetry.

— Zaczekaj — wysapał Lutz. — To paskudztwo ma ćwierć metra grubości. Nie skończymy przed zmianą warty. Może uda się wygiąć jeszcze trochę ten krzyż. Mam pomysł.

Używając obu bagnetów zdołali częściowo odgiąć złotą płytkę tuż poniżej spojenia ze srebrnymi ramionami. Przez powstałą pętlę udało się przecisnąć pas Lutza.

— Teraz możemy wyciągnąć ten kamień.

Grunstadt uśmiechnął się blade. Niepokoił się, że na tak długi czas zszedł z posterunku.

— No to ciągnijmy.

Zaparli się stopami o ścianę, chwycili pas i szarpnęli, wkładając w to całą moc ramion, obolałych pleców i nóg.

Kamień drgnął, po czym, zazgrzytawszy w proteście, zaczął się wysuwać, ześlizgując na boki oraz kołysząc. W końcu wyciągnęli go i zepchnęli na bok. Lutz sięgnął po zapalki.

— Gotowy na bogactwo? — zapalił lampę i przysunął ją do otworu. Wewnątrz widać było jedynie ciemność.

— Zawsze — oświadczył Grunstadt. — Kiedy zaczynamy liczyć?

— Jak tylko stamtąd wyjdę.

Podkręcił płomień i popychając lampę przed sobą wczółgał się w otwór. Przed sobą miał wąski, kamienny korytarzyk, opadający lekko w dół... i ledwie na półtora metra długi. Kończył się kolejnym kamiennym blokiem, identycznym jak ten, który dopiero co po długich wysiłkach udało im się wyjąć. Lutz przysunął do niego lampę. Ten krzyż także wyglądał na zrobiony ze złota i srebra.

— Podaj bagnet — zawołał, wyciągając rękę do Grunstadta.

— Co się stało? — spytał tamten, wsuwając mu w dłoń rękojeść.

— Droga zablokowana.

Na chwilę Lutz poczuł się pokonany. W wąskim korytarzyku ledwie mieścił się jeden człowiek i wyjęcie kamienia zdawało się niemożliwe. Trzeba by rozebrać całą ścianę, a to więcej, niż mogli zdziałać z Grunstadtem, choćby poświęcili na to nie wiadomo ile nocy. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Musiał jednak zaspokoić ciekawość co do metali, z których wykonano krzyż. Jeśli znajdzie złoto, będzie przynajmniej pewien, że trafił na właściwy trop.

Stękając, odwrócił się w ciasnym korytarzyku i przycisnął ostrze do krzyża. Wbiło się łatwo, a co więcej, kamień zaczął odchyłać się do tyłu, jakby umocowany był na zawiasach. Lutz pchnął go wolną ręką przekonując się, że dotyka jedynie atrapy, grubości dwóch centymetrów. Odsunęła się łatwo, wpuszczając podmuch zimnego, stęchłego powietrza z czającego się za nią mroku. Było w tym podmuchu coś, co sprawiło, że włosy na karku i ramionach stanęły mu dęba.

„Zimno”, pomyślał i wzdrygnął się mimowolnie.

Ale przecież nie aż tak zimno...

Stłumił narastający niepokój i poczołgał się dalej, cały czas

popychając przed sobą lampę. Kiedy przesunął ją przez nowy otwór, płomień zaczął przygasać. Nie drżał ani nie migotał w szklanej osłonie, więc nie można było winić za to zawirowań zimnego powietrza, nadal wiejącego przez korytarzyk. Płomień zanikał po prostu, konał. Lutz pomyślał o jakimś gazie, lecz nic nie czuł, nie miał trudności z oddychaniem ani nie odczuwał podrażnienia oczu czy nosa.

Być może kończyła się nafta. Przysunął do siebie lampę, żeby to sprawdzić i płomień rozjarzył się na powrót. Lutz poruszył zbiornikiem i usłyszał, jak płyn chlupie we wnętrzu. Całe mnóstwo nafty. Zdziwiony, jeszcze raz wysunął lampę przez otwór, a ona jeszcze raz przygasła. Im dalej ją wsuwał, tym słabiej świeciła i nie oświetlała niczego. Coś tu się nie zgadzało.

— Otto! — krzyknął przez ramię. — Zawiąz mi pas dookoła kostek i przytrzymaj. Wchodzę dalej.

— Może byśmy poczekali do jutra... aż będzie widno?

— Oszalałeś? Dowie się cały oddział! Każdy będzie chciał coś dostać, a kapitan pewnie weźmie najwięcej! Po to się narobiliśmy, żeby teraz zostać z niczym?

— Nie podoba mi się to wszystko — powiedział z wahaniem Grunstadt.

— Stało się coś?

— Nie jestem pewien. Po prostu nie chcę dłużej siedzieć tu, na dole.

— Przestań! Gadasz jak stara baba — warknął Lutz. Tego tylko brakowało, żeby Grunstadt właśnie teraz się przestraszył. Sam nie czuł się zbyt pewnie, ale fortuna czekała w zasięgu ręki i nie pozwolił jej sobie odebrać.

— No, dobra — nadpłynęła z tyłu niechętna odpowiedź. — Ale pośpiesz się.

Lutz odczekał, aż pętla pasa zacisnęła się na jego lewej kostce, po czym zaczął wczołgiwać się do ciemnej komory. Lampę popychał przed sobą. Czuł, że musi się śpieszyć. Przesuwał się do przodu najszybciej, jak tylko potrafił w ciasnej przestrzeni. Kiedy przecisnął przez otwór głowę i ramiona, płomień lampy stał się maleńką, błękitną iskierką... jak gdyby światło nie było tu mile widziane, jakby tłumiała je ciemność.

Lutz przesunął lampę jeszcze o kilka centymetrów i płomyk zgasł.

I wtedy zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

Coś mrocznego i zimnego jak komora, w której się znalazł, czaiło się obok, rozbudzone i głodne. Nie mógł opanować drżenia. Groza przeorała mu wnętrze. Próbował się cofnąć, precyzyjnie głowę oraz ramiona z powrotem, lecz utknął. Czuł się tak, jakby zwarły się na nim ściany korytarza i trzymały go bezradnego w ciemności tak absolutnej, że nie rozróżniał nawet góry i dołu. Ogarnęły go chłód i lęk — połączenie, grożące szaleństwem. Otworzył usta, by zawołać Otta, żeby go wyciągnął. Chłód wtargnął w niego, kiedy w agonii przerażenia podnosił głos do krzyku.

Na zewnątrz trzymany przez Grunstadta pas zaczął wyrwać mu się z rąk. Nogi Lutza skręcały się, szarpały i kopały w wąskim korytarzyku. Słychać było dźwięk podobny do głosu człowieka, lecz tak pełen rozpacz i grozy, tak odległy, że Grunstadt nie mógł uwierzyć, by wyszedł z gardła jego przyjaciela. Dźwięk zamarł w przerażającym bulgocie i równocześnie Lutz przestał się poruszać.

— Hans?

Cisza.

Przestraszony Grunstadt ściągnął pas, a kiedy mógł już dosięgnąć stóp Lutza, chwycił go za buty i wywlókł z otworu.

A kiedy zobaczył, co wynurzyło się z ukrytego korytarzyka, zaczął krzyczeć. Jego głos odbijał się echem od stropu podziemia i powracał coraz silniejszy, aż zadrżały ściany.

Wstrząśnięty wzmocnionym echem własnego przerażenia, Grunstadt stał jak skamieniały. Ściana, pod którą niedawno przeczolgiwał się Lutz, zaczęła się wybrzuszać. Pomiędzy granitowymi blokami pojawiły się mikroskopijne pęknięcia. Szeroka szczelina pobiegła zygzakiem w górę od otworu po wyjętym kamieniu. Słabe żarówki w korytarzu pociemniały, a zanim zgasły ostatecznie, mur drgnął gwałtownie po raz ostatni i rozpadł się. Grunstadta zasypały kamienne okruchy. A potem coś niewyobrażalnie czarnego skoczyło na niego i okryło go jednym szybkim, płynnym Ruchem.

Tak nadeszła groza.

III

TAYIRA, PORTUGALIA

Środa, 23 kwietnia

godz. 02.35 (czasu Greenwich)

Rudowłosa mężczyzna przebudził się nagle. Sen opadł z niego jak rozpięty płaszcz i przez chwilę nie potrafił powiedzieć, co się stało. Miał za sobą ciężki dzień, spędzony na naprawianiu splątanych sieci i pływaniu po wzburzonym morzu; kiedy o zwykłej godzinie położył się do łóżka, sądził, że będzie spać aż do świtu. A jednak zbudził się już po kilku godzinach. Dlaczego?

Już wiedział.

Z ponurą miną uderzył pięścią w chłodny piasek, na którym leżało jego posłanie. I jeszcze raz. Musiał wyładować gniew i rozczarowanie. Miał nadzieję, że ta chwila nigdy nie nadejdzie, raz po raz powtarzał sobie, że nic nie może się zdarzyć. Lecz teraz, gdy to się stało, zrozumiał, że było od początku nieuniknione.

Wstał i ubrany tylko w krótkie spodnie zaczął krzątać się po izbie. Miał gładką, przystojną twarz, cioc oliwkowa karnacja skóry kontrastowała mocno z rudymi włosami. Był szczupły, o szerokich, pokrytych bliznami ramionach. Z kocią zwinnością poruszał się w małej klitce, zdejmując części odzieży z haków, zbierając osobiste drobiazgi ze stolika przy drzwiach. Cały czas planował w myśli trasę podróży do Rumunii. Kiedy zebrał już wszystko, co mogło mu się przydać, rzucił to na posłanie i zawinął w koc, który zawiązał z obu końców.

Wciągnął kurtkę i luźne spodnie, zarzucił na ramię zrolowany koc, chwycił krótką łopatkę i wyszedł w chłód bezksiężycowej, pachnącej solą nocy. Niedaleko syczał i bił o brzeg Atlantyky.

Mężczyzna podszedł do najbliższej wydmy i zaczął kopać. Ponad metr pod powierzchnią piasku ostrze łopatkę trafiło w coś twardego. Rudowłosy mężczyzna przykłęknął i zaczął rozgarniać piasek rękami. Kilka szybkich, nerwowych ruchów odsłoniło długie, wąskie, owinięte ceratą pudło. Pochwycił je i wyciągnął na powierzchnię. Miało może półtora metra długości, ćwierć szerokości i ledwie dwa centymetry grubości. Znieruchomiał na chwilę, przygarbiony, trzymając pudło w dłoniach. Prawie uwierzył, że nigdy już nie będzie go musiał otwierać. Odłożył je na bok, pochylił się i wyciągnął zakopany obok, niezwykle ciężki pas z pieniędzmi, także zawinięty w ceratę.

Zapiął pas na biodrach, pod koszulą, długie, płaskie pudło wziętą pod pachę. Lekka bryza rozwiewała jego rude włosy, gdy omijając wydmy szedł do miejsca, gdzie Sanchez trzymał swoją łódź, wyciągniętą na brzeg i przywiązaną do pala — zabezpieczenie przed mało prawdopodobnym porwaniem jej przez falę niskiego na ogół przyływu. Ostrożny człowiek z tego Sancheza. I dobry szef. Rudowłosy mężczyzna lubił dla niego pracować.

Pogrzebał chwilę na dziobie, wyciągnął sieci i rzucił je na piasek. Po nich wylądowała na plaży skrzynka z narzędziami i talie. Mężczyzna pochylił się nad skrzynką, znalazł młotek i gwóźdź. Podszedł do pala i wyjął z kieszonki pasa cztery austriackie złote stukoronówki. Miał wiele złotych monet, pochodzących z różnych krajów: rosyjskie dziesięciorublowe „świnki”, austriackie stuszylingówki, czeskie dukaty, amerykańskie dwudziestodolarówki. Musiał polegać na powszechnie uznawanej wartości złota, jeśli chciał w czasie wojny przebyć cały basen Morza Śródziemnego.

Dwoma szybkimi, mocnymi uderzeniami młotka przebił gwoździem cztery monety, mocując je do drewnianego pala. Sanchez kupi sobie za to nową łódź. Lepszą od starej.

Odwiązał linę, zepchnął łódź na wodę i chwycił wiosła. Kiedy wypłynął już poza pas przyboju i wciągnął żagiel na maszt, skierował dziób w stronę niezbyt odległego Gibraltaru. Raz jeszcze spojrzął na małą rybacką wioskę na południowym krańcu Portugalii, która przez ostatnie kilka lat była

jego domem. Niełatwo mu przyszło zdobyć zaufanie mieszkańców. Nigdy nie uznali go za swojego, to było niemożliwe. Mieli go jednak za dobrego rybaka, i za to go szanowali. Praca spełniła swe zadanie — po latach wygodnego miejskiego życia przywróciła jego sylwetce smukłość, a mięśniom siłę. Miał tu kilku przyjaciół, lecz niezbyt bliskich. Nikogo, kogo nie mógłby opuścić.

Życie tu było twarde, ale wolałby pracować dwa razy ciężiej i zostać tutaj, niż ruszać tam, gdzie musiał dotrzeć i spotkać się z tym, czego nie mógł uniknąć. Zacisnął i rozprostował palce na myśl o czekającym go starciu. Nie było jednak nikogo, kto mógłby tam pójść. Tylko on.

Nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Musiał dotrzeć do Rumunii jak najszybciej, a od celu dzieliło go 2300 mil, cała długość Morza Śródziemnego.

W jakimś mrocznym zakamarku umysłu pojawiła się myśl, że może nie zdążyć. Że może już jest za późno... lecz ta ewentualność była zbyt straszna, by się nad nią zastanawiać.

IV

TWIERDZA **Środa, 23 kwietnia** *godz. 04.35*

Woermann zbudził się drżący i mokry od potu dokładnie w tej samej chwili, co wszyscy inni przebywający w twierdzy. Ale to nie wycie Grunstadta go przebudziło — był zbyt daleko, by je słyszeć. Przeraziło go i wyrwało ze snu co innego — świadomość, że stało się coś strasznego.

Szybko wciągnął koszulę i spodnie, po czym zbiegł schodami na dziedziniec. Ludzie zaczęli wychodzić z pokojów. Skupieni w grupki rozmawiali cicho, słuchając w napięciu niesamowitego krzyku, który zdawał się dobiegać zewsząd. Woermann skierował trzech żołnierzy w stronę przejścia do podziemi. Zdążył dotrzeć do szczytu schodów, gdy dwóch z nich pojawiło się znowu; drżących, o bladych twarzach, z zaciśniętymi ustami.

— Na dole jest trup! — oznajmił jeden.

— Czyj? — spytał Woermann, wymijając żołnierzy, by zejść na dół.

— Chyba Lutza, ale nie jestem pewien. Nie ma głowy!

Zasypane odłamkami kamieni bezgłowe zwłoki w mundurze leżały plecami do góry w centralnym korytarzu. Głowa trupa nie została odcięta ani odrąbana. Coś ją oderwało pozostawiając strzępy arterii i kikut kręgosłupa, sterczący z poszarpanej skóry szyi. Żołnierz był szeregowcem — to wszystko, co dało się ustalić na pierwszy rzut oka. W pobliżu siedział inny szeregowiec, wpatrując się w otwór w murze rozszerzonymi, pustymi oczami. Kiedy Woermann podchodził, zadrzał i wydał z siebie głośne, długie, wznoszące się wycie, od którego włosy stawały dęba.

— Co się tu stało? — spytał Woermann. Żołnierz nie reagował. chwycił go za ramię i potrząsnął, lecz nadal nie był pewien, czy tamten choćby go zauważył. Zdawało się, że skrył się gdzieś w głębi własnego umysłu i zablokował dostęp do reszty świata.

Reszta ludzi schodziła już na dół, by sprawdzić, co się stało. Z wysiłkiem zachowując pozory spokoju Woermann pochylił się nad bezgłowym trupem i przeszukał kieszenie munduru. W portfelu znalazł kartę identyfikacyjną na nazwisko szeregowca Hansa Lutza.

Widział już martwych, zabitych w walce, lecz teraz czuł się inaczej. Ta śmierć wydała mu się bardziej odrażająca niż wszystkie poprzednie. Śmierć na polu bitwy była zawsze jakby bezosobowa. Tutaj zetknął się z czymś potwornym, ze straszliwym zabójstwem bez powodu. Gdzieś w mózgu kołatało mu pytanie: czy właśnie to spotyka ludzi, którzy naruszają krzyże w twierdzy?

Pojawił się Oster z lampą. Zapaliwszy ją, Woermann ostrożnie przekroczył ruiny muru. Światło połyskiwało na ślepych ścianach. Kłęby pary unosiły mu się z ust przy każdym oddechu i odpływały do tyłu. Było zimno, zimniej niż powinno; czuł jakiś stęchły odór i jeszcze coś... jakby ślad zgnilizny, sprawiający, że miał ochotę się cofnąć. Ale ludzie patrzyli na niego.

Poszedł za zimnym podmuchem aż do jego źródła: dużej, nierównej dziury w podłodze. Kamień wypadł pewnie, kiedy runęła ściana. Niżej panowała atramentowa ciemność. Woermann opuścił lampę. Oświetliła zasypane gruzem, prowadzące w dół kamienne stopnie. Jeden z kawałów gruzu wydał mu się bardziej okrągły od pozostałych. Przysunął bliżej lampę i z trudem stłumił krzyk. To była pokrwawiona głowa szeregowca Hansa Lutza, patrząca na niego szeroko rozwartymi oczyma.

BUKARESZT, RUMUNIA

Środa, 23 kwietnia

godz. 04.55

Magda zastanowiła się nad tym, co właściwie robi, dopiero wtedy, gdy usłyszała głos ojca.

— Magdo!

Podniosła głowę i spojrzała na swą twarz w lustrze na drzwiach szafy. Rozpuszczone włosy okrywały lśniąca kaskadą ramiona i spływały na plecy. Nie była przyzwyczajona do oglądania siebie w takim stanie. Na ogół związywała włosy ciasno pod chustą, wszystkie, z wyjątkiem kilku upartych kosmyków, które odgarniała z oczu. Nigdy ich nie rozpuszczała za dnia.

Przez chwilę czuła się niepewnie. Jaki dziś dzień? I która godzina? Spojrzała na zegarek. Za pięć piąta. Niemożliwe! Od piętnastu, może dwudziestu minut była na nogach. Zegarek musiał stanąć. A jednak, kiedy wzięła go w rękę, wyczuła tykanie mechanizmu. Dziwne...

Przeszła szybko dwa kroki i stanęła przy oknie obok szafy. Wyjrzała przez ciężką kotarę na ciemny, cichy Bukareszt, wciąż pogrążony we śnie.

Spojrzała na siebie. Wciąż miała na sobie nocną koszulę, tę z niebieskiej flaneli, z wąskim kołnierzykiem i rękawami, luźno opadającą aż do ziemi. Jej piersi, choć niezbyt duże, sterczały bezwstydnie, okryte miękką, ciepłą tkaniną, nie skrepowane, jak za dnia, sztywną bielizną.

Magda budziła powszechne zainteresowanie. Pomimo ładnych, miękkich rysów, jasnej cery i dużych, piwnych oczu wciąż była niezamężna, choć miała już trzydzieści jeden lat.

Była naukowcem, oddaną córką i pielęgniarką. Stara panna. Jednak wiele młodszych, zamężnych kobiet pozazdrościłoby jej kształtu i jedności piersi: świeżych, nie zeszpeconych, nie całowanych, dotykanych tylko jej własną ręką. Nie czuła ochoty, by zmienić ten stan rzeczy.

Głos ojca wyrwał ją z zamyślenia.

— Magda! Co ty tam robisz?

Spojrzała na wypełnioną do połowy walizkę i słowa, jakby nieproszone, wybiegły z jej ust:

— Pakuję nam ciepłe rzeczy. Papo.

— Chodź tu — odezwał się po krótkiej chwili ojciec. — Nie chcę budzić krzykiem całego domu.

Magda szybko przeszła do pokoju ojca. To tylko kilka kroków. Ich mieszkanie na parterze składało się z czterech pomieszczeń: dwóch sypialni, jedna obok drugiej, małej kuchni z opalonym drewnem piecem oraz trochę większego pokoju, służącego za salon, jadalnię, gabinet i pracownię. Tęskniła za starym domem. Sześć miesięcy temu musieli się przeprowadzić, by nie utracić wszystkich oszczędności. Sprzedali meble, dla których brakło miejsca. Rodzinną meżurę zamiast na zewnątrz przybili po wewnętrznej stronie futryny. Biorąc pod uwagę sytuację, wydawało się to rozsądne.

Jeden z cygańskich przyjaciół ojca wrył na drzwiach wejściowych mały krąg *patrin*. Znaczyło to „przyjaciół”.

Na szafce nocnej przy łóżku paliła się mała lampka, obok stał drewniany wózek inwalidzki z wysokim oparciem. Ojciec leżał w białej pościeli niby zasuszony kwiat, wsunięty między stronicę albumu. Podniósł zniekształconą dłoń, jak zawsze w bawełnianej rękawiczce, i skinął na nią, krzywiąc się z bólu, o jaki przyprawiał go ten prosty gest. Magda usiadła przy nim i ujęła tę dłoń. Masowała palce, starając się ukryć, jak bardzo cierpi widząc, że codziennie zostaje w nim coraz mniej życia.

— O co chodzi z tym pakowaniem? — zapytał. Jego oczy lśniły w bladej, wąskiej twarzy. Mrużył je. Okulary leżały na szafce nocnej, a bez nich był prawie ślepy. — Nie mówiłaś mi, że wyjeżdżasz.

— Jedziemy oboje — odparła z uśmiechem.

— Dokąd?

Magda poczuła, że uśmiech znika jej z ust. Znowu nie mogła zebrać myśli. Dokąd mieli jechać? Nie wiedziała; przeczuwała jednak niewyraźnie chłodne wiatry i okryte śniegiem szczyty.

— W góry, Papo.

Wargi ojca rozsunęły się w grymasie uśmiechu, grożącego, jak się zdawało, rozerwaniem naciągniętej na kościach policzkowych, pergaminowej skóry.

— Musiało ci się coś przyśnić, kochanie. Nigdzie nie jedziemy. Ja z pewnością nie ruszę w żadną daleką podróż... już nigdy. To tylko sen. Miły sen, ale nic więcej. Zapomnij o tym i idź spać.

Magda zmarszczyła brwi słysząc w głosie ojca brak nadziei i rezygnację. Nigdy dotąd się nie poddawał, ale choroba odebrała mu nie tylko fizyczne siły. Nie chciała teraz się z nim spierać. Poklepała go po ręce i sięgnęła do sznureczka przy nocnej lampce.

— Chyba masz rację. To tylko sen.

Pocałowała ojca w czoło i zgasiła światło, zostawiając go w ciemności.

W swoim pokoju spojrzała na leżącą na łóżku, spakowaną do połowy walizkę. Naturalnie, to tylko sen wywołał przekonanie, że gdzieś wyjeżdżają. Cóż by innego? Jakakolwiek podróż była wykluczona.

Przecucie jednak pozostało. Absolutna pewność, że już niedługo wyjadą gdzieś na północ. Sny nie stwarzały chyba tak silnych wrażeń. Czowała dziwny niepokój. Jakby małeńkie, lodowate palce przesuwwały się po skórze ramion.

Nie mogła się otrząsnąć. Zamknęła walizkę i wepchnęła ją pod łóżko. Zostawiła rozpięte paski i zapakowane już ubrania. Ciepłe ubrania. O tej porze roku w Alpach Transylwanii było jeszcze zimno.

VI

TWIERDZA **Środa, 23 kwietnia** *godz. 06.22*

Minęło kilka godzin, zanim Woermann mógł usiąść z Osterem w jadalni i wypić kubek kawy. Szeregowca Grunstadta przeniesiono do jego pokoju i pozostawiono samego. Leżał teraz w swoim śpiworze. Przedtem dwaj koledzy rozebrali go i umyli. Najwyraźniej zmoczył się i pobrudził, zanim wpadł w histerię.

— Tylko jedno przychodzi mi na myśl — mówił Oster. — Ściana runęła i jeden z tych wielkich kamiennych bloków musiał spaść mu na kark i oderwać głowę.

Woermann wyczuwał, że choć sierżant stara się sprawiać wrażenie chłodnego, opanowanego, jest tak samo zagubiony i wstrząśnięty jak on.

— Nie mamy lekarza, który mógłby go obejrzyć, więc każda teoria jest dobra. Ta jednak nie wyjaśnia, co obaj robili tam na dole. Ani stanu Grunstadta.

— Szok.

— Ten człowiek brał udział w walce — potrząsnął głową Woermann. — Widział gorsze rzeczy. Szok nie tłumaczy wszystkiego. Musi być jeszcze coś.

Miał swoją własną teorię na temat wydarzeń minionej nocy. Wyrwany częściowo krzyż ze złota i srebra, pas zaciągnięty na nodze Lutza, tunel w ścianie... wszystko wskazywało na to, że Lutz wczołgał się w ten korytarzyk mając nadzieję znaleźć na jego końcu więcej złota i srebra. Ale była tam tylko mała, pusta, ślepa komórka... jakby cela więzienna... albo kryjówka. Nie potrafił wymyślić żadnego powodu jej istnienia w tym miejscu.

— Musieli naruszyć równowagę, wyjmując ten kamień z dołu — stwierdził Oster. — Dlatego ściana runęła.

— Wątpię — rzekł Woermann, sącząc kawę. Była ciepła i rozjaśniała myśli. — Podłoga, owszem. Kamienie poluzowały się i jeden spadł na niższy poziom. Ale ściana korytarza...

Pamiętał ułożenie kamieni, rozrzuconych po podłodze, jakby wyrwanych eksplozją. Nie umiał tego wytłumaczyć.

Odstawił kubek. Wyjaśnienia będą musiały zaczekać.

— Chodźmy. Robota czeka.

Skierował się do swej kwatery. Oster poszedł do radiostacji. Dwa razy dziennie miał się łączyć z Ploesti. Został poinformowany, by zameldować o zgonie jako śmierci w wyniku wypadku.

Niebo pojaśniało, gdy Woermann stał przy tylnym oknie swej kwatery i spoglądał na pograżony jeszcze w cieniu dziedziniec. Twierdza zmieniła się. Zbudził się w niej jakiś dziwny niepokój. Wczoraj była tylko stara, kamienną budowlą, dziś stała się czymś więcej. Każdy cień zdawał się dziwnie złowieszczy, głębszy i ciemniejszy niż przedtem.

Woermann winił za to mroczny poranek i wstrząs po tak niespodziewanym zdarzeniu. Gdy jednak słońce wysunęło się w końcu ponad szczyty, przepędziło cienie i rozgrzało mury twierdzy, wrażenie czegoś niedobrego nie ustąpiło. Przystało jedynie być tak wyraźne.

Ludzie także coś wyczuwali. Widział to. Postanowił jednak za wszelką cenę podtrzymać w nich ducha. Gdy tylko zjawi się Alexandru, pośle go natychmiast po drewno. Trzeba zrobić łóżka i stoły. W twierdzy rozlegnie się zdrowy huk młotków, trzymanych w silnych rękach, wbijających gwoździe w suche belki. Podeszł do okna i wyjrzał na most. Tak, zbliżał się Alexandru z synami. Na pewno wszystko dobrze się ułoży.

Przeniósł wzrok na małą wioskę, rozciętą słonecznym światłem, przelewającym się ponad górami — jedna część lśniła w słońcu, drugą wciąż okrywał cień. Wiedział, że będzie musiał ją namalować właśnie tak, jak ją teraz widzi. Cofnął się. Wioska, obramowana posępną szarością muru, tłyszczała jak klejnot. Tak powinno być. Wioska widziana z okna twierdzy. Pociągały go kontrasty tego obrazu. Miał ochotę rozstawić sztalugi i zacząć natychmiast. Najlepiej malował w warunkach stresu i wtedy właśnie najbardziej to lubił —

kiedy zatracił się w problemach perspektywy i kompozycji, gęstości oraz odcieni farby.

Reszta dnia minęła szybko. Woermann dopilnował złożenia ciała Lutza na niższym poziomie podziemi. Zwłoki i oderwaną głowę wniesiono przez otwór w podłodze, by pozostawić je, okryte płachtą, na ziemi w grocie. Temperatura była tu bliska zera, więc uznał to za najlepsze miejsce do czasu, kiedy za parę dni uda się załatwić transport do Niemiec.

W normalnych okolicznościach miałby ochotę zbadać podziemia — odsłonięta wstrząsem grota ze swymi lśniącościami i atramentowoczarowymi wnękami mogłaby stać się interesującym tematem obrazu. Lecz nie tym razem. Przekonywał sam siebie, że jest tu za zimno, że poczeka do lata i wtedy zajmie się tym poważnie, ale nie była to prawda. Ta grota miała w sobie coś, co nakazywało opuścić ją jak najszybciej.

W miarę jak zbliżał się wieczór, stawało się jasne, że Grunstadt przysporzy sporo kłopotów. Jego stan nie poprawiał się. Leżał bez ruchu w pozycji, w której go ułożono i patrzył w przestrzeń. Co chwila wzdrygał się i jęczał, a od czasu do czasu wył na cały głos. Znowu zabrudził bieliznę. W tym stanie, nie przyjmując żadnych płynów ani pożywienia, bez wykwalifikowanej opieki, nie miał szans na przeżycie tygodnia. Jeśli nie dojdzie do siebie, trzeba go będzie odesłać razem ze zwłokami Lutza.

Woermann uważnie obserwował nastroje swoich ludzi i był usatysfakcjonowany ich reakcją na wysiłek fizyczny. Pracowali z zapałem, mimo braku snu i mimo śmierci kolegi. Wszyscy wiedzieli, że Lutz to spryciarz i intrygant, i że rzadko wykonywał przypadającą na niego część pracy. Zgadzał się, że sam spowodował wypadek, który stał się przyczyną jego śmierci.

Woermann dopilnował, by nie mieli czasu na ponure myśli i niepokoje. Trzeba było wykopać latryny, ściągnąć z wioski drewno, zbić stoły i stolki. Po kolacji niewielu ludzi miało jeszcze ochotę na wieczornego papierosa. Jak jeden rzucili się na posłanie. Na zewnątrz pozostali tylko wartownicy.

Woermann zezwolił na zmianę trasy patroli tak, żeby wartownicy z dziedzińca przechodzili przez korytarz, prowadzący do pokoju Grunstadta. Przez jego krzyki i jęki nikt nie miał ochoty na spędzenie nocy bliżej niż pięćdziesiąt metrów

od niego. Otto był jednak powszechnie lubiany, uznali więc za swój obowiązek pilnować, by nie zrobił sobie krzywdy.

O północy Woermann mimo zmęczenia wciąż nie mógł zasnąć. Z nadejściem ciemności nawiedziło go nieprzyjemne przeczucie i nie dawało się odpędzić. W końcu ustąpił i wstał. Postanowił obejść posterunki, by sprawdzić, czy wartownicy nie posnęli.

przechodząc obok pokoju Grunstadta pomyślał, że zajrzy do środka. Nie mógł sobie wyobrazić, co mogłoby doprowadzić człowieka do takiego stanu. uchylił drzwi i spojrzął do wnętrza. Lampa naftowa paliła się w kącie niskim płomieniem. Żołnierz przechodził akurat fazę spokoju; oddychał szybko, pocił się i pojękiwał cicho. Takie jęki poprzedzały zwykle głośne wycie. Woermann chciał być możliwie daleko, gdy to nastąpi. Nieprzyjemnie było słyszeć człowieka, wydającego z siebie taki głos... głos rozlegający się tak blisko, gdy umysł odszedł tak daleko.

Był już przy drzwiach na dziedziniec, gdy go usłyszał. Ale tym razem krzyk brzmiał inaczej — jak gdyby Grunstadt obudził się nagle, by stwierdzić, że się pali albo że przebijają go tysiąc noży. W jego głosie rozbrzmiewało nie tylko psychiczne, ale i fizyczne cierpienie. Po krótkiej chwili wrzask urwał się, jakby ktoś wyciągnął nagle wtyczkę z radia.

Woermann zamarł na moment. Jego nerwy i mięśnie nie chciały słuchać płynących z mózgu poleceń. Najwyższym wysiłkiem woli zdołał odwrócić się i pobiec z powrotem. Wpadł do pokoju. Było zimno, zimniej niż przed chwilą, a lampa naftowa zgasła. Wyjął z kieszeni zapalniczkę, zapalił ją na nowo i spojrzął na Grunstadta.

Nie żył. Otwarte, wytrzeszczone oczy wpatrywały się w sufit. Usta były otwarte, a ściągnięte wargi odsłaniały wyszczerzone w grymasie przerażenia zęby. I szyja — coś rozerwało krtań. Krew zalała łóżko i zachlapała ściany.

Zadział instyngt. Zanim Woermann zdał sobie sprawę z tego, co robi, wyrwał z kabury luger i uważnym spojrzeniem zbadał kąty pokoju. Nie znalazł nikogo. Podbiegł do wąskiego okna, wysunął głowę na zewnątrz, spojrzął w dół i w górę. Nie było żadnej liny, nie było ani śladu kogokolwiek, kto starałby się uciec tą drogą. Cofnął się i raz jeszcze przeschukał pokój. Niemożliwe! Nikt nie przechodził korytarzem, nikt nie wyszedł oknem. A jednak ktoś zamordował Grunstadta.

Odgłos biegnących stóp przerwał ciąg myśli — wartownicy usłyszeli wrzask i biegli, by sprawdzić, co się stało. To dobrze... Woermann musiał przyznać samemu sobie, że był przerażony. Nie potrafiłby dłużej pozostać sam w tym pokoju.

Czwartek, 24 kwietnia

Woermann postarał się, by po złożeniu ciała Grunstadta obok Lutza jego ludzie mieli przez cały dzień dość zajęć przy zbijaniu stołów i łóżek. Rozwazał możliwość działania jakiejś miejscowej, antyniemieckiej grupy partyzanckiej, lecz jakoś nie mógł w nią uwierzyć. Był przecież na korytarzu, gdy zdarzył się mord, i wiedział, że zabójca nie mógł minąć go nie zauważony — chyba że potrafił latać albo przenikać przez ściany. Jak więc wytłumaczyć to, co się stało?

Kazał podwoić warty. Dodatkowi ludzie mieli zająć postęrnki wewnątrz i na zewnątrz koszar, by strzec bezpieczeństwa śpiących.

Słyszając dobiegający z dziedzińca nieustanny stuk młotków, Woermann zajął się rozstawianiem sztalug. Zaczął malować. Musiał się czymś zająć, by nie myśleć o wykrzywionej, strasznej twarzy Grunstadta; z pewnością pomagało w tym skupienie się na mieszaniu olejnych farb tak, by uzyskać barwę zbliżoną do ścian pokoju. Zdecydował, że umieści okno na prawo od środka płótna, po czym spędził większą część popołudnia nakładając i wyrównując farbę. Pozostawił tylko czysty prostokąt na obraz widzianej przez okno wioski.

Tym razem usnął od razu. Pierwszej nocy wyrwano go ze snu, drugiej nie spał w ogóle. Zmęczony, zwałił się niemal na postanie.

Szeregowiec Rudi Schreck szedł ostrożnie wzdłuż ściany, ani na chwilę nie spuszczał oka z Wehnera, kroczącego po przeciwnej stronie dziedzińca. Wcześniej, o zmierzchu, dwóch ludzi na tak mały obszar wydawało się przesadą, lecz gdy ciemność zgęstniała i ściśle spowiła twierdzę, Schreck był

zadowolony, że w zasięgu głosu jest ktoś jeszcze. On i Wehner wypracowali sobie własny system. Obaj maszerowali na odległość ramienia od ściany, obaj szli zgodnie z ruchem wskazówek zegara po przeciwnych stronach dziedzińca. W ten sposób nie zbliżali się do siebie, ale mogli lepiej obserwować teren.

Rudi Schreck nie bał się o swoje życie. Był niespokojny, to prawda, ale nie przestraszony. Szedł czujny i uważny; szybkostrzelna broń zwiślała mu z ramienia i wiedział, jak jej używać. Ktokolwiek zabił wczoraj Otta, z nim nie będzie miał szansy. Mimo to wolałby, żeby dziedziniec był lepiej oświetlony. Rzadko rozmieszczone żarówki, rzucające niewielkie plamy światła wzdłuż jego obwodu, nie rozpraszały panującego mroku. Zwłaszcza dwa tylne kąty przypominały czarne studnie.

Noc była chłodna. Co gorsza, mgła przesączała się przez zamkniętą bramę i unosiła w powietrzu, pokrywając drobniutkimi kropelkami powierzchnię hełmu. Schreck przetarł oczy. Był zmęczony. Zmęczony wszystkim, co miało związek z wojną. Wojna nie zgadzała się z jego wyobrażeniami. Kiedy się zaciągał, dwa lata temu, miał osiemnaście lat i głowę pełną marzeń o bohaterskich czynach, wielkich bitwach oraz wspaniałych zwycięstwach, o potężnych armiach ścierających się na polu chwały. Tak to zawsze wyglądało w podręcznikach historii. Prawdziwa wojna okazała się jednak zupełnie inna. Prawdziwa wojna polegała głównie na wyczekiwaniu. A to wyczekiwanie było zwykle brudne, zimne, nieprzyjemne i wilgotne. Rudi Schreck miał już dość wojny. Chciał wrócić do domu, do Treysy, gdzie żyli jego rodzice i dziewczyna imieniem Ewa, która nie pisała już tak często jak dawniej. Chciał, by wróciło dawne życie, bez mundurów i inspekcji, bez musztry, sierżantów i oficerów. I bez służby wartowniczej.

Zbliżał się do tylnego rogu dziedzińca po stronie północnej. Ciężko wydawał się tu głębszy niż gdziekolwiek... o wiele głębszy niż poprzednim razem. Schreck zwolnił kroku. „To głupie — pomyślał. — Zwykłe złudzenie. Nie ma się czego bać”.

A przecież... nie chciał tam iść. Chciał ominąć ten kąt. Chętnie obejdzie wszystkie pozostałe, byle nie ten.

Prostując ramiona Schreck zmusił się do dalszego marszu. To przecież tylko cień.

Był dorosłym mężczyzną, nie bał się przecież ciemności.

Szedł dalej prosto przed siebie, wciąż w odległości wyciągniętego ramienia od ściany, w mroczny kąt...

...i nagle stracił orientację. Objęła go zimna, wsysająca ciemność. Zawrócił, by wrócić drogą, którą przyszedł, lecz z tyłu także była ciemność. Zdawało się, że cały świat zniknął nagle. Zerwał z ramienia schmeisser i chwycił go, gotów do strzału. Drżał z zimna, a jednocześnie pocił się obficie. Chciał wierzyć, że to tylko żart, że Wehner wyłączył jakoś wszystkie światła w chwili, gdy on wkraczał w cień, lecz jego własne zmysły odebrały mu tę nadzieję. Mrok był zbyt absolutny, zasłaniał oczy i kruszył odwagę.

Ktoś się zbliżał. Schreck nie widział go ani nie słyszał, ale ktoś tam był. Coraz bliżej.

— Wehner? — powiedział cicho, mając nadzieję, że nie odbije się w jego głosie trwoga. — Czy to ty?

Ale to nie był Wehner. Schreck zrozumiał to, gdy wyczuł tę obecność całkiem blisko. To był ktoś — coś — innego. Coś jakby gruba lina owinęło się nagle wokół jego kostek i szarpnęło. Czując, że traci równowagę, szeregowiec Rudi Schreck zaczął krzyzczeć; strzelał na oślep, aż ciemność zakończyła dla niego wojnę.

Woermanna wyrwała ze snu krótka seria strzałów ze schmeissera. Skoczył do okna i wyrzwał na dziedziniec. Jeden ze strażników pędził w stronę jego tylnej części. Gdzie był drugi? Do diabła! Przecież postawił tam dwóch wartowników! Miał właśnie odwrócić się i pobiec do schodów, gdy dostrzegł coś na ścianie. Białawy kształt... niemal jak...

To było ciało... do góry nogami... Nagie ciało, zwisające na zawiązanej wokół stóp linie. Nawet z okna wieży Woermann widział krew, spływającą z krtani na twarz. Jeden z jego żołnierzy, uzbrojony i na posterunku, został zabity, rozebrany i powieszony jak kureczak na wystawie sklepu rzeźnika.

Lęk, do tej pory szturchający jedynie z lekka, pochwycił teraz Woermanna w żelazny, lodowaty uścisk.

Trzech zabitych w piwnicy. Dowództwo obrony w Ploesti zostało powiadomione o ostatnich zgonach, lecz jak dotąd nie nadeszła odpowiedź.

Tego dnia dużo pracowano na dziedzińcu, ale wyniki były marne. Woermann postanowił podwoić obsadę posterunków. Zdawało się niemożliwe, by partyzant zdołał zaskoczyć czujnego, doświadczonego żołnierza na warcie, lecz tak się właśnie stało. Nie powtórzy się to w przypadku dwóch wartowników.

Po południu zasiadł przy sztalugach, szukając chwili wytchnienia od posępnej atmosfery, jaka opanowała twierdzę. Zaczął domalowywać plamy cienia na równej, szarej ścianie, potem zajął się szczegółami krawędzi okna. Postanowił nie malować krzyży. Odwracałyby uwagę od wioski, która miała stanowić główny temat. Pracował jak automat. Świat skurczył się do pociągnięć pędzla na płótnie, otaczająca go groza pozostała z boku.

Nadeszła noc. Woermann co chwila wstawał z posłania i wyglądał przez okno na dziedziniec — bezsensowna czynność, od której jednak nie potrafił się powstrzymać; jak gdyby mógł w ten sposób kogokolwiek zachować przy życiu. Przy jednej z takich inspekcji zauważył, że strażnik chodzi sam. Zamiast wołać go i budzić zamieszanie, postanowił zbadać sprawę osobiście.

— Gdzie twój kolega? — spytał samotnego wartownika, gdy tylko dotarł na dziedziniec.

Żołnierz obejrzał się.

— Był bardzo zmęczony, panie kapitanie — odpowiedział, jękając się lekko. — Puściłem go, żeby się przespał.

Woermann poczuł twardą kulę w żołądku.

— Wydałem rozkaz, żeby chodzić dwójkami! Gdzie on jest?

— W szoferce pierwszej ciężarówki, panie kapitanie.

Woermann szybkim krokiem zbliżył się do zaparkowanego wozu i otworzył drzwi. Siedzący wewnątrz żołnierz nie poruszył się. Woermann szarpnął go za ramię.

— Zbudź się.

Żołnierz zaczął pochylać się ku niemu, z początku wolno, potem coraz szybciej, aż wreszcie padł na swojego dowódcę.

Woermann przytrzymał go, spojrział... i niewiele brakowało, by puścić z powrotem. Padając bowiem wartownik odchylił głowę do tyłu i odsłonił otwartą, rozszarpaną krtąń. Woermann pozwolił ciału osunąć się na ziemię i cofnął się o krok, zaciskając zęby, by stłumić krzyk przerażenia i grozy.

Sobota, 26 kwietnia

Woermann kazał odesłać od bramy Alexandru i jego synów. Nie podejrzewał ich o współudział w zabójstwach, lecz jego ludzie stawali się nerwowi na punkcie własnej niezdolności do utrzymania bezpieczeństwa. Uznał więc, że lepiej nie ryzykować nieprzyjemnych incydentów.

Wkrótce przekonał się, że ludzie stali się nerwowi nie tylko na punkcie bezpieczeństwa. Przed południem na dziedzińcu wybuchała bójka. Pewien kapral próbował, wykorzystując swój stopień, zmusić szeregowca do oddania mu jakiegoś specjalnie błogosławionego krucyfiks. Szeregowiec odmówił, a starcie między nimi przerodziło się w ogólną bijatykę z tuzinem uczestników. Po pierwszym zgonie ktoś chyba wspomniął coś o wampirach, lecz wtedy został wyśmiany. Z każdą jednak nową, nie wyjaśnioną śmiercią myśl zyskiwała na popularności, aż wierzący przewyższyli liczbą agnostyków. W końcu byli w Rumunii, w Alpach Transylwanii. '

Woermann wiedział, że musi zniszczyć te plotki w zarodku. Zebrał ludzi na dziedzińcu i przemawiał do nich przez pół godziny. Mówił o ich obowiązku niemieckich żołnierzy, by pozostać dzielnymi w obliczu niebezpieczeństwa, by zachować wierność sprawie i nie pozwolić, żeby strach zwrócił ich przeciwko sobie, gdyż to najpewniej doprowadzi do klęski.

— A przede wszystkim — dodał, zauważając, że słuchacze zaczynają się denerwować — musicie przestać się lękać rzeczy nadprzyrodzonych. Sprawcą śmierci naszych towarzyszy jest człowiek i znajdziemy go. Jest sprawą oczywistą, że istnieje w twierdzy pewna liczba ukrytych przejsć, pozwalających zabójcy niepostrzeżenie wejść i uciec. Resztę dnia poświęćmy na odszukanie tych przejsć. A wieczorem połowa z was stanie na posterunkach. Musimy skończyć z tą sprawą raz na zawsze.

Jego słowa dodały ludziom odwagi. Prawdę mówiąc, sam prawie siebie przekonał.

Do wieczora chodził bez przerwy po korytarzach twierdzy, by podtrzymać na duchu swoich ludzi. Przyglądał się, jak mierzą podłogi i ściany, szukając zamurowanych pomieszczeń, jak stukają młotkami, czekając na głuche echo. Nie znaleźli jednak niczego. Sam Woermann zajrzał na krótko do podziemnej groty. Zdawało się, że ciągnie się w dół aż do serca góry; postanowił jej na razie nie badać. Nie było czasu, nie było też żadnych śladów na jej dnie, świadczących, że w ciągu kilku minionych wieków ktoś tędy przechodził. Na wszelki wypadek polecił jednak, by przy otworze w podłodze podziemi stanęło na noc czterech wartowników. Ktoś mógł, choć nie wydawało się to prawdopodobne, próbować wejść do warowni przez podziemną grootę.

Po południu udało mu się wyrwać na godzinę i naszkicować kontury wioski. Była to dla niego jedyna ucieczka przed rosnącym napięciem. Pracując kawałkiem węgla drzewnego czuł, jak odpływa niepokój, jakby odciągany przez płótno. Jutro rano będzie musiał posiedzieć trochę i dodać koloru, gdyż chciał uchwycić wioskę tak, jak wyglądała w świetle poranka.

Słońce opadało coraz niżej i wreszcie musiał przerwać. natychmiast poczuł znowu lęk i złe przeczucia. Ze słońcem nad głową łatwo było uwierzyć, że to człowiek morduje jego żołnierzy, łatwo było się śmiać z bajek o wampirach. Lecz w miarę, jak zapadała i gęstniała ciemność, powracał lęk, a wraz z nim wspomnienie ciężaru ciała tamtego żołnierza w przesiąkniętym krwią mundurze — ciężaru, który czuł w swoich ramionach poprzedniej nocy.

Jedna spokojna noc. Jedna noc bez ofiary, a może uda mu się zwyciężyć. Kiedy połowa ludzi będzie pilnować drugiej połowy, może zdoła powstrzymać klęskę i przejść jutro do kontrataku.

Jedna noc. Tylko tyle. Jedna noc bez śmierci.

Poranek nadszedł taki, jaki powinien być niedzielny poranek — jasny i słoneczny. Woermann usnął na krześle; przebudził się o świcie sztywny i obolały. Minęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie sprawę, że snu nie przerwały mu krzyki i strzały. Wciągnął buty i szedł spiesźnie na dziedziniec, by się upewnić, że ma tyle samo żywych żołnierzy co wieczorem. Rozmowa z jednym z wartowników potwierdziła to: nie meldowano o żadnych zgonach.

Woermann poczuł się o dziesięć lat młodszy. Udało się! Był jednak sposób, by powstrzymać mordercę! Lecz dziesięć lat zaczęło ciążyć mu na nowo, gdy zobaczył niespokojną twarz biegnącego ku niemu żołnierza.

— Panie kapitanie — powiedział, gdy był już przy nim. — Coś się stało z Franzem... to znaczy, szeregowym Ghentem. Nie obudził się.

Woermann poczuł, jak miękną mu osłabłe nogi.

— Ruszałeś go?

— Nie. Ja...

— Prowadź.

Poszedł za żołnierzem do koszar w pomieszczeniach południowego muru. Szeregowiec, o którego chodziło, leżał w śpiworze na świeżo zbitym z desek łóżku, plecami do drzwi.

— Franz! — zawołał jego kolega. — przyszedł kapitan!

Ghent nie poruszył się.

„Boże, spraw, by był chory albo nawet, żeby umarł na zawał serca — myślał Woermann, pochodząc do łóżka. — Ale nie pozwól, by miał rozerwane gardło. Cokolwiek, byle nie to”.

— Szeregowiec Ghent — rzucił. Nie dostrzegł najmniejszego ruchu, nawet powodowanego odpychaniem delikatnego unoszenia się i opadania okrycia. Drżąc na myśl, co może zobaczyć, pochylił się nad leżącym.

Śpiwór był podciągnięty pod samą brodę Ghenta. Woermann nie odsuwał go. Nie było potrzeby. Szkliste oczy, ziemista skóra i zasychająca, czerwona plama na tkaninie powiedziały mu, co by ujrział.

— Ludzie są o krok od wybuchu paniki — mówił sierżant Oster.

Woermann zamalowywał płótno krótkimi, szybkimi, nerwowymi pociągnięciami pędzla. Światło poranka padało dokładnie tak, jak chciał, i musiał do końca wykorzystać tę chwilę. Był pewien, że Oster uważa go za szaleńca i może nawet ma rację. Mimo coraz liczniejszych trupów malowanie stało się jego obsesją.

— Trudno mieć do nich pretensje. Przypuszczam, że chcieliby wybrać się do wioski i zastrzelić paru miejscowych. Tyle że to niczego...

— Przepraszam, panie kapitanie, ale nie o to im chodzi.

Woermann opuścił pędzel.

— Więc o co?

— Uważają, że zabici nie krwawili tak mocno, jak powinni. Myślą też, że śmierć Lutza to nie był wypadek... że został zamordowany tak samo, jak inni.

— Nie krwawili...? A, rozumiem. Znowu te bajki o wampirach.

— Tak jest — kiwnął głową Oster. — Sądzą, że Lutz wypuścił coś, kiedy otworzył korytarz do tej zamurowanej komory pod piwnicami.

— Tak się składa, że mam inne zdanie — odparł Woermann, odwracając się w stronę sztalug, by ukryć wyraz twarzy. Musiał uspokajać swoich ludzi, dawać im oparcie. Musiał trzymać się mocno tego, co naturalne i rzeczywiste. — Uważam, że Lutza zabił spadający kamień. Uważam, że następne cztery zabójstwa nie miały z tym nic wspólnego. Uważam także, że krwawili raczej obficie. Nie ma tu niczego, co by piło ludzką krew, sierżancie!

— Ale ich gardła...

Woermann zastanowił się. Tak, gardła. Nie były poderżnięte, nie użyto noża ani pętli z drutu. Były porozrywane. Ale czym? Zębami?

— Kimkolwiek jest zabójca, stara się nas przestraszyć. I to mu się udaje. Zrobimy więc tak: dziś w nocy staną na warcie wszyscy ludzie w oddziale, mnie nie wyłączając. Patrole wyłącznie parami. Warownia będzie pilnowana tak dokładnie, że nawet ćma nie przeleci nie zauważona.

— Ale, panie kapitanie, nie możemy tego robić co noc!

— Nie. Ale możemy to zrobić dzisiaj, a jeśli będzie trzeba, to i jutro. Do tego czasu złapiemy mordercę, kimkolwiek jest.

— Tak jest — rozpromienił się Oster.
— Powiedźcie mi jedną rzecz, sierżancie — odezwał się Woermann, gdy Oster zasalutował i ruszył do wyjścia.
— Tak?
— Mielicie jakieś koszmarne sny, odkąd tu przyjechaliśmy?
Żołnierz zmarszczył czoło.
— Nie, panie kapitanie. Nie miałem.
— A ludzie nie wspominali o czymś?
— Nie. Czy pan ma koszmary, panie kapitanie?
— Nie — Woermann potrząsnął głową w sposób, który dał Osterowi do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona. „Żadnych koszmarów”, pomyślał. To dni wydawały się złym snem.
— Nadam meldunek do Ploesti — poinformował Oster i wyszedł.
Woermann zastanawiał się, czy piąty trup zdoła w końcu poruszyć dowództwo w Ploesti. Oster codziennie meldował im o kolejnym zgonie i nic, żadnej reakcji. Żadnych propozycji pomocy, żadnych rozkazów, by opuścić twierdzę. Najwyraźniej nie obchodziło ich zanadto, co się tu dzieje, byle ktoś pilnował przełęczy. Niedługo trzeba będzie zdecydować, co robić ze zwłokami. Zanim jednak odeśle je do kraju, chciałby przetrzymać choć jedną noc bez trupa. Tylko jedną. Chciał wrócić do malowania, lecz światło się zmieniło. Wymyśl pędzle. Nie wierzył, by tej nocy udało się schwytać zabójcę. Mogła ona jednak stać się punkiem zwrotnym. Gdy wszyscy będą czuwać, i to parami, może nikt nie zginie. A to znakomicie poprawi morale.
Kiedy chował do skrzynki tuby z farbą, uderzyła go ponura myśl: a jeśli mordercą jest jeden z jego ludzi?

Poniedziałek, 28 kwietnia

Minęła północ i jak dotąd nic się nie stało. Sierżant Oster umieścił na środku dziedzińca punkt kontrolny i na razie wszyscy byli na miejscach. Dodatkowe światła wzdłuż murów i na wieży dodawały ludziom pewności siebie, mimo długich cieni, jakie rzucały na ziemię. Pozostawienie wszystkich na

warcie przez całą noc było drastycznym, ale chyba skutecznym posunięciem.

Woermann wychylił się z okna na dziedziniec. Widział Oстера przy stoliku, widział żołnierzy, chodzących parami wzdłuż murów i po parapetach. Dodatkowe reflektory oświetlały urwiste zbocze, tworzące tylną ścianę twierdzy — na wypadek, gdyby ktoś próbował wślizgnąć się od góry. Strażnicy na murach uważali, czy nikt nie zechce wspiąć się od zewnątrz. Brama była zamknięta, a specjalna grupa pilnowała przejścia z podziemi.

Wszystko było zabezpieczone.

Stojąc przy oknie Woermann zdał sobie sprawę, że jest jedynym samotnym i nie strzeżonym człowiekiem w twierdzy. Z pewnym wahaniem obejrzał się za siebie, na mroczne kąty pokoju. Cóż, taka jest cena bycia oficerem.

Wysunął głowę przez okno i spojrzał w dół. Zauważył cień, gęstniejący przy spojeniu wieży i południowego muru. Gdy patrzył, żarówka w pobliżu zaczęła ciemnieć coraz bardziej, aż zgasała zupełnie. Z początku pomyślał, że coś przerwało kabel, lecz pozostałe lampy świeciły nadal. Przepaliła się pewnie. Zdarza się. Chociaż dziwnie gasła. Zwykle żarówki błyskają białoniebieską iskrą, a potem gasną natychmiast. Światło tej jednej zdawało się zanikać powoli.

Któryś ze strażników pod murem zauważył to i właśnie podchodził. Woermann chciał krzyknąć do niego, by zaczekał na swojego partnera, ale zrezygnował. Ten drugi stał niedaleko i nic nie zasłaniało mu widoku. Zresztą, to był ślepy ką. Żadnego niebezpieczeństwa.

Przyglądał się, jak żołnierz wchodzi w cień — bardzo głęboki cień. Po mniej więcej piętnastu sekundach spojrzał w inną stronę. I wtedy właśnie usłyszał z dołu jakby stłumiony bulgot, stuk drewna i metalu o kamień — szcęk upuszczonej broni.

Drgnął. Poczuł, jak dłonie stają się śliskie od potu. Spojrzał w dół, lecz w mroku nic nie mógł dostrzec.

Drugi wartownik, partner pierwszego, też musiał coś usłyszeć, gdyż ruszył, by sprawdzić, co się stało.

Woermann dostrzegł wśród cienia słabą, czerwoną iskrę. Jaśniała z wolna. Zrozumiał, że żarówka znowu zaczyna świecić. Potem zobaczył pierwszego żołnierza. Leżał na plecach,

z rozrzuconymi na boki ramionami i podkurczonymi nogami. Jego krtań stała się krwawą miazgą. Niewidzące oczy wpatrywały się oskarżająco w Woermanna. W kącie nie było niczego ani nikogo innego.

Drugi żołnierz zaczął wzywać pomocy. Woermann cofnął się do pokoju i dyszał ciężko oparty o ścianę. Nie mógł się ruszyć, nie mógł mówić. „Boże, o Boże!”

Zataczając się podszedł do stolika, który zrobiono dla niego ledwie dwa dni temu, i chwycił ołówek. Musi wydostać stąd swoich ludzi, wydostać ich z twierdzy, nawet z Przełęczu Dinu, jeśli okaże się to konieczne. Nie było obrony przed tym, czego doświadczyli. I nie będzie rozmawiał z Ploesti. Ta wiadomość dotrze bezpośrednio do naczelnego dowództwa.

Ale co im powiedzieć? Spojrzał na krzyże w ścianach, szukając natchnienia, lecz natchnienie nie nadeszło. Jak skłonić tych ze sztabu, by zrozumieli i nie zaczęli uważać go za wariata? Jak ich przekonać, że musi z oddziałem opuścić twierdzę, że grozi im coś niesamowitego, coś, co nie lęka się zbrojnej potęgi Niemiec?

Drżącą dłonią wypisywał na kartce kolejne zdania i kreślił je natychmiast. Niechętnie myślał o porzuceniu powierzonej mu placówki, lecz jeszcze jedna noc w tym miejscu byłaby wyzywaniem katastrofy. Ludzi nie sposób teraz kontrolować. A przy takich stratach wkrótce nie będzie miał kim dowodzić.

Dowodzić... skrzywił się ironicznie. Przestał być dowódcą w twierdzy. Coś innego, mrocznego i strasznego, przejęło rządy.

VII

DARDANELE

Poniedziałek, 28 kwietnia

godz. 02.44

Byli w połowie drogi przez cieśninę, gdy wyczuł, że szyper przystępuje do akcji.

Nie była to łatwa podróż. Rudowłosy mężczyzna przepłynął nocą przez Gibraltar do Marbelli, gdzie wynajął dwunastometrową łódź motorową, na której się teraz znajdował. Była smukła, niska i miała dwa potężne silniki. Właściciel nie wyglądał na niedzielnego żeglarza. Rudowłosy mężczyzna na pierwszy rzut oka nie potrafił rozpoznać w nim przemytnika.

Targowali się ostro, dopóki nie wyjaśniło się, że zapłata nastąpi w złotych dwudziestodolarówkach, połowa po wypłynięciu z portu, połowa po bezpiecznym przybiciu do północnych wybrzeży morza Marmara. Szyper nalegał, by zabrać załogę, niezbędną na długi rejs przez całe Morze Śródziemne. Rudowłosy mężczyzna nie zgodził się; on sam wystarczy za załogę.

Płynęli od sześciu dni. Na zmianę stawali przy sterze na osiem godzin, by przez kolejne osiem odpoczywać. Łódź utrzymywała równe dwadzieścia węzłów przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zatrzymywali się tylko w małych przystaniach, gdzie szypra najwyraźniej dobrze znano, i tylko na tak długo, ile było trzeba, by napełnić zbiorniki. Rudowłosy mężczyzna pokrywał wszystkie wydatki.

Teraz, zaalarmowany zmniejszeniem prędkości, czekał, aż szyper, Carlos, zejdzie na dół, by go zabić. Odkąd wypłynęli z Marbelli, Carlos bezskutecznie czekał na taką okazję. Teraz zbliżali się już do końca podróży i pozostała tylko jedna noc.

kiedy mógł zdobyć pas z pieniędzmi. Rudowłosy mężczyzna wiedział, że o to mu chodzi. Wiele razy czuł, jak szyper ociera się o niego, niby przypadkiem, by się upewnić, że nadal go nosi. Carlos wiedział, że tam jest złoto — i to dużo złota, sądząc po objętości. Pożerała go także ciekawość co do zawartości długiego, płaskiego pudła, które pasażer zawsze trzymał przy sobie.

Szkoda. Carlos był dobrym towarzyszem i dobrym żeglarzem. Pił trochę za dużo, jadł więcej niż trochę za dużo, nie kąpał się także wystarczająco często. Rudowłosy mężczyzna wzruszył ramionami. W swoim czasie sam śmierdział gorzej. Dużo gorzej.

Otworzyły się drzwi na tylny pokład i do kabiny wtargnął podmuch chłodnego powietrza. Przez moment widział ciemną sylwetkę Carlosa na tle gwiazdzistego nieba. Potem szyper zamknął drzwi.

„Szkoda” — pomyślał rudowłosy mężczyzna, słysząc delikatny zgrzyt noża, wyciąganego ze skórzanej pochwy. Przyjemna podróż zbliżała się do smutnego końca. Carlos z wprawą przeprowadził łódź obok Sardynii; przemknął po pustych, intensywnie błękitnych wodach pomiędzy Sycylią a północnym cyplem Tunezji, potem na północ od Krety i pomiędzy Cykladami na Morze Egejskie. W tej chwili przesuwali się przez Dardanele, wąski kanał łączący Morze Egejskie z morzem Marmara.

Szkoda.

Dostrzegł błysk światła na wzniesionym nad jego piersią nożu. Jego lewa ręka wystrzeliła w górę i chwyciła nadgarstek Carlosa, zanim zdążył opuścić nóż. Drugą dłonią złapał lewą rękę szypra.

— Dlaczego, Carlos?

— Daj mi złoto! — warknął napastnik.

— Mogłem ci dać więcej, gdybyś poprosił. Po co mnie zabijać?

Carlos, czując siłę trzymających go dłoni, spróbował innej metody.

— Chciałem tylko odciąć twój pas. Nie zrobiłbym ci krzywdy.

— Pas mam na biodrach. Twój nóż jest nad moją piersią.

— Jest ciemno.

— Nie aż tak. Ale dobrze... — rozluźnił uchwyt na prawym nadgarstku. — Ile chcesz?

Carlos wyrwał rękę i pchnął z okrzykiem:

— Wszystko!

Rudowłosa mężczyzna chwycił jego dłoń, zanim nóż uderzył.

— Żałuję, że to zrobiłeś, Carlos.

Powoli, z nieodpartą siłą zaczął wykręcać ramię napastnika tak, by skierować ostrze w jego własną pierś. Trzasnęły rozciągnięte do granic wytrzymałości stawy i więzadła. Carlos jęknął z bólu i trwogi, gdy ścięgnięta puściły i trzaski przeszły w obrzydliwy zgrzyt pękających kości. Ostrze noża znalazło się tuż nad jego lewą piersią.

— Nie! Błagam, nie!

— Dałem ci szansę, Carlos — własny głos brzmiał twardo i obco w jego uszach. — Odrzuciłeś ją.

Głos przemynika wzniósł się do krzyku i urwał nagle, gdy jego własna pięść uderzyła go w żebra, wbijając ostrze w serce. Ciało zeszywniało, by po chwili opaść bezwładnie. Rudowłosa mężczyzna pozwolił mu osunąć się na podłogę.

Przez chwilę leżał nieruchomo, wsłuchując się w bicie swego serca. Bezskutecznie próbował wzbudzić w sobie skrupuły. Wiele czasu minęło, odkąd kogoś zabił. Powinien coś odczuwać. Lecz nie czuł nic. Carlos był bezwzględnym mordercą. Dostał to, na co zasłużył. W mózgu rudowłosego mężczyzny nie było miejsca na wyrzuty sumienia, jedynie rozpacзлиwa potrzeba dotarcia do Rumunii.

Wstał, wziął długie, płaskie pudło, wyszedł na pokład i stanął przy sterze. Silniki chodziły na luzie, więc przerzucił je na całą naprzód.

Dardanele... przepływał już tędy, ale nigdy podczas wojny, nigdy z pełną szybkością i nigdy nocą. Szara powierzchnia wody migotała w świetle gwiazd, brzeg był ciemną Unią po obu stronach dziobu. Znajdował się w najwęższej części cieśniny, gdzie brzegi zbiegały się na odległość mili. Zresztą, nigdy nie oddalały się od siebie więcej niż o cztery mile. Płynął w ciemnościach, kierując się kompasem i instynktem.

Trudno powiedzieć, na co mógł się natknąć w Dardanelach. Radio podało, że Grecja padła. To mogło, choć nie musiało, być prawdą. W cieśninie mogli być teraz Niemcy, Anglicy albo Rosjanie. Musiał unikać ich wszystkich. Nie planował tej podróży, nie miał żadnych dokumentów tłumaczących jego obecność tutaj. Czas działał przeciwko niemu. Potrzebował każdego węzła, na jaki stać było silniki.

Kiedy dostanie się na morze Marmara, będzie miał więcej miejsca na manewry i dopłynie tak daleko, na ile wystarczy mu paliwa. Wtedy zostawi łódź na brzegu i ruszy lądem w stronę Morza Czarnego. Straci cenny czas, lecz nie ma innej możliwości. Nawet gdyby miał ropę, nie mógłby ryzykować trasy przez Bosfor. Będzie się tam roilo od Rosjan, jak od much w pobliżu trupa.

Przesunął dźwignię, by sprawdzić, czy uda się wydusić z silników jeszcze trochę szybkości. Nie udało się.

Żałował, że nie ma skrzydeł.

VIII

BUKARESZT, RUMUNIA

Poniedziałek, 28 kwietnia

godz. 09.50

Magda trzymała mandolinę z wyrobioną długą praktyką swobodą; kostka wibrowała w jej prawej dłoni, palce lewej przesuwały się w górę i w dół gryfu, przeskakując ze struny na strunę, z progu na próg. Patrzyła na kartę ręcznie zapisanych nut, jedną z najpiękniejszych cygańskich melodii, jaką udało się jej zanotować.

Siedziała we wnętrzu jaskrawo pomalowanego wozu, stojącego na przedmieściach Bukaresztu. Było ciasno. Niewielką powierzchnię mieszkalną zmniejszały jeszcze półki, pełne niezwykłych przypraw i ziół, kolorowe poduszki, leżące w każdym kącie, lampy i warkocze czosnku, zwisające z niskiego stropu. Skrzyżowała nogi, by podeprzeć mandolinę, lecz nawet w tej pozycji jej szara, wełniana spódnica ledwie odstaniała kostki. Gruby sweter tej samej barwy, zapięty pod szyję, zasłaniał prostą, białą bluzkę; wystrzępioną chustą okryła bujne włosy. Ubiór nie mógł jednak skryć blasku jej oczu ani rumieńców na policzkach.

Magda pozwoliła, by porwała ją muzyka. Na chwilę mogła zapomnieć o świecie, z każdym nowym dniem coraz bardziej jej wrogim. Tam byli oni — ci, którzy nienawidzili Żydów. Odebrali ojcu stanowisko na uniwersytecie, wypędzili ich oboje z domu, w którym mieszkała całe życie, zrzucili z tronu jej króla — wprawdzie król Karol nie zasłużył specjalnie na jej lojalność, ale jednak był królem — by zastąpić go generałem Antonescu i jego Żelazną Gwardią. Nikt jednak nie zdoła odebrać jej muzyki.

— Tak ma być? — spytała, gdy ucichło echo ostatniej nuty i w wozie zapanowała cisza.

Stara Cyganka siedząca naprzeciw, przy maleńkim, okrągłym, dębowym stoliku, uśmiechnęła się. Wokół jej czarnych oczu pojawiły się zmarszczki.

— Prawie. Ale w środku brzmi to tak.

Odłożyła na stolik talię kart i podniosła drewniane *naiou*. Wyglądała, jak postarzały bożek Pan, gdy przysunęła piszczałki do warg i zaczęła dmuchać. Magda grała razem z nią, aż straciła tempo. Zmieniła kilka nut na kartce.

— To chyba to — stwierdziła, zbierając papiery na stos. Czowała niewielką wprawdzie, ale jednak satysfakcję. — Bardzo ci dziękuję, Josefo.

Stara kobieta wyciągnęła rękę.

— Pokaż, chcę je obejrzeć.

Magda podała jej kartę i przyglądała się, jak wzrok Cyganki przebiega po pięcioliniach. Josefa była *phuri dai*, mądrą kobietą swego szczepu. Papa często opowiadał o jej dawnej urodzie; teraz jednak skóra Cyganki pokryła się zmarszczkami, w kruczych włosach pojawiły się pasma siwizny, ciało skurczyło się. Umysł jednak nadal funkcjonował sprawnie.

— Więc to jest moja pieśń? — Josefa nie umiała czytać nut.

— Tak. Zachowana na zawsze.

Josefa oddała kartę.

— Ale nie zawsze będę ją grała w ten sposób. Tak gram ją teraz. Za miesiąc zechcę może coś zmienić. Przez lata zmieniałam ją już wiele razy.

Magda skinęła głową, chowając nuty do teczki. Zanim jeszcze założyła swoją kolekcję, wiedziała, że muzyka cygańska jest w znacznej mierze improwizacją. Tego należało się spodziewać — całe życie Cyganów było w znacznej mierze improwizacją. Nie mieli innych domów niż wozy, nie mieli pisanego języka, nie mieli niczego, co mogłoby trzymać ich w miejscu. Może to właśnie skłoniło ją do prób pochwylenia części ich ulotnej kultury, zapisania jej w nutach, zachowania dla przyszłości.

— Na razie to mi wystarczy — odparła. — Może w przyszłym roku usłyszę, co zmieniałś.

— Czy twoja książka będzie już wtedy wydana?

Magda poczuła nagłe ukłucie bólu.

— Obawiam się, że nie.

— Dlaczego nie?

Magda pochylała się nad mandoliną udając, że zajmuje ją pakowanie instrumentu. Nie miała ochoty odpowiadać, a nie potrafiła zręcznie zmienić tematu.

— Muszę znaleźć nowego wydawcę — wyjaśniła, nie podnosząc głowy.

— A co się stało z poprzednim?

Magda czuła się zakłopotana. Pamiętała, że była to jedna z najbardziej przykrych chwil jej życia, kiedy dowiedziała się, że wydawca odstępuje od umowy. Wspomnienie o tym nadal sprawiało jej ból.

— Zmienił zdanie. Powiedział, że czasy nie są odpowiednie na wydawanie kompendium muzyki rumuńskich Cyganów.

— Zwłaszcza autorstwa Żydówki — dodała Josefa.

Magda spojrzała na nią i zaraz znowu spuściła głowę. „To prawda” — pomyślała.

— Możliwe — stwierdziła głośno przez ściśnięte gardło. Nie chciała rozmawiać na ten temat. — Jak idzie interes?

— Okropnie — odparła Josefa. Odłożyła *naïou* i wzięła w dłoń talię kart do tarota.

Ubrana była w jaskrawokolorową odzież, typową dla Cyganek: bluzkę w kwiaty, pasiastą spódnicę i haftowaną chustę. Oczy bolały od tej mieszaniny barw i deseni. Jej palce, jak gdyby z własnej woli, zaczęły tasować karty.

— Widuję ostatnio tylko kilku stałych klientów. Nikogo nowego od czasu, kiedy kazali mi zdjąć szyld.

Magda spostrzegła to rankiem, kiedy szła do wozu. Szyld, który wisiał kiedyś nad drzwiami, głosił: „Doamna Josefa. Przepowiedanie przyszłości”. Teraz zniknął, tak samo jak diagram dłoni w lewym oknie i kabalistyczny symbol w prawym. Słyszała, że Żelazna Gwardia nakazała wszystkim Cyganom, by pozostali na miejscu i „zaprzestali oszustw” wobec obywateli.

— Więc Cyganie także wypadli z łask?

— My, Rom, nigdy nie byliśmy w łaskach, nigdy i nigdzie. przyzwyczailiśmy się. Ale wy, Żydzi... — cmoknęła wargami i pokręciła głową. — Słyszysz się o różnych rzeczach... o strasznych rzeczach, które się dzieją w Polsce.

— Też słyszałam — Magda opanowała drzenie. — My również jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

Przynajmniej niektórzy. Nie ona. Ona nigdy się nie przyzwyczai.

— Boję się, że będzie jeszcze gorzej — powiedziała Josefa.

— Rom też będą mieli kłopoty.

Magda zdała sobie sprawę, że zachowuje się napastliwie, ale nie mogła się powstrzymać. Świat stał się przerażającym miejscem i niezgoda pozostała jej jedyną obroną. To, co słyszała, nie mogło być prawdą. To, co podobno spotykało Żydów, to, co słyszała o Cyganach w regionach wiejskich, o wyłapywaniu przez Żelazną Gwardię, przymusowej sterylizacji i niewolniczej pracy. To musiały być tylko plotki, straszne wymysły. A przecież tyle okropnych rzeczy zdarzało się naprawdę...

— Nie martwię się tym — stwierdziła Josefa. — Jeśli porąbiesz Cygana na dziesięć kawałków, nie zabijesz go. Stworzysz tylko dziesięciu nowych Cyganów.

Magda była pewna, że w analogicznych okolicznościach pozostanie tylko jeden martwy Żyd. Raz jeszcze spróbowała zmienić temat.

— Czy to karty do tarota? — spytała, choć wiedziała dobrze, że tak.

Josefa skinęła głową.

— Powrócić ci?

— Nie. Nie wierzę w takie rzeczy.

— Prawdę mówiąc, sama w nie często nie wierzę. Na ogół karty niczego nie mówią, bo po prostu nie mają nic do powiedzenia. Wtedy improwizujemy, tak jak w muzyce. Czy to coś złego? Nie robię *hokkane baro*; mówię tylko dziewczętom *gadje*, że niedługo spotkają cudownego mężczyznę, a mężczyznom *gadje*, że ich przedsięwzięcia wkrótce przyniosą owoce. Nic złego.

— I nic z wróżby.

Josefa wzruszyła ramionami.

— Czasem tarot odślania przyszłość. Chcesz spróbować?

— Nie. Dziękuję, ale nie. — Nie chciała wiedzieć, co ją czeka. Miała przeczucie, że nic dobrego.

— Proszę. Jako podarunek ode mnie.

Magda zawahała się. Nie chciała zrazić Josefy. Poza tym, przecież Cyganka sama powiedziała, że na ogół karty nie mówią niczego. Może wymyśli dla niej jakąś ładną bajkę.

— No, dobrze.

Josefa wyciągnęła rękę z talią kart.

— Przelóż.

Magda podniosła do góry połowę talii, a Josefa wsunęła ją pod spód i zaczęła rozkładać karty.

— Jak się czuje ojciec?

— Coraz gorzej. Prawie nie może sam ustać.

— To okropne. Nieczęsto spotyka się *gadje*, który umie *rokker*. Niedźwiedź Yoski nie pomógł na jego reumatyzm?

— Nie — pokręciła głową Magda. — Zresztą, to nie tylko reumatyzm. To coś o wiele gorszego.

Papa próbował wszystkiego, każdego sposobu, by zahamować postępującą deformację kończyn. Pozwolił nawet, by tresowany niedźwiedź wnuka Josefy chodził mu po plecach — stara cygańska terapia, równie jednak bezskuteczna jak najnowsze „cuda” współczesnej medycyny.

— Dobry człowiek — cmoknęła Josefa. — To źle, że ktoś, kto tak wiele wie o tej ziemi, nie może... jej więcej... oglądać... — jej głos ścisł nagle. Zmarszczyła czoło.

— Co się stało? — spytała Magda. Odczuła ukłucie niepokoju, widząc, jak Josefa wpatruje się w rozłożone karty zaskoczonym wzrokiem. — Nic ci nie jest?

— Hmm? Nie, mnie nic. Tylko te karty...

— Coś się nie zgadza? — Magda nie uznawała możliwości, by karty mogły powiedzieć o przyszłości więcej niż jelita zabitego ptaka. Czuła jednak napięcie, jakby ucisk w okolicach mostka.

— Chodzi o to, jak się podzieliły. Nigdy niczego takiego nie widziałam. Neutralne karty są rozłożone równo, ale wszystkie te, które dadzą się odczytać jako dobre, odkryły się po prawej stronie — wskazała ręką. — A wszystkie złe po lewej. Dziwne.

— Co to oznacza?

— Nie wiem. Zapytam Yoski. — Krzyknęła przez ramię, wzywając wnuka, po czym znowu zwróciła się do Magdy. — Yoska jest bardzo dobry w tarocie. Przyglądał mi się jeszcze, kiedy był małym chłopcem.

Z frontowego pomieszczenia wozu wszedł smagły, przystojny, muskularny mężczyzna o białych zębach. Skinął głową Magdzie i przez chwilę przyglądał się jej ciemnymi oczami. Dziewczyna odwróciła wzrok. Czuła się jak naga, mimo grubej

odzieży. Yoska był młodszy od niej, lecz mu to nie przeszkadzało. Wiele razy dawał jej do zrozumienia, o czym myśli, lecz odrzucała jego zaloty.

Spojrzał na stolik. Głębokie zmarszczki pojawiły się na jego czole. Przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądał się kartom, wreszcie podjął decyzję.

— Potasuj, przełóż i rozłóż jeszcze raz.

Josefa kiwnęła głową i cała operacja powtórzyła się od początku. Mimo swego sceptycyzmu, Magda pochyliła się nad blatem, wpatrując się w wykładane jedna za drugą karty. Nie miała pojęcia o tarocie. Musiała całkowicie polegać na tym, co usłyszy od gospodyni i jej wnuka. Kiedy spojrzała na ich twarze, wiedziała, że coś jest nie w porządku.

— Co o tym myślisz, Yoska? — spytała cicho kobieta.

— Sam nie wiem... taka koncentracja dobra i zła... i tak wyraźne rozgraniczenie...

Magda przełknęła ślinę. Zaszło jej w gardle.

— To znaczy, że wyszło to samo? Drugi raz z rzędu?

— Tak — potwierdziła Josefa. — Tyle że po przeciwnych stronach. Dobro jest teraz po lewej, zło po prawej — spojrzała na nią z powagą. — To wskazuje na wybór. Doniosły wybór.

Narastający niepokój Magdy stłumiła irytacja. Natrząsałi się z niej. Nie da zrobić z siebie głupca.

— Chyba lepiej już pójde. — Wstała, chwytając swą teczkę i mandolinę. — Nie jestem jakąś naiwną dziewczyną *gadje*, z której możecie się naśmiewać.

— Nie! Proszę, jeszcze raz — stara Cyganka wyciągnęła do niej rękę.

— Przykro mi, ale naprawdę muszę już iść.

Szybko podeszła do tylnych drzwi wozu. Wiedziała, że krzywdzi Josefę, ale nie zatrzymała się. Te groteskowe karty z dziwaczными figurami i te zalęknione, zdziwione twarze obojga Cyganów budziły w niej rozpaczliwą potrzebę opuszczenia tego miejsca. chciała już wrócić do Bukaresztu, do równych, prostych ulic i twardych chodników.

IX

TWIERDZA **Poniedziałek, 28 kwietnia** **godz. 19.10**

Przybyły węże.

SS-mani, a zwłaszcza oficerowie, zawsze przypominali Woermannowi węże. SS-Sturmbannführer Erich Kaempffer nie był wyjątkiem.

Woermann nie mógł zapomnieć pewnego wieczoru kilka lat przed wojną, gdy Hohere-SS-und-Polizeiführer — dumnie brzmiący tytuł miejscowego szefa policji — wydawał bankiet. Działo się to w dystrykcie Rathenow. Kapitan Woermann także został zaproszony jako odznaczony oficer armii niemieckiej i szacowny obywatel. Nie chciał iść, lecz Helga tak rzadko miała okazję uczestniczyć w oficjalnych przyjęciach i tak się cieszyła możliwością włożenia wieczorowej sukni, że nie miał serca odmówić.

Pod jedną ze ścian sali balowej stało szklane terrarium, w którym nieustannie zwijał się i rozwijał metrowy wąż, ulubieniec gospodarza. Właściciel pilnował, by był stale głodny. Trzykrotnie podczas przyjęcia zwołał wszystkich gości, by patrzyli, jak rzuca mu żabę. Woermann tylko rzucił okiem na węża podczas pierwszego karmienia i to mu wystarczyło — zobaczył żabę do połowy w paszczy gada, żywą jeszcze i wierzącą nogami w daremnych próbach wyrwania się.

Ten widok wystarczył, by nudny wieczór stał się ponury.

Wychodząc przechodzili obok terrarium i Woermann spostrzegł, że wąż nadal jest głodny, wciąż wije się wewnątrz swej klatki czekając na kolejną żabę, mimo trzech zgrubień na wąskim tułowiu.

Przypomniął sobie tego węża, gdy przyglądał się, jak Kaempffer przemierza frontowy pokój jego kwatery, od drzwi, obok biurka, obok sztalug, do okna i z powrotem. Poza brunatną koszulą SS-man ubrany był na czarno — czarna kurtka, czarne bryczesy, czarny krawat, czarny, skórzany pas, czarna kabura i czarne, wysokie buty. Srebrna trupia główka, podwójna błyskawica SS i oficcerskie gwiazdki były jedynymi jasnymi punktami jego stroju — lśnącymi łuskami jadowitego, jasnowłosego węża.

Spostrzegł, że Kaempffer postarzał się trochę od ich ostatniego, przypadkowego spotkania w Berlinie. „Nie tak bardzo jak ja” — pomyślał ponuro. Tamten, choć o dwa lata starszy, był szczuplejszy i dlatego wyglądał na młodszego. Jego jasne włosy rosły bujnie, nie poznaczone jeszcze siwizną — żywy obraz aryjskiej doskonałości.

— Zauważyłem, że przywiozłeś tylko jedną drużynę — odezwał się Woermann. — Radiogram mówił o dwóch. Osobiście sądziłem, że ściągniesz całą dywizję.

— Nie, Klaus — odparł protekcjonalnym tonem Kaempffer, nie przerywając swego spaceru wokół pokoju. — Zresztą jedna drużyna wystarczyłaby aż nadto do załatwienia twojego tak zwanego problemu. Moje Einsatzkommando dość skutecznie załatwia tego typu sprawy. Mam ze sobą dwie dlatego, że to miejsce jest tylko przystankiem po drodze.

— Więc gdzie są pozostali?. Zbierają kwiatki?

— Można to tak określić — uśmiech Kaempffera nie należał do przyjemnych.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zdziwił się Woermann.

Kaempffer zdjął płaszcz i czapkę, rzucił je na biurko, po czym podszedł do okna wychodzącego na wioskę.

— Za chwilę zobaczysz.

Woermann zbliżył się niechętnie. SS-man przybył tu ledwie dwadzieścia minut temu, a już odbierał mu dowództwo. On i jego oddział morderców bez chwili wahania wjechali na most. Woermann pragnął w duchu, by okazało się, że przez ostatni tydzień podpory osłabły. Nic z tego. Terenówka majora i jadąca za nią ciężarówka bezpiecznie dotarły do bramy. Kaempffer wysiadł, polecił sierżantowi Osterowi — j e g o

sierżantowi — by dopilnował zakwaterowania Einsatzkommando, po czym wmaszerował do pokojów Woermanna wznosząc prawą rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i zachowując się niczym mesjasz.

— Daleko zaszedłeś od czasu Wielkiej Wojny — stwierdził Woermann, gdy razem obserwowali cichą, spokojną wioskę. — SS chyba ci służy.

— Wolę SS od regularnej armii, jeśli o to chodzi. Jest bardziej efektywne.

— Tak też słyszałem.

— Zademonstruję ci, Klaus, jak efektywnie rozwiązuje się problemy. A rozwiązywanie problemów prowadzi do wygrywania wojen — wskazał na wioskę. — Spójrz.

Woermann przez chwilę nie dostrzegał niczego niezwykłego, potem zauważył na samym skraju grupę ludzi. Kiedy zbliżyli się do mostu, rozpoznał dziesięciu miejscowych, potykających się i popędzanych przez drużynę Einsatzkommando.

Widok zaszokował go i napęlił niesmakiem, choć właściwie powinien spodziewać się czegoś takiego.

— Oszalałeś? To są obywatele Rumunii! Jesteśmy w zaprzyjaźnionym kraju!

— Jeden lub kilku obywateli Rumunii zabijało niemieckich żołnierzy. Zresztą nie sądzę, by generał Antonescu narobił szumu. Nie będzie zadzierał z Rzeszą z powodu paru wsiowych gamoni.

— Ich zabicie nic ci nie da!

— Ależ nie mam najmniejszego zamiaru od razu ich zabijać. Za to świetnie nadadzą się na zakładników. Kazałem ogłosić, że jeśli zginie choć jeden niemiecki żołnierz, ta dziesiątka zostanie natychmiast rozstrzelana. A potem to samo — dziesięciu miejscowych za każdego niemieckiego żołnierza, tak długo, aż ustaną morderstwa albo skończą się nam wieśniacy.

Woermann odwrócił się od okna. Więc to był Nowy Ład, Nowe Niemcy, etyka rasy panów. W ten sposób miała być wygrana ta wojna.

— To nic nie da — stwierdził.

— Naturalnie, że da — pewność siebie Kaempffera była nie do wytrzymania. — Zawsze przynosiło rezultaty i zawsze

będzie. Partyzanci istnieją dzięki poparciu swoich kompanów z gospody. Grają bohaterów i wykorzystują tę rolę, na ile potrafią — dopóki ich przyjaciele nie zaczną umierać albo dopóki nie wywiezie się ich żon i dzieci. Wtedy znowu zostaną spokojnymi rolnikami.

Woermann rozpaczliwie szukał sposobu, by ocalić wieśniaków. Wiedział, że nie mają nic wspólnego z zabójstwami.

— Sytuacja tutaj jest inna.

— Nie wydaje mi się, Klaus. Uważam, że mam w takich sprawach więcej doświadczenia od ciebie.

— Na pewno... Auschwitz, prawda?

— Wiele się nauczyłem od komendanta Hoessa.

— Lubisz się uczyć? — Woermann porwał z biurka czapkę majora i rzucił mu ją. — Chodź. Pokażę ci coś nowego.

Szybko, by Kaempffer nie miał czasu na zadawanie pytań, sprowadził go na dziedziniec, potem ku schodom wiodącym do podziemi. Zatrzymał się przy szczelinie w ścianie, zapalił lampę i pociągnął Kaempffera dalej, po porośniętych mchem stopniach, do groty.

— Chłodno tutaj — zauważył SS-man, rozcierając ręce. Jego oddech osiadał mgiełką na szkle lampy.

— Tutaj trzymamy ciała. Wszystkie sześć.

— Nie odesłałeś ich do kraju?

— Nie sądziłem, by wysyłanie ich pojedynczo było rozsądne. Mogłoby wywołać jakieś plotki wśród Rumunów po drodze, niezbyt korzystne dla prestiżu Rzeszy. Miałem zamiar zabrać je wszystkie ze sobą, kiedy dzisiaj opuszczę twierdzę. Ale, jak wiesz, moja prośba o przeniesienie została odrzucona.

Zatrzymał się przy sześciu leżących na ubitej ziemi ciałach. Z irytacją zauważył, że okrywające je płachty są zmięte. Drobiazg, lecz uważał, że przed ostatecznych pochówkiem żołnierzom należy się traktowanie z szacunkiem. Jeśli musieli czekać na powrót do kraju, to powinni czekać w czystych mundurach i pod porządnie ułożonymi całunami.

Podszedł najpierw do zwłok żołnierza, który zginął ostatni i odsłonił jego głowę i ramiona.

— To szeregowiec Remer. Spójrz na jego gardło.

Kaempffer pochylił się obojętnie.

Woermann opuścił prześcieradło i podniósł następne, trzymając lampę tak, by Kaempffer dobrze widział rozszarpaną krtani. Potem szedł dalej wzdłuż rzędu ciał, zostawiając najbardziej wstrząsający widok na koniec.

— A to... szeregowiec Lutz.

Wreszcie doczekał się jakiejś reakcji — SS-man z sykiem wciągnął powietrze. Lecz Woermann zrobił to samo, gdyż Lutz wpatrywał się w nich martwymi oczami ułożonej odwrotnie głowy: włosy dotykały pustego miejsca między ramionami, broda zaś i kikut szyi sterczały w ciemność.

Woermann pospiesznie, lecz delikatnie, odwrócił głowę do właściwej pozycji. Obiecał sobie w duchu, że znajdzie człowieka, który za to odpowiada, i postara się, by pożałował swej niedbałości wobec cielesnych szczątków martwego towarzysza. Zanim odwrócił się do Kaempffera, starannie poprawił płachtę.

— Rozumiesz teraz, dlaczego uważam, że zakładnicy nie pomogą?

Major nie odpowiedział od razu. Zamiast tego zawrócił w miejscu i ruszył w stronę schodów i ciepła. Woermann wyczuł, że widok wstrząsnął nim bardziej, niż chciałby to okazać.

— Ci ludzie nie zostali zwyczajnie zamordowani — oświadczył wreszcie Kaempffer. — Ktoś ich okaleczył.

— Właśnie. Ktokolwiek czy cokolwiek to robi, musi być całkowicie szalone! Życie dziesięciu wieśniaków nie będzie miało znaczenia.

— Dlaczego powiedziałeś „cokolwiek”?

— Sam nie jestem pewny — odparł Woermann, patrząc mu prosto w oczy. — Wiem tylko, że zabójca przychodzi i odchodzi, jak zechce. Nic, co zrobimy, żadne środki bezpieczeństwa nie są w stanie mu przeszkodzić.

— Nie działają — rzekł Kaempffer, w ciepłe i światłe kwatery Woermanną odzyskując poprzednią pewność siebie — ponieważ nie w nich leży rozwiązanie. Rozwiązaniem jest strach. Trzeba sprawić, by morderca bał się mordować. By zląkł się ceny, jaką inni zapłacą za jego czyny. Strach jest najlepszym ubezpieczeniem. Zawsze.

— A jeśli zabójca jest kimś takim jak ty? Jeśli wieśniacy w ogóle go nie obchodzą?

Kaempffer milczał. Woermann postanowił bardziej go przycisnąć.

— Twój rodzaj strachu nie skutkuje, gdy spotykasz się z kimś podobnym do siebie. Zawieź tę wiadomość do Auschwitz, kiedy będziesz wracał.

— Nie wrócę do Polski, Klaus. Kiedy zakończę sprawę tutaj, co powinno zająć nie więcej niż dzień czy dwa, ruszamy na południe, do Ploesti.

— Nie wiem, co mógłbyś tam robić: żadnych synagog do palenia, same rafinerie ropy.

— Ulżyj sobie, Klaus, swoimi drobnymi złośliwościami — rzekł Kaempffer przez zaciśnięte zęby. — Ciesz się nimi. Kiedy rozpoczną realizację projektu Ploesti, nie ośmielisz się mówić do mnie w ten sposób.

Woermann usiadł ciężko za zbitym z desek biurkiem. Kaempffer zaczynał go męczyć. Jego wzrok przyciągała fotografia piętnastoletniego syna, Fritza.

— Wciąż nie rozumiem, co może w Ploesti interesować kogoś takiego jak ty.

— Zapewniam cię, że nie rafinerie. Pozostawiam je naczelnemu dowództwu. Niech oni się martwią.

— To bardzo uprzejme z twojej strony.

Kaempffer jakby nie usłyszał.

— Nie, chodzi mi o koleje.

Woermann nadal wpatrywał się w zdjęcie syna.

— Koleje... — powtórzył.

— Tak! Największy węzeł kolejowy w całej Rumunii znajduje się właśnie w Ploesti, przez co miasto doskonale nadaje się do utworzenia tam obozu przesiedleńców.

Woermann podniósł głowę, nagle wyrwany z transu.

— Chcesz powiedzieć: jak w Auschwitz?

— Dokładnie! Dlatego właśnie obóz w Auschwitz został założony właśnie tam. Rozwinięta sieć kolejowa ma kluczowe znaczenie dla efektywnego transportu przedstawicieli ras niższych do obozu — rozłożył szeroko ręce i właśnie zaczynał zwiierać je razem. — Z każdego miejsca Rumunii będą

przybywały pociągi pełne Żydów, Cyganów i innego ludzkiego śmiecia, jaki znajduje się w tym kraju.

— Przecież Rumunia nie jest terytorium okupowanym! Nie możecie...

— Führer nie życzy sobie, by zaniedbywać tutejsze niepożądane elementy. To prawda, Antonescu i Żelazna Gwardia usuwają Żydów z wpływowych stanowisk, ale Führer ma bardziej ambitny plan, znany w kręgach SS jako „Rozwiązanie Rumuńskie”. Aby wprowadzić go w życie, Reichsführer Himmler uzgodnił z generałem Antonescu, że SS pokaże Rumunom, jak się do tego zabrać. Do tej misji wybrano właśnie mnie. Będę komendantem obozu w Ploesti.

Wstrząśnięty Woermann nie znajdował właściwej odpowiedzi. Kaempffer przemawiał z coraz większym zapałem.

— Czy wiesz, Klaus, ilu jest w Rumunii Żydów? Według ostatnich obliczeń siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Może nawet milion. Nikt nie wie dokładnie, lecz kiedy już wprowadzę system rejestracji, poznamy tę liczbę. To jeszcze nie wszystko: tutaj roi się wręcz od Cyganów i masonerii. I jeszcze gorzej: muzułmanów! Razem dwa miliony elementów niepożądanych.

— Gdybym tylko wiedział! — Woermann wznosił oczy w górę i chwycił się za głowę. — Nigdy nie postawiłbym nogi w tym zapadłym kraiku!

Tym razem Kaempffer go usłyszał.

— Śmiej się, Klaus, jeśli masz ochotę, lecz Ploesti będzie miało kluczowe znaczenie. W tej chwili przewozimy do Auschwitz Żydów z Węgier, na co tracimy wiele czasu, wysiłku i paliwa. Kiedy ruszy obóz Ploesti, wielu z nich będzie zapewne transportowanych do Rumunii. Jako komendant stanę się jednym z najważniejszych ludzi w SS... w Trzeciej Rzeszy! Wtedy ja będę się śmiał.

Woermann milczał. Cały ten pomysł przyprawiał go o mdłości. Ironia była jego jedyłą obroną przed światem, kontrolowanym przez szaleńców, i przed świadomością, że był oficerem armii, pomagającej im przejść tę kontrolę. Patrzył, jak Kaempffer zaczyna znowu chodzić wokół pokoju.

— Nie wiedziałem, że malujesz — stwierdził major, przystając przed sztalugami, jakby zobaczył je po raz pierwszy.

Przez chwilę w milczeniu studiował płótno. — Gdybyś poświęcił tyle czasu na szukanie zabójcy, ile najwyraźniej spędzasz nad tym makabrycznym obrazkiem, może niektórzy z twoich ludzi pozostaliby...

— Makabrycznym?! W tym obrazie nie ma nic makabrycznego!

— Cień wisielca na linie; to niby ma być wesołe?
Woermann zerwał się na nogi i podszedł do płótna.

— O czym ty mówisz?

— Tutaj... — wskazał palcem Kaempffer. — Na murze.

Woermann spojrział. Przez chwilę nie dostrzegął niczego.

Cienie na murze były tymi samymi plamami szarości, jakie namalował parę dni temu. Nie było nic, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało... nie, chwileczkę. Wstrzymał oddech. Na lewo od okna, przez które wschodzącego słońca... cienka, pionowa linia, łącząca się z większym, ciemnym kształtem poniżej... mogło się zdawać, że to zgarbiony trup, wiszący na sznurze. Przypomniał sobie, że malował tę Unię i ten kształt, lecz absolutnie nie planował takiego makabrycznego akcentu. W żadnym razie jednak nie mógł dać Kaempfferowi satysfakcji przyznając, że także coś zauważył.

— Makabra, tak samo jak piękno, znajduje się w oku patrzącego.

Lecz Kaempffer myślał już o czymś innym.

— Dobrze się składa, Klaus, że obraz jest prawie skończony. Kiedy się tu wprowadzę, będę zbyt zajęty, żebyś mógł przychodzić i bawić się z nim. Możesz kontynuować, kiedy wyjadę do Ploesti.

Woermann oczekiwał czegoś takiego i był przygotowany.

— Nie będziesz mieszkał w mojej kwaterze.

— Poprawka: mojej kwaterze. Zapominasz, że jestem starszy stopniem, k a p i t a n i e.

— Stopień SS — parsknął Woermann. — Bez wartości! Bez znaczenia. Mój sierżant jest od ciebie cztery razy lepszym żołnierzem! I cztery razy bardziej mężczyzną!

— Posuwa się pan za daleko, kapitanie. Żelazny Krzyż z ostatniej wojny nie upoważnia do tego.

Woermann poczuł, że coś w nim pęka. Zerwał z kurtki czarny emaliowany krzyż maltański ze srebrnym obramowaniem i podsunął go Kaempfferowi pod nos.

— Ty takiego nie masz! I nigdy nie będziesz miał! W każdym razie prawdziwego, takiego jak ten, bez paskudnej, małej swastyki w samym środku!

— Dość!

— Nie, nie dość! Twoje SS morduje bezbronnych cywilów, kobiety i dzieci! Zdobyłem ten order walcząc z nieprzyjacielem, który potrafił się bronić. A obaj wiemy — zniżył głos do pełnego pasji szeptu — jak bardzo nie lubisz wrogów, którzy strzelają!

Kaempffer pochylił się, aż jego nos znalazł się nie dalej niż kilka centymetrów od nosa Woermanna. Jego błękitne oczy płonęły wściekłością.

— Wielka Wojna... to przeszłość. Teraz trwa Wielka Wojna, moja wojna. Tamta była twoją wojną, lecz teraz to tylko historia, martwa, miniona i zapomniana!

Woermann uśmiechnął się. W końcu udało mu się ukłuć SS-mana naprawdę boleśnie.

— Nie zapomniana. Nigdy. Zwłaszcza twoje męstwo pod Verdun.

— Ostrzegam — warknął Kaempffer. — Każę cię... — przerwał, z wyraźnym odgłosem zamykając usta.

Gdyż Woermann ruszył do przodu. Przełknął już zbyt wiele od tego zarozumiałego rzeźmieszka, dyskutującego o „likwidacji” milionów bezbronnych ludzi tak obojętnie, jakby planował, co zje na kolację. Kaempffer cofnął się mimowolnie, choć Woermann nie zrobił żadnego groźnego gestu. Po prostu wyminął go i otworzył drzwi.

— Wyjdź.

— Nie możesz tego zrobić!

— Wyjdź.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie i Woermann pomyślał, że major go zaatakuje. Wiedział, że tamten jest w lepszej formie i że fizycznie jest silniejszy od niego — ale tylko fizycznie. Obaj znali prawdę na temat Sturmbannführera Kaempffera. Wreszcie SS-man spuścił wzrok i odwrócił się.

Bez słowa zabrał swój czarny płaszcz i wymaszerował z pokoju. Woermann cicho zamknął za nim drzwi.

Przez chwilę stał nieruchomo. Pozwolił, by Kaempffer doprowadził go do wściekłości. Kiedyś lepiej nad sobą panował.

Podszedł do sztalug i spojrzął na płótno. Im dłużej przyglądał się cieniowi na murze, tym bardziej przypominał mu wisielca. Niepokoiło go to i irytowało jednocześnie. Głównym tematem obrazu miała być zalana słońcem wioska, a on widział tyłka ten przeklęty cień.

Odwrócił się z pewnym wysiłkiem, wrócił do biurka i znowu spojrzął na zdjęcie Fritza. Im więcej spotykał takich ludzi jak Kaempffer, tym bardziej się o niego martwił. Bardziej nawet niż wtedy, gdy rok temu jego starszy syn. Kurt, walczył na froncie we Francji. Kurt miał dziewiętnaście lat i awansował już na kaprała. Stał się mężczyzną.

Za to Fritz... co oni z nim zrobili, ci naziści. Namówili chłopca, by wstąpił do miejscowego oddziału Hitlerjugend. Kiedy Woermann był ostatnio na urlopie w domu, czuł się zaniepokojony i wstrząśnięty słysząc, jak jego czternastoletni syn pluje bzdurami na temat aryjskiej rasy panów i wypowiada słowa *Der Führer* z podziwem i szacunkiem, zarezerwowanym jedynie dla Boga. Naziści kradli mu syna sprzed nosa, zmieniając go w gada, takiego jak Kaempffer. I wyglądało na to, że nic nie można poradzić.

Zresztą, nic nie mógł poradzić także na Kaempffera. Nie miał władzy nad oficerem SS. Jeśli tamten zdecyduje się rozstrzelać rumuńskich chłopów, nie zdoła go powstrzymać. Chyba że go zaaresztuje. Tego zaś nie może zrobić. Kaempffer przybył tu z polecenia Naczelnego Dowództwa i aresztowanie go byłoby niesubordynacją, jawnym buntem. Pruska natura sprzeciwiała się samej myśli o tym. Armia była dla Woermanna pracą i domem przez ćwierć wieku. Odrzucić ją teraz...

Bezradność. To właśnie odczuwał. Wróciło wspomnienie tej polanki pod Poznaniem, w Polsce, półtora roku temu, wkrótce po tym, jak ustały walki. Jego ludzie rozbijali biwak, gdy zza niewielkiego wzniesienia, o jakiś kilometr dalej, usłyszał serie strzałów. Poszedł sprawdzić, co się tam dzieje. Einsatzkommando ustawiało w szeregu Żydów — mężczyzn, kobiety

w różnym wieku, dzieci — i mordowało ich systematycznie. Po zrzuconiu ciała do wykopanego z tyłu rowu ustawiali kolejny szereg. Nasiąknięta krwią ziemia zmieniała się w błoto, w powietrzu unosił się zapach prochu. Słyszał krzyki tych, którzy jeszcze żyli i cierpieli. Nikt się nie trudził, by zadać im *coup de grâce*.

Wtedy był bezradny, tak samo jak teraz. Nie mógł uczynić tej wojny prawdziwą wojną, gdzie żołnierz walczył z żołnierzem, nie potrafił ochronić swoich ludzi, nie potrafił powstrzymać Kaempffera od wymordowania tych rumuńskich wieśniaków.

Zniechęcony opadł na stołek. Po co to wszystko? Po co w ogóle próbować? Wszystko zmieniało się na gorsze. Urodził się na początku wieku, wieku nadziei i możliwości. A teraz walczył w drugiej już wojnie, wojnie, której nie pojmował.

Lecz przecież pragnął jej. Marzył o szansie odwetu na sębach, jakie obsiadły jego *Vaterland* po ostatniej klęsce, gniotąc go niemożliwymi reparacjami i rok po roku wdeptując w błoto. Ta szansa nadeszła. Wziął udział w kilku wielkich, zwycięskich bitwach. Wehrmacht był niepowstrzymany.

Skąd więc ten niepokój? Jakoś wydawało mu się niewłaściwe, że pragnie rzucić to wszystko i wrócić do Rathenow, do Helgi. I to, że cieszy się, że jego ojciec, także zawodowy oficer, zginął w Wielkiej Wojnie i nie ogląda potworności popełnianych w imię ojczyzny.

Mimo to, choć wszystko szło coraz gorzej, trzymał się armii. Dlaczego? Dlatego, mówił sobie setny, może tysięczny raz, że w głębi serca wierzył, iż armia niemiecka przetrwa nazistów. Politycy pojawiają się i przemijają, a wojsko zawsze będzie wojskiem. Jeśli tylko wytrzyma, armia niemiecka pozostanie zwycięska, a Hitler i jego gangsterzy stracą władzę. Wierzył w to. Nie miał innego wyjścia.

Modlił się wbrew rozsądkowi, by groźby Kaempffera przyniosły pożądany efekt, żeby nikt więcej nie zginął. A jeśli nie, jeśli kolejny Niemiec miał umrzeć tej nocy, Woermann wiedział, kogo wybrałby na ofiarę.

X

TWIERDZA **Wtorek, 29 kwietnia** *godz. 01.18*

Major Kaempffer leżał na posłaniu i nie mógł zasnąć. Wciąż trzęsła nim wściekłość na wspomnienie lekceważenia i niesubordynacji Woermanna. Dobrze, że przynajmniej sierżant Oster zachowywał się jak należy. Jak większość regularnych żołnierzy reagował lękiem i posłuszeństwem na czarny mundur i insygnia trupiej główki, na które jego dowódca zdawał się być uodporniony. No cóż, Kaempffer i Woermann znali się wiele lat przed powstaniem SS.

Sierżant znalazł odpowiednie pomieszczenia na kwatery dla dwóch drużyn Einsatzkommando i zaproponował ślepy korytarz w tylnej części warowni jako więzienie dla zakładników. Znakomity wybór. Wykute w skale przejście prowadziło do czterech dużych sal. Można było tam dotrzeć jedynie długim korytarzem, biegnącym aż do dziedzińca. Ze względu na kiepską wentylację i brak palenisk Kaempffer uznał, że miejsce to przeznaczone było na magazyn. Sierżant dopilnował montażu świateł od dziedzińca aż do ślepej ściany na samym końcu. Dzięki temu zaskoczenie stojących na warcie dwóch ludzi z Einsatzkommando było praktycznie niemożliwe.

Dla samego majora Oster wyszukał duży pokój na piętrze w tylnej części twierdzy. Proponował kwaterę w wieży, lecz Kaempffer odmówił. Zamieszkać na pierwszym lub drugim poziomie znaczyłoby znaleźć się poniżej Woermanna, czwarty zaś wymagałby codziennego pokonywania zbyt dużej liczby stopni. Tyły twierdzy były o wiele lepsze. Miał tu okno wychodzące na dziedziniec, łóżko, które zarekwirował jednemu z żołnierzy Woermanna, i grube, ciężkie, dębowe drzwi

z solidnym rygłem. Leżał teraz w śpiworze, obok stojącej na podłodze baterijnej lampy.

Przyglądał się krzyżom na ścianach. Zdawało się, że były wszędzie. Ciekawe. Chciał zapytać o nie tego sierżanta, wolał jednak nie wypadać ze swojej pozy wszystkim wiedzącemu. Była to ważna część mitu SS, który musiał podtrzymywać. Może spyta Woermanna — kiedy tylko zdoła się przemóc, żeby znowu z nim porozmawiać.

Woermann... nie potrafił przestać o nim myśleć. Ironia losu polegała na tym, że Woermann właśnie był ostatnią osobą, z jaką chciałby znaleźć się w jednym miejscu. Nie mógł przy nim pozostawać typem oficera SS, jakim chciałby być. Woermann potrafił wrazić w niego wzrok, przebić czarny mundur i aureolę władzy, by zobaczyć pod nimi przerażonego osiemnastolatka. Pamiętny dzień pod Verdun stał się zwrotnym punktem w życiu ich obu.

...Brytyjczycy nagłym kontratakiem rozrywają niemiecką obronę, ogień przyciska do ziemi Woermanna, Kaempffera i całą kompanię, ludzie giną ze wszystkich stron, pada trafiony celowniczy karabinu maszynowego, Brytyjczycy idą do szturmu... cofnąć się i przegrupować, to jedyna rozsądna rzecz, jaką można zrobić, tyle że nie ma żadnych poleceń od dowódcy kompanii... pewnie nie żyje... Szeregowiec Kaempffer widzi, że z całego oddziału pozostał żywy tylko on i nowy rekrut, ochotnik— żółtodziób, nazywa się Woermann i ma szesnaście lat, za młody do walki,, macha na szczeniaka, żeby wycofał się razem z nim, lecz Woermann kręci głową i czołga się na pozycję karabinu maszynowego... strzela, najpierw niecelnie, krótkimi seriami, potem z większą pewnością... Kaempffer czołga się w tył wiedząc, że za kilka godzin Brytyjczycy będą grzebać tego malego...

Lecz Woermann nie został pogrzebany. Powstrzymał nieprzyjaciela aż do nadejścia posiłków. Awansował i dostał Żelazny Krzyż. A gdy skończyła się Wielka Wojna, był już Fahnenjunkrem, kandydatem na oficera i udało mu się pozostać w tej nielicznej resztkę armii, jaką pozwolił zachować Traktat Wersalski.

Kaempffer, syn urzędnika z Augsburga, po wojnie znalazł się na ulicy. Przeszraszony i bez grosza, był jednym z tysięcy weteranów przegranej wojny i pokonanej armii. Nie byli bohaterami, byli problemem. Po pewnym czasie wstąpił do

nihilistycznej organizacji „Freikorps Oberland”, skąd niedaleko już było do partii nazistowskiej. Został jej członkiem w 1927 roku, a po wykazaniu *völkisch*, czysto niemieckiego pochodzenia, przyjęto go w 1931 do SS. Od tego czasu SS stało się jego domem. Swój własny utracił po pierwszej wojnie i przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie bezdomny.

W SS poznał metody zadawania bólu i budzenia strachu, nauczył się także techniki przetrwania: jak dostrzegać słabe punkty zwierzchników i jak ukrywać własne przed ambitnymi podwładnymi. W końcu zdobył pozycję pierwszego asystenta Rudolfa Hoessa, najbardziej efektywnego Likwidatora Żydów.

I znowu okazał się uczniem tak pojętym, że awansowano go na Sturmbannführera i powierzono misję utworzenia obozu w Ploesti.

Pragnął gorąco być już na miejscu i zacząć pracę. Na drodze stali tylko niewidzialni mordercy żołnierzy Woermanna. Najpierw musi się ich pozbyć. To niezbyt trudny problem, zwykła uciążliwość. Chciał szybko załatwić tę sprawę, nie tylko po to, by zaraz ruszyć dalej, lecz także, by odjechać w tryumfie, pozostawiając za sobą skompromitowanego Woermanna.

Szybkie rozwiązanie zmniejszy także wagę wszystkiego, co Woermann mógłby powiedzieć o tamtym incydencie spod Verdun. Gdyby kiedykolwiek zarzucił mu tchórzostwo, Kaempfferowi wystarczy zauważyć, że Woermann jest zgorzkniałym, sfrustrowanym człowiekiem, uderzającym na ślepo w kogoś, kto odniósł sukces tam, gdzie on sam zawiódł.

Zgasił lampę. Tak... potrzebował szybkich wyników. Miał tyle do zrobienia, czekało na niego tyle ważniejszych spraw.

Niepokoilo go tylko to, że Woermann się bał. Naprawdę się bał. A niełatwo było go przestraszyć.

Zamknął oczy i po chwili poczuł, że sen okrywa go niczym ciepły, miękki koc. Otulił go niemal całkowicie, gdy nagle coś zerwało go brutalnie. Przebudził się nagle, mokry od potu, czując przeszywający dreszcz strachu. Coś stało za drzwiami do jego pokoju. Niczego nie słyszał, niczego nie widział, lecz wiedział, że coś tam jest. Coś roztaczającego tak potężną aurę złej woli, chłodnej nienawiści i czystego zła, że wyczuwał ją poprzez dzielące ich drewno i kamień. Było tam, zbliżało się korytarzem, miało drzwi i szło dalej. Dalej...

Serce zaczęło bić zwykłym rytmem, skóra obeschła. Dłuższą

chwilę zajęło mu przekonanie samego siebie, że to tylko koszmar. Szczególnie wyraźny, to prawda, ale tylko koszmar, jeden z tych, jakie wyrwywają człowieka z pierwszego snu.

Major Kaempffer wstał z posłania i zaczął delikatnie zdejmować bieliznę. Koszmar sprawił, że sam o tym nie wiedząc, wypróżnił pęcherz.

Szeregowcy Friedrich Waltz i Karl Flick, żołnierze pierwszej drużyny trupiej główki pod dowództwem majora Kaempffera, stali w czarnych mundurach oraz w czarnych hełmach i drżeli. Byli znudzeni, zmarznięci i śpiący. To nie był ten rodzaj nocnej służby, do którego się przyzwyczaili. W Auschwitz mieli ciepłe, wygodne strażnice i wieże, gdzie mogli siedzieć, pić kawę i grać w karty, gdy więźniowie kulili się w dziurawych barakach. Z rzadka tylko przypadały im warty na zewnątrz, kiedy musieli na zimnie patrolować obszar pomiędzy drutami.

Fakt, teraz znajdowali się pod dachem, lecz panowało tu takie zimno i wilgoć, jak w pomieszczeniu więźniów. A to nie było w porządku.

Szeregowiec Flick przesunął schmeisser na plecy i roztał dłonie. Mimo rękawiczek stracił czucie w czubkach palców. Waltz stał obok, oparty o ścianę. Zajęli pozycję w miejscu, skąd mogli obserwować całą długość korytarza wejściowego aż do czarnego prostokąta drzwi na dziedziniec, a równocześnie nie spuszczać oka z zaimprovizowanego bloku więziennego.

— Chyba zwariuję, Karl — stwierdził Waltz. — Zróbmy coś.

— Co?

— Może każemy im przećwiczyć małe *Sachsengrussl*

— To nie Żydzi.

— Ale też nie Niemcy.

Flick zastanowił się. *Sachsengrussl*, saskie pozdrowienie, było jego ulubioną metodą łamania nowo przybyłych w Auschwitz. Przez całe godziny kazał im pozostawać w tej pozycji: głęboki przysiad, ramiona uniesione, dłonie na karku. Nawet ktoś w znakomitej formie po trzydziestu minutach zaczynał cierpieć. Flick czuł podniecenie obserwując twarze więźniów, gdy czuli, że zdradzają ich własne ciała, gdy igły bólu wbijały się w stawy i mięśnie. No i strach. Ponieważ ci, którzy się przewracali, byli albo zabijani na miejscu, albo kopani tak

długo, aż przyjmowali pozycję na powrót. Wprawdzie nie mogą tej nocy zastrzelić żadnego z Rumunów, ale przynajmniej trochę się zabawią. Istniało jednak pewne ryzyko.

— Lepiej dajmy spokój — powiedział. — Jest nas tylko dwóch. Co będzie, jeśli któryś z nich zechce grać bohatera?

— Będziemy ich wyprowadzać parami. No, Karl! Będzie zabawa!

— Dobra — uśmiechnął się Flick.

Rozrywka nie będzie tak dobra jak w Auschwitz, gdzie zakładali się, kto potrafi złamać więźniowi więcej kości tak, by nadal mógł pracować. Zawsze jednak wypełni godziny warty.

Flick zaczął szukać w kieszeni klucza od kłódki, która zmieniała salę na końcu korytarza w celę więzienną. Były tu cztery pomieszczenia i mogli podzielić więźniów; woleli jednak stłoczyć całą dziesiątkę w jednym miejscu. Już wyobrażał sobie ich twarze, gdy otworzy drzwi — skrzywione strachem, z drżącymi wargami. Zobaczą jego uśmiech i zrozumieją, że od niego nie mogą oczekiwać litości. Już teraz czuł, jak ogarnia go przyjemne uczucie, nieopisanie cudowne, tak wspaniałe, że pragnął je przeżywać jak najczęściej.

Szedł już do drzwi, gdy zatrzymał go głos Walta.

— Zaczekaj, Karl.

Obejrzał się. Friedrich patrzył zdumiony w prowadzący na dziedziniec korytarz.

— Co się dzieje?

— Coś nie w porządku z pierwszą żarówką. Gaśnie.

— I co?

— Przygasa powoli — rzucił okiem w stronę Flicka, potem znowu spojrzął w głąb korytarza. — Teraz druga! — jego głos wzniósł się o pół oktawy. Wysunął do przodu schmeisser. — Chodź tutaj!

Flick rzucił klucz, chwycił broń i podbiegł do kolegi. Zanim znalazł się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy, zgasła trzecia żarówka. Natężył wzrok, lecz nie dostrzegał niczego poza ciemnymi lampami. Zdawało się, że nieprzenikniona ciemność pochłonięła cały obszar.

— Nie podoba mi się to — oświadczył Walt.

- — Mnie też nie. Ale nikogo nie widać. Może coś się stało z generatorem. Albo kabel się zerwał — Flick nie wierzył w to, co mówił, i wiedział, że Walt także nie wierzy. Musiał jednak

coś powiedzieć, musiał ukryć rosnący strach. Ludzie z Einsatzkommando powinni budzić, a nie odczuwać lęk.

Zgasła czwarta żarówka. Ciemność znalazła się o kilka metrów od nich.

— Przejdźmy tutaj — odezwał się Flick, cofając się w jasno oświetlony boczny korytarz. Słyszał pomrukiwania z sali, gdzie siedzieli więźniowie. Wprawdzie nie widzieli gasnącej światła, wyczuwali jednak, że dzieje się coś niedobrego.

Skulony za Waltzem Flick drżał w narastającym chłdzie, obserwując, jak przygasa światło w zewnętrznym korytarzu. Chciał, by pojawiło się coś, do czego mógłby strzelić, lecz widział tylko ciemność.

A potem ta ciemność ogarnęła go, unieruchomiła stawy, przesłoniła wzrok. Na krótką chwilę, która zdawała się trwać całe życie, szeregowiec Flick stał się ofiarą tej samej bezdusznej grozy, którą tak lubił budzić w innych, poczuł głęboki, rozdzierający ból, jaki tak lubił innym zadawać. Potem nie czuł już niczego.

Światło powracało z wolna, najpierw w boczny, potem w wyjściowy korytarz. Jedyne dźwięki dochodziły z celi, gdzie zamknięto wieśniaków: jęki kobiet, głośne westchnienia ulgi mężczyzn, uwolnionych od paniki, jaka ogarnęła ich wszystkich. Któryś z więźniów zbliżył się ostrożnie do drzwi i przysunął oko do wąskiej szczeliny pomiędzy deskami. W polu widzenia miał tylko niewielki kawałek podłogi i część przeciwnej ściany korytarza.

Nie dostrzegł najmniejszego ruchu. Podłoga była pusta, jeśli nie liczyć plamy krwi, jeszcze czerwonej i cieplej, parującej na zimnie. Na ścianie krwi było więcej, lecz jakby rozsmarowanej tam, nie nachłapanej. Czerwone ślady tworzyły pewien wzór, jakby litery alfabetu, który niemal poznawał, tworzące słowa unoszące się na samym skraju zrozumienia. Słowa niby psy wyjące wśród nocy, boleśnie obecne, lecz nieosiągalne.

Mężczyzna odszedł od drzwi i dołączył do współwięźniów, skulonych w kącie sali.

Ktoś stał przed drzwiami.

Kaempffer otworzył oczy. Bał się, że poprzedni koszmara może się powtórzyć. Lecz nie, tym razem nie czuł za ścianą

żadnej wrogiej, mrocznej obecności. Uznał, że stoi tam człowiek, i to dość niezręczny. Jeżeli Chciał zakraść się do jego kwatery, robił to z żalosnym brakiem wprawy. Dla pewności jednak Kaempffer chwycił leżący pod ręką luger.

— Kto tam?

Milczenie.

Kaempffer nadal słyszał szcęk metalu, gdy czyjaś ręka gmerała przy ryglu, widział ciemne przerwy w pasku światła między drzwiami a podłogą, nie dające poznać, kto stoi na korytarzu. Przez chwilę Chciał włączyć lampę, ale zrezygnował. Ciemny pokój dawał mu pewną przewagę — wyraźnie zobaczy sylwetkę intruza na tle oświetlonego korytarza.

— Kto tam jest?

Stuk metalu o metal, zastąpiony przez ciche skrzypienie i trzaski, jak gdyby olbrzymi ciężar napierał na drzwi. Kaempffer nie był pewien w ciemności, lecz zdawało mu się, że widzi, jak drzwi wyginają się do wewnątrz. Dwucalowe, dębowe deski! Jaka siła mogła tego dokonać? Trzaski były coraz głośniejsze; poczuł, że oblewa się potem i drży. Nie miał gdzie uciekać. Pojawił się inny dźwięk, jakby ktoś drapał drzwi, próbując przebić się do środka. Głosy osaczały go, narastały, paraliżowały. Drewno trzeszczało tak, że wydawało się, iż za chwilę drzwi rozpadną się na tysiąc kawałków. Jęczały wyszarpywane z kamienia żelazne mocowania zawiasów. Coś musiało ustąpić. Wiedział, że powinien wprowadzić nabój do komory lugera, lecz nie mógł się ruszyć.

Rygiel zgrzytnął i poddał się nagle, drzwi odskoczyły uderzając o ścianę. W padającym z korytarza świetle stały dwie postacie. Kaempffer poznał po hełmach, że muszą to być niemieccy żołnierze, a po wysokich butach, że to członkowie Einsatzkommando, które ze sobą przywiózł. Powinno go to uspokoić, lecz nie wiadomo czemu przeraziło jeszcze bardziej. Co oni wyprawiali, włamując się do niego w środku nocy?

— Kim jesteście? — zapytał.

Nie odpowiedzieli. Zamiast tego ruszyli równocześnie w stronę łóżka, na którym leżał unieruchomiony lękiem. Coś było nie w porządku z ich krokiem — nic wielkiego, jakby pewna sztywność ruchów. Przez krótką chwilę sądził, że przejdą po nim. Zatrzymali się jednak tuż przy łóżku, równocześnie, jak na rozkaz. Żaden nie odezwał się ani słowem. Żaden nie zasalutował.

— Czego chcecie? — powinien się wściekać, lecz gniew nie chciał nadejść. Jedynie strach. Wbrew jego woli ciało kulilo się w śpiworze, starało ukryć. — Odezwijcie się! — to było bałaganie.

Milczenie. Wyciągnął lewą rękę i znalazł lampę, stojącą na podłodze przy łóżku. Cały czas trzymając luger wymierzony w milczącą parę odszukał drżącymi palcami przełącznik i zawahał się. Przez chwilę słuchał własnego, nierównego oddechu. Musiał się dowiedzieć, kim byli ci ludzie, lecz jakiś głęboko skryty instynkt sprzeciwiał się włączeniu światła.

Wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać napięcia. Z jękiem przesunął dźwigienkę i podniósł lampę.

Nad nim stali nieruchomo szeregowcy Flick i Waltz. Szkliste oczy lśniły w bladych, wykrzywionych twarzach. Szerokie półksiężycy rozdartego, zakrwawionego ciała rozwierały się w miejscu, gdzie kiedyś mieli krtań. Nikt się nie ruszał; dwaj martwi żołnierze, nie byli do tego zdolni, Kaempffer nie potrafił. Przez długą chwilę leżał sparaliżowany, ze wzniesioną w górę lampą i otwartymi ustami. Spazmatycznie wciągał powietrze. Krzyk strachu nie mógł się przebić przez ściśnięte gardło.

Potem coś się poruszyło. Cicho, niemal z gracją, obaj żołnierze pochylili się i runęli na swego dowódcę, przyciskając go do łóżka ponad setką kilogramów bezwładnego, martwego ciała.

Gdy Kaempffer rozpaczliwie próbował wyzwolić się spod trupów, usłyszał, jak jakiś odległy głos zaczyna wyć w śmiertelnej trwodze. Jakaś odosobniona część jego umysłu skoncentrowała się na tym dźwięku, aż zdołała go zidentyfikować.

To był jego własny głos.

— Wierzysz teraz?

— W co niby mam wierzyć? — Kaempffer unikał spojrzenia Woermanna, wpatrując się w szklankę kminkówki, którą ścisnął w dłoniach. Połowę wypił jednym haustem, teraz wolno sączył resztę. Opanowanie wracało powoli. Pomagało mu to, że siedział w kwaterze Woermanna, nie w swoim pokoju.

— Że metody SS nie załatwią tej sprawy.

— Metody SS są zawsze skuteczne.

— Nie tym razem.

— Jeszcze nie zacząłem. Jeszcze nie zginął nikt z zakładników.

Kaempffer musiał przyznać, że natrafił na sytuację, która przekraczała rozumienie jakiegokolwiek oficera SS. Nie znał precedensów, nie znał nikogo, kogo mógłby poprosić o radę. W twierdzy było coś, czego nie dało się zastraszyć ani opanować. Coś, co z zadziwiającą sprawnością posługiwało się strachem. To nie mogła być grupka partyzantów ani fanatyczny oddział Narodowej Partii Chłopskiej. To było coś, czego nie dotoczyły problemy wojny, narodowości czy rasy.

Mimo to zakładnicy muszą zginąć o świcie. Uwolnienie ich byłoby przyznaniem się do porażki. On sam i całe SS straciłoby twarz. Nie mógł do tego dopuścić. Nieważne, że ich śmierć nie wpłynie na to... coś, co mordowało żołnierzy. Musieli umrzeć.

— I nie zginie — stwierdził Woermann.

— Co? — Kaempffer przestał wreszcie wpatrywać się w szklankę.

— Ci wieśniacy... wypuściłem ich.

— Jak śmiałeś! — wściekłość. Czuł, że wraca do życia. Zerwał się ze stołka.

— Później mi podziękujesz, kiedy nie będziesz się musiał tłumaczyć z wymordowania całej rumuńskiej wioski. A na tym by się skończyło. Znam takich jak ty. Kiedy raz zaczniecie, będziecie brnąć aż do końca, nie zwracając uwagi na to, jak bezsensowne są wasze poczynania i jak wiele osób na tym ucierpi. Nie potraficie przyznać się do błędu. Teraz możesz zrzucić winę za niepowodzenie na mnie. Przyjmę ten zarzut i możemy razem poszukać bezpieczniejszych kwater.

Kaempffer usiadł. Musiał przyznać, że posunięcie Woermanną dawało mu możliwość wycofania się. Znalazł się jednak w pułapce. Nie mógł zameldować dowództwu SS o porażce. Oznaczałoby to koniec jego kariery.

— Nie zrezygnuję — oświadczył, próbując wywołać wrażenie upor i odwagi.

— A co możesz zrobić? Z tym nie da się walczyć.

— Będę walczył.

— Jak? — Woermann oparł się >^godnie i splótł dłonie na brzuchu. — Nie wiesz nawet, co to jest.

— Bronią! Ogniem! I... — Kaempffer cofnął się widząc, jak

Woermann pochyla się ku niemu. Przeklinał się za ten odruch, lecz nie potrafił go opanować.

— Proszę posłuchać, *Herr Sturbannführer*, ci ludzie byli martwi, kiedy weszli do pańskiego pokoju. Martwi! Znaleźliśmy ich krew w bocznym korytarzu. Zginęli w pańskim prowizorycznym więzieniu. Mimo to przeszli aż do pańskiej kwatery, wyłamali drzwi, przemaszerowali do łóżka i przewrócili się. Jak można walczyć z czymś, co potrafi tego dokonać?

Kaempffer zadrżał na samo wspomnienie.

— Oni żyli, kiedy weszli do mojego pokoju! Lojalność kazała im zameldować o ataku, mimo śmiertelnych ran — nie wierzył w ani jedno słowo z tego, co mówił. Wyjaśnienie nadeszło bez udziału świadomości.

— Byli martwi, przyjacielu — rzekł Woermann, ale w jego głosie nie było nawet śladu przyjaźni. — Nie obejrzałeś ciała, byłeś zbyt zajęty praniem swoich portek, w które narobiłeś ze strachu. Ale ja obejrzałem. Zbadałem je tak, jak zbadałem zwłoki każdego człowieka, który zginął w tej przeklętej twierdzy. I możesz mi wierzyć, ci dwaj zginęli na miejscu. Mieli poprzerwane wszystkie główne arterie. Tchawice też. Choćbyś był samym Himmlerem, nie złożyliby ci meldunku.

— Więc ktoś ich przeniósł! — mimo że widział wszystko na własne oczy, szukał racjonalnych wyjaśnień. — Martwi nie chodzą! Nie mogą chodzić!

Woermann odchylił się do tyłu i spojrzął na niego z taką pogardą, że Kaempffer poczuł się nagle maleńki i nagi.

— Czy w SS uczą was także kłamać samemu sobie?

Kaempffer nie odpowiedział. Nie musiał oglądać zwłok, by wiedzieć, że ludzie ci byli martwi, kiedy weszli do jego pokoju. Wiedział o tym od chwili, gdy światło lampy padło na ich twarze.

Woermann wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Powiem ludziom, że odjeżdżamy o świcie.

— Nie! — krzyknął Kaempffer głośniejsze i bardziej piskliwie, niż zamierzał.

— Chyba nie zamierzasz naprawdę tu zostać? — spytał z niedowierzaniem Woermann.

— Muszę wykonać rozkaz.

— Ale nie możesz. Przegrasz! Na pewno sam to rozumiesz!

— Rozumiem tylko, że muszę zmienić metody.

— Tylko szalaniec chciałby tu zostać.

„Nie chcę zostawać — pomyślał Kaempffer. — Chcę stąd wyjechać, tak samo jak wszyscy”. W innych okolicznościach sam wydałby rozkaz wyjazdu. Nie mógł jednak tego zrobić. Zanim odjedzie do Ploesti, musi załatwić tę sprawę ostatecznie. Jeżeli mu się nie uda... Przynajmniej tuzin oficerów SS czeka tylko na okazję przejścia projektu Ploesti, pilnuje i obserwuje, by zareagować na pierwszą oznakę słabości i odebrać mu nagrodę. Musi się udać. Inaczej pozostanie w tyle, zapomniany na jakimś podrzędnym stanowisku, gdy inni będą obejmować władzę nad światem.

Potrzebował pomocy Woermanna. Musiał go przekonać, choćby na kilka dni, dopóki nie znajdzie rozwiązania. Potem postawi go pod sąd wojenny za wypuszczenie zakładników.

— Jak myślisz, Klaus — spytał cicho. — Co to jest?

— Co c o jest? — Woermann był zdenerwowany i zniechęcony.

— Te morderstwa... jak myślisz, kto albo co je popełnia?

Woermann usiadł znowu. Twarz miał udęconą.

— Nie wiem. I w tej sytuacji nie bardzo chcę wiedzieć. W podziemiach leży teraz osiem trupów i musimy się postarać, żeby nie było ich więcej.

— Pomyśl, Klaus. Jesteś tu od tygodnia... na pewno masz jakieś podejrzenia.

„Mów — myślał. — Im dłużej mówisz, tym dłużej nie musisz wracać do tamtego pokoju”.

— Żołnierze uważają, że to wampir.

Wampir! Nie takie sugestie były mu potrzebne, mówił jednak dalej spokojnym, przyjaznym tonem, choć przychodziło mu to z pewnym wysiłkiem.

— Też tak sądzisz?

— Tydzień temu... Boże, jeszcze przed trzema dniami powiedziałbym, że nie. Teraz nie jestem już pewny. Niczego nie jestem pewny. Jeżeli to wampir, to inny niż te, o jakich czytałeś i jakie widziałeś w kinie. Jedyne, czego jestem pewien, to że zabójca nie jest człowiekiem.

Kaempffer starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat wampirów. Czy to coś, co mordowało ludzi, wypijało też ich krew? Któż mógł wiedzieć? Ich gardła były tak poszarpane, mundury tak pokrwawione, że trzeba by laboratorium medycznego, by stwierdzić, czy istotnie brakuje im krwi. Widział raz niemy film „Nosferatu” i amerykańską

wersję „Draculi” z niemieckimi napisami. Było to sporo lat temu i wiara w wampiry wydała mu się wtedy tak zabawna, jak na to zasługiwała. Lecz teraz... to na pewno nie żaden Słowianin z orlim nosem przemykał się po twierdzy. Jednak w piwnicy leżało osiem trupów. Mimo to nie wyobrażał sobie uzbrojenia swych ludzi w drewniane kolki i młotki.

— Uważam, że trzeba dotrzeć do źródła — oznajmił, gdy jego myśli dotarły do ślepego zaułka.

— A gdzie ono jest?

— Nie gdzie, ale kim. Chcę odszukać właściciela twierdzy. Ta budowla została wzniesiona i jest utrzymywana w doskonałym stanie z jakiegoś powodu. Chcę poznać ten powód.

— Alexandru i jego synowie twierdzą, że nie wiedzą, kim jest właściciel.

— Tak mówią.

— Po co mieliby kłamać?

— Wszyscy kłamią. Ktoś musi im płacić.

— Pieniądze przekazywane są oberżystcie, a on wypłaca je Alexandru.

— Musimy więc przesłuchać oberżystę.

— Możesz go także poprosić, żeby przetłumaczył ten napis na ścianie.

— Jaki napis? — podskoczył Kaempffer. — Na jakiej ścianie?

— Tam, gdzie zginęli dwaj twoi ludzie. Ktoś napisał coś na ścianie ich krwią.

— Po rumuńsku?

— Nie wiem — Woermann wzruszył ramionami. — Nie rozpoznałem nawet liter, a co dopiero języka.

Kaempffer zerwał się na nogi. Oto było coś, z czym potrafił sobie radzić.

— Chcę mieć tu tego oberżystę.

Oberżysta nazywał się Iuliu.

Miał nadwagę, sporo powyżej pięćdziesiątki, łysinę na czubku głowy i wąsik nad górną wargą. Jego nie golone od co najmniej trzech dni tłuste policzki trzęsły się, gdy stał dygocąc w nocnej koszuH, w korytarzu, gdzie poprzednio zamknięto zakładników.

Prawie jak za dawnych czasów, pomyślał Kaempffer, obserwując go z mrocznego pokoju. Zaczynał znowu czuć się sobą.

Widoczny niepokój i strach tego człowieka przypomniał majorowi wczesne lata w monachijskim SS, kiedy o świecie wyciągali żydowskich sklepikarzy z ciepłych łóżek, bili ich na oczach rodzin i patrzyli, jak mimo zimna pocą się z przerażenia.

Ale ten oberzysta nie był Żydem.

Zresztą, to bez znaczenia. Żyd, mason. Cygan, nmiuński oberzysta — dla Kaempffera liczyły się tylko ich spokój ducha, pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa; wrażenie, że mają na świecie swoje miejsce, w którym nic im nie grozi. To właśnie musiał zniszczyć. Musieli się nauczyć, że nie ma bezpiecznych miejsc, gdy on jest w pobliżu.

Pozwolił, by oberzysta trząsał się i mrugał w świetle nagiej żarówki tak długo, aż zaczęło go to nudzić. Iuliu doprowadzono na miejsce, gdzie zginęło dwóch SS-manów. Zabrano wszystko, co choćby odrobinę przypominało rejestry lub księgi rachunkowe i zwalono to na stos obok niego. Stał teraz, przenosząc spojrzenie z plam krwi na posadzce na krwawe zygzaki na ścianie, na nieprzeniknione twarze czterech żołnierzy, którzy wywlekli go z łóżka, potem znowu na plamy krwi. Kaempffer wołał nie patrzeć w to miejsce. Nie mógł zapomnieć pary rozdartych gardeł, które dostarczyły tej krwi, i dwóch martwych żołnierzy, stojących nad jego posłaniem.

Poczuł, że mimo czarnych, skórzanych rękawiczek palce drętwieją mu z zimna, wyszedł więc na jasno oświetlony korytarz i stanął przed Iuliu. Na widok oficera SS w pełnym umundurowaniu oberzysta cofnął się mimowolnie i prawie przewrócił, potykając się o stos ksiąg.

— Kto jest właścicielem twierdzy? — spytał cicho Kaempffer, nie tracąc czasu na wstęp.

— Nie wiem, panie oficerze.

Niemiecki tego człowieka był potworny, lecz przynajmniej nie potrzebowali tłumacza. Uderzył Iuliu grzbietem dłoni w twarz. Nie czuł wrogości, to była standardowa procedura.

— Kto jest właścicielem twierdzy?

— Nie wiem!

Uderzył go znowu.

— Kto?

Oberzysta wypluł krew z ust i zaszczołał. Dobrze — zaczynał się łamać.

— Nie wiem.

— Kto ci daje pieniądze na opłacenie murarzy?
— Posłaniec.
— Od kogo?
— Nie wiem. Nigdy nie mówi. Chyba z banku. Zjawia się dwa razy w roku.
— Musisz podpisywać jakieś pokwitowanie albo czek. Od kogo on pochodzi?
— Podpisuję jakiś papier. Na górze jest napis „Mediterranean Bank, Switzerland”. W Zurychu.
— Jakie to są pieniądze?
— Złote. Złote monety dwudziestolejowe. Płacę Alexandru, a on swoim synom. Zawsze tak było.
Kaempffer przyglądał się spokojnie, jak Iuliu ociera dłonią oczy i trochę się uspokaja. Znalazł kolejne ogniwo łańcucha. Zleci centrali SS zbadanie tego banku w Zurychu. Dowie się, kto wysyła złote monety oberżysty w Alpach Transylwanii. Potem dowie się, kto jest właścicielem konta. A w końcu, kto jest właścicielem twierdzy.
I co wtedy?

Nie wiedział, lecz zdawało się, że w tej chwili jest to jedyny sposób. Odwrócił się, by spojrzeć na napis nabazgrany na ścianie. Krew — krew Fhcka i Waltza — którą wypisano obce słowa — zasłoniła, nabierając brązowej barwy. Wiele hter albo nakreślono niezgrabnie, albo też nigdy takich nie widział. Inne rozpoznawał, choć nie rozumiał całości. A przecież musiały coś oznaczać.

ТЪЖИК ОСТАВИТЕ НАУБ АСМЪ

Wskazał je ręką.

— Co tu jest napisane?

— Nie wiem, panie oficerze! — oberżysta skulił się pod spojrzeniem błękitnych oczu Kaempffera. — Błagam... naprawdę nie wiem.

Po wyrazie twarzy Iuliu i tonie głosu Kaempffer poznał, że oberżysta mówi prawdę. Nie miało to znaczenia — nigdy nie miało i nigdy nie będzie. Rumuna trzeba przycisnąć do granic jego wytrzymałości, by pobitego i załamane go odesłać do wsi, gdzie mógłby opowiadać o tym, jak bezhłośnie potraktował go

oficer w czarnym mundurze. Wtedy się dowiedzą: muszą współpracować, muszą czołgać się jeden przez drugiego, by jałk najprędzej usłużyć SS.

— Kłamiesz! — krzyknął i raz jeszcze uderzył Iuliu w twarz. — To są rumuńskie słowa! Chcę wiedzieć, co oznaczają!

— Są podobne do rumuńskich, panie oficerze — oberżysta skulił się w bólu i strachu. — Ale tylko podobne. Nie znam ich.

Zgadzało się to z wiadomościami, jakie Kaempffer zaczerpnął ze słownika. Uczył się Rumunii i używanych w tym kraju języków od pierwszego dnia, kiedy usłyszał o projekcie Ploesti. Poznał trochę dialekt dako-rumuński i miał nadzieję, że niedługo będzie umiał posługiwać się nim w miarę płynnie. Nie życzył sobie, żeby Rumuni, z którymi przyjdzie mu pracować, myśleli, że uda im się cokolwiek ukryć, jeśli będą mówić swoim językiem.

Używano tu jednak także trzech innych głównych dialektów, znacznie się od siebie różniących. A słowa na ścianie, choć podobne do rumuńskich, nie należały chyba do żadnego z nich.

Oberżysta — prawdopodobnie jedyiny umiejący czytać cokolwiek we wsi — nie rozpoznał ich. Musiał jednak dostać za swoje.

Kaempffer odwrócił się od Iuliu i czterech SS-manów z Einsatzkommando. Nie zwracał się do nikogo konkretnego, mimo to rozumiano go od razu.

— Nauczcie go sztuki tłumaczenia.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem głuclietiderzenie i stłumiony krzyk bólu. Nie musiał na to patrzeć. Wyobrażał sobie, co się dzieje: jeden z żołnierzy trafił Iuliu końcem lufy w potylicę. Oberżysta padł na kolana a oni stanęli dookoła, gotowi wbijać czubki i obcasy wypolerowanych wysokich butów w każdy czuły punkt na jego ciele. Znali je wszystkie.

— Dość tego! — odezwał się jakiś głos, który rozpoznał natychmiast. To był Woermann.

Rozwścieczony Kaempffer stanął twarzą w twarz z intruzem. To była niesubordynacja! Niedopuszczalne podrywanie jego autorytetu. Już otwierał usta, by udzielić kapitanowi reprymendy, gdy dostrzegł, że dłoń tamtego opiera się na kolbie pistoletu. Z pewnością nie ośmieli się go użyć. A przecież...

Opracowy spoglądali na swego dowódcę wyczekująco, niezbyt pewni, co powinni zrobić. Kaempffer Chciałby im powiedzieć, że mają kontynuować pracę, lecz nie potrafił się na to zdobyć.

Wrogie spojrzenie Woermanna i jego zdecydowana postawa odbierały mu pewność siebie.

— Ten wieśniak odmawia współpracy — wyjaśnił bez przekonania.

— I myślisz, że jeśli pobijecie go do nieprzytomności, może nawet na śmierć, zrobi to, czego od niego chcecie? Cóż za inteligencja!

Woermann podszedł do oberżysty, odsuwając z drogi SS-manów tak obojętnie, jakby byli martwymi przedmiotami. Spojrzał na jęczącego więźnia, po czym zmierzył wzrokiem czterech strażników.

— Czy tak niemieccy żołnierze walczą o większą cliwałę *Yaterlandul* Założę się, że wasi ojcowie i matki chętnie przyjechaUby popatrzeć, jak kopiecie bezbronnego, podstarza tego grubasa. Jakaż odwaga! Dlaczego ich kiedyś nie zaprosicie? A może ich też zathikhście na śmierć podczas ostatniego urlopu?

— Ostrzegam pana, kapitanie... — zaczął Kaempffer, lecz Woermann nie zwracał na niego uwagi.

— Co możesz nam powiedzieć o twierdzy? — zwrócił się do oberżysty — czego byśmy jeszcze nie wiedzieli?

— Nic — odparł luliu nie podnosząc się z podłogi.

— Jakiś babskie opowiadki, liistorie o upiorach, legendy?

— Mieszkam tu przez całe życie i żadnych nie słyszałem.

— Nikt nie zginął w twierdzy? Nigdy?

— Nigdy.

Kaempffer zauważył, że twarz oberżysty rozjaśnia się nadzieją, jak gdyby dostrzegł sposób, by przeżyć tę noc.

— Ale może jest ktoś, kto mógłby wam pomóc. Jeśli mogę zajrzeć do księgi rejestrów...? — wskazał porozrzucany stos papierów.

Gdy Woermann skinął głową, podczołgał się do dokumentów i wyszukał starą, poplamioną, oprawną w płótno książkę. Gorączkowo przerzucał strony, aż znalazł to, czego szukał.

— Jest! W ciągu ostatnich dziesięciu lat był tu trzy razy, coraz bardziej chory, zawsze ze swoją córką. Jest ważnym profesorem na uniwersytecie w Bukareszcie. Specjahsta historii tego regionu.

— Kiedy tu był ostatnio? — zainteresował się Kaempffer.

— Pięć lat temu — Iuliu cofnął się przed nim załękniony.

— Co znaczy „cliory”? — spytał Woermann.

— Ostatnio musiał cliodzić o kulacli.

Woermann wziął od niego rejestr.

— Który to?

— Profesor Tlieodor Cuza.

— Miejmy nadzieję, że jeszcze żyje — Woermann rzucił Kaempfferowi księgę. — SS ma z pewnością jakieś kontakty w Bukareszcie. Niech go znajdują, jeśli jeszcze tam jest. Sugerowałbym, żebyś nie marnował czasu.

— Nigdy nie marnuję czasu, kapitanie — odparł Kaempffer, próbując chociaż częściowo odzyskać twarz u swoich podwładnych. Jego autorytet ucierpiał mocno i nie zamierzał tego Woermannowi wybaczyć. — Kiedy przejdzie pan na dziedziniec, zobaczy pan moich ludzi podważających kamienie i rozbierających mury. Mam nadzieję, że pańscy żołnierze zaczną im pomagać. W czasie, gdy będziemy sprawdzać Mediterranean Bank w Zurychu i szukać tego profesora, zajmiemy się rozebraniem tej budowli kamień po kamieniu. Ponieważ jeśli ani bank, ani profesor nie dostarczą nam użytecznych informacji, będziemy już zaawansowani w niszczeniu wszelkich możliwych kryjówek wewnątrz warowni.

— Lepsze to, niż bezczynne czekanie na śmierć — wzruszył ramionami Woermann. — Wyślę sierżanta Oстера, żeby ustalił szczegóły.

Odwrócił się, postawił Iuliu na nogi i pchnął go w stronę wyjścia.

— Idę z tobą — powiedział. — Dopilnuję, żeby wartownik wypuścił cię na zewnątrz.

Oberżysta zatrzymał się jednak na chwilę i szepnął coś kapitanowi. Woermann wybuchnął śmiechem.

Kaempffer poczuł, że twarz płonie mu z gorąca i że kipi ze złości. To o nim mówili; z niego się naśmiewaU! Poznał od razu.

— Co zabawnego, kapitanie?

— Ten profesor Cuza — Woermann przestał się śmiać, lecz nadal uśmiechał się drwiąco. — Ten człowiek, który może wiedzieć coś, co pozwoli kilku z nas przeżyć... on jest Żydem!

Jego śmiech odbijał się echem od ścian korytarza, choć kapitan znikł już za zakrętem.

XI

BUKARESZT **Wtorek, 29 kwietnia** *godz. 10.20*

Donośne, natrętnie uderzenia niemal wrywały drzwi z zawiasów.

— Otwierać!

Magda poczuła, że głos ją zawodzi. Z trudem wykrztusiła pytanie, na które znała odpowiedź:

— Kto tam?

— Otwierać natychmiast!

Magda stała przy drzwiach, nie uczesana, w obszernym swetrze narzuconym na długą koszulę. Spojrzała pytająco na ojca, siedzącego za biurkiem w wózku inwalidzkim.

— Lepiej ich wpuść — powiedział z wymuszonym spokojem. Twarz pod naciągniętą skórą nie wyrażała prawie niczego, dostrzegła jednak lęk w jego oczach.

Sięgnęła do drzwi, szybkim ruchem zwolniła zamek i cofnęła się Natychmiast, jakby się bała, że klamka może ją ugryźć. Miała szczęście, gdyż drzwi odskoczyły aż do ściany i do mieszkania wpadło dwóch członków Żelaznej Gwardii, rumuńskiego odpowiednika niemieckich szturmowców. Obaj byli w hełmach i trzymali wysunięte przed siebie karabiny.

— To mieszkanie Guzów — rzucił jeden z nich. Było to pytanie, lecz wygłoszone twierdzącym tonem, jakby wyzywającym kogoś z obecnych do zaprzeczenia.

— Tak — potwierdziła Magda cofając się w stronę ojca. — Czego panowie chcą?

— Szukamy Theodora Cuzy. Gdzie jest? — wpatrywał się w Magdę badawczo.

— To ja — odezwał się Papa.

Magda stanęła przy nim, opiekuńczym gestem opierając dłoń na oparciu wózka. Drżała. Lękała się tego dnia, miała nadzieję, że nigdy nie nadejdzie. Zaciągną ich pewnie do jakiegoś obozu przesiedleńczego, gdzie ojciec nie przeżyje nawet jednej nocy. Od dawna lękała się, że antysemityzm obecnego reżimu zaowocuje zinstytucjonalizowaną eksterminacją, jak w Niemczechli.

Dwaj gwardziści spojrzeli na Papę. Stojący z tyłu, chyba dowódca, wyciągnął jakiś papier i przeczytał go uważnie.

— Pan nie może być Cuzą — oświadczył. — On ma pięćdziesiąt sześć lat. Pan jest za stary.

— Mimo to jestem nim.

Intruzi spojrzeli pytająco na Magdę.

— Czy to prawda? Czy to profesor Tlieodor Cuza, były wykładowca Uniwersytetu Bukareszteńskiego?

Magda czuła uścisk śmiertelnego przerażenia. Nie mogła złapać tliu, nie mogła mówić, więc skinęła tylko głową.

Gwardziści zawaliwali się*, najwyraźniej nie wiedząc, co powinni zrobić w tej sytuacji.

— Czego ode mnie chcecie? — spytał Papa.

— Mamy rozkaz odprowadzić pana na stację i towarzyszyć w czasie jazdy aż do Campiña, gdzie odbiorą pana przedstawiciele Trzeciej Rzeszy. Stamtąd...

— Niemcy? Ale dlaczego?

I — Nie pan tu jest od zadawania pytań! Stamtąd...

— To znaczy, że sami nie wiedzą — usłyszała Magda mruczenie ojca.

— ...zostanie pan przewieziony na Przelęcz Dinu.

Twarz Papy wyrażała takie samo zdumienie jak jej własna. Szybko jednak doszedł do siebie.

— Z przyjemnością bym wam towarzyszył, panowie — Papa skinął dłonią, jak zawsze okrytą bawełnianą rękawiczką. — Niewiele jest bowiem miejsc bardziej fascynujący niż Przelęcz Dinu. Wszelako, jak zapewne widzicie, nie czuję się zbyt dobrze.

Gwardziści spoglądali niezdecydowanie na tego starca w fotelu na kółkach. Magda domyślała się, co czują. Papa przypominał żmura, szlachetnie okryty cienką, nabeklowaną, jakby obumarłą

skórą. Kosmyki siwych włosów otaczały łysiejącą czaszkę, a sztywne palce nawet w rękawiczkach zdawały się poskręcane, powykrzywiane i zgrubiałe. Szyja oraz ramiona były tak chude, jakby na kościach nie pozostała nawet resztką ciała. Wyglądał delikatnie, słabo i krucho. Wyglądał na osiemdziesiąt lat. A przecież mieli rozkaz odszukania człowieka w wieku lat pięćdziesięciu sześciu.

— Mimo wszystko musi pan iść z nami — stwierdził dowódca.

— On nie może! — krzyknęła Magda. — Nie przeżyje takiej podróży!

Gwardziści spojrzeli na siebie niepewnie. Łatwo mogła odczytać ich myśli: kazano im odszukać profesora Cuze i możliwie szybko dostarczyć na Przełęcz Dinu. Żywego, oczywiście. A człowiek, którego znaleźli, wyglądał tak, jakby nie był w stanie przetrzymać nawet drogi na stację.

— Gdyby mogła opiekować się mną moja córka — powiedział ojciec — może by się nam udało.

— Nie, Papo! Nie wolno ci!

Co on wygadawał?

— Magdo... ci ludzie są zdecydowani mnie zabrać. Jeśli mam to przeżyć, musisz ze mną jechać — spojrzał na nią rozkazująco. — Musisz.

— Tak, Papo — nie miała pojęcia, o co mu chodzi, musiała jednak posłuchać. Był jej ojcem.

Przyglądał się jej z uwagą.

— Czy zdajesz sobie sprawę, moja droga, w jakim kierunku mamy wyruszyć?

Próbował coś jej przekazać, coś zasugerować. I wtedy przypomniała sobie tamten sen sprzed tygodnia i nie rozpakowaną walizkę pod łóżkiem.

— Na północ!

Dwaj strażnicy z Żelaznej Gwardii usiedli po przeciwnej stronie przejścia, między rzędami siedzeń, i rozmawiali cicho, gdy tylko nie starali się przebić wzrokiem grubej odzieży Magdy. Papa zajął miejsce przy oknie. Dłonie okryte dwoma

parami rękawiczek, bawełnianymi i skórzanymi, trzymał splecione na kolanach. Za szybą oddalał się Bukareszt. Przed sobą mieli osiemdziesiąt pięć kilometrów drogi koleją — pięćdziesiąt sześć do Ploesti i dwadzieścia dziewięć dalej na północ, do Campiny. Modliła się, by Papa to wytrzymał.

— Czy wiesz, czemu Chciałem, żebyś też pojechiała? — odezwał się swym zwykłym, sucliym głosem.

— Nie, Papo. W ogóle nie rozumiem, po co jedziemy. Wystarczyłoby przecież, żeby ich zwierzchnicy zobaczyli, jak wyglądasz. Nie nadajesz się do podróży.

— Nie przejęliby się. Zresztą, nie jest zę mną aż tak źle. Oczywiście, nie czuję się dobrze, ale nie jestem takim chłodzącym trupem, na jakiego wyglądam.

* — Nie mów tak!

— Magdo, już dawno przestałem się okłamywać. Kiedy powiedzieli mi, że mam artretyzm reumatyczny, uznałem, że się mylą. I mylili się. Mam coś znacznie gorszego. Pogodziłem się jednak ze wszystkim, co się ze mną dzieje. Nie mam nadziei, nie mam też zbyt wiele czasu. Powinienem więc wykorzystać go jak najlepiej.

— Ale nie musisz pogarszać sytuacji, pozwalając się ciągnąć na Przełęcz Dinu.

— Dlaczego nie? Zawsze lubiłem to miejsce. Mogę tam umrzeć tak samo dobrze, jak gdzie indziej. Oni i tak by mnie , zabrali. Z jakichś powodów jestem tam potrzebny i dowieźliby mnie na miejsce choćby karawanem — spojrzał na nią badawczo. — Ale czy wiesz, czemu im powiedziałem, że muszę mieć cię ze sobą?

Magda zastanawiała się przez chwilę. Ojciec zawsze zachowywał się jak nauczyciel, zawsze jak Sokrates zadawał jedno pytanie po drugim, by doprowadzić rozmówcę do właściwych wniosków. Męczyło ją to i zwykle próbowała możliwie szybko dojść do konkluzji. Tym razem jednak była nazbyt spięta, by podjąć grę.

— Żebym była twoją pielęgniarką, jak zawsze — rzuciła. — Cóż by innego? — natychmiast pożałowała ostrych słów, ojciec jednak nie zwrócił na nie uwagi. Zbyt był przejęty tym, co chciał jej przekazać.

— Tak — zgodził się ścisząc głos. — Chciałem, żeby tak właśnie myśleli. Naprawdę jednak cliodzi mi o to, żebyś mogła uciec z kraju. Dojedziesz na Przełęcz Dinu razem ze mną, jednak przy pierwszej sprzyjającej okazji uciekniesz i ukryjesz się w góraci.

— Nie, Papo!

— Posłuchaj — szepnął, pocliylając się ku niej. — Taka szansa może się nie powtórzyć. Wiele razy byliśmy tam razem i dobrze znasz okolice. Nadcliodzi lato. Możesz ukrywać się przez pewien czas, a potem ruszyć dalej na południe.

— Dokąd?

— Nie wiem. Dokądkolwiek. Po prostu wyjedź z kraju. Z Europy. Jedź do Ameryki! Do Turcji! Do Azji! Gdzie bądź, byle daleko stąd!

— Samotna kobieta w czasie wojny — Magda starała się, by ironia w jej głosie nie była zbyt wyraźna. — Jak sądzisz, jak daleko uda mi się dotrzeć?

— Musisz spróbować — wargi mu drżały.

— Papo, co się stało?

Przez dłuższą chwilę patrzył w okno, a kiedy wreszcie odpowiedział, ledwie słyszała jego głos.

— Dla nas wszystko już skończone. Oni zetrą nas z powierzchni tego kontynentu.

— Kogo?

— Nas! Żydów! W Europie nie ma już dla nas nadziei. Może gdzie indziej...

— Nie bądź tak...

— To prawda! Grecja właśnie się poddała. Czy dotarło do ciebie, że odkąd półtora roku temu napadł na Polskę, nie przegrał ani jednej bitwy? Nikt nie był w stanie bronić się przed nimi dłużej niż sześć tygodni! Nic nie zdoła ich powstrzymać. A ten szaleniec, który ich prowadzi, zamierza wyniszczyć naszą rasę bez Utości. Słyszałaś, co się dzieje w Polsce. Tutaj wkrótce będzie tak samo. Zagłada Żydów w Rumunii opóźnia się tylko dlatego, że zdrajca Antonescu i Żelazna Gwardia skaczą sobie do gardeł. Zdaje się jednak, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy zdołali się dogadać, więc teraz już nie potrwa to długo.

— Nie masz racji. Papo — przerwała Magda. Takie rozmowy przerażały ją. — Naród rumuński nigdy na to nie pozwoli.

— Nie pozwoli? — oczy mu płonęły. — Spójrz na nas! Spójrz, co już się dokonało! Czy ktokolwiek zaprotestował, kiedy rząd rozpoczął „romanizację” wszelkiej własności ziemskiej i przemysłu, znajdujący się w rękach Żydów? Czy choć jeden z moich uniwersyteckich kolegów, od dziesiątków lat moich zaufanych przyjaciół, spytał choćby o powód mojego zwolnienia? Ani jeden! A czy ktokolwiek zajął, by sprawdzić, jak sobie radzę? — głos zaczął mu się łamać. — Nikt!

Zamilkł i odwrócił się do okna.

Magda chciała powiedzieć coś, co dodałoby mu otuchy, lecz odpowiednie słowa jakoś nie nadchodziły. Wiedziała, że gdyby choroba nie pozbawiła jego oczu zdolności wytwarzania łez, spływałyby teraz po jego policzkach. Kiedy znów się odezwał, był już opanowany, wpatrywał się jednak nieruchomo na przepływające za szybą zielone równiny.

— A teraz jedziemy właśnie pod strażą rumuńskich faszystów, którzy mają nas oddać w ręce niemieckich faszystów. To już koniec.

Przyglądała mu się z troską. Jakże cyniczny i zgorzkniały stał się ostatnio. Chociaż właściwie, dlaczego nie? Cierpiał na chorotę, która z wolna skręcała jego dłoń w węże, zniekształcała palce, wysuszała oczy i usta. Coraz trudniej było mu przełykać. A kariera... pomimo tych wszystkich lat na uniwersytecie, kiedy był niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie rumuńskiego folkloru, mimo że uznawano go za następcę dziekana Wydziału Historii, został zwokdony bez ceremonii. Naturalnie, powiedzieli, że to ze względu na chorobę, lecz Papa wiedział, jaki jest prawdziwy powód: był Żydem. Wyrzucili go na bruk, jak śmieć.

Podupadł na zdrowiu, oderwano go od studiów nad historią Rumunii, które tak kochał, a teraz zabrano go z domu. Co gorsza, wiedział, że maszyny zaprojektowane dla zniszczenia jego rasy działają już ze straszliwą skutecznością w innych krajach. Wkrótce przyjdzie kolej na Rumunię.

„Naturalnie, że jest zgorzkniały — pomyślała. — Ma do tego prawo. I ja także. To moje dziedzictwo, moją rasę chcą zniszczyć. A więc z pewnością również moje życie”.

Nie, w to nie mogła uwierzyć. Straciła jednak wszelką nadzieję, że będzie kiedyś czymś więcej niż tylko sekretarką i pielęgniarką ojca. Niecliętna nagle twarz jej wydawcy była wystarczającym dowodem.

Poczuła ciężar gniotący piersi. Odkąd jedenaście lat temu zmarła matka, raz po raz przekonywała się, że nie jest łatwo być kobietą w świecie, w jakim przyszło jej żyć. Trudno było nawet mężatkom, a tym bardziej jej, starej pannie. Nie miała nikogo, na kim mogłaby się oprzeć, nikogo, kto by ją ocliraniał. Nikt nie traktował poważnie kobiety, mającej inne niż prowadzenie domu ambicje. Jeśli ma się męża, należy zajmować się domem. Jeśli nie, to jest się w dwójnasób podejrzana. A jeśli w dodatku jest się Żydówką...

Rzuciła okiem na dwóch gwardzistów. Dlaczego nie wolno jej pozostawić na tym świecie śladu po sobie? Nie musi być duży, wystarczy drobnostka. Książka z pieśniami... nigdy nie stałaby się znana ani popularna, lecz może kiedyś, może za sto lat, ktoś natrafiłby na egzemplarz i zagrał którąś z nich. A kiedy pieśń dobiegłaby końca, muzyk zamknąłby książkę i zobaczył na okładce jej nazwisko... Ktoś by wiedział, że istniała kiedyś Magda Cuza.

\Westchnęła. Nie podda się. Jeszcze nie. Wszystko układało się fatalnie, a pewnie miało być jeszcze gorzej. Ale to jeszcze nie koniec. Nie wolno się poddawać, póki istnieje nadzieja.

Sama nadzieja nie wystarczy. Potrzebne jest jeszcze coś — tyle że nie wiedziała co. Nadzieja jednak była dobrym początkiem.

Pociąg mijał właśnie obozowisko jaskrawo kolorowycli wozów, ustawionycli kręgiem wokół ogniska. Studia Papy nad folklorem sprawiły, że zaprzyjaźnił się z Cyganami, którzy pozwolili mu korzystać z bogactwa ustnie przekazywanej tradycji.

— Popatrz — odezwała się w nadziei, że poprawi mu liumor. Tak bardzo kościł ten lud. — Cyganie.

— Widzę — odparł bez entuzjizmu. — Pożegnaj się z nimi. Są skazani tak samo jak my.

— Przestań, Papo!

— To prawda. Rom są koszmarem każdej dyktatury i z tego

powodu także zostaną wyeliminowani. To wolne duchy, ciągnące do thimów, śmiechu i swobody. Faszystowska mentalność nie może ich tolerować. Ich miejsce urodzenia to kawałek ziemi, który akurat znalazł się pod wozem rodziców w dniu urodzin. Nie mają stałego adresu ani zatrudnienia. Nie używają nawet dostatecznie często jednego imienia, ponieważ mają aż trzy: jedno publiczne, dla *gadje*, drugie używane wśród członków szczepu i trzecie, tajne, szeptane przez matkę do ucha zaraz po urodzeniu, mające zmyhć Diabła, gdyby kiedyś po nich przyszedł. Dla umysłu faszysty są czymś potwornym.

— Być może — przyznała Magda. — Ale co z nami? Czy my także jesteśmy czymś potwornym?

Wreszcie odwrócił się od okna.

— Nie wiem. I nie sędzę, by ktokolwiek wiedział. Jesteśmy dobrymi obywatelami wszędzie, gdzie się znajdziemy. Rozwijamy przemysł i handel, płacimy podatki. Może taki już nasz los. Po prostu nie wiem — potrząsnął głową. — Próbowalem to zrozumieć, ale nie potrafię. Tak samo, jak nie potrafię pojąć, o co chodzi z tym wyjazdem na Przełęcz Dinu. Nie ma tam nic ciekawego oprócz twierdzy, ale ona jest interesująca tylko dla kogoś takiego jak ty albo ja. Nie dla Niemców.

Oparł się wygodniej i przymknął oczy. Po chwili drzemał już, pochrapując cicho. Spał cały czas, gdy przejeżdżał obok dymiących kominów rafinerii Ploesti, przebudził się na chwilę, gdy mijah Floresti i zaraz zasnął ponownie. Magda zastanawiała się, co ich czeka i czego chcą od Papy Niemcy na Przełęczu Dinu.

Pola przesuwaly się za oknem, a ona pogrążyła się w swych zwykłych marzeniach: że jest żoną przystojnego, czulego i inteligentnego mężczyzny. Będą bardzo bogaci, lecz nie będą tracić tych bogactw na biżuterię i piękne stroje — te zabawki, którycli sensu nie mogła zrozumieć — lecz na książki i ciekawostki. Ich dom *będzie* przypominał muzeum, pełne drobiazków, tylko dla nich mających wartość. A dom ten *będzie* stał gdzieś daleko, gdzie nikt nie *będzie* wiedział ani przejmował się tym, że są Żydami. Jej mąż *będzie* wybitnym uczonym, ona zaś powszechnie znanym i podziwianym muzykiem. Znajdzie się

tam także miejsce dla Papy — i dość pieniędzy na najlepszych lekarzy i opiekę, tak by ona miała czas na zajmowanie się muzyką.

Gorzki uśmiech wyrzywił jej usta. Piękna fantazja, lecz nie poza tym. Dla niej było już za późno. Miała trzydzieści jeden lat, o wiele za dużo, l' y rozsądny mężczyzna uznał ją za odpowiednią kandydatkę na żonę i matkę swych dzieci. Nadawała się tylko na czyjaś kochankę, a to, naturalnie, nie wchodziło w rachubę.

Kiedyś, dwanaście lat temu, był ktoś w jej życiu... Michaił, student ojca. Coś rodziło się między nimi, lecz potem umarła matka i Magda poświęciła się ojcu — tak dokładnie, że Michaił pozostał z boku. Nie miała wyboru; śmierć matki wstrząsnęła Papą i tylko córka nadawała sens jego życiu.

Magda dotknęła wąskiej, złotej obrączki na serdecznym palcu pęawej ręki. Kiedyś należała do matki. Wszystko mogło ułożyć się inaczej, gdyby matka nie umarła.

Od czasu do czasu Magda wspominała Michaiła. Ożenił się z inną i miał już troje dzieci. Ona miała tylko Pape.

Śmierć matki zmieniła wszystko. Magda sama nie wiedziała, jak doszło do tego, że Papa stał się ośrodkiem, wokół którego toczyło się jej życie. Otaczali ją wtedy mężczyźni, jednak nie zwracała na nich uwagi. Ich zaloty i awanse padały jak krople wody na porcelanową figurkę, nie doceniane i nie przyjmowane, pozostawiające tylko krązek wilgoci, gdy parowały.

Wszystkie te lata spędziła pragnąc dokonać czegoś niezwykłego, a jednocześnie marząc o wszystkich zwyczajnych rzeczach, które inne kobiety uważały za naturalne. A teraz było już za późno. Przyszłość nie niosła dla niej niczego — z każdym dniem widziała to coraz wyraźniej.

A przecież mogło być inaczej. Gdyby mama nie umarła. Gdyby Papa nie zachorował. Gdyby nie urodziła się Żydówką. Lecz do tego nie mogła się przyznać. Papa byłby wściekły i załamany, gdyby wiedział, że tak to odczuwa. Taka jednak była prawda. Gdyby nie byli Żydami, nie jechaliby tym pociągiem. Papa nadal wykładałby na uniwersytecie, a przyszłość nie rysowałaby się jako mroczna, przerażająca otchłań, od której nie ma ucieczki.

Za oknem pojawiły się pierwsze wzgórza, pociąg zaczął

wspinać się pod górę. Słońce wznosiło się nad szczytami gór, gdy pokonywali ostatnie wzniesienie przed Campiną. Kiedy mijali kolumny niewielkiej rafinerii w Steaua, Magda pomogła ojcu włożyć sweter. Potem, zawiązawszy mocniej cliustę, ruszyła wyciągnąć wózek inwalidzki z wnęki na końcu wagonu. Młodszy z dwóch gwardzistów wstał i poszedł za nią. Przez całą drogę czuła na sobie jego wzrok, badający fałdy ubrania, próbujący odkryć prawdziwe kształty jej ciała. Im dalej byli od Bukaresztu, tym jego spojrzenia stawały się bardziej bezczelne.

Gdy pochylała się, by poprawić poduszkę na siedzeniu, przez grubą spódnicę poczuła na pośladkacli jego rękę. Palcami prawej dłoni usiłował sięgnąć jej między nogi. Wyprostowała się i odwróciła czując mdłości obrzydzenia. Z wysiłkiem powstrzymała się od rozorania paznokciami jego twarzy.

— Byłem pewiem, że ci się to spodoba — oświadczył, obejmując ją ramionami. — Nie jesteś brzydka jak na Żydówkę i od razu zauważyłem, że trzeba ci prawdziwego mężczyzny.

Magda spojrzała na niego. Na pewno nie był „prawdziwym mężczyzną”. Miał najwyżej dwadzieścia lat, pewnie jeszcze mniej; górną wargę pokrywało mu coś, co miało być wąsikiem, lecz wyglądało raczej na plamę brudu. Przycisnął ją do siebie.

— Następnny wagon to bagażowy. Cliodźmy.

Twarz Magdy pozostała całkowicie obojętna.

— Nie.

’Popchnął ją.

— No, ruszaj się.

Tłumiąc strach i obrzydzenie, jakim napełniał ją jego dotyk, zastanawiała się, co robić. Musiała coś powiedzieć, lecz nie Chciała go rozzłościć ani podsunąć myśli, że musi się wykazać.

— Czy nie możesz znaleźć dziewczyny, która cię zechce? — spytała, patrząc mu prosto w oczy.

Mrugnął zdziwiony.

— Jasne, że mogę.

— Więc czemu ci się wydaje, że musisz próbować z taką, która nie chce?

— Podziękujesz mi, jak już będzie po wszystkim — stwierdził, szczerząc zęby.

— Musisz?

Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, wreszcie spuścił wzrok. Magda nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Była gotowa na pokaz wrzasków i kopania, gdyby nadal próbował wepchnąć ją do następnego wagonu.

Pociąg szarpnął, zgrzytnęły hamulce. Zbliżył się do węzła kolejowego w Campinie.

— Nie ma czasu — mruknął gwardzista, pochylając się do okna. — Szkoda. W porównaniu z nimi byłbym dechkatnym kochankiem — dodał, wskazując ręką na peron.

Magda wyjrzała na zewnątrz. Poczula, że nagle słabnie. Na stacji stało czterech żołnierzy w czarnych mundurach. Słyszała wystarczająco dużo na temat SS, by od razu rozpoznać jego funkcjonariuszy.

XII

KADABURN, TURCJA

Wtorek, 29 kwietnia

godz. 18.02

. i

Rudowłosa mężczyzna stał na tamie, wystawiając twarz na ostatnie promienie zactiodzającego słońca. Cień pała, o który się opierał, wydłużał się coraz bardziej. Morze Czarne... bezsensowna nazwa. Było niebieskie i przypominało ocean. Wokół tłoczyły się aż do brzegu piętrowe, ceglane domki. Ich czerwone dachy zlewały się niemal ze słońcem.

Bez trudu znalazł łódź. W okolicy nie narzekano na brak ryb, rybacy jednak pozostawali biedni, niezależnie od udanych połowów. Ich życie było ciągłą walką o przetrwanie.

Tym razem miał płynąć nie smukłą i szybką przemytniczą motorówką, lecz przyciężkim, obrośniętym kryształami soli sardynkowcem. Nie tego potrzebował, lecz nie mógł znaleźć nic lepszego.

Łódź przemytnika dowiozła go w pobliże Silivri, na zacliód od Konstantynopola... cliociaż nie, teraz nazywali to miasto Istambułem. Pamiętał, jak mniej więcej dziesięć lat temu aktualny rząd zmienił nazwę. Musi się do niej przyzwyczaić, choć pewnie długo jeszcze będzie się mylił. Dobił do brzegu, zeskoczył na piasek, trzymając pod pachą długi, płaski pakunek, po czym zepchnął łódź na morze Marmara. Będzie tam dryfować wraz z ciałem swego właściciela na pokładzie, dopóki nie trafi na nią jakiś rybak albo statek jakiegoś rządu, który w danej chwili przyznawał się do tego skrawka wody.

Przebył łądem trzydzieści kilometrów falujących lekko równin europejskiej części Turcji. Okazało się, że równie łatwo jest kupić konia tam, na południu, jak wynająć łódź tu, na

północy. Gdy na prawo i lewo padały rządy, nikt nie był pewny, czy dzisiejsze pieniądze jutro nie okażą się bezwartościowymi świstkami papieru. Widok i dotyk złota otwierały niemal wszystkie drzwi.

Stał teraz na brzegu Morza Czarnego, stukał stopą o ziemię, bębnił palcami po płaskim pudle i czekał, aż jego sponiewierana łódź zakończy tankowanie. Powstrzymywał clięc, by podbiec tam i popędzić szypra kilkoma solidnymi kopniakami. Nic by nie osiągnął. Wiedział, że nie można poganiać tych ludzi. Żyli własnym tempem, dużo wolniejszym niż jego.

Czekało go 250 mil drogi na północ, do delty Danube, potem jeszcze trzysta kilometrów łądem do Przełęczy Dinu. Gdyby nie ta idiotyczna wojna, wynajęłby samolot i już dawno dotarłby na miejsce.

Co się tam stało? Czyżby jakaś bitwa na przełęczy? W radio nie wspominali o walkach w Rumunii. Nieważne. Zdarzyło się coś nieprzewidzianego. A uważał tę sprawę za załatwioną raz na zawsze.

Skrzywił się ironicznie. Na zawsze? On powinien wiedzieć najlepiej, jak rzadko trafia się coś stałego.

Wciąż jednak była szansa, że zdarzenia nie przekroczyły granicy, zza której nie ma już odwrotu.

XIII

TWIERDZA **Wtorek, 29 kwietnia** *godz. 17.52*

— Czy nie widzicie, że jest zmęczony?! — krzyknęła Magda. Nie czuła już lęku, tylko gniew i troskę, jak ojciec wytrzymał te przejścia.

— Może sobie zdyciać — oświadczył oficer SS, major Kaempffer. — Chcę tylko, żeby powiedział mi wszystko, co wie o twierdzy.

Podróż z Campiny była koszmarem. Wepchnięci bezceremonialnie na ciężarówkę, pilnowani byli przez dwóch żołnierzy. Druga para siedziała w szoferce. Papa rozpoznał ich jako Einsatzkommando i szybko jej wyjaśnił, w jakich zadaniach się specjalizowali. Zresztą, nawet bez tego byli odrażający; traktowali ją i Papę jak bagaż. Nie mówili po rumuńsku, używali za to języka pchnięć i uderzeń lufami karabinów. Magda wyczuła jednak, że za tą brutalnością kryje się jakby zaabsorbowanie. Zdawało się, że cieszył ich wyjazd z twierdzy i niechętnie tam wracali.

Ojciec szczególnie ciężko znosił jazdę. Siedział na ławeczce wzdłuż burty skrzyni wozu, który podskakiwał, szarpał i kołysał się gwałtownie, pędząc drogą nie przeznaczoną dla tego typu pojazdów. Każda nierówność powodowała nowe cierpienia. Magda patrzyła bezradnie, jak Papa krzywi się i zaciska z bólu zęby. Wreszcie ciężarówka zatrzymała się przed mostkiem, czekając, aż zjedzie z niego zaprzężony w kozy wózek. Wtedy pomogła ojcu wstać z ławki i usiąść w fotelu. Działała szybko. Nie miała pojęcia, co dzieje się na zewnątrz, lecz póki kierowca naciskał niecierpliwie klakson, wiedziała, że ma jeszcze trochę

czasu. Potem musiała tylko trzymać mocno Koła fotela, by nie zjechał z platformy, cały czas starając się samej nie ześlizgnąć z ławki. Strażnicy przyglądali się jej drwiąco i nawet nie próbowali pomóc. Zanim dotarli do twierdzy, była równie zmęczona jak ojciec.

Twierdza... Zmieniała się. Kiedy jechali w półmroku przez most, wydała jej się dobrze utrzymana, jak zwykle, lecz gdy tylko znaleźli się na dziedzińcu, Magda wyczuła coś niezwykłego — aurę zagrożenia, zmianę w samym powietrzu, od którego robiło się ciężko na duszy, a kark i ramiona ogarniał chłód.

Papa także to zauważył. Dostrzegła, jak unosi głowę i rozgląda się, jakby chciał znaleźć przyczynę tego wrażenia.

Niemcy chyba się śpieszyli. Zauważyła dwie grupy żołnierzy, w szarych mundurach i w czerni SS. Dwaj z szarych otworzyli klapę skrzyni i powtarzając: *Schnell! Schnell*, pokazali im gestami, że mają wysiąść. Magda odezwała się do nich po niemiecku. Rozumiała ten język i mówiła nim stosunkowo dobrze.

— On nie może chodzić! — w danej chwili było to prawdą. Papa znalazł się na krawędzi fizycznego załamania.

Żołnierze bez wahania wskoczyli na platformę i znieśli ojca razem z wózkiem. Jednak to ona musiała pchać go przez dziedziniec. Idąc czuła, jak gęstnieją wokół niej cienie.

— Tutaj stało się coś złego — szepnęła ojcu do ucha. — Czujesz to?

Papa wolno skinął głową.

Dojechali aż do wieży. Dwóch niemieckich oficerów, jeden w szarym, drugi w czarnym mundurze, czekało tam na nich przy niezgrabnym stoliku z desek. Pod sufitem paliła się pojedyncza żarówka.

Zmrok dopiero zapadał.

— Przede wszystkim — powiedział Papa, gdy major Kaempffer zażądał informacji — ta budowla nie jest twierdzą. Twierdza, albo donżon, jak nazywamy to w tych okolicach, była ostatnią, wewnętrzną fortyfikacją w zamku, końcową warownią, gdzie pan zamku pozostawał ze swoją rodziną i służbą. Ta budowla — zatoczył dłońmi niewielki krąg — stoi

samotnie. Nie wiem, jak ją nazwać. Jak na zwykłą strażnicę jest zbyt solidnie zaprojektowana i zbudowana, a przy tym za mała, by miał tu siedzibę jakiegokolwiek pan feudalny. Zawsze nazywano ją „twierdzą”, zapewne z braku lepszego określenia. Sądzę, że możemy się trzymać tej nazwy.

— Nie obchodzi mnie, co sądzisz! — warknął major. — Potrzebuję tego, co wiesz! Chcę znać historię twierdzy, związane z nią legendy, wszystko.

— Czy nie można z tym poczekać do rana? — wtrąciła Magda. — Mój ojciec nie potrafi teraz myśleć jasno. Do jutra...

— Nie! Musimy wiedzieć teraz!

Magda spojrzała na jasnowęłosego majora i na drugiego oficera, bardziej krępego, z ciemniejszymi włosami, kapitana nazwiskiem Woermann. Jeszcze się nie odezwał. W ich oczach dostrzegła to samo, co u wszystkich Niemców, których spotykała, odkąd wysiedli z pociągu — wspólny mianownik, którego dotąd nie rozpoznała. Ci ludzie się bali. Wszyscy, oficerowie czy żołnierze, bez różnicy, byli śmiertelnie przerażeni.

— O jakie konkretnie informacje chodzi? — spytał Papa.

— Profesorze Cuza — odezwał się w końcu kapitan Woermann. — W ciągu tygodnia, kiedy tu kwaterujemy zamordowanych zostało ośmiu ludzi — major spojrzał na niego z wściekłością, ale kapitan albo tego nie zauważył, albo postanowił zignorować. — Jedno morderstwo każdej nocy, z wyjątkiem ostatniej, gdy rozszarpano dwa gardła.

Papa otworzył usta, by odpowiedzieć. Magda modliła się, by nie powiedział czegoś, co rozwścieczy Niemców, lecz chyba sam pojął niebezpieczeństwo.

— Nie mam kontaktów politycznych i nie wiem o żadnym oddziale działającym na tym terenie. Nie mogę panom pomóc.

— Nie uważamy już, że wchodzi tu w grę motywy polityczne — stwierdził kapitan.

— Więc co? Kto to robi?

Zdawało się, że odpowiedź sprawia Woermannowi niemal fizyczny ból.

— Nie jesteśmy nawet pewni, czy jest to „ktoś”.

Słowa jakby zawisły w powietrzu. Magda spostrzegła, że

usta ojca układają się w niewielki owal, który ostatnio oznaczał u niego uśmiech, a twarz przybiera wygląd nagiej czaszki.

— Sądziacie, panowie, że działa tu jakaś nadprzyrodzona siła? Ginie wielu waszych ludzi, a kiedy nie potraficie złapać mordercy i nie chcecie uwierzyć, że rumuńscy partyzanci mogliby być lepsi od was, szukacie duchów? Jeśli chcecie znać moje zdanie...

— Zamknij się. Żydzie! — krzyknął wściekły major SS, postępując o krok w jego stronę. — Jedyne powód twojego przyjazdu tutaj, i jedyne, dla którego nie kazałem ci natychmiast rozstrzelać razem z córką, to fakt, że dobrze znasz te tereny i jesteś specjalistą od tutejszego folkloru. Jak długo pozostaniesz przy życiu, zależy wyłącznie od tego, jak bardzo okażesz się przydatny. Do tej pory nie powiedziałeś niczego, co by mnie przekonało, że sprowadzając cię tutaj nie zmarnowałem czasu.

Papa spojrział na Magdę, potem na majora, a jego uśmiech znikł jak zdmuchnięty. Groźba dotycząca córki odniosła należyty skutek.

— Zrobię, co będę mógł — oświadczył posepnie. — Najpierw jednak musicie mi opowiedzieć o wszystkim, co tu zaszło. Może potrafię znaleźć bardziej racjonalne wyjaśnienie.

— Dla twojego własnego dobra będzie lepiej, jeśli ci się uda.

Kapitan Woermann opowiedział im o dwóch żołnierzach, którzy znaleźli krzyż ze srebra i złota zamiast z mosiądzu i niklu, o wąskim korytarzyku, prowadzącym do ślepej na pozór komory, o pęknięciu ściany w korytarzu i zawaleniu się podłogi, kryjącej wejście na niższy poziom podziemi, a także o tym, co spotkało szeregowca Lutza i tych, którzy zginęli po nim. Opowiedział też o chmurze nieprzeniknionego mroku, jaką widział pod murem dwie noce temu i o dwóch SS-manach, którzy wdarli się do kwatery majora Kaempffera po tym, jak coś rozerwało im gardła.

Słuchająca tej opowieści Magda poczuła, że ogarnia ją nieprzyjemny chłód. W innych okolicznościach mogłaby się roześmiać, ale atmosfera twierdzy i poważne twarze obu niemieckich oficerów nadawały historii cech prawdopodobieństwa. Z łękiem uświadomiła sobie, że śniła o podróży na

północ mniej więcej w tym samym czasie, gdy zginął pierwszy żołnierz.

Nie mogła jednak dłużej się nad tym zastanawiać. Musiała opiekować się Papą. Obserwowała go pilnie, gdy słuchał. Śmiertelne zmęczenie znikало z jego twarzy w miarę, jak dowiadywał się o kolejnych zabójstwach, o nowych tajemniczych zdarzeniach. Gdy kapitan skończył, Papa był całkowicie odmieniony. Na miejscu starego, schorowanego człowieka, zgarbionego w fotelu na kółkach, pojawił się profesor Theodor Cuza, ekspert w swojej dziedzinie. Milczał przez chwilę, zanim zabrał głos.

— Oczywiście byłoby założenie, że działa tu coś, co zostało uwolnione z tej małej ukrytej komory, gdy dotarł do niej pierwszy żołnierz. O ile wiem, w twierdzy nigdy nie zginął żaden człowiek. Nigdy jednak nie stacjonowały tu obce wojska. Sądziłbym, że wszystkie zaistniałe zdarzenia są dziełem rumuńskich patriotów — zaakcentował to ostatnie słowo — gdyby nie to, co zaszło przez ostatnie dwie noce. Nie potrafię rozsądnie wyjaśnić przygasania żarówki na murze ani poruszenia się okaleczonych zwłok. Może więc należy szukać rozwiązań poza naturą.

— Po to tu jesteś. Żydzie — burknął major.

— Najprostszym wyjściem byłoby opuścić to miejsce.

— Wykluczone!

Papa zamyślił się.

— Nie wierzę w wampiry, panowie — spojrzał ostrzegawczo na Magdę. Wiedziała, że nie do końca jest to prawdą. — W każdym razie teraz już nie. Ani w wilkołaki czy upiory. Zawsze jednak uważałem, że jest w tej twierdzy coś niezwykłego. Od dawna stanowi tajemnicę. Konstrukcja jest unikalna, a przy tym nie ma żadnych zapisów na temat jej budowniczego. Utrzymywana jest w doskonałym stanie, a jednak nikt nie przyznaje się do jej posiadania. Nigdzie nie ma śladów po właścicielu. Wiem o tym, gdyż straciłem całe lata próbując się dowiedzieć, kto ją zbudował i kto ją utrzymuje.

— Pracujemy nad tym — wtrącił major Kaempffer.

— Chce pan powiedzieć, że sprawdzacie akta w Mediterranean Bank w Zurychu? Niepotrzebna strata czasu. Byłem

tam już. Pieniądze pochodzą z konta założonego w poprzednim stuleciu, gdy utworzono ten bank. Wydatki na konserwację twierdzy opłacane są z procentów. Wcześniej, jak sędzę, płacone były z podobnego konta w innym banku, może w innym kraju... Zapisy w księgach gospody, zwłaszcza te z poprzednich pokoleń, pozostawiają wiele do życzenia. Faktem jest, że nie istnieje żaden trop, prowadzący do osoby lub osób, które otworzyły konto. Pieniądze mają pozostawać w banku i procenty mają być wypłacane *in perpetuum*.

— Co z ciebie za pożytek! — major Kaempffer uderzył pięścią w stół.

— Nie ma pan nikogo innego, *Herr Major*. Pozwoli pan, że będę kontynuował. Trzy lata temu posunąłem się do tego, że wystosowałem petycję do rumuńskiego rządu — tego, który powołał król Karol — by uznał twierdzę za zabytek narodowy i przejął na własność. Miałem nadzieję, że taka *de facto* nacjonalizacja zmusi właścicieli, o ile jeszcze żyją, by się ujawnili. Odmówiono jednak mojej prośbie. Przełącz Dinu jest zbyt odległa i trudno dostępna. W dodatku z twierdzą nie wiąże się bezpośrednio żaden fragment historii Rumunii, trudno więc było uznać ją za zabytek narodowy. Wreszcie, i to chyba było najważniejsze, nacjonalizacja wymagałaby wydatkowania funduszy rządowych na konserwację. A po co je marnować, skoro ktoś chce na to poświęcać prywatne pieniądze? Nie mogłem się spierać z taką argumentacją. W tej sytuacji, panowie, poddałem się. Choroba spowodowała, że nie mogłem wyjeżdżać z Bukaresztu. Musiałem zadowolić się satysfakcją z faktu, że jestem największym z żyjących autorytetów w sprawach twierdzy, że wiem o niej więcej niż ktokolwiek inny. Czyli, praktycznie rzecz biorąc, zupełnie nic.

Magdę irytowało ciągle używanie przez ojca słowa „ja”. Przecież to ona wykonała dla niego większą część pracy. Wiedziała o twierdzy nie mniej niż on. Milczała jednak. Nie do niej należało spieranie się z Papą, w każdym razie nie w obecności obcych.

— A co z tym? — kapitan Woermann wskazał na złożony w kącie zwój manuskryptu i stos oprawionych w skórę ksiąg.

— Książki? — Papa uniósł brwi.

— Zaczęliśmy rozbierać mury — wyjaśnił major Kaempfer. — Wkrótce to coś, czego szukamy, nie będzie się miało gdzie ukryć. Wystawimy każdy kamień na światło dnia. Gdzie wtedy pójdzie?

— Niezły plan — Papa wzruszył ramionami. — O ile w ten sposób nie uwolnicie czegoś jeszcze gorszego.

Na pozór obojętnie spojrzął w stronę stosu książek, wcześniej jednak z satysfakcją zanotował zdumioną minę majora. Takiej możliwości nie brał widocznie pod uwagę.

— Gdzie znaleźliście te książki? W twierdzy nie ma biblioteki, a tutejsi chłopcy ledwie potrafią przeczytać własne nazwiska.

— Były ukryte w skrytce w jednej ze ścian, które rozebraliśmy — odezwał się kapitan.

Papa obejrzał się na Magdę.

— Zobacz, co to jest.

Magda przeszła do rogu i przyklękła z ulgą. Nie mogła już ustać. W pokoju nie było niczego, co nadawałoby się do siedzenia, z wyjątkiem wózka Papy, nikt też nie zaproponował, że przyniesie krzesło. Wciągnęła w nozdrza znajomą, stęchlą woń starego papieru; kochała książki i kochała ten zapach. Książek było tu około dziesięciu, jedna w formie zwoju. Magda przekładała je powoli, starając się, by mięśnie grzbietu wypoczywały jak najdłużej, zanim znowu będzie musiała wstać. Otworzyła pierwszy z brzegu wolumin. Tytuł był angielski „Księga Eibonu”. Była wstrząśnięta. Niemożliwe... to jakiś żart! Przejrzała pozostałe, tłumacząc tytuły z najrozmaitszych języków, w jakich zostały napisane. Czula, jak rośnie jej zdumienie i niepokój. Te księgi były autentyczne! Wstała, w pośpiechu prawie potykając się o własne nogi.

— Co się stało? — spytał Papa, widząc wyraz jej twarzy.

— Te księgi — odparła, niezdolna skryć zaskoczenie i odrazę. — Nie powinny istnieć!

Papa podjechał wózkiem do stołu.

— Przynies je tutaj.

Magda podniosła delikatnie dwie z nich. Jedną była *De Vermis Mysteriis* Ludwiga Prinna, drugą *Cultes des Goules* Comte d'Erlette, obie bardzo ciężkie. Od ich dotyku przechodził

ją dreszcz. Obaj oficerowie zainteresowali się na tyle, że szybko przenieśli pozostałe woluminy.

Papa drżał z podniecenia, rosnącego z każdym składanym na stole tomem. Mruczał coś pod nosem w przerwach pomiędzy głośnym odczytywaniem tytułów.

— „Manuskrypty pnakotyczne” w rękopisie! Tłumaczenia du Norda „Księgi Eibonu”! „Siedem tajemnych ksiąg Hsan”! A tutaj *Unaussprechlichen Kulten* von Juntza! Te teksty były powszechnie zakazane i palone od wieków, zniszczono tyle egzemplarzy, że przetrwały jedynie opowieści o nich. Czasem przypuszczano, że w ogóle nie istniały. A przecież są tutaj, pewnie ostatnie, jakie ocalały.

— Może nie bez powodu były zakazane. Papo — zauważyła Magda. Nie podobał się jej blask, jaki zapłonął nagle w jego oczach, a samo znalezisko wstrząsnęło nią. Te książki miały opisywać odrażające rytuały i sposoby kontaktu z mocami spoza granicy rozsądku oraz normalności. Teraz przekonała się, że istniały naprawdę, że one i ich autorzy nie byli tylko ponurymi pogłoskami. Niepokoilo ją to do głębi, naruszało porządek rzeczy.

— Może i tak — odparł Papa, nie podnosząc głowy. Ściągnął zewnętrzne, skórzane rękawiczki i nasuwał właśnie gimiowy napastrzek na czubek palca wskazującego. Poprawiwszy dwuogniskowe okulary zaczął przerzucać strony. — Ale to było dawno. Mamy dwudziesty wiek. Nie wyobrażam sobie, co można znaleźć w tych książkach takiego, z czym byśmy nie potrafiłi sobie poradzić.

— Co może być aż tak okropnego? — zdziwił się Woermann, podnosząc oprawny w skórę z żelaznymi okuciami egzemplarz *Unaussprechlichen Kulten*, — Spójrzcie, ta jest po niemiecku.

Otworzył książkę, przeglądał ją przez chwilę, wreszcie zatrzymał się gdzieś w połowie i zaczął czytać. Początkowo Magda chciała go ostrzec, lecz powstrzymała się od tego. Nie miała żadnych zobowiązań wobec Niemców.

Kapitan zbłądził nagle i zaczął spazmatycznie przelykać ślinę. Zatrzasnął księgę.

— Jaki chory, oszalały umysł mógł stworzyć coś takiego?

To... to... — najwyraźniej nie potrafił znaleźć właściwych słów, by opisać swe uczucia.

— Co pan tam ma? — Papa podniósł wzrok znad książki, której tytułu jeszcze nie przeczytał. — Ach, von Juntza. Został wydany prywatnie w Düsseldorfie w 1839 roku. Wyjątkowo mały nakład, może z dziesięć egzemplarzy... — przerwał nagle.

— Coś się nie zgadza? — spytał Kaempffer. Stał oddalony od pozostałych i nie przejawiał zbytnej ciekawości.

— Tak. Twierdzą zbudowano w piętnastym wieku. Tyle wiem na pewno. Wszystkie te teksty zostały napisane wcześniej, z wyjątkiem książki von Juntza. Co oznacza, że w połowie zeszłego wieku, może później, ktoś odwiedził to miejsce i schował ją razem z pozostałymi.

— Nie bardzo rozumiem, w czym mogłoby to nam pomóc — odparł Kaempffer. — Jak może ta wiadomość ochronić kolejnego żołnierza — uśmiechnął się do nowego pomysłu — albo nawet ciebie czy twoją córkę od śmierci dzisiejszej nocy?

— Ten fakt rzuca jednak nowe światło na cały problem — stwierdził Papa. — Księgi, które widzicie przed sobą, zostały w różnych wiekach zakazane jako złe. Nie zgadzam się z tym. Uważam, że nie są złe, jedynie opisują zło. Ta, którą trzymam w rękę, budziła wyjątkową grozę — to arabski oryginał *Al Azif*.

Magda gwałtownie zaczerpnęła tchu. Ta księga była najgorsza ze wszystkich.

— Nie! — zawołała.

— Tak. Niezbyt dobrze znam arabski, wystarczająco jednak, by odczytać tytuł i nazwisko poety, który stworzył to dzieło — spojrzął na Magdę, potem na Kaempffera. — Rozwiązanie waszego problemu znajduje się może na stronach jednej z tych książek. Zaczne je badać jeszcze dziś wieczór. Najpierw jednak chciałbym obejrzeć zwłoki.

— Po co? — zdziwił się Woermann, który doszedł już do siebie po krótkim spojrzeniu w tekst von Juntza.

— Chcę zobaczyć rany. Żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie mają charakteru rytualnego.

— Zaraz tam pójdziemy — zgodził się major. Wezwał dwóch SS-manów jako eskortę.

Magda nie chciała iść, nie chciała oglądać martwych żoł-

nierzy. Bała się jednak czekać samotnie na powrót pozostałych. Ujęła więc uchwyt wózka ojca i popchnęła go w stronę schodów do podziemi. Tam odepchnięto ją na bok i na rozkaz majora SS-mani znieśli na dół Papę razem z fotelem. W podziemiach panował chłód. Żałowała, że przyszła.

— Czy wie pan coś na temat tych krzyży, profesorze? — zapytał kapitan, gdy szli korytarzem. Magda znowu zajęła miejsce za wózkiem. — Co one oznaczają?

— Nie wiem. Na ich temat nie istnieją nawet legendy, z wyjątkiem jednej, jakoby twierdzą wybudował któryś z papieży. W piętnastym wieku jednak Święte Imperium Rzymskie przechodziło kryzys, ta okolica zaś była stale zagrożona atakiem ze strony Otomańskich Turków. Hipoteza papieska jest więc bezsensowna.

— Może to Turcy zbudowali twierdzą?

— Niemożliwe — pokręcił głową Papa. — To nie jest ich styl architektoniczny, a krzyże z pewnością nie są motywem tureckim.

— A co pan powie o kształcie tych krzyży?

Kapitan zdawał się szczerze interesować twierdzą, więc Magda odpowiedziała mu, zanim Papa zdążył się odezwać. Tajemnicę krzyży badała osobiście przez całe lata.

— Nikt nic nie wie. Przystudiowaliśmy z ojcem niezliczone tomy poświęcone historii chrześcijaństwa, historii Rzymu, historii narodów słowiańskich. Nigdzie nie znaleźliśmy krzyża choć trochę podobnego do tych tutaj. Gdybyśmy znaleźli historyczny precedens, to być może udałoby się powiązać jego twórcę z twierdzą. Ale nie odkryliśmy niczego. Krzyże są tak samo unikalne jak budowla, w której się znajdują.

Chciała mówić dalej — pozwalało jej to nie myśleć o tym, co znajduje się w podziemiach — ale kapitan zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Może powodem było to, że dotarli do szczeliny w ścianie, czuła jednak, że chodzi raczej o osobę udzielającą informacji. Była przecież tylko kobietą. Westchnęła cicho i umilkła. Spotkała się już z taką postawą i potrafiła rozpoznać jej syndromy. Niemieccy mężczyźni mieli najwyraźniej wiele wspólnego z rumuńskimi. Ciekawe, czy inni też są tacy sami.

— Jeszcze jedno pytanie — zwrócił się do Papy kapitan. — Jak pan myśli, dlaczego w twierdzy nie ma ptaków?

— Szczerze mówiąc, nigdy nie zwróciłem na to uwagi.

Magda zdała sobie sprawę, że istotnie, choć była tu już wielokrotnie, nigdy nie widziała ptaków. Nie przyszło jej jednak do głowy, że ich nieobecność jest czymś niewłaściwym... dopiero teraz.

Gruz przy pękniętym murze został uprzątnięty. Magda wymijała wózkami ułożone w regularnych odstępach stosy odłamków, czując zimny podmuch wiejący z otworu w podłodze za ścianą. Sięgnęła do kieszeni za oparciem fotela i wyjęła skórzane rękawiczki Papy.

— Lepiej je załóż — powiedziała, zatrzymując się i podając mu lewą rękawiczkę tak, by mógł bez trudu wsunąć w nią dłoń.

— Przecież on już ma rękawiczki — odezwał się niecierpliwie Kaempffer.

— Ma ręce bardzo wyczulone na zimno — wyjaśniła Magda, podając ojcu prawą rękawiczkę. — To część jego choroby.

— A co to właściwie za choroba? — spytał Woermann.

— Nazywa się skleroderma — jak się spodziewała, nie znali tej nazwy.

— Ja też o niej nie słyszałem, dopóki się nie okazało, że jestem na nią chory — odezwał się Papa, poprawiając rękawiczkę. — Prawdę mówiąc, pierwsi dwaj lekarze, którzy mnie badali, także jej nie rozpoznali. Nie chcę wchodzić w szczegóły, powiem tylko, że działanie tej choroby nie ogranicza się do rąk.

— A jak działa na ręce?

— Każdy nagły spadek temperatury hamuje obieg krwi w palcacli. Jej dopływ na pewien czas praktycznie ustaje. Upredzono mnie, że jeśli nie będę uważał, może się wywiązać gangrena i stracę palce. Dlatego noszę rękawiczki dniami i nocą przez okrągły rok, z wyjątkiem najcieplejszych dni lata. Nawet do łóżka — podniósł głowę. — Jestem gotów, panowie. Magda drżała z zimna.

— Na dole jest chyba zbyt chłodno, Papo.

— Nie przyniesiemy przecież ciała na górę, żeby je mógł obejrzeć — warknął Kaempffer. Na jego znak żołnierze jeszcze raz chwycili wózek i przenieśli wraz z pasażerem przez szczelinę.

Kapitan Woermann podniósł z podłogi i zapalił lampę naftową. Ruszył przodem. Major Kaempffer z drugą lampą zamykał pochód. Magda szła z wahaniem, starając się trzymać w pobliżu ojca. Wciąż się bała, że jeden z niosących go żołnierzy poślizgnie się na wilgotnych stopniach i przewróci. Uspokoila się dopiero, gdy koła wózka dotknęły ziemi.

Jeden z SS-manów złapał uchwyty wózka i ruszył za oficerami. Cała grupa podeszła do ośmiu okrytych całunami kształtów, ułożonych na ziemi dziesięć metrów dalej. Jedyne Magda została z tyłu, przy stopniach. Nie chciała tego widzieć.

Zauważyła zdenerwowanie kapitana. Obszedł dookoła ciała, pochylił się i wygładził całuny. „Podziemie”, pomyślała. Przyjeżdżali tu z Papą tyle razy i nie domyślali się nawet istnienia tej komory. Zimno tu. Potarła dłońmi o ramiona, starając się przywrócić im nieco ciepła.

Rozglądała się niespokojnie, szukając znaków obecności szczurów. W ich nowym domu w Bukareszcie, do którego zmuszeni byli się przeprowadzić, w piwnicach były szczury; nie tak, jak w małym domku przy uniwersytecie, gdzie mieszkali poprzednio. Wiedziała, że jej lęk przed tymi gryzoniami jest przesadny, ale nic nie mogła na to poradzić. Przepelniały ją odrazą... to, jak się poruszały, wlokąc za sobą nagie ogony... robiło jej niedobrze.

Tu jednak nie zauważyła ruchliwych sylwetek. Odwróciła się więc, by zobaczyć, jak kapitan podnosi jedną płachtę po drugiej, odsłaniając głowę i ramiona każdego z zabitych. Nie słyszała, o czym rozmawiają z Papą, ale to jej nie przeszkadzało. Cieszyła się, że nie musi oglądać tego co oni.

Wreszcie mężczyźni zawrócili w stronę Magdy i stopni wiodących na górę. W miarę, jak się zbliżali, lepiej słyszała głos ojca.

— ...naprawdę nie dostrzegam w tych ranach żadnych cech rytualnych. Powodem śmierci ich wszystkich, oprócz tego mężczyzny bez głowy, było rozerwanie głównych arterii szyjnych. Nie zauważyłem śladów zębów, zwierzęcych ani ludzkich, jasne jest jednak, że ran nie zadano żadnym ostrym narzędziem. Tym ludziom rozerwano gardła... nie wyobrażam sobie nawet, jak można było tego dokonać.

Jak Papa mógł zachowywać taki kliniczny chłód, mówiąc o tak strasznych rzeczach?

Głos majora Kaempffera brzmiał ostro i groźnie.

— Jeszcze raz udało ci się dużo gadać i nic nie powiedzieć.

— Nie bardzo mam nad czym pracować. Może macie jeszcze coś?

Major ruszył szybszym krokiem, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć. Za to kapitan Woermann wyraźnie coś sobie przypomniał.

— Napis na ścianie! — zawołał pstrykając palcami. — Słowa wypisane krwią w języku, którego nikt nie zna!

Oczy Papy zabłysły.

*

— Muszę to zobaczyć!

Znowu uniesiono wózek i znowu Magda szła z tyłu aż do dziedzińca. Potem pchała ojca za Niemcami, idącymi w stronę tylnej części twierdzy. Wkrótce stanęli przy końcu ślepego korytarza i spojrzeli na nabazgrane na ścianie rudobrazową litery.

Linie różniły się grubością, lecz nie na tyle, by nie mogły być namalowane ludzkim palcem. Magda zadrżała od tej myśli

i spróbowała skupić się na tekście. Zdawało jej się, że poznaje użyty język i wiedziała, że potrafiłaby przetłumaczyć napis, gdyby tylko przestała myśleć o tym, czego użył autor zamiast atramentu.

ТЪЖИКЪ ОСТАВИТЕ НАШЪ АДАМЪ

— Wie pan, co to znaczy? — spytał Woermann.

Papa skinął głową.

— Tak — powiedział i umilkł, jak zahipnotyzowany wpatrując się w litery.

— A więc? — odezwał się Kaempffer.

Magda wiedziała, jak go irytuje to, że musi prosić Żyda o pomoc, a jeszcze bardziej, że musi czekać. Wolałaby, żeby ojciec był bardziej ostrożny i starał się nie prowokować Niemców.

— Tu jest napisane: „Obcy, zostawcie mój dom!”. W trybie rozkazującym — głos Papy brzmiał niemal mechanicznie. Coś go w tych słowach niepokoiło.

Kaempffer uderzył dłonią w kaburę.

— Aha! Więc te morderstwa mają jednak podłoże polityczne!

— Być może. To ostrzeżenie, żądanie, czy jak panowie zechcecie je nazwać, zostało sformułowane w doskonałym starosłowiańskim, który jest martwym językiem. Tak martwym jak łacina. A litery nakreślono dokładnie tak, jak się to robiło w dawnych wiekach. Wiem o tym, czytałem wystarczająco dużo manuskryptów.

Teraz, gdy Papa zidentyfikował język, umysł Magdy skupił się na samych słowach. Zdawało jej się, że wie, co jest w nich niepokojącego.

— Wasz zabójca, panowie — mówił dalej Papa — jest albo erudyta i uczonym wysokiej klasy, albo też przez ostatnie pół tysiąclecia był zamrożony.

XIV

— Zdaje się, że niepotrzebnie traciliśmy czas — stwierdził major Kaempffer, zaciągając się papierosem. Cała czwórka wróciła z powrotem na najniższy poziom wieży.

Wyczerpana Magda opierała się ciężko o stojący na środku pokoju wózek. Czuła, że pomiędzy Woermannem i Kaempfferem toczy się jakaś rozgrywka, choć nie rozumiała ani zasad, ani motywów graczy. Jednego tylko była pewna: życie Papy i jej własne zależało od wyniku tej gry.

— Nie zgadzam się — odparł kapitan Woermann. Założywszy ręce na piersi opierał się o ścianę obok drzwi. — Uważam, że wiemy więcej niż dziś rano. Niewiele więcej, zawsze jednak jest jakiś postęp. Do tej pory staliśmy w miejscu.

— To za mało — warknął Kaempffer. — O wiele za mało.

— Bardzo dobrze. Ponieważ jednak nie mamy dostępu do żadnych innych źródeł informacji, proponuję natychmiast opuścić twierdzę.

Kaempffer nie odpowiedział, chodził tylko tam i z powrotem po pokoju.

Papa chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

— Nie wtrącaj się. Żydzie!

— Posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Przecież po to go tu ściągnęliśmy.

Magda coraz wyraźniej dostrzegała wrogość, jaką żywili do siebie obaj oficerowie. Wiedziała, że Papa także coś zauważył i z pewnością postara się to wykorzystać.

— Może potrafię wam pomóc — Papa skinął ręką w stronę

stosu książek na stole. — Jak już mówiłem, rozwiązanie waszego problemu może być ukryte w tych tekstach. Jeżeli tak, to jestem jedyną osobą, która — z pomocą mojej córki — potrafi je odszukać. Jeżeli zechcecie, panowie, natychmiast wezmę się do pracy.

Kaempffer zatrzymał się i spojrzął na Woermanna.

— Warto spróbować — mruknął tamten. — Nie mam lepszych pomysłów. A ty?

SS-man rzucił niedopałek na podłogę i wolno rozdeptał go czubkiem buta.

— Trzy dni. Żydzie. Masz trzy dni na znalezienie czegoś użytecznego.

Wyminał ich i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Kapitan Woermann odsunął się od ściany i założył ręce do tyłu.

— Każę sierżantowi przygotować dla was śpiwory — spojrzął na zasuszone ciało Papy. — Niestety, nic lepszego nie mamy.

— Poradzę sobie, kapitanie. Dziękuję.

— Drzewo — wtrąciła Magda. — Będziemy potrzebowali drewna na ogień.

— Noce nie są aż tak zimne — odparł, kręcąc głową.

— Ręce Papy... jeśli coś się stanie, nie będzie zdolny nawet do przewracania kartek.

Woermann westchnął.

— Rozkażę sierżantowi, żeby zobaczył, co da się zrobić. Może znajdzie jakieś resztki desek — odwrócił się, by wyjść, lecz zatrzymał się na progu. — Coś wam powiem. Major zgniółby was oboje bez większego namysłu, jak tego papierosa, którego właśnie skończył. Ma własne powody, by szybko znaleźć rozwiązanie, a ja mam własne: nie chcę, by dalej ginęli moi ludzie. Znajdźcie sposób, by przetrzymać tu choćby jedną noc bez mordy, a wykażecie swoją wartość. Znajdźcie sposób pokonania tego czegoś, a może uda mi się przerwzić was z powrotem do Bukaresztu i zapewnić bezpieczeństwo.

— Ale może się panu nie uda — odezwała się Magda. Uważnie obserwowała kapitana. Czy naprawdę proponował im szansę ocalenia?

Woermann z ponurą miną powtórzył za nią:

— Ale może mi się nie uda.

Woermann polecił dostarczyć drewno do pokoju na parterze i stanął u stóp schodów, by chwilę pomyśleć. Z początku uznał tę parę z Bukaresztu za dość żalodne okazy ludzkie — dziewczyna przywiązana do ojca, ojciec przykuty do wózka. Gdy jednak przyglądał im się dłużej, gdy słuchał tego, co mówią, zaczął wyczuwać jakąś subtelną siłę. To dobrze. Oboje będą potrzebowali żelaznej odporności, by przeżyć w tym miejscu. Jeśli nie potrafili się tu obronić uzbrojeni mężczyźni, cóż mogą zrobić bezbronna kobieta i kaleka?

Nagle odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Nie potrafiłby wyjaśnić, skąd się wzięło, lecz odczuwał je bardzo wyraźnie. Nawet w najprzyjemniejszym otoczeniu wzbudziłoby to niepokój, tutaj zaś, gdzie tyle się zdarzyło w minionym tygodniu, nappełniało lękiem.

Spojrzał w górę, na schody. Nikogo. Wrócił do bramy wiodącej na dziedziniec. Wszystkie światła paliły się, wartownicy spacerowali parami.

Nadal mu się zdawało, że ktoś na niego patrzy.

Wszedł na schody, próbując zignorować nieprzyjemne uczucie. Miał nadzieję, że zniknie, gdy odejdzie dalej. I rzeczywiście. Gdy wspinał się do swojej kwatery, wrażenie rozwiało się.

Gdzieś w głębi pozostał jednak lęk, który przeżywał każdej nocy — pewność, że zanim nadejdzie świt, ktoś zginie straszną śmiercią.

Major Kaempffer stał w ciemnym przejściu do tylnej części twierdzy. Obserwował, jak Woermann zatrzymuje się u stóp schodów, zawraca, potem wchodzi na górę. Poczł nagły impuls, nakazujący mu pobiec za nim — przejść szybko dziedziniec, wbiec na drugie piętro wieży i zastukać do jego drzwi. Nie chciał być tej nocy sam. Tuż za nim zaczynały się schody do jego własnej kwatery — miejsca, gdzie ledwie wczoraj weszło i przewróciło się na niego dwóch martwych ludzi. Sama myśl o powrocie do tamtego pokoju budziła grozę.

Tylko Woermann mógł mu pomóc. Jako oficer Kaempffer nie mógł szukać towarzystwa prostych żołnierzy ani, tym bardziej, siedzieć z Żydami.

Pozostawał jedynie Woermann. Też był oficerem i wydawało się słuszne, by spędzili tę noc w swoim towarzystwie. Kaempffer wyszedł z korytarza i szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec, lecz po chwili zatrzymał się z wahaniem. Woermann nie zechce go wpuścić, a co dopiero posiedzieć i wypić razem sznapsa. Woermann gardził SS, Partią i wszystkimi, którzy mieli cokolwiek wspólnego z tymi instytucjami. Dlaczego? Kaempffer nie potrafił tego pojąć. Jako czysty aryjczyk, Woermann nie miał się czego obawiać ze strony SS. Dlaczego więc tak ich nienawdził?

Zawrócił. Żadnych poufałości z Woermannem. Ten człowiek był zbyt tępy i ograniczony, by zaakceptować reguły Nowego Ładu. Był skazany na zagładę. Im dalej od niego będzie się trzymał on, Kaempffer, tym lepiej.

A jednak... potrzebował dziś przyjaciela. I nie miał nikogo.

Wolno, lekliwie, zaczął wspinać się schodami do swojej kwatery. Zastanawiał się, czy znowu czeka go coś strasznego.

Ogień na kominku dawał nie tylko ciepło. Dawał też światło, ciepły blask, którego nie zapewniała pojedyncza żarówka ze stożkowatym kloszem. Magda rozłożyła obok paleniska śpiwór dla ojca, lecz ten nie zwrócił na to uwagi. Od kilku lat nie widziała go tak ożywionego i podnieconego. Z każdym miesiącem choroba odbierała mu coraz więcej sił, aż w końcu przesypiał większą część dnia.

Teraz jednak, gdy gorączkowo przeglądał rozłożone na stole teksty, wydawał się innym człowiekiem. Magda wiedziała, że to nie potrwa długo. Schorowane ciało zażąda odpoczynku. Sam siebie okradał z energii. Nie miał żadnych rezerw.

Mimo to wahała się, czy zmuszać ojca do zaprzestania pracy. Ostatnio nic go nie interesowało; spędzał kolejne dni, siedząc w fotelu i tępo wpatrując się w okno. Lekarze, gdy zdołała namówić kogoś na wizytę, twierdzili, że to apatia, typowa dla tej choroby. Nie ma na nią lekarstwa. Trzeba tylko podawać aspirynę, a gdy uda się zdobyć — także kodeinę na potworne bóle stawów.

Był żywym trupem. A teraz przejawiał oznaki życia. Nie mogła się zmusić, aby je stłumić. Przyglądała się z troską, gdy

oderwał wzrok od *De Veris Mysteryis*. Zdjął okulary i przetarł oczy. Może teraz nadeszła właściwa chwila i zdoła go skłonić, by zostawił te okropne księgi i trochę odpoczął.

— Czemu im nie opowiedziałeś o swojej teorii? — spytała.

— Co? — podniósł głowę. — Której?

— Mówiłeś, że nie wierzysz w wampiry, ale to przecież niezupełnie prawda. Chyba że zrezygnowałeś z tej swojej teoryjki.

— Nie, nadal wierzę, że mógł istnieć jeden wampir, tylko jeden, i o nim mówią wszystkie legendy Rumunii. Istnieją mocne, historyczne argumenty na poparcie tej tezy, nie ma natomiast dowodu. A bez tego nigdy nie mógłbym nic na ten temat opublikować. Z tych samych powodów wolałem nie wspominać o tym Niemcom.

— Dlaczego? Przecież to nie naukowcy.

— Fakt. Ale uważają mnie za uczzonego starca, który może im się przydać. Gdybym wyjawiał im swoją teorię, uznaliby męde za zwariowanego, starego Żyda, zupełnie bezużytecznego. A trudno mi wyobrazić sobie kogoś, kto miałby mniejsze szanse na przeżycie niż bezużyteczny Żyd w towarzystwie faszystów.

Magda pokręciła głową. Rozmowa wyraźnie przybierała niepożądany obrót.

— Ale co z tą teorią? Myślisz, że w twierdzy mógł zamieszkać...

— Wampir? — Papa spróbował wzruszyć unieruchomionymi ramionami. — Któż może powiedzieć, czym właściwie jest wampir? Krąży o nich tyle legend, że trudno określić, gdzie kończy się rzeczywistość — zakładając, że opisują one choć fragment rzeczywistości — a zaczyna mit. Coś jednak zapoczątkowało te wszystkie historie, jakie opowiada się w Transylwanii i Mołdawii. W każdej bajce jest ziarno prawdy.

Oczy błyszczały w pozbawionej wyrazu twarzy, gdy mówił dalej:

— Z pewnością nie muszę cię przekonywać, że dzieje się tu coś niezwykłego. Książki są aż nadto wystarczającym dowodem na to, że ta budowla łączy się jakoś z kultem zła. I ten napis na ścianie... dzieło szaleńca czy znak, że mamy do czynienia z jednym z *moroi*, nieumierających? To jeszcze musimy wykryć.

— A co ty o tym sądzisz? — zapytała z nadzieją, że Papa doda jej odwagi. Dreszcz ją przechodził na samą myśl, że nieumierający mógłby istnieć naprawdę. Nigdy nie wierzyła w historię o wampirach i często się zastanawiała, czy ojciec, dyskutując o nich, nie prowadzi jakiejś intelektualnej gry. Teraz jednak...

— Na razie nic nie sądzę. Ale czuję, że odpowiedź jest blisko. Jeszcze jej nie znam, jeszcze nie potrafię wyjaśnić. Wyczuwam jednak... Ty też, poznaję.

Magda w milczeniu kiwnęła głową. Tak, czuła to aż nadto wyraźnie.

Papa znów przetarł oczy.

— Nie mogę już dłużej czytać.

— Więc chodź — odparła, otrząsając się z niepokoju. — Pomogę ci się położyć.

— Jeszcze nie. Jestem zbyt podniecony, by zasnąć. Zagraj mi coś.

— Papo...

— Przecież przywiozłaś mandolinę. Wiem, że ją zabrałaś.

— Papo, wiesz przecież, jak to na ciebie wpływa.

Proszę...

Uśmiechnęła się. Nie potrafiła mu odmówić.

- No dobrze.

Rzeczywiście, przed wyjściem wepchnęła do większej walizki mandolinę. Właściwie był to odruch. Zawsze brała ją ze sobą. Muzyka była najważniejszą częścią jej życia, a odkąd Papa stracił pracę na uniwersytecie, także sposobem zarobkowania. Zaczęła udzielać lekcji. Uczniowie przychodzili do ich małego mieszkania poznawać tajniki gry na mandolinie, czasem ona chodziła do nich, na lekcje fortepianu. Ich własne pianino trzeba było sprzedać.

Usiadła na stołku, który przyniesiono im razem z drewnem na opał i śpiworami. Szybko sprawdziła strój, poprawiła trochę pierwszą parę strun, poluzowaną w czasie podróży. Usatysfakcjonowana, rozpoczęła kombinację uderzeń o struny i szarpania ich gołymi palcami — technika, której nauczyli jej Cyganie. Pozwalała uzyskać zarówno rytm, jak i melodię. Utwór także był cygański, typowa tragiczna pieśń o nie

odwzajemnionej miłości, złamanym sercu i śmierci. Kiedy skończyła drugą strofę, podniosła wzrok, by spojrzeć na ojca.

- Siedział z zamkniętymi oczami. Zniekształconymi palcami lewej dłoni przyciskał struny nie istniejącej wiolonczeli, prawą ręką przeciągał po nich wymaginanym smyczkiem, drobnymi ruchami, na jakie pozwalały mu chore stawy. W swoim czasie był dobrym wiolonczelistą i często grywali tę pieśń w duecie. Ona podejmowała wtedy kontrapunkty dla jego uniesionych, żalonych fraz *molto rubato*, które wydobywał z instrumentu.

I chociaż policzki miał suche, wiedziała, że płacze.

— Och, Papo, powinnam wiedzieć... To nie jest odpowiednia melodia — własna bezmyślność doprowadzała ją do pasji. Znała tyle pieśni, a wybrała akurat taką, która z największą siłą uświadamiała mu, że nie może już grać.

— Nic się nie stało. Mogę przynajmniej wspominać, jak graliśmy to razem... lepiej tak, niż nie grać nigdy. Wciąż słyszę, jak brzmiała wiolonczela — nie otwierał oczu. — Proszę dę, graj dalej.

Lecz Magda znieruchomiała. Poczowała podmuch zimna i zaczęła się rozglądać za jego źródłem. Czy to złudzenie, czy naprawdę pociemniało?

Papa otworzył oczy i zobaczył jej twarz.

— Magda?

— Ogień gaśnie!

Płomienie przygasały bez trzasków i iskier; konały cicho, cofając się z powrotem w zwężone główne. Równocześnie ciemniała podwieszona u sufitu żarówka. Mrok okrywał pokój; mrok niemal dotykalny, będący czymś więcej niż brakiem światła. Wraz z ciemnością nadszedł przenikliwy chłód i zapach, gorzki, gryzący fetor zła, przywodzący na myśl zgniliznę i otwarte groby.

— Co się dzieje?

— On nadchodzi, Magdo. Stań przy mnie.

Kierowana instynktem szła już w jego stronę, by go chronić i jednocześnie szukać u niego obrony. Drżąca, przykucnęła obok fotela i chwyciła zdeformowane dłonie.

— Co zrobimy? — spytała, nie wiedząc, dlaczego mówi szeptem.

— Nie wiem — Papa drżał także.

Cienie gęstniały. Żarówka zgąsła zupełnie, płomienie zmieniły się w ledwie widoczne, pełzające po główniach ogniki. Ściany zakryła nieprzenikniona ciemność. Jedyne słaby blask paleniska pozwalał im zachować orientację.

Nie byli sami. Coś się poruszało, skradało wśród czerni, coś nieczystego i wygłodzonego.

Dmuchał wiatr, w przeciągu kilku sekund zmieniając się z lekkiego podmuchu w wyjący huragan. Mimo zamkniętych drzwi i okiennic szalał po pokoju.

Magda spróbowała wyrwać się z uścisku grozy. Puściła dłonie ojca. Nie widziała drzwi, pamiętała jednak, że znajdują się dokładnie naprzeciw kominka. Szarpnął nią lodowaty wicher, gdy wstała i popchnęła wózek do tyłu, w stronę, gdzie powinno być wyjście. Gdyby udało się dotrzeć na dziedziniec, może byłiby bezpieczni. Nie wiedziała dlaczego, lecz pozostawanie w tym pomieszczeniu zdawało jej się czekaniem, aż śmierć wywoła ich po imieniu.

Wózek ruszył z miejsca. Magda przetoczyła go o półtora metra w kierunku, gdzie ostatnio widziała drzwi. Potem nie mogła iść dalej. Ogarnęła ją panika. Coś nie chciało ich przepuścić — nie żadna niewidoczna ściana, twarda i sztywna, lecz raczej ktoś, kto trzymał za oparcie fotela i drwił z jej wysiłków.

W czerni za fotelem ukazał się, tylko na moment, obraz przerażającej bladej twarzy. Potem zniknął.

Serce biło jej gwałtownie, a dłonie miała tak mokre, że ślizgały się po dębowych poręczach fotela. „Tego naprawdę nie ma — powtarzała sobie. — To tylko halucynacja. Tego nie ma...” — ale jej ciało wierzyło. Spojrzała na twarz ojca, wiedząc, że jego strach jest odbiciem jej własnego przerażenia.

— Nie zatrzymuj się! — krzyknął.

— Nie mogę dalej!

Próbował odwrócić głowę, by sprawdzić, co ich zatrzymało, lecz jego stawy nie były do tego zdolne.

— Szybciej! Do ognia!

Magda przestała pchać, odchyliła się do tyłu i pociągnęła

wózek za sobą. Natychmiast poczuła, jak coś zamyka jej przedramię w lodowatym uścisku.

Krzyk zamarł jej w gardle. Potrafiła się zdobyć jedynie na wysoki, piskliwy jęk. Zimno powodowało ból w ręce, promieniujący aż po ramię i dalej, do serca. Spojrzała w dół i zobaczyła dłoń, trzymającą ją tuż poniżej łokcia. Palce tej dłoni były długie i grube, a krótkie kręcone włosy porastały grzbiet aż po ciemne paznokcie. Nadgarstek zdawał się stąpać z ciemnością.

Dotyk, nawet przez gruby sweter i bluzkę, budził odrazę i obrzydzenie. Spojrzała przez ramię, szukając twarzy napastnika, lecz nie dostrzegła niczego. Puściła fotel Papy i zaczęła szarpać się, próbując uwolnić rękę. Pojękiwała z przerażenia. Jej buty stukwały i skrobały o podłogę, gdy bezskutecznie starała się wyrwać ramię z uścisku. Nie mogła się zmusić, "by dotknąć tej dłoni własną ręką.

Ciemność zaczęła się zmieniać, rozjaśniać. Błady, owalny kształt zbliżył się, zatrzymując się o kilkanaście centymetrów od oczu Magdy. To była twarz — ale twarz jak z koszmarnego snu.

Magda zobaczyła długie, proste, czarne włosy, zwisające w grubych strąkach po obu stronach twarzy, niczym martwe węże wbijające zęby w czaszkę; bladą skórę, zapadnięte pohczki i haczykowany nos. Wąskie wargi odsłaniały pożółkłe zęby, długie jak u psa. Najgorsze jednak były oczy, których spojrzenie chwyciło ją mocniej niż lodowaty uścisk dłoni, stłumiło piskliwy jęk i przerwało próby uwolnienia.

Oczy... duże i okrągłe, zimne jak kryształ... Źrenice otwierały się niby dwa przejścia w chaos poza rozumem, poza samą rzeczywistością, czarne jak nocne niebo, którego nigdy nie rozjaśniło błękitem słońce, nie skazyły swym blaskiem gwiazdy ani księżyc. Tęczówki wokół nich były niemal równie ciemne, zwężające się, gdy na nie patrzyła, powiększające podwójną bramę szaleństwa...

...szaleństwo. Myśl o nim była tak pociągająca. Tam było bezpieczeństwo, spokój, izolacja. Jak dobrze byłoby przekroczyć granicę i zanurzyć się w tych ciemnych jeziorach... jak dobrze...

Nie!

Magda stłumiła w sobie to uczucie, odePchnęła je od siebie. Ale... po co walczyć? Życie jest tylko pasmem chorób i kłesk, bitwą, którą każdy w końcu przegrywa. Po co to wszystko? Na dłuższą metę nic nie ma właściwie znaczenia. Czy warto się przejmować?

Poczuła jakby prąd, ciągnący ją z nieodpartą siłą ku tym oczom. Było w nich także pożądanie, lecz pożądanie wykraczające poza granice zwykłego seksu — żądza posiadania wszystkiego, czym była. Czowała, jak odwraca się i pochyla ku tym bliźniaczym bramom mroku. Tak łatwo byłoby dać się porwać...

...walczyła ciągle, coś nie pozwalało jej się poddać, skłaniało do opierania się prądowi. Lecz prąd był tak silny, a ona tak zmęczona, zresztą czy to wszystko miało jakiegokolwiek znaczenie?

Głos... muzyka... a przecież nie muzyka. Dźwięk gdzieś w wnętrzu jej duszy, będący wszystkim prócz muzyki... amelodyczny, dysharmoniczny, deliryczna kachofonia dysonansów, wstrząsająca i krusząca resztki woli. Świat wokół niej — wszystko — zaczęło znikać, pozostawiając jedynie oczy... oczy...

...zachwiała się, zatrzymana na skraju wieczności...

...i usłyszała głos Papy.

Pochwyciła ten dźwięk niby linę, na której podciągała się ręka za ręką. Papa nie mówił do niej, nie mówił nawet po rumuńsku, lecz był to jego głos, jedyna znajoma rzecz w wirującym wokół chaosie.

Oczy uwolniły ją. Zniknęła trzymająca łokieć ręka.

Magda stała dysząc ciężko, drżąca i mokra od potu. Szalejący w pokoju wicher szarpał jej ubranie i chustę na głowie, odbierał oddech. Patrzyła przerażona — straszliwe oczy zwracały się teraz ku jej ojcu. A on był za słaby!

Papa jednak nie cofnął się pod ich spojrzeniem. Przemówił znowu. Magda nie rozumiała słów, widziała tylko, że straszny uśmiech na bladej twarzy znika, a wąskie wargi ściągają się w cienką linię. Oczy zmieniły się w szparki, jak gdyby ukryty za nimi umysł rozważał słowa Papy.

Magda obserwowała upiorną twarz, niezdolna do odwrócenia wzroku. Widziała, jak kąciki ust unoszą się ledwo dostrzegalnie. Potem skinięcie, ślad ruchu. Decyzja.

Wiatr uciął, jakby go nigdy nie było. Twarz wtopiła się w ciemność.

- Wszystko znieruchomiało.

Magda i ojciec stali bez ruchu, spoglądając na siebie, a chłód i mrok cofały się powoli. Kawałek drzewa w kominku pękł wzdłuż, z trzaskiem brzmiącym jak wystrzał i Magda poczuła, że od tego huku jej kolana zmieniają się w watę. Tylko dzięki szczęściu trafiła ręką na poręcz fotela.

— Nic ci się nie stało? — Papa nie patrzył na nią lecz bez zdejmowania rękawiczek badał swoje palce.

— Zaraz poczuję się lepiej — umysł wzdragał się na myśl o tym, czego właśnie doświadczyła. — Co to było? Boże, co to było?

Papa nie słuchał.

— ' Nie czuję ich. W ogóle nie czuję palców — zaczął ściągać bawełniane rękawiczki.

Te słowa poderwały Magdę. Wyprostowała się i popchnęła wózek do ognia, który znowu się rozpałał. Szok i zmęczenie odbierały jej siły, lecz nie miało to znaczenia. „Co ze mną? — pomyślała tylko. — Dlaczego zawsze jestem mniej ważna? Czemu zawsze muszę być silna?” Raz, choć jeden raz chciałaby, by to nią ktoś się zajął. Z wysiłkiem stłumiła te myśli. Córka nie powinna się zastanawiać, gdy jest potrzebna ojcu.

— Wyciągnij ręce przed siebie! Nie mamy ciepłej wody, musisz je ogrzać nad ogniem!

W migotliwym blasku płomieni zauważyła, że jego dłonie nabrały martwej, białej barwy, tak jak dłoń tego... stwora. Palce okrywała gruba, szorstka skóra, paznokcie były pokrzywione. Na czubkach palców widziała niewielkie zagłębienia, ślady po zaleczonej gangrenie. Obce ręce... Magda pamiętała dni, gdy te dłonie były zręczne i delikatne, o długich, ruchliwych palcach — ręce uczonego, muzyka. Żyły wtedy. Teraz wyglądały jak ręce mumii.

Musiała je ogrzać. Ale nie za szybko. W domu, w Bukareszcie, zawsze zimą trzymała na piecu garnek ciepłej wody, przygotowany na takie właśnie okazje. Lekarze nazywali to fenomenem Raynauda — każdy nagły spadek temperatury powodował gwałtowne zwężenie naczyń krwionośnych. Niko-

tyna wywierała podobny efekt, ojciec musiał więc rzucić swe ulubione cygara. A gdy tkanka była zbyt długo lub zbyt często pozbawiona tlenu, powstawała gangrena. Jak dotąd mieli szczęście. Gangrena atakowała jedynie niewielkie obszary i dawała się wyleczyć. Nie zawsze musi się udawać.

Przyglądała się, jak Papa wyciąga ręce do ognia i obraca nimi powoli, tak jak na to pozwalają zeszywniałe stawy. Wiedziała, że nic jeszcze nie czuje, lecz kiedy powróci krążenie, będzie cierpiał. Palce zaczną kłuć, swędzieć i płonąć, jakby włożył ręce w ogień.

— Co oni z tobą zrobili — powiedziała gniewnie, gdy skóra dłoni zmieniła kolor z białego na sinoniebieski.

Papa spojrział na nią zdziwiony.

— Bywało gorzej.

— Wiem. Ale teraz to nie powinno się zdarzyć. Co oni z nami robią!

— Oni?

— Naziści. Bawią się nami! Robią na nas eksperymenty! Nie wiem, co tu się wydarzyło... bardzo realistyczne, ale przecież nieprawdziwe! To niemożliwe. Zahipnotyzowali nas, dali nam narkotyki, pogasili światła...

— To było naprawdę, Magdo — oświadczył cicho Papa, potwierdzając to, czego domyślała się w głębi duszy i czemu tak Chciała, by zaprzeczył. — Tak jak prawdziwe są te zakazane księgi. Wiem...

Syknął przez zęby. Krew zaczynała krążyć w jego palcach, które przybrały ciemnoczerwoną barwę. Złaknione tlenu tkanki sprawiały ból, oddając nagromadzone toksyny. Magda przeżyła z nim tak wiele podobnych przypadków, że cierpiała niemal tak samo.

Kiedy ból stał się do wytrzymania. Papa zaczął mówić dalej, choć z przerwami.

— Przemówiłem do niego po starosłowiańsku... powiedziałem, że nie jesteśmy wrogami... żeby zostawił nas w spokoju... i on odszedł.

Skrzywił się z bólu, lecz jego oczy były jasne i lśniące.

— To był on, Magdo. Wiem. To on!

Magda milczała. Ale wiedziała, że to prawda.

XV

TWIERDZA **Środa, 30 kwietnia** **godz. 06.22**

Woermann miał zamiar czuwać przez całą noc, ale nie udało mu się to. Usiadł przy oknie wychodzącym na dziedziniec z wyjętym z kabury lugerem na kolanach, choć wątpił, czy pistolet pomoże mu w starciu z tym, co nękało jego ludzi. Zbyt wiele jednak spędził tu bezsennych nocy, zbyt długo nie mógł się zdrzemnąć w dzień. Zasnął.

Zbudził się nagle nie wiedząc, gdzie jest. Przez moment miał złudzenie, że znalazł się znowu w Rathenow, Helga na dole smaży jajecznicę, a chłopcy poszli wydoić krowy. Lecz był to tylko sen.

Skoczył na równe nogi, widząc, że niebo już pojaśniało. Noc minęła, a on ciągle żył. Przeżył kolejny dzień. Euforia trwała krótko — wiedział, że zginął ktoś inny. Wiedział, że gdzieś w twierdzy leży nieruchome, zakrwawione ciało.

Schował broń do kabury i wyszedł na podest.' Wokół panowała cisza. Zbiegł na dół, rozcierając oczy. Na dolnym poziomie otworzyły się drzwi do kwatery Żydów i wyszła ta dziewczyna.

Nie zauważyła go. Wyraźnie zmartwiona, z metalowym dzbankiem w ręku wyszła na dziedziniec i skrzyła w prawo, w stronę piwnic. Miał wrażenie, że doskonale orientuje się w twierdzy i na chwilę go to zaniepokoiło. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież była tu już wiele razy. Musiała wiedzieć o podziemnych cysternach z wodą.

Wyszedł na dziedziniec i odprowadził ją spojrzeniem. Scena miała w sobie coś z sennego marzenia: kobieta idąca po kamieniach bruku w świetle poranka, otoczona przez szare

mury nabijane metalowymi krzyżami i rozstępujące się przed nią pasma mgły. Jak sen. Ta córka starego Żyda wydawała się całkiem ładna, choć jej kształty ukrywała gruba odzież. Idąc kołysała biodrami z naturalną, nieświadomą gracją, przemawiającą do tkwiącego w Woermannie mężczyzny. Ładna buzia, zwłaszcza z tymi dużymi, piwnymi oczami. Gdyby tylko rozpuściła skrywane pod chustą włosy, byłaby piękna.

W innej sytuacji, innym miejscu, nie byłaby zbyt bezpieczna w towarzystwie, w jakim się znalazła — prawie dwa plutony wyposzczonych żołnierzy. Lecz żołnierze myśleli o czym innym: żołnierze bali się ciemności i śmierci, która nieodmiennie przychodziła wraz z nią.

Miał właśnie ruszyć za dziewczyną, by się upewnić, że naprawdę szuka jedynie wody, gdy dostrzegł zbliżającego się sierżanta Oстера.

— Kapitanie! Kapitanie!

Woermann odetchnął głęboko i przygotował się na przyjęcie złych wieści.

— Kogo dziś straciliśmy?

— Nikogo! — sierżant machnął kartką papieru. — Sprawdziłem wszystkich. Cali i zdrowi.

Woermann nie pozwolił sobie na radość — w zeszłym tygodniu także sądził, że noc minęła spokojnie — lecz poczuł przypływ nadziei.

— Jesteście pewni? Absolutnie pewni?

— Tak jest. To znaczy wszyscy oprócz majora i tych dwojga Żydów.

Woermann spojrział na tylną część twierdzy, w stronę okna kwatery Kaempffera. Czy to możliwe...?

— Oficerów zostawiłem na koniec — wyjaśnił przepraszając Oster.

Woermann z roztargnieniem skinął głową. Czy to możliwe, żeby to Erich Kaempffer był dzisiejszą ofiarą? Czy nie oczekuje zbyt wiele? Woermann nie wyobrażał sobie, że można nienawidzić człowieka tak bardzo, jak on zienawidził Kaempffera w ciągu zaledwie półtorej doby.

Ruszył z niecierpliwością ku tylnej części twierdzy. Jeśli Kaempffer nie żyje, to nie tylko świat stanie się przyjemniejszym

miejszem, ale też on będzie najstarszym oficerem i jeszcze przed południem wyprowadzi stąd swoich ludzi. Einsatzkommando niprze iść za nim albo zostać tu i ginąć, czekając na przybycie nowego oficera SS. Nie wątpił jednak, że bez wahania wybiorą to pierwsze.

Jeżeli jednak zostanie Kaempffera żywego, rozczarowanie będzie należało do przyjemnych: po raz pierwszy od przybycia do twierdzy ani jeden niemiecki żołnierz nie zginął nocą. To dobrze. Morale ludzi poprawi się nadzwyczajnie. Może to oznaczać cię nadziei, że zdołają przewyciężyć prześladowającą ich śmiertelną kłatwę.

— Sądzi pan, że to dzięki tym Żydom? — zapytał Oster. ^

— Co dzięki Żydom?

— Nikt w nocy nie zginął.

Woermann zatrzymał się i spojrział w okno Kaempffera, niemal nad głową. Sierżant najwyraźniej nie miał wątpiwości, że major żyje.

— Skąd to przypuszczenie, sierżancie? Co takiego mogli zrobić?

Oster zmarszczył brwi.

— Nie wiem. Ludzie w to wierzą... przynajmniej moi, to znaczy nasi ludzie. Przecież do tej pory każdej nocy ktoś ginął. Z wyjątkiem dzisiejszej. A Żydzi przyjechali wczoraj wieczorem. Może znaleźli coś w tych księgach, które wygrzebaliśmy?

— Może.

Przeszli przez korytarz i schodami wbiegli na piętro.

„Interesujące, ale mało prawdopodobne — myślał Woermann. — Stary Żyd i jego córka w tak krótkim czasie nie mogli nic wykryć”. Stary Żyd... zaczynał myśleć jak Kaempffer. Obrzydliwe!

Zasapał się, zanim dotarli do pokoju Kaempffera. „Za dużo kielbasy” — pomyślał znowu. Zbyt wiele godzin poświęca na rozmyślania, zamiast ruszać się i zrzucać nadwagę.

Sięgał do klamki, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich Kaempffer. Poprawiał swój czarny pas i koalicyjkę na piersi.

— O Klaus — rzucił szorstko. — Zdawało mi się, że kogoś słyszę.

Wyszedł z pokoju.

— Jak miło widzieć się w dobrym zdrowiu — stwierdził Woermann.

Kaempffer obrzucił go wrogim spojrzeniem, uderzony wyraźnie nieszczerzym tonem wypowiedzi. Potem zwrócił się do Oстера.

— A więc, sierzancie? Kto to jest tym razem?

— Słucham?

— Kto zginął tej nocy? Ktoś z moich, czy ktoś z waszych? Chcę, żeby doprowadzić Żyda i jego córkę do ciała i chcę, żeby...

— Przepraszam, panie majorze — przerwał mu Oster — ale nikt nie zginął.

Kaempffer uniósł brwi i spojrzał na Woermanną.

— Nikt? Czy to prawda?

— Prawda, jeśli sierżant tak twierdzi.

— Więc udało nam się! — uderzył pięścią w otwartą dłoń i wyprężył się, zyskując przy tym ze dwa centymetry wzrostu. — Dokonałiśmy tego!

— „My”? I wyjaśnij mi proszę, drogi majorze, czego właściwie dokonaliśmy?

— Jak to? Przetrzyliśmy noc bez ofiary! Mówiłem, że jeśli tylko wytrwamy, pokonamy to coś.

— To ci się udało — rzekł Woermann starannie dobierając słowa. Bawiła go ta sytuacja. — Powiedz jednak, co wywarło pożądaną skutek? Co nas chroniło tej nocy? Chcę wiedzieć, żeby dziś wieczór jak najdokładniej powtórzyć całą procedurę Samozadowolenie Kaempffera ulotniło się równie szybko, jak się pojawiło.

— Chodźmy do tego Żyda — rzucił.

Wyminął Oстера oraz Woermanną i ruszył ku schodom.

— Tak myślałem, że prędzej czy później wpadnie ci to do głowy — odezwał się Woermann, podążając za nim wolniejszym krokiem.

Na dziedzińcu wydało mu się, że słyszy dobiegający z podziemi krzyk kobiety. Nie rozumiał słów, lecz było oczywiste, że jest to wołanie o pomoc. Potem głos stał się ostrzejsz> bardziej wyraźny. Brzmiały w nim przerażenie i gniew.

Pobiegł w kierunku wejścia do piwnic i spostrzegł córkę

profesora — teraz przypomniał sobie, że miała na imię Magda — wcisniętą w kąt pomiędzy schodami a murem. Jej sweter, bluzka i bielizna były rozerwane i ściągnięte na ramię, odsłaniając białą pierś. Jeden z SS-manów przyciskał do tej piersi twarz, nie zwracając uwagi, że dziewczyna wyrывa się i okłada go pięściami.

Ten obraz kazał Woermannowi zatrzymać się na moment. Potem pędem zbiegł na dół. SS-man był tak zajęty piersiami Magdy, że niczego nie słyszał. Woermann zacisnął zęby i z całej siły kopnął go w prawy bok. Przyjemne uczucie sprawić ból jednemu z tych drani. Z wysiłkiem powstrzymał się od kolejnych kopniaków.

Żołnierz stęknął z bólu i wyprostował się gotów rzucić się na napastnika, kimkolwiek by był. Zobaczył oficera, lecz w jego oczach nadal widać było wahanie, czy nie zaatakować mimo wszystko.

Przez chwilę Woermann niemal pragnął, by żołnierz lo zrobił. Czekał na najmniejszy sygnał, gotów błyskawicznie sięgnąć po broń. Nigdy nie sądził, że będzie zdolny do zastrzelenia niemieckiego żołnierza, lecz coś w jego umyśle pragnęło śmierci tego SS-mana, pragnęło uderzyć poprzez niego we wszystko, co działo się złego w *Vaterlandzie*, w wojsku, w jego karierze.

Żołnierz cofnął się Woermann rozluźnił napięte mięśnie.

Co się z nim działo? Nigdy dotąd nie czuł nienawiści. Zabijał w walce, na odległość, stojąc twarzą w twarz z przeciwnikiem, lecz nigdy nie odczuwał nienawiści. Nieznane uczucie budziło niepokój i lęk. Czuł się tak, jakby ktoś obcy zamieszkał nieproszony w' jego domu, a on nie potrafił go usunąć.

Żołnierz próbował doprowadzić do porządku swój czarny mundur, a Woermann patrzył na Magdę. Poprawiła ubranie, podniosła się i bez najmniejszego ostrzeżenia uderzyła niedoszłego gwałciciela otwartą dłonią w twarz tak mocno, że zaskoczony zatoczył się na schody. Zdążył oprzeć się o ścianę i tylko to uratowało go przed upadkiem.

Magda rzuciła coś *po* rumuńsku: ton jej głosu i wyraz twarzy dokładnie wyjaśniały znaczenie niezrozumiałych słów.

Potem podniosła dzbanek, w którym pozostała jeszcze połowa wody i wymijając Woermanna ruszyła schodami w górę.

Tylko wrodzone, pruskie opanowanie powstrzymało kapita-
na od oklasków. Żołnierz najwyraźniej nie wiedział, czy
powinien stać nieruchomo w obecności oficera, czy też próbo-
wać odplacić dziewczynie za cios.

„Dziewczynie” — pomyślał Woermann. Dlaczego właściwie
„dziewczynie”? Mogła być o dwanaście lat młodsza od niego,
lecz pewnie o dziesięć starsza od jego syna Kurta, którego
uważał przecież za mężczyznę. Może to z powodu jakiejś
nieskazanej świeżości, jaką w niej dostrzegał, niewinności,
czegoś, co należało chronić i zachować.

— Wasze nazwisko? — spytał ostro.

— Szeregowiec Leeb, panie kapitanie. Z Einsatzkommando.

— Czy to wasz stały zwyczaj, gwałty podczas służby?

Milczenie.

— Czy to, co widziałem, było częścią waszych obowiązków
związanych ze służbą w podziemiach?

— To tylko Żydówka, panie kapitanie.

Jego ton sugerował, że jest to wystarczającym usprawied-
liwieniem wszystkiego, co mógłby z nią zrobić.

— Nie odpowiedzieliście na pytanie! — cierpliwość Woer-
manna była na wyczerpaniu. — Czy próba gwałtu jest częścią
waszych obowiązków?

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział SS-man tonem
równie niechętnym co zuchwałym.

Woermann postąpił krok do przodu i zerwał szeregowcowi
Leebowi broń z ramienia.

— Nie wolno wam opuszczać kwatery...

— Ale, panie kapitanie...

Woermann zauważył, że żołnierz nie patrzy na niego, lecz
na kogoś stojącego z tyłu i wyżej. Nie musiał się oglądać, by
wiedzieć, kto to jest, mówił więc dalej nie tracąc tempa.

— ...dopóki nie zostaniecie ukarani za zejście z posterunku.
Sierżant Oster podejmie odpowiednie decyzje dyscyplinarne —
odwrócił się i spojrzął Kaempfferowi prosto w oczy. — Chyba
że major chciałby was ukarać w jakiś konkretny sposób.

Formalnie rzecz biorąc, Kaempffer miał prawo cofnąć jego

decyzję. Należeli do różnych formacji i żołnierz nie musiał odpowiadać przed Woermannem. Do tego major był starszym stopniem i znalazł się tutaj z rozkazu Naczelnego Dowództwa, najwyższej władzy wszystkich oddziałów wojskowych. Nic jednak nie mógł zrobić. Zwolnienie Leeba oznaczałoby zgodę na bezkarne opuszczenie powierzonego posterunku, a na to nie mógł pozwolić żaden oficer. Kaempffer znalazł się w pułapce. Woermann wiedział o tym i zamierzał wykorzystać sytuację do końca.

Odprowadźcie go, sierżancie — powiedział sztywno major. — Później się nim zajmę.

Woermann rzucił Osterowi schmeisser. Kiedy sierżant odszedł, prowadząc przed sobą załamanego SS-mana, Kaempffer odezwał się kwaśno:

— W przyszłości nie będziesz karał ani wydawał rozkazów moim ludziom. To nie ty nimi dowodzisz, lecz ja!

Woermann ruszył w górę. Kiedy stanął tuż przed Kaempfferem, warknął:

Więc trzymaj ich na smyczy!

Major zbladł, zaskoczony niespodziewanym wybuchem.

- Niech pan posłucha, **Herr SS-Offizier** — mówił Woermann starając się wyraźnie okazać swą wściekłość i obrzydzenie. — Niech pan słucha uważnie. Nie wiem, co powinienem powiedzieć, żeby to do pana dotarło. Próbowałem argumentów rozsądku, lecz zdaje się, że na rozsądek jest pan uodporniony. Postaram się więc przemówić do pańskiego instynktu samozachowawczego — obaj wiemy, jak dobrze jest rozwinięty. Niech pan pomyśli, **Herr Sturbannführer**: tej nocy nikt nie zginął. Jediną rzeczą, która tę noc różni od wszystkich poprzednich, jest obecność pary Żydów z Bukaresztu. Musi być jakiś /wiązek. A zatem, jeśli nie dla innych powodów, to dlatego, że może uda się im rozwiązać zagadkę tych zabójstw i znaleźć sposób zapobieżenia następnym, ma pan trzymać swoje bestie z daleka od nich!

Nie czekał na odpowiedź; bał się, że jeśli Kaempffer zaraz nie odejdzie, to on, Woermann, spróbuje go udusić. Odwrócił się i ruszył w stronę wieży. Po kilku krokach usłyszał, że SS-man idzie za nim.

Zastukał do drzwi na parterze i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Grzeczność owszem, musiał jednak zachować w oczach tej pary cywilów niekwestionowany autorytet.

Profesor obrzucił wchodzących niechętnym spojrzeniem. Był sam we frontowym pokoju. Pił wodę z metalowego kubka, nadal siedząc w fotelu na kółkach przed zawalonym książkami stolikiem, dokładnie tak, jak pozostawili go wczoraj wieczorem. Woermann zastanawiał się, czy w ogóle się ruszył w ciągu nocy. Popatrzył przelotnie na księgi i odwrócił wzrok. Przypomniał sobie fragment, jaki przeczytał wczoraj w jednej z nich... coś o przygotowywaniu ofiar dla jakiegoś bóstwa, którego imię było niewymawialnym ciągiem spółgłosek. Jeszcze teraz dreszcz go przechodził na wspomnienie tego, co miało zostać złożone w ofierze i w jaki sposób. Jak można tak siedzieć, czytać takie rzeczy i nie wymiotować?

Rozejrzał się. Dziewczyny nie było, pewnie wyszła do drugiego pokoju. Pomieszczenie wydawało się mniejsze niż jego własna kwatery, dwa piętra wyżej... zresztą, pewnie to tylko złudzenie, wywołane stosem książek i stojącym pod ścianą bagażem.

— Czy dzisiejszy ranek ma być przykładem tego, co nas czeka, gdy pójdziemy po wodę? — spytał starzec suchym, szorstkim głosem. — Czy moja córka nie może przejść bezpiecznie?

— Zajęliśmy się tą sprawą — odparł Woermann. — Winowajca zostanie ukarany — spojrzał w stronę Kaempffera, który przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. — Mogę pana zapewnić, że to się już nie powtórzy.

— Mam nadzieję — mruknął Cuza. — Nawet w najlepszych warunkach trudno jest wydobyć z tych tekstów jakąś użyteczną informację. Ale pracować będąc w każdej chwili zagrożonym fizyczną napaścią... Umysł się buntuje.

— Lepiej niech się nie buntuje. Żydzie — odezwał się Kaempffer. — Lepiej niech robi, co mu każą.

— Chodzi o to, że trudno mi się skoncentrować, kiedy niepokoję się o bezpieczeństwo córki. Chyba nietrudno to zrozumieć.

Woermann wyczuł, że profesor zwraca się do niego o pomoc. Nie wiedział jednak, na czym miałyby ona polegać.

— Obawiam się, że takich zajęć nie da się uniknąć — powiedział. — Ona jest jedyną kobietą w miejscu, które jest w zasadzie bazą wojskową. Nie podoba mi się to tak samo jak panu. Nie ma tu miejsca dla kobiet. Chyba że... — zaświtała mu pewna myśl. Rzucił okiem na SS-manę. — Chyba że umieścimy ją w gospodzie. Mogłaby zabrać ze sobą kilka książek i studiować je sama. Wracalaby, żeby omówić z ojcem wyniki.

— Wykluczone. Zostanie tutaj, gdzie możemy mieć na nią oko — Kaempffer podszedł do profesora. — A teraz chcę wiedzieć, co takiego wyczytałeś, co zachowało nas przy życiu.

— Nie rozumiem...

— Tej nocy nikt nie zginął — wyjaśnił Woermann. Obserwował twarz Cuzy; dostrzeżenie zmian wyrazu na tej ściągniętej, nieruchomej skórze zakrawało na niemożliwość. Zdało mu się jednak, że oczy starca rozszerzyły się w zdumieniu.

— Magda! — zawołał. — Przyjdź tutaj!

Z drugiego pokoju wyszła dziewczyna, na pozór całkiem spokojna mimo porannych przeżyć. Woermann zauważył jednak drżenie jej dłoni, wspartej o framugę.

— Tak, Papo?

— W nocy nikt nie zginął — oznajmił Cuza. — To na pewno jedna z inkantacji, które odczytywałem.

— W nocy? — twarz dziewczyny wyrażała zdziwienie i jeszcze coś: przerażenie na wspomnienie o nocy. Spojrzeli na siebie i jakby jakiś sygnał przemknął pomiędzy nimi — może po prostu niedostrzegalne skinięcie głowy. — Cudownie! — zawołała z rozjaśnioną twarzą. — Ciekawe, która z nich?

„Inkantacja?” — pomyślał Woermann. Jeszcze w zeszły poniedziałek śmiałby się z tej rozmowy. Sugerowała wiarę w zaklęcia i czarną magię. Dzisiaj jednak... uwierzy we wszystko, co pozwoli jego żołnierzom przeżyć noc. We wszystko.

— Pokażcie tę inkantację — w oczach Kaempffera błysnęło zaciekawienie.

— Oczywiście — Cuza przysunął ciężkie tomisko. — Oto *De Vermis Mysteriis* Ludwiga Prinna. Po łacinie — podniósł głowę. — Zna pan łacinę, majorze?

Jedyną odpowiedzią było zaciśnięcie warg.

— To przykre — stwierdził profesor. — W takim razie przetłumaczę...

— Oszukujesz mnie. Żydzie, prawda? — spytał cicho Kaempffer.

Lecz Cuza nie dał się zastraszyć i Woermann musiał podziwiać jego odwagę.

— Tu kryje się odpowiedź! — zawołał, wskazując stos książek. — Ostatnia noc jest na to dowodem. Nadal nie wiem, co nawiedza to miejsce, ale jeśli będę miał trochę czasu i trochę spokoju, na pewno to odkryję. A teraz żegnam, panowie.

Poprawił grube szkła i przysunął książkę bliżej. Woermann uśmiechnął się dyskretnie na widok bezsilnej wściekłości Kaempffera i zabrał głos, zanim major zdążył gwałtownie zareagować.

— Uważam, że leży to w naszym najlepszym interesie, by pozwolić profesorowi zająć się pracą, dla której został tu sprowadzony. Prawda, majorze?

Kaempffer założył ręce na plecy i wymaszerował na zewnątrz. Woermann spojrział jeszcze raz na starca i jego córkę. Coś ukrywali, to było jasne. Nie wiedział: jakąś informację o twierdzy czy też może o tej morderczej bestii, która przemierzała nocą korytarze. W tej chwili nie miało to znaczenia. Jak długo jego ludzie nie będą ginęli po nocach, mogli ukrywać, co tylko zechcą. Jeśli jednak zabójstwa zaczną się znowu, zażąda zdania rachunku.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za kapitanem, profesor Cuza zamknął księgę. Powoli rozcierał palce, po kolei, każdy z osobna.

Ranki były najgorsze. Wtedy bolało go wszystko, zwłaszcza dłonie. Każdy staw przypominał zardzewiały zawias w drzwiach porzuconej szopy, protestował bólem i trzaskiem przeciw najmniejszemu ruchowi, nie dopuszczał do najdrobniejszej nawet zmiany pozycji. Ale nie tylko dłonie sprawiały ból. Budzenie się, wstawanie i siadanie w fotelu były serią cierpień odczuwanych przez biodra, kolana, nadgarstki, łokcie i ramiona. Dopiero przed południem, po dwóch dawkach aspiryny i czasem kodeinie, jeśli ją miał, ból zmniejszał się na tyle, że Cuza potrafił funkcjonować w miarę normalnie. Własne ciało

przestało dla niego składać się z krwi i kości, lecz stało się pozostawionym na deszczu mechanizmem, porzeczonym, zniszczonym i nie nadającym się do naprawy.

Były jeszcze usta, zawsze wyschnięte. Lekarze oświadczyli, że „u pacjentów ze sklerodermą często występuje syndrom znacznego zmniejszenia objętości wydzieliny gruczołów ślinowych. Mówili tak, jakby to było coś zwyczajnego, ale oni nie musieli żyć z językiem smakującym tynkami Paryża. Zawsze starał się mieć pod ręką kubek wody; jeśli nie napił się od czasu do czasu, jego głos zaczynał brzmieć jak stare buty, zgrzytające po zasypanej piaskiem podłodze.

Przełykanie także stanowiło ciężki wysiłek. Nawet woda z trudem przechodziła przez gardło. A jedzenie... musiał przeżuwać wszystko tak długo, że mięśnie szczęk odmawiały posłuszeństwa, a potem pozostawało już tylko mieć nadzieję, że kęś nie utknie w połowie drogi do żołądka.

To nie było życie i nieraz już zastanawiał się nad położeniem kresu cierpieniom. Nigdy jednak nie spróbował. Może brakowało mu odwagi. A może miał jej jeszcze na tyle, że potrafił pogodzić się z warunkami, jakie dyktowała mu choroba. Nie był pewien, która z tych odpowiedzi jest prawdziwa.

— Dobrze się czujesz. Papo?

Spojrzał na Magdę. Stała obok kominka, obejmując ramionami piersi. Drżała, ale nie z zimna. Wiedział, że nocna wizyta mocno ją wstrząsnęła, że prawie nie spała. On zresztą też. Ale żeby zostać zaatakowaną dziesięć metrów od własnej sypialni...

Barbarzyńcy! Oddałby wszystko, by zobaczyć ich martwych, nie tylko tych tutaj, ale każdego śmierdzącego nazistę, jaki przekroczył granicę Niemiec! I tych, co pozostali w kraju także! Pragnął ich pozabijać, zanim oni zdążą zabić jego. Cóż jednak mógł zrobić? Kaleka i uczoney, wyglądający na półtora razy starszego, niż był naprawdę, który nie potrafił nawet obronić własnej córki — co mógł zrobić?

Nic. Miał ochotę krzyczeć, rozbić coś, zwalić te mury jak Samson. Miał ochotę płakać. Ostatnio płakał zbyt często, mimo braku łez. To nie po męsku. Tyle że niewiele już pozostało w nim męczyzny.

— Dobrze, Magdo — odpowiedział. — Nie lepiej i nie

gorzej niż zwykle. Martwię się o ciebie. To nie jest odpowiednie miejsce dla ciebie, zresztą dla żadnej kobiety.

Westchnęła.

— Wiem. Ale nie możemy stąd odejść, dopóki nam nie pozwolą.

— Oddana córka, jak zawsze — poczuł ciepło w piersi. Magda była kochająca, lojalna, obdarzona silną wolą, a przecieź usłużna. Zastanawiał się, czy na nią zasługiwał. — Ale ja nie mówiłem o nas. Mówiłem o tobie. Chcę, żebyś uciekła stąd, gdy tylko się ściemni.

— Nie umiem wspinać się po murach — uśmiechnęła się blade. — I nie mam zamiaru uwodzić wartownika przy bramie. Nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

— Droga ucieczki leży pod nogami. Pamiętasz?

Jej oczy rozszerzyły się.

— Tak! Zupełnie zapomniałam!

— Jak mogłaś? Przecież to ty ją znalazłaś.

Zdarzyło się to podczas ich ostatniego pobytu na przełęczy. Potrafił jeszcze wtedy chodzić, lecz nogi miał coraz słabsze i musiał opierać się na kulach. Nie mógł zejść do wąwozu, posłał więc Magdę, by odszukała kamień węgielny pod wieżą, czy w ogóle jakikolwiek kamień z wrytym napisem... cokolwiek, co dałoby jakąś wskazówkę co do budowniczych twierdzy. Nie było żadnego napisu. Magda natrafiła jednak na duży, płaski blok u samej podstawy wieży, który poruszył się, gdy się o niego oparła. Był umocowany tylko z lewej strony i idealnie wyważony. Słońce świecące w odsłonięty otwór ukazało wiodące w górę stopnie.

Mimo protestów ojca uparła się zbadać podziemia wieży w nadziei, że pozostały tam jakieś zapisy. Znalazła jedynie długie, kręcone schody, kończące się w ślepej na pozór komorze ukrytej w stropie podziemi. Na pozór tylko — komora znajdowała się w ścianie, dzielącej dwa pokoje, które teraz zajmowali. Magda odkryła jeszcze jeden idealnie wyważony kamień, ponacinany tak, że przypominał prostokątne bloki, z których zbudowano wieżę. Zakrywał wejście do większego z dwóch pomieszczeń, pozwalając na sekretne wejście lub opuszczenie twierdzy.

Cuza nie przywiązywał wtedy większej wagi do tego przejścia — zamek czy twierdza musiały mieć jakąś ukrytą drogę ucieczki. Teraz jednak ta droga miała doprowadzić Magdę do wolności.

— Chcę, żebyś zeszła tamtędy, gdy tylko zrobi się ciemno. Kiedy wydostaniesz się z wąwozu, ruszysz na wschód. Dotrzesz do Danube, potem z jej biegiem aż do Morza Czarnego. Stamtąd możesz się przedostać do Turcji albo...

— Bez ciebie?

— Oczywiście, że beze mnie.

— Nawet o tym nie myśl, Papo. Zostanę.

— Magdo! Jako twój ojciec rozkazuję ci, byś mnie posłuchała!

— Przestań! Nie porzucę cię. Gdybym to zrobiła, nie mogłabym sobie samej spojrzeć w oczy.

Był wdzięczny za to uczucie, lecz nie zmniejszyło ono jego niepokoju. Najwyraźniej nie zdoła jej nakazać ucieczki. Postanowił prosić. Po latach stał się mistrzem narzucania córce swego zdania. Tą czy inną metodą, krzycząc lub budząc poczucie winy, nakłaniał ją zwykle do tego, co postanowił. Czasem miał do siebie żal za tak pełne zdominowanie jej życia, ale w końcu była jego dzieckiem, a on — jej ojcem. Była mu potrzebna. A teraz, gdy nadszedł wreszcie czas, by puścić ją na wolność, dać jej szansę ocalenia, właśnie teraz ona nie chce odejść.

— Proszę cię, Magdo. Wyświadczyć tę ostatnią przysługę umierającemu starcowi, który z uśmiechem wstąpi do grobu wiedząc, że jesteś poza zasięgiem nazistów.

— A ty zostaniesz wśród nich? Nigdy!

— Posłuchaj, proszę. Możesz zabrać *Al Azif*. Wiem, to gruba księga, ale chyba ostatni egzemplarz na świecie. Nie ma kraju, gdzie nie mogłabyś go sprzedać za sumę, która pozwoli ci żyć wygodnie przez długie lata.

— Nie, Papo — odparła z takim zdecydowaniem w głosie, jakiego chyba nigdy jeszcze nie słyszał. Odwróciła się i wyszła do drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

„Za dobrze ją uczyłem — pomyślał. — Związałem ją ze sobą tak mocno, że teraz nie mogę jej odepchnąć nawet dla jej własnego dobra. Czy to dlatego nigdy nie wyszła za mąż? Przeze mnie?”

Przetarł zażawione oczy. Magda od dawna przyciągała uwagę mężczyzn. Coś w niej przemawiało na różne sposoby do różnych męskich typów; mało kto potrafił się temu oprzeć. Już dawno byłaby mężatką i matką — a on dziadkiem — gdyby jej matka nie zmarła niespodziewanie jedenaście lat temu. Magda miała wtedy dwadzieścia lat i zmieniła się szybko, przyjmując na siebie rolę jego towarzyszką, sekretarki, współpracowniczką, a ostatnio pielęgniarki. Otaczający ją mężczyźni dostrzegli, że nie zwraca na nich uwagi. Stopniowo zbudowała wokół siebie nieprzenikniony mur. On sam znał każdy słaby punkt tego muru i potrafił przebijać go wedle woli. Ale dla innych był on nie do skruszenia.

Chwilowo jednak musiał się zastanowić nad poważniejszymi sprawami. Jeśli Magda nie ucieknie z twierdzy, to nie ma przed sobą długiej przyszłości. Był jeszcze ten upiór, który pojawił się nocą. Cuza nie wątpił, że wróci, gdy tylko zgaśnie dzień, i nie chciał, by była wtedy przy nim. W tamtych oczach dostrzegł coś takiego, co zamknęło jego serce w lodowatym uścisku. Były wygłodniałe, nieopisane drapieżne... Przed wieczorem Magda musi stąd odejść.

Lecz bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnął pozostać tu sam i czekać na powrót upiora. To była najważniejsza chwila jego życia — znaleźć się twarzą w twarz z mitem, ze stworzeniem, które przez wieki wykorzystywano do straszenia dzieci. Dorosłych także. Udokumentować jego istnienie! Musiał jeszcze raz przemówić do tego stwora, zmusić go do odpowiedzi. Musiał odkryć, które z legend na jego temat są prawdziwe, a które fałszywe.

Na samą myśl o tym spotkaniu serce zaczynało bić szybciej. Dziwne, lecz nie czuł się zagrożony. Znał język upiora i nawet zdołał przekazać mu coś, co tamten zrozumiał, i dlatego nie zrobił im krzywdy. Cuza wyczuwał możliwość porozumienia, kontaktu. Z pewnością nie będzie się starał powstrzymać ani skrzywdzić tej istoty był sprzymierzeńcem każdego, kto zmniejszał liczebność szeregów niemieckiej armii.

Spojrzał na zawałony blat stołu. Był pewien, że nie znajdzie w tych obrzydliwych księgach niczego, czym mógłby zagrozić niezwykłemu zjawisku. Rozumiał teraz, dlaczego te teksty

zostały zakazane — były potworne. Przydadzą się jednak jako rekwizyty w przedstawieniu, które odgrywał przed parą skłóconych niemieckich oficerów. Musiał pozostać w twierdzy do czasu, gdy pozna wszystkie tajemnice żyjącej tu istoty. Potem Niemcy mogą z nim zrobić wszystko, co zechcą.

Ale Magda... Magda musi się znaleźć w bezpiecznym miejscu, zanim będzie mógł poświęcić swoją uwagę innym sprawom. Nie odejdzie z własnej woli... A gdyby została zmuszona? Kapitan Woermann może być kluczem do sukcesu. Nie wydawał się zadowolony z tego, że w twierdzy zakwaterowano kobietę. Tak, gdyby udało się go sprowokować...

Pogardzał sobą za to, co miał zamiar uczynić.

— Magda! — zawołał. — Magda!

Otworzyła drzwi.

— Mam nadzieję, że nie będziesz mnie znowu namawiał, żebym opuściła twierdzę, ponieważ...

— Nie, nie twierdzę. Tylko pokój. Jestem głodny, a Niemcy obiecali dawać nam posiłki ze swojej kuchni.

— Przynieśli coś do jedzenia?

— Nie. I na pewno nie przyniosą. Musisz iść sama.

Zesztywniała.

— Na dziedziniec? Chcesz, żebym tam wróciła po tym, co się stało?

— Jestem pewien, że to się nie powtórzy — nie było innego sposobu, musiał kłamać. — Oficerowie ostrzegli żołnierzy. Zresztą, nie posyłam cię na te ciemne schody do podziemi. Będziesz na otwartym terenie.

— Ale jak oni na mnie patrzają..

— Musimy coś jeść.

Magda milczała przez chwilę, spoglądając na ojca. Wreszcie skinęła głową.

— Chyba masz rację.

Zapięła sweter aż pod szyję i wyszła, nie odzywając się więcej. Cuza spojrział na nią czując ucisk w gardle. Była odważna i ufała mu... a on zdradzał jej zaufanie. Lecz przecież robił to dla jej dobra. Wysłał ją na zewnątrz z pełną świadomością tego, co ją czeka. Twierdził, że po jedzeniu.

Wcale nie czuł głodu.

XVI

DELTA DANUBE, WSCHODNIA RUMUNIA Środa, 30 kwietnia *godz. 10.35*

Znów widział ląd.

Szesnaście długich, pełnych napięcia godzin dobiegło wreszcie końca. Rudowłosy mężczyzna stał na zniszczonym pokładzie sardynkowca i patrzył na brzeg. Kuter równym tempem przemierzył szeroki przestwór Morza Czarnego. Dobrym tempem, lecz dla jedynego pasażera i jego gorącego pragnienia, by jak najszybciej znaleźć się na miejscu, było ono niemożliwie powolne. Dobrze przynajmniej, że żadna z dwóch wojskowych łodzi patrolowych, które mijali, ani rosyjska, ani rumuńska, nie próbowała ich zatrzymać. Rezultaty mogły okazać się katastrofalne.

Wprost przed nimi leżała rozgałęziona delta, przez którą Danube wlewała się do Morza Czarnego. Zielone, podmokłe brzegi formowały niezliczone zatoczki. Nietrudno będzie zejść na ląd, lecz marsz przez trzęsawiska na wyżej położone, bardziej suche tereny zajmie sporo czasu. A on nie miał czasu!

Musiał znaleźć inny sposób.

Rudowłosy mężczyzna obejrzał się na starego Turka przy sterze, potem znowu popatrzył na brzeg. Sardynkowiec nie zanurzał się głęboko — mógłby pewnie bez problemów popłynąć po wodzie nie głębszej niż półtora metra. To byłoby rozwiązanie — dotrzeć jednym z tych maleńkich odgałęzień delty do Danube, a potem na zachód do punktu, powiedzmy, trochę na wschód od Galati. Oczywiście, musieliby płynąć pod

prąd, z pewnością jednak dotarłby szybciej, niż gdyby prze-
dzierał się na piechotę przez całe kilometry ssącego blocka.

Sięgnął do pasa i wydobył dwie meksykańskie monety po
pięćdziesiąt peso, razem jakieś siedemdziesiąt pięć gramów
złota. Obejrzał się znowu i pokazał je Turkowi.

— Kiamil! — zawołał w ojczystym języku rybaka. — Jeszcze
dwie monety, jeśli zabierzesz mnie w górę rzeki.

Szyper patrzył na pieniądze i milczał, gryząc dolną wargę.
Miał w kieszeni dość złota, by stać się najbogatszym człowie-
kiem w wiosce. Przynajmniej na pewien czas. Nic jednak nie
trwa wiecznie i wkrótce znowu znajdzie się na łodzi, przy
sieciach. Dwie dodatkowe monety mogłyby odsunąć ten dzień.
Któż wie, ile godzin na wodzie, ile ran na dłoniach, ile bólu
w starych plecach, ile ryb dostarczonych do przetwórni będzie
trzeba, by tyle zarobić?

Rudowłosy mężczyzna obserwował w milczeniu, jak stary
rybak porównuje zyski i możliwe straty. I patrząc tak, sam
zaczął kalkulować szanse. Będą musieli podróżować w dzień,
nigdy daleko od brzegu ze względu na wąski w większej części
trasy tor żeglugowy, w tureckiej łodzi, po rumuńskich wodach.

To było szaleństwo. Jeśli nawet jakimś cudem nikt ich
zatrzyma i dotrą do Galati, to Kiamil nie może liczyć na
podobny cud podczas swej drogi powrotnej. Złapią go, zabiorą
łódź, a jego samego wsadzą do więzienia. Z drugiej strony,
rudowłosy mężczyzna nie ryzykował niemal niczym. Jeśli jakiś
patrol zatrzyma ich i odprowadzi do portu, z pewnością zdoła
uciec i ruszyć dalej. Kiamil natomiast w najlepszym razie straci
swoją łódź. W najgorszym — życie.

Szybkość nie była warta tej ceny. Transakcja nie byłaby
uczciwa. Zabral monety w chwili, gdy Turek już miał po nie
sięgnąć.

— Zapomnij o tym — powiedział. — Lepiej trzymajmy się
umowy. Wysadź mnie na brzeg gdzieś tutaj.

Stary rybak pokiwał głową, raczej z ulgą niż rozczarowa-
niem. Niewiele brakowało, by widok złota odebrał mu rozum.

Kuter zbliżał się do brzegu. Rudowłosy mężczyzna zarzucił
na ramię linę wiążącą koc, w który zawinął swój majątek,
i chwycił pod pachę płaskie pudło. Kiamil przerzucił silniki na

całą wstecz o pół metra od szarej mieszaniny piasku i błota, poprzerastanej bujną, sztywną trawą, która w tym miejscu tworzyła brzeg. Rudowłosy mężczyzna przeszedł na dziób i zeskoczył na ziemię. Obejrzał się jeszcze na machającego ręką Turka.

— Kiamil! Trzymaj!

Rzucił w stronę łodzi dwie pięćdziesięciopesowe monety, jedną po drugiej. Smagła, stwardniała dłoń rybaka bezbłędnie chwyciła je w powietrzu.

Wciąż mając w uszach długie, głośnie podziękowania w imię Mahometa i wszystkiego, co święte w Islamie, rudowłosy mężczyzna ruszył przed siebie, starannie wybierając drogę przez trzęsawisko. Czekały na niego chmary komarów, jadowite węże i bezdenne jamy ruchomych piasków, dalej zaś oddziały Żelaznej Gwardii. Nie mogły go zatrzymać, mogły jednak opóźnić podróż. Jako zagrożenie nie miały znaczenia w porównaniu z tym, co, jak wiedział, czekało o pół dnia jazdy na zachód, na Przełęczu Dinu.

XVII

TWIERDZA **Środa, 30 kwietnia** **godz. 16.47**

Woermann stał przy oknie i wyglądał na dziedziniec. Ludzie, którzy jeszcze wczoraj rozmawiali ze sobą swobodnie, dziś trzymali dystans. Niewidzialna linia oddzielała Einsatzkommando od żołnierzy regularnej armii.

Wczoraj mieli wspólnego wroga, który zabijał nie bacząc na kolor munduru. Ostatniej nocy jednak wróg nie uderzył i teraz obie formacje przypisywały zasługę sobie. Naturalna rywalizacja. SS-mani uważali się za elitę, ekspertów od specyficznych metod prowadzenia walki. Ludzie Woermanna z kolei sądzili, że tylko oni są prawdziwymi żołnierzami; bali się wprawdzie tego, co reprezentowały czarne mundury SS, patrzyli jednak na Einsatzkommando jak na coś niewiele więcej wartego od zwykłej policji.

Jedność zaczęła kruszyć się przy śniadaniu. Wszystko szło normalnie, dopóki nie pojawiła się ta dziewczyna. Żołnierze wśród żartów zaczęli rozpychać się łokciami, by znaleźć się blisko niej, gdy przechodziła obok kotłów, nabierając na tacę posiłek dla siebie i ojca. Nic się właściwie nie stało, lecz jej obecność na śniadaniu podzieliła obie grupy. SS-mani uznali, że skoro jest Żydówką, mają pierwszeństwo i mogą z nią zrobić, co zechcą. Żołnierze z kolei nie chcieli uznać niczyjego pierwszeństwa. Dziewczyna była piękna. Choć zakrywała włosy chustą i owijała ciało w workowatą odzież, nie mogła ukryć swej kobiecości, widocznej w gładkości skóry, linii szyi, kształcie ust i błysku oczu. Była wspaniałą zdobyczą dla każdego. Tak uważali ludzie Woermanna, pod warunkiem, oczywiście, że prawdziwi żołnierze będą mogli spróbować pierwsii.

Woermann nie zwrócił na to uwagi, ale właśnie wtedy pojawiły się pierwsze rysy na murze wczorajszej solidarności.

Przy obiedzie, kiedy dziewczyna po raz drugi pojawiła się w kuchni, doszło niemal do bójki. W zamieszaniu dwóch ludzi przewróciło się na ziemię i Woermann musiał wysłać sierżanta, by zaprowadził porządek, zanim padną mocniejsze ciosy. Magda tymczasem zabrała jedzenie i wyszła.

Wkrótce potem zjawiała się znowu. Szukała go. Wyjaśniła, że ojciec potrzebuje krzyża lub krucyfiks, niezbędnego do badania jednego z manuskryptów. Czy kapitan mógłby jej pożyczyć coś takiego? Mógł — mały, srebrny krzyżyk, zabrany któremuś z zabitych.

Teraz, gdy część ludzi nadal rozbierała mury twierdzy, pozostali trzymali się z dala od siebie. Woermann starał się wymyślić coś, co zapobiegłoby nieuniknionym starciom przy kolacji. Najlepiej chyba, gdyby ktoś przynosił posiłki dla profesora i jego córki do wieży. Im mniej ludzie będą widzieć tę dziewczynę, tym lepiej.

Jego uwagę zwróciło jakieś poruszenie na dole. Znowu poszło o Magdę. Początkowo z wahaniem, potem wyprostowana, z dumnie wysuniętą brodą, szła z wiadrem w stronę wejścia do podziemi. Żołnierze odprowadzali ją, najpierw tylko spojrzeniami, potem zaczęli się podnosić i dryfować ku niej ze wszystkich stron, niby mydlane bańki zbiegające się przy otworze wanny.

Kiedy wyszła z pełnym wiadrem na dziedziniec, czekali już, ustawieni w półokrąg, popychając się i przeciskając, by się jej lepiej przyjrzeć. Zagadywali ją, przesuwali się z przodu, z tyłu i z boków, a ona szła ostrożnie w stronę wieży. Jeden z członków Einsatzkommando zastąpił jej drogę, lecz zaraz odepchnął go któryś z żołnierzy, z demonstracyjną elegancją chwycił wiadro i błaznując poniósł je przed dziewczyną. SS-man próbował mu je wyrwać, lecz tylko zalał wodą spodnie i buty żołnierza.

Ludzie w czarnych mundurach wybuchnęli śmiechem, a żołnierz poczerwieniał gwałtownie. Woermann wiedział, co zaraz nastąpi, nie mógł jednak nic zdziałać ze swego miejsca przy oknie na drugim piętrze. Widział, jak żołnierz wykonuje szeroki

zamach, jak wiadro z całą siłą trafia SS-mana w twarz, a potem najszybciej jak potrafił biegł już po schodach na dół.

Na parterze dostrzegł jeszcze skrawek spódnicy za zamykającymi się drzwiami kwatery Żydów, a sekundę później był już na dziedzińcu, gdzie trwała regularna bitwa. Musiał dwa razy wystrzelić, zanim żołnierze zwrócili na niego uwagę, a uspokoił się dopiero wtedy, gdy zagroził, że zastrzeli każdego, kto spróbuje uderzyć kolegę.

Podjął decyzję. Dziewczyna musi stąd zniknąć.

Pozostawiwszy z żołnierzami sierżanta Oстера, Woermann ruszył wprost do wieży. Kaempffer zajęty będzie doprowadzaniem do porządku swojego Einsatzkommando, uda się więc może usunąć dziewczynę z twierdzy. Jeśli potrafi wyprawić ją za most i do gospody, zanim SS-man się zorientuje, jest szansa, że już tam pozostanie.

Tym razem nie tracił czasu na pukanie, lecz pchnął drzwi i wszedł do środka.

— *Fräulein* Cuza!

W pokoju był tylko profesor, siedzący za stołem.

— Czego pan od niej chce? — zapytał.

Woermann nie zwrócił na niego uwagi.

— *Fräulein* Cuza!

— Tak? — odezwała się, wychodząc z drugiego pokoju. Na jej twarzy widać było jeszcze ślady niedawnych przeżyć.

— Proszę się spakować i przeprowadzić do gospody. Ma pani na to dwie minuty.

— Ależ... nie mogę zostawić ojca!

— Za dwie minuty odejdzie pani stąd, ze swoim bagażem lub bez.

Nie miał zamiaru ustąpić i sądził, że wyraz jego twarzy pokazuje to dobitnie. Niechętnie rozdzielał tych dwoje — profesor potrzebował opieki, a córka mu ją zapewniała — lecz musiał dbać o ludzi pozostających pod jego komendą, a ta dziewczyna wywierała na nich fatalny wpływ. Ojciec musi pozostać w twierdzy, córka zamieszka w gospodzie — tak postanowił i nie pozwolił na żadne dyskusje.

Magda spojrzała na ojca jakby prosząc, by wystąpił w jej obronie, lecz starzec milczał. Westchnęła więc ciężko i wyszła z pokoju.

— Ma pani jeszcze półtorej minuty! — zawołał za nią Woermann.

— Półtorej minuty na co? — odezwał się z tyłu jakiś głos. Głos Kaempffera.

Klnąc w duchu i szykując się do dyskusji, Woermann stanął twarzą w twarz z SS-manem.

— Pańskie wyczcucie czasu jest jak zwykle doskonałe, majorze — powiedział. — Właśnie poleciłem *Fräulein* Cuza, by spakowała rzeczy i przeniosła się do gospody.

Kaempffer otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz uprzedził go profesor.

— Zakazuję! — krzyknął. — Nie pozwolę zabrać stąd mojej córki!

Major zmrugał oczy i zapominając o Woermannie podszedł do stołu. Kapitan obejrzał się, zaskoczony nieoczekiwanym wybuchem starca.

— Zakazujesz, Żydzie? — spytał cicho Kaempffer. — Zakazujesz? Przypomnę ci więc: nie masz tu nic do gadania. Nic!

Starzec z rezygnacją opuścił głowę.

Zadowolony z jego posłuszeństwa Kaempffer zwrócił się do Woermanna.

— Dopilnuj, żeby wyprowadziła się natychmiast. Sprawia za dużo kłopotów.

Zdziwiony i zaskoczony Woermann odprowadził wzrokiem majora, który wybiegł z pokoju równie nagle, jak się pojawił. Potem spojrzał na Cuzę, który nie pochylał już głowy i wcale nie wyglądał na zrezygnowanego.

— Dlaczego pan nie protestował przed przyjściem majora? — zapytał starca. — Odniosłem wrażenie, że pan chce, by córka opuściła twierdzę.

— Być może. Zmieniłem jednak zdanie.

— Zauważyłem. I dał pan temu wyraz w sposób niezwykle prowokacyjny, i to w najbardziej strategicznym momencie. Czy zawsze manipuluje pan ludźmi w ten sposób?

— Drogi kapitanie — odparł poważnym tonem Cuza. — Nikt nie zwraca większej uwagi na inwalidę. Ludzie patrzą na ciało, okaleczone wypadkiem lub wyniszczone chorobą i automatycznie zakładają, że umysł w tym ciele jest równie niesprawny. „Nie może chodzić, więc nie ma nic ciekawego ani pożytecznego do powiedzenia”. Inwalida, taki jak ja, szybko uczy się zatem skłaniać innych do występowania z pewnymi pomysłami, na które sam wcześniej wpadł, w dodatku tak, by zdawało im się, że to ich pomysły. To nie jest manipulacja; raczej forma perswazji.

Magda weszła do pokoju z walizką w rękę, a Woermann z gniewem, lecz i nie bez podziwu zdał sobie sprawę z faktu, że on sam także uległ manipulacji — czy też „perswazji”, jeśli użyć określenia profesora. Wiedział, kto posyłał dziewczynę do kuchni i do podziemi. Świadomość ta nie męczyła go jednak zbyt. Własny instynkt kapitana także sprzeciwiał się obecności kobiety w twierdzy.

— Nie postawię warty w gospodzie — oznajmił. — Rozumie pani z pewnością, że pani ucieczka nie wyszłaby profesorowi na zdrowie. Zaufam pani honorowi i oddaniu dla ojca.

Nie dodał, że decyzja, którzy żołnierze mają jej pilnować, doprowadziłyby pewnie do otwartej wojny pomiędzy obu formacjami, walczącymi o podwójną korzyść — znalezienia się poza twierdzą i w pobliżu atrakcyjnej kobiety. Nie miał wyboru, musiał jej zaufać.

— Proszę się nie obawiać, kapitanie — odezwała się Magda, patrząc znacząco na ojca. — Nie mam najmniejszego zamiaru uciekać, pozostawiając go samego.

Woermann dostrzegł, jak profesor z irytacją zaciska dłonie w pięści.

— Zabierz to ze sobą — powiedział Cuza, popychając w jej stronę jedną z ksiąg, tę, którą określał jako *Al Azif*. — Przejrzyj wieczorem, żebyśmy mogli rano omówić wyniki.

W jej uśmiechu pojawił się ślad złośliwości.

— Wiesz przecież. Papo, że nie znam arabskiego — chwyciła inny, cieńszy wolumin. — Może lepiej wezmę tę.

Patrzyli na siebie nieruchomo. Woermann pomyślał, że

chyba wie, na czym polega konflikt pomiędzy nimi i czemu żadne nie chce ustąpić.

Nagle Magda wyminęła stół, pochyliła się i pocałowała ojca w czoło, gładząc jego rzadkie, siwe włosy. Potem wyprostowała się i spojrzała Woermannowi prosto w oczy.

— Niech się pan zaopiekuje moim ojcem, kapitanie. Proszę. Nie mam nikogo oprócz niego.

Zanim zdążył pomyśleć, Woermann usłyszał własny głos:

— Proszę się nie martwić. Dopilnuję wszystkiego.

Był zły na siebie. Nie powinien tego mówić. Przeciwwstawiało się to całemu oficerskiemu szkoleniu, całemu pruskiemu wychowaniu. W jej oczach dostrzegł jednak coś, co zmusiło go do złożenia tej obietnicy. Nie miał córki, lecz gdyby miał, chciałby, żeby troszczyła się o niego tak, jak ta dziewczyna o swojego ojca.

Nie, nie musiał się bać, że ucieknie. Za to ojciec... ten był przebiegły. Trzeba będzie na niego uważać. Woermann postanowił niczego nie przyjmować na wiarę, jeśli idzie o tych dwoje.

Rudowłosa mężczyzna zmusił swego wierzchowca do galopu. Znajdował się u podnóża gór, w pobliżu południowo-wschodniego wejścia na Przełęcz Dinu. Nie zwracał uwagi na okolicę. W miarę jak słońce przed nim opadało coraz niżej, zbocza z obu stron stawały się bardziej strome i skaliste, zbliżały się do siebie, aż pozostawiły zaledwie ścieżkę szerokości najwyżej czterech metrów. Kiedy minie to zwężenie, znajdzie się na szerokiej Przełęczy Dinu. Stamtąd bez trudu dotrze na miejsce, nawet po ciemku. Znał drogę.

Właśnie miał sobie pogratulować, że udało mu się uniknąć licznych w tej okolicy patroli, gdy dostrzegł dwóch zagradzających drogę żołnierzy. Stali z bagnietami nałożonymi na lufy trzymanyh w pogotowiu karabinów. Mężczyzna szarpnął uzdę, osadzając konia. Szybko zdecydował, jak się zachować. Nie chciał żadnych kłopotów, musiał więc rozegrać to delikatnie.

— Gdzie się tak spieszysz, pastuchu? — zapytał starszy

żołnierz. Miał obfite wąsy i dziobatą twarz. Młodszy wybuchnął śmiechem. Najwyraźniej słowo „pastuch” miało dla nich znaczenie obelgi.

— Na przełęcz, do mojej wsi. Ojciec mi zachorował. Proszę, panowie, przepuście mnie.

— Wszystko w odpowiednim czasie. Jak daleko chcesz dojechać?

— Do twierdzy.

— Twierdzy? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Gdzie ona jest?

Słowa te dawały odpowiedź na jedno z pytań, które od początku podróży nękały rudowłosego mężczyznę. Gdyby twierdza wiązała się z jakimiś operacjami wojskowymi na przełęcz, ci dwaj słyszeliby o niej.

— Czemu mnie zatrzymujecie? — zapytał, starając się wyglądać na zdziwionego. — Czy coś się stało?

— Tacy jak ty nie będą zadawać pytań Żelaznej Gwardii — odparł wąsaty. — Złaż z konia, żebyśmy mogli ci się przyjrzeć.

Tak więc nie byli to zwykli żołnierze, ale członkowie Żelaznej Gwardii. Wydostanie się z tej sytuacji będzie trudniejsze, niż sądził. Rudowłosy mężczyzna zsiadł z konia i stanął nieruchomo, czekając, aż obaj obejrzą go dokładnie.

— Nie pochodzisz z tej okolicy — oświadczył wąsaty. — Pokaż dokumenty.

Tego właśnie rudowłosy mężczyzna obawiał się przez całą drogę.

— Nie mam ich ze sobą, proszę pana — odparł z największym szacunkiem. — Wyruszyłem w takim pośpiechu, że zapomniałem. Wrócę i przywiozę je, jeśli panowie sobie życzą.

Żołnierze spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Podróżny bez dokumentów nie miał praktycznie żadnych praw — taki brak poszanowania dla przepisów dawał im wolną rękę. Mogli z nim zrobić, co chcieli.

— Nie masz papierów? — Wąsaty trzymał karabin na piersi, a mówiąc akcentował słowa krótkimi pchnięciami, uderzając zamkiem i kolbą w żebra zatrzymanego. — Skąd mamy wiedzieć, czy nie przemycasz broni dla chłopów w górach?

Rudowłosy mężczyzna krzywił się i wycofywał, okazując więcej bólu, niż naprawdę odczuwał — brak reakcji zirytowałby tylko żołnierza. „Zawsze to samo — pomyślał. — W każdym czasie i miejscu, niezależnie od tego, jak nazywa się rządzący, ci tchórze zawsze tak samo znęcają się nad słabszymi od siebie”.

Wąsaty odstąpił o krok i wymierzył broń w rudowłosego mężczyznę.

— Przeszukaj go! — polecił młodszemu żołnierzowi.

Tamten przesunął broń na ramię i zaczął brutalnie uderzać rękami w ubranie podróżnego. Zatrzymał się, gdy natrafił na pas z pieniędzmi. Kilku zręcznymi ruchami rozpiął koszulę i wydobyl go na zewnątrz. Zobaczywszy złoto gwardziści znowu spojrzeli na siebie znacząco.

— Gdzie to ukradłeś? — Wąsaty po raz kolejny uderzył kolbą w żebra rudowłosego.

— To moje — wyjaśnił tamten. — Cały mój majątek. Możecie go zabrać, tylko pozwólcie mi przejechać.

Mówił szczerze. Złoto nie było mu już potrzebne.

— Owszem, zatrzymamy to sobie — zaśmiał się wąsaty. — Ale najpierw zobaczymy, co tam jeszcze chowasz — wskazał na długie, płaskie pudło, przypięte po prawej stronie siodła. — Otwórz to! — polecił swemu towarzyszowi.

Rudowłosy uznał, że posunęli się już wystarczająco daleko. Nie pozwoli otworzyć pudła.

— Nie dotykaj! — powiedział.

Musieli wyczuć groźbę w jego głosie, gdyż obaj znieruchomieli, patrząc na niego ze zdziwieniem. Wąsaty gniewnie zagryzł wargi i postąpił krok do przodu, by jeszcze raz uderzyć go kolbą.

— Jak śmiesz...

Poruszenia rudowłosego sprawiały wrażenie starannie zaplanowanych, były jednak instynktowne. Kiedy wąsaty pchnął swym karabinem, wyrwał mu go zręcznie, a gdy tamten patrzył zdumiony na swe puste ręce, uderzył go kolbą od dołu, łamiąc mu szczękę. Potem wystarczyło krótkie pchnięcie w odsłoniętą krtań, by zmiażdżyć tchawicę. Mężczyzna odwrócił się widząc, że drugi żołnierz zdejmuje broń z ramienia, przesunął się o krok i wbił nałożony na lufę bagnet głęboko

w pierś przeciwnika. Żołnierz westchnął tylko, opadł bezwładnie i umarł.

Wąsaty żył jeszcze, ale konał. Wygięty w pałąk, z posiniałą twarzą, szarpał rękami gardło, bezskutecznie próbując wpuścić do płuc choć odrobinę powietrza.

Rudowłosy mężczyzna przyglądał się temu obojętnie. Nie czuł nic, tak samo jak wtedy, gdy zabił Carlosa na łodzi. Ani tryumfu, ani żalu. Nie widział powodu, by świat miał żałować śmierci tych ludzi i wiedział, że gdyby czekał dłużej, to on mógłby teraz leżeć na ziemi, ranny lub zabity.

Zanim zapiął pas z pieniędzmi, wąsaty leżał już nieruchomo, tak jak jego towarzysza. Rudowłosy ukrył ciała i karabiny w skalach na północnym stoku, po czym dosiadł konia i ruszył galopem w stronę twierdzy.

Magda chodziła niespokojnie w swym maleńkim, oświetlonym trzema świeczkami pokoiku w gospodzie; nerwowo splatając i rozplatając palce. Co chwilę zatrzymywała się przy oknie, by spojrzeć na twierdzę. Noc była ciemna, od południa płynęły wysoko czarne chmury i nie widziała księżycą.

Ciemność napępiała ją lękiem — ciemność i samotność. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio czuła się tak samotna. Nie było to słuszne ani właściwe, że zamieszkała w gospodzie zupełnie bez opieki. Pocieszała ją trochę myśl, że Lidia, żona Iuliu, będzie w pobliżu, lecz cóż mogła pomóc ta kobieta, jeżeli upiór postanowi przekroczyć wąwóz i przyjść po nią?

Z okna dobrze widziała twierdzę. Zająła jedyny pokój, mający okno wychodzące na północną stronę. Dlatego chciała w nim zamieszkać. Iuliu nie protestował, była przecież jedynym gościem.

Iuliu zachowywał się zresztą niezwykle grzecznie, niemal uniżenie. To ją dziwiło. Owszem, podczas jej poprzednich wizyt zawsze był uprzejmy, lecz teraz niemal płaszczył się przed nią.

Ze swego pokoju dostrzegła oświetlone okienko na dolnym poziomie wieży, gdzie przebywał teraz Papa. Nie zauważyła żadnego ruchu, a to oznaczało, że jest sam. Z początku była na niego wściekła, gdy tylko zrozumiała, jak sprytnie zdołał

usunąć ją z twierdzy. Lecz w miarę upływu godzin gniew zastępowała troska. Jak on sobie poradzi?

Odwróciła się i oparta o parapet spojrzała na cztery białone ściany, ograniczające jej przestrzeń życiową. Pokój był malutki: wąska szafa, pojedyncza toaleta z krzywym lustrem, trójnożny stół i szerokie, nazbyt miękkie łóżko. Na łóżku spoczywała jej mandolina, której, odkąd się tu wprowadziła, nawet nie dotknęła. Książka *Cultes des goules* leżała tam, gdzie ją wrzuciła, w dolnej szufladzie toaletki. Nie miała zamiaru czytać, wzięła ją jedynie dla zachowaniu pozorów.

Musiała wyjść, choćby na chwilę. Zdmuchnęła dwie świece, pozostawiając trzecią. Nie chciała wracać do całkiem ciemnego pokoju. Po przeżyciach poprzedniej nocy do końca życia będzie się bała ciemności.

Zeszła drewnianymi schodami na parter. Oberżysta siedział na ganku i przygnębiony strugał jakiś patyk.

— Coś się stało, panie Iuliu?

Drgnął, usłyszawszy jej głos, spojrzał na nią przelotnie i wrócił do przerwanej czynności.

— Pani ojciec... dobrze się czuje?

— Na razie tak. Czemu pan pyta?

Odłożył nóż i zakrył twarz dłońmi. Zaczął mówić, szybko, jakby się bał, że braknie mu odwagi, by dokończyć.

— Jesteście tutaj przeze mnie. Wstyd mi... nie jestem mężczyzną. Ale oni chcieli dowiedzieć się wszystkiego o twierdzy, a ja nie mogłem im niczego powiedzieć. Wtedy pomyślałem o pani ojcu, który poznał tu wszystkie sekrety, jakie można poznać. Nie wiedziałem, że jest tak ciężko chory, i nigdy nie sądziłem, że panią także sprowadzą. Nic nie mogłem poradzić! Bili mnie!

Magda poczuła, jak wzbiera w niej gniew — Iuliu nie miał prawa mówić Niemcom o Papie! Musiała jednak przyznać, że w podobnych okolicznościach pewnie ona także próbowałaby powiedzieć wszystko, co chcieli. Teraz wiedziała przynajmniej, w jaki sposób dotarli do Papy i dlaczego oberżysta był tak uprzedzająco grzeczny.

Zrobiło jej się go żal, gdy podniósł głowę i spojrzał na nią błagalnie.

— Czy pani mnie nienawidzi?

Pochyliła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie. Przecież nie chciał pan nas skrzywdzić.

Ze współczuciem uściśnął jej rękę.

— Mam nadzieję, że wszystko się dobrze skończy.

— Ja też.

Odeszła wolno ścieżką w stronę wąwozu. Ciszę naruszał tylko chrzęst kamyków pod stopami, wyraźnie słyszalny w wilgotnym powietrzu. Zatrzymała się wśród gęstych, świeżo pokrytych pąkami krzaków po prawej stronie mostu. Otuliła się mocniej swetrem. Była noc, chłodna i wilgotna, lecz uczucie zimna nie wynikało ze zwykłego spadku temperatury. Za nią, w mroku, stała gospoda; za mostem płonęły światła w oknach twierdzy. Z dna przełęczcy unosiła się mgła, wypełniała wąwóz i przesłaniała mury. Blask żarówek na dziedzińcu sączył się przez drobną zawiesinę w powietrzu, lśniąca niby fosforyzująca chmura. Twierdza wyglądała jak niezgrabny, lecz luksusowy transatlantyk, płynący po widmowym morzu mgły.

Ten widok sprawił, że znowu poczuła lęk.

Poprzedniej nocy... Wśród śmiertelnych zagrożeń dnia łatwo było nie myśleć o tym, co się wtedy zdarzyło. Lecz teraz, w mroku, wspomnienia powróciły z nową siłą — te oczy, ten lodowaty uścisk na ramieniu. Przesunęła palcami po skórze tuż poniżej łokcia, gdzie dotknęła jej straszna istota. Wciąż jeszcze pozostał tam szary ślad tego dotknięcia. Nie mogła go zmyć, skóra w tym miejscu wydawała się martwa. Nie mówiła o tym Papie, ale był to dowód, że minioną noc nie była snem. Koszmar zdarzył się naprawdę. Stwór, którego uważała za wymyślonego, istniał, tam, za mostem, w tej kamiennej budowli, gdzie został Papa. Wiedziała, że czeka teraz na przybycie upiora. Nie mówił tego, lecz wiedziała. Papa miał nadzieję, że nocny gość pojawi się znowu, a jej przy nim nie będzie i nie będzie mogła mu pomóc. Upiór oszczędził ich wczoraj, ale czy Papa może liczyć na takie szczęście po raz drugi?

A jeśli wampir nie odwiedzi dziś Papy? Jeśli przekroczy most i przyjdzie po nią? Nie mogła znieść myśli o jeszcze jednym spotkaniu.

Wszystko było tak nierealne! Nieumierający są przecież tylko bajką!

Jednak poprzedniej nocy...

Rozmyślenia przerwał jej stuk kopyt. Obejrzała się i dostrzegła niewyraźnie, jak jeździec i koń w pełnym galopie mijają gospodę i zbliżają się do mostu, najwyraźniej z zamiarem wjechania do twierdzy. W ostatniej chwili jeździec ściągnął ostro cugle i zatrzymał wierzchowca na skraju wąwozu. Zwierzę i człowiek stali nieruchomo, słabo widoczni w blasku światła. Zauważyła długie, płaskie pudło, przymocowane do siodła. Po chwili jeździec zsiadł, przeszedł kilka kroków po moście i zatrzymał się.

Przykucnięta za krzakiem Magda patrzyła, jak obserwuje twierdzę. Nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu się chowa, lecz zdarzenia ostatnich dni sprawiły, że bała się obcych.

Przybysz był wysoki, szczupły i muskularny, miał rozwichrzone i chyba rude włosy; oddychał szybko, lecz bez wysiłku. Widziała, jak porusza głowę, obserwując spacerujących po murze wartowników. Zdawało się, że ich liczy. Jego postawa zdradzała napięcie, jak gdyby tylko siłą woli powstrzymywał się od zaatakowania zamkniętej bramy na drugim końcu mostu. Wyglądał na rozczarowanego, zagniewanego i zdziwionego.

Stał tak przez dłuższą chwilę. Magda czuła, że od długiego pozostawania w jednej pozycji zaczynają ją boleć mięśnie, nie odważyła się jednak poruszyć. Wreszcie przybysz odwrócił się i podszedł do wierzchowca. Cały czas obserwował uważnie krawędź wąwozu. Nagle zatrzymał się i spojrzał prosto na krzak, za którym się ukryła. Wstrzymała oddech, a serce zabiło jej gwałtownie.

— Hej, ty! — zawołał mężczyzna. — Wyłaź!

Mówił rozkazującym tonem, a akcent wskazywał na dialekt meglenicki.

Magda nie poruszyła się. Nie mógł przecież zobaczyć jej w ciemności, za krzakami.

— Wyłaź, bo sam cię wyciągnę!

Namacala na ziemi ciężki kamień i chwyciwszy go mocno wstała i wyszła z kryjówki. Zdecydowała, że zaryzykuje. Nie pozwoli jednak, by ten człowiek, ani nikt inny, zmuszał ją do czegoś bez walki. Dość już dzisiaj przeżyła.

— Dlaczego się pani chowa?

— Bo nie wiem, kim pan jest — starała się, by jej głos brzmiał zuchwale.

— Rozsądny powód — mówiąc to przybysz uprzejmie skłonił głowę.

Wyczuwała w nim napięcie, lecz także to, że nie ma ono związku z jej obecnością. Ta świadomość uspokajała.

Mężczyzna skinął ręką w stronę mostu.

— Co tam się dzieje? Kto oświecił twierdzę, jakby chciał tu ściągnąć turystów?

— Niemieccy żołnierze.

— Tak mi się wydawało. Ich hełmy wyglądają na niemieckie. Ale dlaczego tutaj?

— Nie wiem. Oni sami chyba nie wiedzą.

Raz jeszcze spojrzął na twierdzę i Magda usłyszała, że mruczy pod nosem coś, co zabrzmiało jak „dumie!”. Nie była tego pewna. Miała wrażenie, że ona sama wcale go nie obchodzi, że interesuje się jedynie twierdzą. Rozluźniła nieco palce ściskające kamień, nie odrzuciła go jednak. Jeszcze nie.

— Czemu tak to pana interesuje? — spytała.

Spojrzał na nią. Nie widziała w mroku jego twarzy.

— Zwykła ciekawość turysty. Bywałem tu wcześniej i pomyślałem, że zatrzymam się w twierdzy po drodze w góry.

Natychmiast wiedziała, że kłamie. Żaden turysta nie jechałby nocą przez Przełęcz Dinu tak szybko, jak ten człowiek. Chyba że to szaleniec. Cofnęła się, odwróciła i ruszyła w stronę gospody. Bała się zostać sama w nocy z człowiekiem, który wygłaszał tak bezczelne kłamstwa.

— Dokąd pani idzie?

— Wracam do pokoju. Zimno mi.

— Odprowadzę panią.

Magda przyspieszyła kroku.

— Dziękuję, znam drogę.

Chyba nie dosłyszał, a jeśli nawet, postanowił nie zwracać uwagi na jej słowa. Chwyił konia za uzdę i poprowadził za nią, dotrzymując jej kroku. Przed nimi majaczyła kanciasta sylwetka gospody. Magda rozpoznała swoje okno, rozjaśnione słabym blaskiem świecy, której nie zgasiła wychodząc.

— Może pani wyrzucić ten kamień — odezwał się przybysz. — Nie będzie pani potrzebny.

Magda z trudem opanowała zdumienie. Czy ten człowiek widzi w ciemności?

— Sama o tym zdecyduję — odparła gniewnie.

Mężczyzna pachniał cierpko i nieprzyjemnie, mieszaną ludzkiego i końskiego potu. Przyśpieszyła kroku, by pozostawić go za sobą.

Nie trudził się, by ją dogonić.

Dopiero na ganku odrzuciła kamień i weszła do środka. Po prawej stronie mała jadalnia stała pusta i ciemna, po lewej siedział za stołem, służącym za biurko. Właśnie miał zdmuchnąć świecę.

— Lepiej niech pan zaczeka — rzuciła przechodząc. — Chyba będzie pan miał jeszcze jednego gościa.

Iuliu spojrział na nią z rozjaśnioną twarzą.

— Dzisiaj?

— Natychmiast.

Rozpromieniony, otworzył księgę rejestracyjną i odkorkował kałamarz.

Rodzina Iuliu prowadziła tę gospodę od pokoleń. Niektórzy powiadali, że zbudowano ją jako mieszkanie dla murarzy, budujących twierdzę. Była zwykłym, piętrowym domkiem, w żadnym razie nie przynoszącym dochodu — liczba podróżnych, jacy się tu zatrzymywali, była śmiesznie mała. Rodzina Iuliu mieszkała jednak na parterze, więc w rzadkich przypadkach, gdy zjawiał się jakiś gość, zawsze ktoś był na miejscu. Większa część niewielkich dochodów oberzysty pochodziła z prowizji, jaką otrzymywał za pełnienie funkcji kasjera tajemniczego właściciela twierdzy. Resztę dawała węża stada owiec, którego doglądał jego syn — tych owiec, których nie poświęcono, by zdobyć ubranie i odrobinę mięsa na stół.

Dwa pokoje wynajęte w tym samym czasie były istną bonanzą.

Magda wbiegła szybko na schody, lecz nie wchodziła jeszcze do pokoju. Zatrzymała się, by posłuchać rozmowy obcego z Iuliu. Dziwiło ją trochę własne zainteresowanie. Mężczyzna wydał jej się wyjątkowo nieatrakcyjny; był ponury i brzydki

pachniał, a w dodatku zachowywał się trochę arogancko i z wyższością, co uznała za odpychające.

Dlaczego więc stała tu podsluchując? Takie zachowanie zdarzało się jej po raz pierwszy.

Usłyszała ciężkie kroki na ganku, potem otworzyły się drzwi. Głos przybysza odbijał się echem na schodach.

— O, jest oberżysta. Dobrze, że jeszcze nie śpisz. Dopilnuj, żeby ktoś oczyścił i nakarmił mojego konia. To już drugi dzisiaj i ostro go popędzałem. Chcę, żeby był suchy, zanim pójdzie na noc do stajni. Hej! Słyszysz mnie?

— Tak... tak, proszę pana — głos Iuliu był chrapliwy i pełen napięcia, jakby oberżysta przestraszył się czegoś.

— Zrobisz, co mówiłem?

— Tak. Ja... zaraz obudzę siostrzeńca. Zajmie się koniem.

— Potrzebuję też pokoju dla siebie.

— Mamy jeszcze dwa wolne. Proszę się wpisać.

Przez chwilę panowała cisza.

— Możesz mnie zakwaterować w tym nad nami, oknem na północ.

— Uhm, przepraszam, proszę pana, ale musi pan wpisać nazwisko — powiedział drżącym głosem Iuliu. — Samo „Glenn” nie wystarczy.

— Czy mieszka tu jeszcze ktoś o imieniu Glenn?

— Nie.

— Może jest w tej okolicy ktoś o imieniu Glenn?

— Nie, ale...

— Zatem wystarczy samo „Glenn”.

— Dobrze, proszę pana. Ale muszę uprzedzić, że pokój z oknem na północ jest zajęty. Może pan dostać wschodni pokój.

— Ktokolwiek to jest, powiedz mu, żeby zamienił pokoje. Zapłacę dodatkowo.

— To nie on, proszę pana. To ona i nie sądzę, żeby chciała się przeprowadzić.

„Masz świętą rację, Iuliu” — pomyślała Magda.

— Powiedz jej! — to był rozkaz i to wydany głosem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Słyszac zbliżające się do schodów kroki Magda przemknęła

do pokoju i czekała. Zachowanie obcego budziło w niej wściekłość. Ale dlaczego Iuliu tak się go bał?

Po pierwszym stuknięciu otworzyła drzwi i spojrzała na krępego oberżystę, nerwowo ściskającego i skrecającego w dłoni połę koszuli. Twarz miał bladą i pokrytą kropelkami potu, który ściekał mu po wąsach. Najwyraźniej był przerażony.

— Przepraszam panią, *Domnisoara* Cuza — wybelkotał. — Gość na dole Chciałby zamieszkać w tym pokoju. Zgodzi się pani? Proszę.

Płaszczyl się; błagał. Magdzie zrobiło się go żal, nie miała jednak zamiaru zrezygnować z pokoju.

— Wykluczone! — próbowała zamknąć drzwi, lecz Iuliu przytrzymał je.

— Musi pani.

— Nie, panie Iuliu. I nie zmienię decyzji.

— Więc może... może sama mu pani powie? Proszę.

— Dlaczego się pan tak boi? Kto to jest?

— Nie wiem, kto to jest. I wcale się... — przerwał w pół zdania. — Powie mu pani? Proszę.

Iuliu aż trząśł się ze strachu. Powodowana pierwszym impulsem Magda Chciała pozwolić oberżystcie samemu załatwiać własne sprawy, ale pomyślała, jak miło będzie poinformować aroganckiego przybysza, że nie odstąpi mu pokoju. Od dwóch dni nie miała nic do powiedzenia w sprawach dotyczących jej bezpośrednio. Zachowanie własnego zdania nawet w tak drobnej kwestii powinno być przyjemną odmianą.

— Oczywiście. Zaraz mu powiem.

Przecisnęła się obok Iuliu i szybko zbiegła po schodach. Mężczyzna czekał niecierpliwie, oparty niedbale o długie, płaskie pudło, które poprzednio zauważyła przypięte do siodła. Po raz pierwszy miała okazję zobaczyć go przy świetle i musiała zrewidować początkową opinię. To prawda, był ponury i już na schodach czuła jego zapach, miał jednak przystojną twarz z długim, prostym nosem i wysokimi kośćmi policzkowymi. Spostrzegła też, jak wspaniale rude były jego włosy, niby ciemny płomień, może trochę za długie i nie uczesane, lecz to, podobnie jak drażniąca woń, mogło być rezultatem długotrwałej i trudnej podróży. Przez chwilę patrzyła mu prosto

w oczy, zadziwiające błękitem i czystością. Jedynym, co psuło ogólne wrażenie, był oliwkowy odcień skóry, nie pasujący do tych włosów i oczu.

— Spodziewałem się, że to pani.

— Nie odstąpię panu pokoju.

— Jest mi potrzebny — oznajmił, prostując się.

— Teraz należy do mnie. Może go pan zająć, kiedy wyjadę.

Zbliżył się do niej o krok.

— Jest bardzo ważne, bym miał okno wychodzące na północ. Jestem...

— Mam swoje powody, by obserwować twierdzę — przerwała mu Magda nie dopuszczając do kolejnego kłamstwa. — Tak samo, jestem pewna, jak pan ma swoje. Moje jednak są natury osobistej i bardzo dla mnie istotne. Nie przeprowadzę się.

Oczy błysnęły mu groźnie i przez chwilę Magda bała się, że posunęła się za daleko. Potem, równie nagle, obcy uspokoił się, cofnął i w kącikach jego ust pojawił się ślad uśmiechu. -

— Nie pochodzi pani z tej okolicy, prawda? -

— Przyjechałam z Bukaresztu.

— Tak myślałem — Magda wyczuła w jego głosie nowe brzmienie, jakby nutę posepnego szacunku. Lecz to chyba niemożliwe. Dlaczego miałby ją szanować, jeśli stała mu na drodze do tego, czego pragnął? — Nie zmieni pani zdania?

— Nie.

— No, trudno — westchnął. — Zatem, okno na wschód. Gospodarzu! Prowadź do mojego pokoju!

Iuliu pędem zbiegł ze schodów, niemal przewracając się w pośpiechu.

— Natychmiast, proszę pana. Pokój na prawo jest przygotowany. Zaniosę to... — wyciągnął rękę po pudło, lecz Glenn chwycił je pierwszy.

— Sam sobie poradzę. Ale przy siodle zostawiłem owinięte w koc swoje rzeczy. Będą mi potrzebne — ruszył schodami w górę. — Nie zapomnij zadbać o konia! To dobre, posłuszne zwierzę — rzucił Magdzie pożegnalne spojrzenie; spojrzenie budzące w niej nieznaną, ale przyjemną uczucie, po czym pobiegł przeskakując po dwa stopnie naraz. — I zaraz przygotuj mi kapiel.

— Tak, proszę pana! — Iuliu pochylił się do Magdy i uściśnął obie jej dłonie. — Dziękuję — szepnął, zalekniiony jeszcze, choć wyraźnie dochodzący do siebie. Po czym wybiegł zając się koniem.

Magda została sama. Przez chwilę stała nieruchomo, rozmyślając o dziwnych wydarzeniach wieczoru. Na razie nie może zajmować się zagadkami, które pojawiły się tutaj, w gospodzie. Nie wtedy, gdy w twierdzy czekają na odpowiedź problemy o wiele straszniejsze.

Twierdza! Zupełnie zapomniała o Papie! Pobiegła na górę, minęła zamknięte drzwi pokoju Glenna, wpadła do własnego i popędziła do okna. W wieży światełko Papy paliło się tak samo jak poprzednio.

Westchnęła z ulgą i rzuciła się na łóżko. Łóżko... prawdziwe łóżko... Może jednak wszystko dobrze się skończy. Uśmiechnęła się do siebie. Nie, to nic nie da. Coś musi się zdarzyć. Zamknęła oczy. Samotna świeca migotała na toaletce, umieszczone z tyłu lustro wzmacniało jej blask. Magda była zmęczona. Gdyby choć przez chwilę mogła odpocząć, poczułaby się lepiej... pomyśleć o przyjemnych rzeczach, na przykład o tym, że pozwolą jej i Papie wrócić do Bukaresztu, z dala od Niemców i tej straszliwej zjawy...

Jakiś ruch w korytarzu odwrócił jej myśl od twierdzy. To chyba ten obcy, Glenn, idzie się wykapać. Przynajmniej nie będzie już tak cuchnął jak dziś wieczorem. Zresztą, dlaczego właściwie ją to interesuje? Zdawał się przejmować swoim koniem, co mogło świadczyć o dobrym charakterze. A może tylko praktycznym. Czy naprawdę mówił, że to jego drugi wierzchowiec tego dnia? Czy ktokolwiek jest w stanie tak zajeździć dwa konie? Nie mogła zrozumieć, czemu Iuliu był taki przerażony. Zdawało się, że zna Glenna, a przecież nie wiedział, jak się nazywa, dopóki tamten nie wpisał się do książki. To nie ma sensu...

Nic już nie miało sensu... nie mogła się skupić...

Trzask zamykanych drzwi przerwał jej drzemkę. To nie były jej drzwi. A zatem Glenna. Skrzypnęły schody. Magda poderała się i zerknęła na świecę — była o połowę krótsza niż

wtedy, kiedy patrzyła na nią ostatnio. Rzuciła się do okna. W pokoju ojca nadal paliło się światło.

Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk, dostrzegła jednak niewyraźną sylwetkę mężczyzny idącego ścieżką w kierunku mostu. Poruszał się jak kot. Bezszelstnie. Była pewna, że to Glenn. Patrzyła, jak schodzi w krzaki na prawo od wejścia na most i zatrzymuje się dokładnie w miejscu, w którym sama stała poprzednio. Mgła wypełniła wawóz i przelewała się ponad krawędzią skrywając stopy przybysza. Obserwował twierdząc niby strażnik.

Magda poczuła ukłucie gniewu. Co on tam robi? To jej miejsce. Nie ma prawa go zajmować. Żałowała, że nie ma dość odwagi, by pójść tam za nim i kazać mu odejść. Chociaż nie. Właściwie nie bała się go, ale poruszał się zbyt szybko, zbyt zdecydowanie. Był niebezpieczny. Wyczuwała jednak, że z jego strony nic jej nie zagraża. Innym może tak. Może Niemcom w twierdzy. A czy to nie czyniło go kimś w rodzaju sojusznika? Mimo wszystko nie mogła tam iść i powiedzieć mu, żeby sobie poszedł.

Mogła go jednak obserwować. Mogła ukryć się gdzieś w pobliżu i sprawdzić, po co tam stoi, a jednocześnie uważać na okno Papy. Niewykluczone, że uda jej się dowiedzieć, po co tu przyjechał. Myślała o tym, schodząc cicho na dół i przemykając się ścieżką. Przekradła się i ukryła za dużym głazem, tuż za Glennem. Nigdy się nie domyśl, że tu jest.

— Chce mi pani odebrać swój punkt obserwacyjny?

Magda aż podskoczyła, słysząc jego głos. Nawet się nie obejrzał.

— Skąd pan wiedział, że tu jestem?

— Słyszałem panią, odkąd wyszła pani z gospody. Nie jest pani zbyt zręczna.

Znowu to samo — ta bezczelna pewność siebie.

Obejrzał się na nią i skinął ręką.

— Proszę podejść bliżej. Może mi pani wytłumaczyć, czemu Niemcy palą tyle świateł o tej porze? Czy oni nigdy nie śpią?

Zawahala się, lecz postanowiła przyjąć zaproszenie. Stanie tam, na krawędzi, ale nie za blisko tego człowieka. Zbliżając się poczuła, że pachnie o całe niebo lepiej.

— Boją się ciemności — wyjaśniła.

— Ciemności — powtórzył. Wcale nie wydawał się zaskoczony. — A to dlaczego?

— Chodzi o wampira. Tak sądzą.

W słabym, przymglonym świetle dalekich żarówek twierdzy spostrzegła, że unosi brwi.

— Naprawdę? Tak pani powiedzieli? Czy zna pani tam kogoś?

— Byłam tam. A mój ojciec tam został — wyciągnęła rękę. — To najniższe okno w wieży, to jego pokój. To, gdzie się świeci.

Miała nadzieję, że Papie nic się nie stało.

— Czemu jednak ktoś miałby uwierzyć, że w okolicy grasuje wampir?

— Zginęło ośmiu ludzi, niemieckich żołnierzy. Wszyscy mieli porozrywane gardła.

Zacisnął wargi.

— Ale mimo wszystko... wampir?

— Podobno dwóch martwych ludzi się poruszało. Wampir jest chyba jedynym wytłumaczeniem wszystkiego, co zaszło. A po tym, co sama widziałam...

— Widziała go pani? — Glenn odwrócił się i pochylił w jej stronę. Jego oczy wpatrywały się w nią z wyczekiwaniem.

Magda cofnęła się o krok.

— Tak.

— Jak wyglądał?

— Dlaczego chce pan wiedzieć? — przerażał ją teraz. Pochylał się nad nią, a jego słowa uderzały z fizyczną niemal siłą.

— Powiedz! Był błydy? Ciemny? Przystojny? Brzydki? Jaki?

— Ja... ja sama już nie wiem, czy dobrze pamiętam. Wiem tylko, że wydał mi się szalony i... i nieczysty, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć.

Wyprostował się.

— Tak. To wiele wyjaśnia. Nie Chciałem pani przestraszyć — dodał i zastanawiał się przez moment. — A jego oczy? — zapytał.

Magda poczuła dziwny ucisk w gardle.

— Skąd pan wie o jego oczach?

— Nic nie wiem o jego oczach — odparł szybko. — Mówi się jednak, że oczy są zwierciadłem duszy.

— Jeśli to prawda — powiedziała, mimowolnie zniżając głos do szeptu — to jego dusza jest jak bezdenne otchłań.

Przez chwilę oboje milczeli, przyglądając się twierdzy. Magda zastanawiała się, o czym myśli Glenn. Wreszcie odezwał się:

— Jeszcze jedno — powiedział. — Czy wie pani, jak się to wszystko zaczęło?

— Ani mnie, ani mojego ojca nie było tu wtedy, ale powiedziano nam, że pierwszy człowiek zginął zaraz po tym, jak razem z przyjacielem przebili się przez mur w podziemiach.

Glenn skrzywił się, jakby z bólu, i przymknął oczy. Magda, tak samo jak kilka godzin temu, dostrzegła, że jego wargi układają się w słowo „dumie”, choć nie wypowiadają go głośno.

Glenn otworzył oczy i nagle wyciągnął rękę, wskazując twierdzę.

— Co się dzieje w pokoju pani ojca?

Magda obejrzała się i z początku nie zauważyła niczego. Potem poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Światło przygasало. Nie zastanawiając się mszyła do mostu. Glenn chwycił ją jednak za rękę i przyciągnął do siebie.

— Nie bądź głupia — szepnął jej chrapliwie do ucha. — Strażnicy cię zastrzelą. A nawet jeśli jakimś cudem nie zaczną strzelać, nigdy nie wpuszczą cię do środka. Nic nie możesz zrobić.

Magda niemal go nie słyszała. W milczeniu i zawzięcie próbowała się wyrwać. Musiała tam biec — musiała pomóc Papie! Ale Glenn był silny i nie chciał jej puścić. Czula jego palce wbijające się w ramiona. Im bardziej się szarpała, tym mocniej przyciskał ją do siebie.

W końcu dotarło do niej znaczenie jego słów: nie dostanie się do Papy. Nic nie może zrobić.

Bezradna, patrzyła w milczeniu, jak czerń wolno i nieubłaganie pochłania światło w pokoju Papy.

XVIII

TWIERDZA **Czwartek, 1 maja** *godz. 02.17*

Theodor Cuza czekał cierpliwie, choć niespokojnie. Nie wiedział czemu, lecz był pewien, że zjawą, którą widział wczoraj, wróci. Przemówił do niej w dawnej mowie. Musi wrócić. Dzisiaj.

Niczego więcej nie był pewien. Może odkryje sekrety, których od wieków poszukiwali uczeni, a może nie doczeka świtu. Drżał cały, tyleż z podniecenia, co z lęku przed nieznanym.

Przygotował wszystko. Siedział za stołem, ułożone w równy stos książki leżały po jego lewej ręce, niewielkie pudełko pełne przedmiotów zgodnie z legendą odstrasżających wampiry stało po prawej. Przed sobą postawił zawsze niezbędny kubek z wodą. Jedynym oświetleniem była żarówka z kloszem, wisząca mu nad głową, a jedynym dźwiękiem jego własny oddech.

Nagle zorientował się, że nie jest sam.

Zanim cokolwiek dostrzegł, wyczuł to — wrogą obecność, gdzieś poza polem widzenia, poza możliwością opisu. Po prostu coś się pojawiło. Potem nadeszła ciemność. Tym razem inna niż wczoraj, kiedy zatrąła samo powietrze w pokoju i szerzyła się, rozrastała zewsząd. Dzisiaj nadciągnęła inną drogą — wolno, nieuchronnie przesączała się przez ściany, zasłaniała je i coraz ciaśniejszym kręgiem otaczała jego fotel.

Cuza przycisnął do blatu okryte rękawiczkami dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Serce biło mu w piersi tak mocno i głośno, że bał się, czy wytrzyma to napięcie. Chwila nadeszła. Chwila, na którą czekał.

Ściany zniknęły, ciemność zamknęła go pod czarną kopułą,

pochłaniającą światło żarówki — żaden blask nie przenikał poza krawędź stołu. Było zimno, lecz nie tak, jak ostatniej nocy. Nie było też wiatru.

— Gdzie jesteś? — spytał po starosłowiańsku.

Milczenie. Lecz w mroku, w miejscu, gdzie nie docierało światło, coś stało, przyglądało mu się i czekało.

— Pokaż się... proszę.

Przez chwilę trwała cisza, po czym z czerni odezwał się głos:

— Potrafię mówić współczesnym językiem. — Silnie akcentowane słowa pochodziły z podstawowej wersji dialektu dakorumuńskiego, używanego na tych obszarach w czasie, gdy powstała twierdza.

Ciemność za stołem zaczęła się rozjaśniać. Wśród czerni zmaterializował się ludzki kształt. Cuza od razu rozpoznał twarz i *oczy* wczorajszego przybysza, a po chwili mógł zobaczyć całą jego postać — olbrzymi mężczyzna o szerokich ramionach, wysoki prawie na dwa metry, stojący dumnie i wyzywająco w lekkim rozkroku, z rękami wspartymi na biodrach; potężny, bezlitosny. Długi do podłogi płaszcz, czarny jak jego oczy i włosy, spinała pod szyją złota, wysadzana klejnotami klamra. Pod płaszczem profesor dostrzegł czerwoną, chyba jedwabną bluzę, czarne spodnie przypominające bryczesy oraz wysokie buty z twardej, brązowej skóry.

— Jak to się stało, że znasz dawną mowę? — zapytał przybysz.

— Ja... — zająknął się Cuza. — Ja... badałem ją przez całe lata. Przez wiele lat.

Czuł, że jego umysł zamiera w otępieniu. Wszystko, co chciał powiedzieć, wszystkie pytania, jakie chciałby zadać — nic nie pamiętał. Zrozpaczony, wypowiedział na głos pierwszą myśl, jak mu przyszła do głowy.

— Spodziewałem się niemal, że będziesz nosił strój wieczorowy.

Gęste, rosnące blisko siebie brwi zetknęły się niemal, gdy upiór zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem. Co to znaczy „wieczorowy”?

Cuza był na siebie wściekły — zdumiewające, jak jedna powieść, napisana pół wieku temu przez Anglika, może zmienić wizję czegoś, co było przecież czysto rumuńskim mitem.

— Kim jesteś? — zapytał, pochylając się w fotelu.

— Wicehrabia Radu Molasar. Ta część Wołoszczyzny należała kiedyś do mnie.

To znaczy, że w swoich czasach był panem feudalnym.

— Bojar?

— Tak. Jeden z tych, którzy pozostali przy Vladzie, Vladzie, którego przewano Tepes, „Wbijający na pal”, aż do jego śmierci niedaleko Bukaresztu.

Był wstrząśnięty, choć przecież oczekiwał takiej odpowiedzi.

— To było w 1476 roku! Prawie pięć wieków temu! Jesteś aż tak stary?

— Żyłem wtedy.

— Ale gdzie przebywałeś od piętnastego wieku?

— Tutaj.

— Dlaczego? — w miarę trwania rozmowy lęk Cuzy ulatniał się, zastępowany szalonym podnieceniem, od którego kręciło mu się w głowie. Chciał wiedzieć wszystko, natychmiast!

— Ścigano mnie.

— Kto? Turcy?

Oczy Molasara zwężyły się tak, że widać było jedynie bezdenną czerń jego źrenic.

— Nie. Inni... szaleńcy, którzy przeszukaliby cały świat, by mnie zniszczyć. Wiedziałem, że nie mogę zawsze być szybszy — uśmiechnął się, odsłaniając długie, szpiczaste, żółtawe zęby, nieszczerólnie ostre, ale wyglądające na bardzo mocne. — Postanowiłem więc przeczekać. Zbudowałem tę twierdzę, dopilnowałem, by cały czas ktoś o nią dbał, i ukryłem się.

— Czy jesteś... — to pytanie Cuza chciał zadać od samego początku, ale nie miał dość odwagi. Teraz nie mógł się już powstrzymać. — Czy jesteś nieumierającym?

Znowu ten uśmiech, zimny, niemal ironiczny.

— Nieumierający? Nosferatu? *Moroi?* Może.

— Ale jak...

Molasar machnął potężną dłonią.

— Dość! Dość tych natrętnych pytań. Nie dbam o twą pustą ciekawość. Nie dbałbym też o ciebie, gdyby nie to, że jesteś moim rodakiem, a w kraju panoszą się najeźdźcy. Czemu z nimi trzymasz? Zdradziłeś Wołoszczyznę?

— Nie! — widząc gniew Molasara Cuza poczuł, że przytłumiony podnieceniem lęk ogarnia go na powrót. — Sprowadzili mnie tu wbrew woli!

— Po co?

— Myśleli, że potrafię wykrzyć, co zabija żołnierzy. I udało mi się... prawda?

— Tak. Udało ci się — uśmiechnął się Molasar, którego nastrój uległ kolejnej zmianie. — Potrzebuję ich, by odnowić swe siły po długim uśpieniu. Zanim w pełni odzyskam swą moc, muszę zabić ich wszystkich.

— Ale nie możesz! — wyrzucił z siebie Cuza bez namysłu.

Molasar znowu zapłonął gniewem.

— Nigdy mi nie mów, co mogę, a czego nie mogę robić w moim własnym domu! A zwłaszcza wtedy, gdy zajęli go najeźdźcy! Za moich dni pilnowałem, by żaden Turek nie postawił stopy na przełęczy, a teraz budzę się i widzę moją twierdzę zajęta przez Niemców! — był wściekły. Chodził tam i z powrotem, wymachując zaciśniętymi w pięści dłońmi, by zaakcentować swe słowa.

Cuza skorzystał z okazji, uniósł pokrywkę stojącego na stole pudełka i wyjął kawałek pękniętego lustra, który dostał dzisiaj od Magdy. Gdy Molasar biegał po pokoju, profesor podniósł odłamek i próbował pochwycić w nim odbicie upiora. Spojrzawszy w lewo widział Molasara obok stosu książek, lecz w lustrze dostrzegł tylko książki.

Molasar nie miał odbicia!

Nagle coś wyrwało odłamek z dłoni Cuzy.

— Nadal ciekawy? — Molasar podniósł lustro do oczu i zajął w nie. — Tak. Bajki mówią prawdę. Nie mam odbicia. Dawno temu było inaczej — zadumał się na chwilę. — Teraz już nie. Co jeszcze masz w tym pudełku?

— Czosnek — profesor sięgnął pod pokrywkę i wyjął całą główkę. — Podobno odpędza wampiry.

Molasar wyciągnął rękę. Włosy porastały mu wewnątrz dłoni.

— Daj to.

Cuza podał mu czosnek, a Molasar wsadził główkę do ust, ugryzł kawałek i odrzucił resztę.

— Uwielbiam czosnek — oświadczył.

— A srebro? — wyciągnął niewielki medalion, także należący do Magdy.

Molasar wziął go bez waliania i potarł w dłoniach.

— Jak mógłbym być bojarem, gdybym się bał srebra? — zdawało się, że świetnie się bawi.

— Jeszcze to — Cuza sięgnął po ostatni przedmiot w pudełku. — Podobno to najsilniejszy środek przeciw wampirom — wyciągnął przed siebie krzyżyk, wypożyczony przez Magdę od kapitana Woermanna.

Molasar wydał z siebie coś pośredniego między westchnieniem a warknięciem, cofnął się i odwrócił głowę.

— Zabierz to!

— Działa na ciebie? — Cuza był wstrząśnięty. Patrzył, jak Molasar drży i czuł dziwny ciężar przyniatający mu piersi. — Ale dlaczego? W jaki sposób...

— ZABIERZ TO!

Cuza usłuchał Natychmiast. Ścianki tekturowego pudełka pogięły się, gdy w pośpiechu, z całej siły, przyciskał pokrywkę, chowając krzyżyk.

Molasar niemal rzucił się na niego.

— Myślałem, że znajdę w tobie sprzymierzeńca przeciw tym cudzoziemcom! — syknął, obnażając zęby. — Ale widzę, że jesteś taki sam jak oni!

— Też chciałbym, żeby stąd odeszli — zapewnił pospiesznie Cuza, z przestachem wciskając się w skąpą tapicerkę fotela. — Bardziej jeszcze niż ty!

— Gdyby to była prawda, nigdy nie przyniósłbyś tu tego obrzydlistwa! I nigdy byś mi go nie pokazywał!

— Przecież nie wiedziałem! To mogła być jeszcze jedna bajka, jak ta o czosnku i srebrze! — musiał go przekonać.

Molasar zatrzymał się.

— Może — odwrócił się i ruszył w mrok, minimalnie tylko spokojniejszy. — Nie jestem jednak ciebie pewny, kaleko.

— Nie odchódź! Proszę!

Molasar wstał w oczekującą go ciemność, lecz zanim zniknął, obejrzał się jeszcze.

— Jestem po twojej stronie, Molasarze! — krzyknął Cuza.

Wampir nie mógł odejść, nie teraz, gdy tyle jeszcze pozostało pytań bez odpowiedzi!

Jedynie błyski światła odbitego od oczu Molasara były jeszcze widoczne. Resztę pochłonęła czerń. Nagle wysunęła się z tej czerni ręka i wskazała palcem profesora.

— Będę ci się przyglądał, kaleko. I jeśli przekonam się, że jesteś godzien zaufania, odezwę się znowu. Lecz jeśli zdradziłeś nasz lud, zginiesz.

Ręka zniknęła, potem oczy. Słowa jednak pozostały, jakby zawieszone w powietrzu. Mrok ustępował powoli, na powrót wsączając się w ściany. Wkrótce wszystko przybrało poprzedni wygląd. Nadgryziona główka czosnku w kącie była jedynym dowodem wizyty Molasara.

Przez dłuższy czas Cuza siedział bez ruchu. Zauważył, jak sztywny ma język, wyschnięty bardziej niż zwykle. Podniósł kubek z wodą i napił się trochę — czysto mechaniczna czynność, wykonywana bez udziału świadomości. Przelknął płyn ze zwykłą trudnością i sięgnął po pudełko. Przez chwilę nie mógł się zdecydować na podniesienie pokrywki. Oszołomiony umysł wzdragał się przed tym, co go tam czeka, nie mógł się jednak cofnąć. Zaciskając spękane wargi w wąską linię Cuza uniósł karton, wyjął krzyżyk i położył go przed sobą.

Taki drobiazg. Trochę srebra. Jakieś ozdoby na końcach ramion. Żadnego przybitego ciała. Zwykły krzyż. Symbol tego, jak nieludzki może być człowiek wobec innego człowieka.

Licząca tysiące lat tradycja i nauka wiary, które w tak dużym stopniu wplatały się w jego życie codzienne, kazały mu uważać noszenie krzyżyków za dość barbarzyński obyczaj, pewien znak niedojrzałości religii. No cóż, chrześcijaństwo było przecież dość młodym odgałęzieniem judaizmu. Potrzebowało czasu. Jak mówił Molasar? „Obrzydlistwo”. Nie, nie miał racji, przynajmniej zdaniem Cuzy. Krzyżyk był groteskowy, owszem, ale na pewno nie obrzydliwy. Teraz jednak, jak tyle innych spraw, nabrał nowego znaczenia. Profesor czuł, jak napierają na niego kamienne mury, gdy z uwagą wpatrywał się w niewielki przedmiot. Krzyże były tak podobne do amuletów, używanych przez ludy prymitywne do odpędzania zła. Wschodni Europejczycy, a zwłaszcza Cyganie, mieli ich

całą masę, poczynając od czosnku i kończąc na ikonach. Przygotował krzyż razem z całą resztą, lecz nie widział powodu, by poświęcać mu więcej uwagi niż innym przedmiotom.

A jednak Molasar lękał się krzyża. Nie mógł nawet na niego spojrzeć. Tradycyjna moc odpędzania demonów i wampirów brała się jakoby z tego, że był to symbol ostatecznego zwycięstwa dobra nad złem. Cuza powtarzał sobie zawsze, że jeśli nieumierający istnieją naprawdę i krzyż istotnie ma nad nimi władzę, to nie sam z siebie, a ze względu na wewnętrzną wiarę i przekonanie osoby, która go trzyma.

I właśnie udowodnił sobie, że nie miał racji.

Molasar był zły. To nie ulegało wątpliwości: każda istota, która pozostawia za sobą łańcuch trupów tylko po to, by kontynuować własne istnienie, musi być zła. I cofnął się, gdy zobaczył krzyż. Choć Cuza nie wierzył w moc symbolu, ten okazał swą władzę nad wampirem.

A więc sam krzyż ma tę siłę, nie jego posiadacz.

Ręce mu drżały. Czuł zawrót głowy i oszołomienie, gdy przebiegał w myślach płynące stąd wnioski. Były wstrząsające.

XIX

TWIERDZA **Czwartek, 1 maja** *godz. 06.40*

Dwie noce z rzędu nikt nie zginął. Woermann, zapinając pas, czuł, że jego nastrój zbliża się powoli do granicy euforii. Po raz pierwszy przespał spokojnie całą noc i teraz czuł się znakomicie.

Twierdza nie wyglądała ani odrobinę jaśniej czy przyjemniej. Nadal dręczyło go nieokreślone wrażenie czyjejs wrogiej obecności. Nie, twierdza pozostała taka sama. To on się zmienił. Uwierzył, że może jednak wróci żywy do Rathenow. Do tej pory poważnie w to wątpił. Po solidnym śniadaniu, wiedząc, że ma rankiem tyle samo ludzi, ile wczoraj wieczorem, skłonny był uwierzyć, że wszystko jest możliwe — nawet odjazd Ericha Kaempffera i jego umundurowanych bandytów.

Nawet obraz nie potrafił mu zepsuć nastroju. Cień po lewej stronie okna nadal przypominał wisielca, nie budził już jednak takiego niepokoju jak wtedy, gdy Kaempffer pierwszy raz zwrócił na to uwagę.

Zszedł po schodach na parter akurat na czas, by spotkać się z Kaempfferem, który podchodził właśnie do drzwi profesora. Wyglądał na jeszcze bardziej niż zwykle zadowolonego z siebie, i jak zwykle nie miał po temu najmniejszych podstaw.

— Dzień dobry, drogi majorze — zawołał serdecznie Woermann. Myśl o szybkim pożegnaniu z SS-manem sprawiała, że uprzejmość przychodziła mu bez trudu. Nie mógł się jednak powstrzymać od drobnej złośliwości. — Widzę, że wpadliśmy na ten sam pomysł. Przychodzisz zapewne, by wyrazić profesorowi najgłębszą wdzięczność za to, że znowu ocalił nam życie.

— Nie ma dowodu, że cokolwiek mu zawdzięczamy! — warknął Kaempffer. Jego dobry nastrój znikł jak zdmuchnięty. — Nawet on sam tego nie twierdzi.

— Ale zbieżność jego przyjazdu i zaprzestanie morderstw sugeruje związek przyczynowo-skutkowy, nie sądzisz?

— Przypadek! Nic więcej!

— Więc po co przyszedłeś?

Kaempffer zawałił się na moment.

— Żeby dowiedzieć się, co ten Żyd wyczytał w księgacli, naturalnie.

— Naturalnie.

Weszli do pokoju. Cuza klęczał na rozciągniętym na podłodze śpiworze. Nie modlił się, próbował się podciągnąć na swój fotel. Spojrzał tylko przelotnie na dwóch Niemców i powrócił do swego zajęcia.

Pierwszym odruchem Woermanna było pomóc — ręce Cuzy zdawały się niezdolne do uchwycenia poręczy, mięśnie zbyt słabe, by go podciągnąć. Nie prosił jednak o pomoc ani słowami, ani nawet wzrokiem. Najwyraźniej samodzielne zajęcie miejsca na wózku było dla profesora kwestią osobistej ambicji. Woermann pomyślał, że oprócz córki niewiele jest rzeczy, z których ten kaleka mógłby być dumny. Nie chciał go pozbawiać tego skromnego sukcesu.

Cuza najwyraźniej wiedział, co robi. Stojąc obok Kaempffera, który z pewnością dobrze się bawił całą sceną, Woermann widział, że starzec dosunął oparcie fotela do ściany obok kominka. Widział ból na jego twarzy, gdy napinał słabe mięśnie, zmuszał do ruchu zastałe stawy. Wreszcie profesor z jękiem bólu wśliznął się na siedzenie. Zmęczony, zdyszany i spocony wsparł się o poręcz. Wciąż jeszcze musiał się wsunąć trochę głębiej i odwrócić, by usiąść normalnie, lecz najgorsze było już za nim.

— Czego chcecie? — zapytał, gdy wyrównał mu się oddech. Zniknęło gdzieś zrównoważenie i demonstracyjna uprzejmość, cechująca jego zachowanie od chwili, gdy znalazł się w twierdzy. Nie zwracał się już do nich „panowie”. Zbyt wielki ból i wyczerpanie starał się opanować, by stać go było jeszcze na luksus ironii.

— Czego się dowiedziałeś tej nocy. Żydzie? — spytał Kaempffer.

Cuza usiadł wygodniej i zmęczony osunął się na oparcie fotela. Na chwilę zamknął oczy, otworzył je i spojrzał na SS-mana. Bez okularów wydawał się prawie ślepcem.

— Niewiele. Natrafiłem na dowody, że twierdząc zbudował piętnastowieczny bojar, współczesny Vlada Tepesa.

— To wszystko? Dwa dni studiów i tylko tyle?

— Jeden dzień, majorze — zauważył profesor, a Woermann wyczuł w tej odpowiedzi ślad poprzedniego sarkazmu. — Jeden dzień i dwie noce. To niewiele. To niewiele, gdy teksty źródłowe nie są pisane w języku ojczystym badacza.

— Nie Chcę słuchać twoich usprawiedliwień. Żydzie! Chcę wyników!

— Czyżby ich nie było? — odpowiedź na to pytanie zdawała się mieć dla Cuzy duże znaczenie.

Kaempffer wyprostował się dumnie.

— Przez dwie kolejne noce nikt nie zginął, ale nie wierzę, żebyś miał z tym coś wspólnego — z wyniosłą miną spojrzał na Woermanna. — Zdaje się, że wypełniłem swoją misję. Na wszelki wypadek zostaną jeszcze jedną noc, zanim pojadę dalej.

— Och! Jeszcze jedna noc w twoim towarzystwie! — zawołał Woermann, czując ogarniającą go euforię. — Nasz puchar się dopełnił!

Przez jedną noc może wytrzymać wszystko — nawet Kaempffera.

— Nie widzę potrzeby, by pozostawał pan tutaj nawet przez tak krótki czas, majorze — wtrącił wyraźnie ucieszony Cuza. — Jestem pewien, że pańskie zdolności są o wiele bardziej potrzebne w innych krajach.

SS-man wykrzywił w uśmiechu wargi.

— Nie opuszczę twojego ukochanego kraiku. Żydzie. Jadę stąd do Ploesti.

— Do Ploesti? Dlaczego do Ploesti?

— Wkrótce się dowiesz — obejrzał się na Woermanna. — Jutro o świcie będę gotów do odjazdu.

— Osobiście otworzę ci bramę.

SS-man rzucił kapitanowi wrogie spojrzenie i wyszedł z po-

koju. Woermann patrzył za nim ponuro. Czuł, że nic nie zostało rozwiązane, że morderstwa ustały same z siebie i mogą zacząć się znowu dziś, jutro, pojutrze. Cieszyli się tylko krótką przerwą, moratorium; niczego nie dokonali i niczego się nie dowiedzieli. Nie informował jednak Kaempffera o swych wątpliwościach. Pragnął jego odjazdu z twierdzy równie mocno, jak sam major. Nie Chciał w żaden sposób go opóźniać.

— Dlaczego on jedzie do Ploesti? — zapytał z tyłu Cuza.

— Lepiej, żeby pan nie wiedział — przeniósł spojrzenie ze zmęczonej twarzy profesora na blat stołu. Obok okularów leżał tam srebrny krzyżyk, który wczoraj wypożyczyła jego córka.

— Proszę mi powiedzieć, kapitanie. Dlaczego ten człowiek jedzie do Ploesti?

Woermann nie odpowiedział. Starzec miał dość problemów i informacja, że wkrótce powstanie rumuński odpowiednik Auschwitz, nie mogła mu wyjść na dobre.

— Jeśli ma pan ochotę, może pan się dziś spotkać z córką. Ale pan musi do niej pojechać. Ona nie może wejść do twierdzy — wyciągnął rękę i podniósł krzyżyk. — Przydał się panu na coś?

Cuza spojrział krótko na srebrny przedmiot i szybko odwrócił wzrok.

— Nie. Wcale.

— Mam go zabrać?

— Co? Nie... nie! Może się jeszcze okazać potrzebny. Niech go pan zostawi.

Woermann zwrócił uwagę na nagłe napięcie w głosie starca. Profesor zmienił się od wczoraj, nie był już tak pewny siebie. Woermann nie potrafił określić, na czym polegała ta zmiana.

Rzucił krzyżyk na stół i ruszył do drzwi. Miał dość spraw na głowie, żeby jeszcze się martwić, co się dzieje z profesorem. Jeśli Kaempffer naprawdę ma zamiar odjechać, to trzeba się zastanowić, co dalej. Zostać czy także opuścić to miejsce? Jedno było oczywiste — trzeba będzie zorganizować transport zwłok do Niemiec. Dość już czekają. Bez Kaempffera będzie przynajmniej mógł spokojnie pomyśleć.

Zajęty własnymi problemami wyszedł bez pożegnania.

Zamykając drzwi zauważył, że profesor podjechał wózkiem do stołu, włożył okulary i uważnie wpatruje się w trzymany w dłoniach krzyżyk.

Wiedziała przynajmniej, że nie zginął.

Magda czekała z niecierpliwością na powrót wartownika, który poszedł po Papę. Czekala zresztą ponad godzinę, zanim otworzyli bramę. Przybiegła tu o świcie, lecz oni ignorowali jej kołatania. Bezsenna noc sprawiła, że była wyczerpana i nerwowa.

Obserwowała spod oka dziedziniec. Nic się nie działo. Tu i tam leżały stopy gruzu, pozostałe po rozbieranych murach, lecz w tej chwili nikt nie pracował. Pewnie jedzą śniadanie. Dlaczego to trwa tak długo? Powinni jej pozwolić samej po niego pójść.

Mimowolnie pomyślała o Glennie. Wtedy, nocą, ocałł jej życie. Gdyby jej nie powstrzymał, niemieccy strażnicy na pewno by ją zastrzelili. Na szczęście miał dość siły, by ją trzymać, póki nie odzyskała zdolności rozsądnego myślenia. Wspominała dotyk jego ciała, gdy przyciskał ją do siebie. Żaden mężczyzna jeszcze tego nie zrobił, żaden nie znalazł się nawet dość blisko, by spróbować. To było przyjemne wspomnienie. Budziło w niej coś, co nie chciało już powrócić do stanu uśpiania.

Próbowała myśleć tylko o Papie i twierdzy, nie o Glennie...

... lecz przecież był taki delikatny, uspokajał ją, przekonywał, by wróciła do pokoju i obserwowała twierdzę z okna. Nie miało sensu stanie na skraju wąwozu. Czowała się wtedy taka bezradna, a on to rozumiał. A kiedy rozstali się przy drzwiach, dostrzegła w jego oczach smutek... i jeszcze coś. Poczucie winy? Ale dlaczego miałby czuć się winnym?

Dostrzegła jakies poruszenie przy wejściu do wieży i przestąpiła próg bramy twierdzy. Całe światło i ciepło poranka odpłynęło od niej nagle, jak gdyby z ciepłego domu wyszła na mroźną, zimową noc. Cofnęła się natychmiast i poczuła, jak chłód cofa się, gdy tylko jej stopy znalazły się na moście. Pogodą wewnątrz twierdzy rządziły chyba inne reguły niż

tutaj, choć żołnierze zdawali się niczego nie dostrzegać. Ona tak, ale ona przychodziła z zewnątrz.

Pojawił się Papa na wózku, popychanym niechętnie przez wartownika, najwyraźniej zakłopotanego tym, co przyszło mu robić. Gdy tylko zobaczyła twarz ojca, Magda wiedziała, że minionej nocy zaszło coś strasznego. Chciała biec do niego, lecz wiedziała, że jej nie pozwolą. Żołnierz dotarł z wózkiem do bramy i puścił go pozwalając, by dotoczył się do Magdy. Nie czekając, aż się całkiem zatrzyma, złapała uchwyty i wjechała na most. Gdy byli już w połowie drogi nad wąwozem, a ojciec nadal milczał, poczuła, że musi przerwać ciszę.

— Coś się stało. Papo?

— Nic i wszystko.

— Przyszedł do ciebie?

— Zaczekaj, aż będziemy koło gospody. Wtedy ci opowiem. Tutaj ktoś mógłby podsłuchać.

Niecierpliwa, by się dowiedzieć, czemu jest taki tajemniczy, szybko dojechała wózkiem na tyły gospody, gdzie poranne słońce oświetlało świeżą trawę i odbijało się od białej ściany budynku. Ustawiła fotel ojca tak, by siedział plecami do słońca, by rozgrzewało go, nie oślepiając jednocześnie. Przykłękła i chwyciła jego dłonie, jak zawsze okryte rękawiczkami. Wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle i poczuła nagły przypływ troski. Powinien być teraz w domu, w Bukareszcie. Tutaj żył w zbyt wielkim napięciu.

— Co się stało. Papo? Opowiedz mi o wszystkim. On zjawiał się znowu, prawda?

Jego głos, gdy się odezwał, był całkiem spokojny. Patrzył nie na Magdę, ale na twierdzę.

— Ciepło tutaj. Nie tylko dla ciała, ale też dla duszy. W twierdzy dusza może zamarznąć, jeśli pozostanie się tam zbyt długo.

— Papo...

— Nazywa się Molasar. Twierdzi, że był jednym z bojarów wiernych Władowi Tepesowi.

Magda była zaszokowana.

— To by znaczyło, że ma ponad pięćset lat!

— Na pewno jest jeszcze starszy. Nie pozwolił mi zadać

wszystkich pytań. Ma własne problemy, a wśród nich głównym jest oczyszczenie twierdzy z intruzów.

— Ciebie także?

— Niekoniecznie. On, zdaje się, myśli o mnie jako o rodaku — Rumunie, Wołochu, jak to określa. Moja obecność specjalnie mu nie przeszkadza. Chodzi o Niemców. Sama myśl o tym, że zajęli jego twierdzę, doprowadza go do wściekłości. Powinnaś zobaczyć jego twarz, gdy o nich mówił.

— J e g o twierdzę?

— Tak. Zbudował ją, by się ukryć po śmierci Vlada.

Wahając się Magda zadała w końcu najważniejsze pytanie.

— Czy on jest wampirem?

— Tak. Tak sądzę — Papa spojrział na nią i pokiwał głową. — A w każdym razie jest tym, co od tera? Będzie oznaczało słowo „wampir”. Wątpię, czy wiele ze starych przekazów okaże się prawdą. Trzeba będzie na nowo określić znaczenie tego słowa, nie opierając się już na legendach, a biorąc za podstawę Molasara — przymknął oczy. — Tak wiele rzeczy trzeba będzie na nowo określić.

Magda z wysiłkiem stłumiła pierwotną odrazę, jaką budziła w niej myśl o wampirach. Próbowła przeanalizować sytuację obiektywnie, dopuścić do głosu wyćwiczonego, zdyscyplinowanego naukowca, którym przecież była.

— Bojar Vlada Tepesa, tak? Powinniśmy natrafić gdzieś na jego imię.

Papa znów wpatrywał się w twierdzę.

— Może tak, a może nie. Z Vladem związane były, w ten czy inny sposób, setki bojarów, przyjaciół i wrogów. Większość wrogów powbił na pal. Sama wiesz, jak chaotyczne i niekompletne są przekazy z tamtego okresu. Nic dziwnego, jeśli akurat nie atakowali Turcy Wołoszczyzny, robił to ktoś inny. Zresztą, nawet jeżeli znajdziemy dowody, że współcześnie z Vladem istniał jakiś Molasar, co to da?

— Chyba nic — zaczęła się zastanawiać, przywołując w myślach swój ogromny zasób wiadomości o historii tego regionu. Bojar. Lojalny wobec Vlada Tepesa...

Magda zawsze uważała Vlada za krwawą plamę w dziejach Rumunii. Jego ojcem był Vlad Dracul, Smok, tak więc książę

Vlad znany był jako Vlad Dracula, Syn Smoka. Swymi czynami zyskał sobie jednak przydomek Vlad Tepes „Wbijający na pal”, a to ze względu na swą ulubioną metodę pozbywania się jeńców wojennych, nielojalnych poddanych, zdradzieckich bojarów i praktycznie każdego, z kogo nie był zadowolony. Magda przypomniała sobie oglądany kiedyś obraz, przedstawiający rzeź Nocy św. Bartłomieja w wykonaniu Vlady, gdy 30000 mieszkańców nieszczęsnego miasta Amlas nabitó na długie, drewniane pale, które potem zatknięto w ziemię. Wbijanie na pal miało niekiedy znaczenie strategiczne: w 1460 roku widok 20 000 ciał tureckich jeńców, gnijących na palach pod Targoviste tak przeraził żołnierzy tureckiej armii, że zrezygnowali z inwazji, zawrócili i na pewien czas zostawili królestwo Vlady w spokoju.

— Trudno sobie wyobrazić — mruknęła. — Być wiernym Vladowi Tepesowi.

— Nie zapominaj — wtrącił Papa — że świat był wtedy inny. Vlad był dzieckiem swoich czasów. Molasar tak samo. Vlad nadal uważa się tutaj za bohatera narodowego — był katem Wołoszczyzny, lecz także obrońcą przed Turkami.

— Jestem pewna, że Molasar nie widział niczego niestosownego w postępowaniu Vlady. — Niedobrze jej się robiło na myśl o tych wszystkich mężczyznach, kobietach i dzieciach, skazanych na powolną śmierć na palu. — Zapewne uważał jego metody za miłą rozrywkę.

— Któż może wiedzieć? Łatwo jednak zrozumieć, czemu jeden z nieumierających obracał się w pobliżu takiego człowieka jak Vlad: nigdy nie brakowało mu ofiar. Mógł konającymi zaspokajać swe pragnienie i nikt się nie domyślał, że umierają od czego innego niż wbicie na pal. W związku z tym nikt nie starał się tłumaczyć nie wyjaśnionych zgonów i nie podejrzewał prawdziwej natury wampira.

— Nie staje się przez to mniej potworny — szepnęła.

— Nie wydawaj wyroków, Magdo. Można być sądzonym tylko przez równych sobie. A kto jest równy Molasarowi? Czy nie rozumiesz, co oznacza jego istnienie? Na jak wiele kwestii trzeba będzie spojrzeć w nowym świetle? Ile teorii, uznawanych za słuszne, okaże się fałszem?

Magda wolno kiwała głową. Waga odkrycia przygniatała ją nowym ciężarem.

— Tak. To forma nieśmiertelności.

— To coś więcej! O wiele więcej! To nowa forma życia, nowy sposób istnienia! Nie, nie tak: stary sposób, lecz nowy, jeśli idzie o wiedzę naukową i historyczną. A oprócz racjonalnych, pomyśl o implikacjach duchowych — głos mu się załamał. Są... wstrząsające.

— Ale jak to może być prawdą? Jak? — Jej umysł nadal nie mógł pogodzić się z faktami.

— Nie wiem. Tak wiele trzeba zrozumieć, a tak krótko z nim rozmawiałem. Żywi się krwią. To jedno wydaje mi się oczywiste po tym, jak obejrzałem ciała żołnierzy. Wszystkim wyszano krew, przynajmniej częściowo, poprzez naczynia szyjne. Dziś w nocy przekonałem się, że on nie odbija się w lustrze — ta część legend o wampirach jest prawdą. Ale skuteczność czosnku i srebra to czysty wymysł. Sądzę, że jest stworzeniem nocnym — atakował zawsze w nocy i tylko nocą się pojawia. Nie wierzę jednak, by dni spędzał w czymś tak melodramatycznym jak trumna.

— Wampir... — westchnęła Magda. — Kiedy siedzimy tutaj w słońcu, wydaje mi się to śmieszne...

— Czy było równie śmieszne wczorajszej nocy, kiedy wyszał światło z pokoju? Było ci wesoło, kiedy trzymał twoją rękę?

Magda wstała i potarła obolałe miejsce ponad prawym łokciem. Ciekawe, czy nadal ma tam ślady? Odwróciła się od ojca i dyskretnie podwinęła rękaw. Tak, są. Owalna, szarobiała plama martwej skóry. Zaczęła prostować rękaw, gdy spostrzegła, że ślad znika — w promieniach słońca skóra na powrót nabierała zdrowej, różowej barwy. W ciągu kilku sekund po plamie nie pozostało nawet najmniejszego znaku.

Oślabła nagle i musiała chwycić oparcie fotela, by utrzymać równowagę. Z wysiłkiem przybrała obojętny wyraz twarzy i spojrzała na Papę.

Niepotrzebnie się przejmowała — Papa patrzył na twierdzę i nawet nie zauważył, że się odwróciła.

— Jest tam gdzieś teraz — powiedział. — Czeka zmroku. Muszę znowu z nim porozmawiać.

— Czy to naprawdę, wampir. Papo? Czy naprawdę mógł być bojarem pięćset lat temu? Skąd mamy wiedzieć, czy to nie jakaś sztuczka? Czy może cokolwiek udowodnić?

— Udowodnić? — w jego głosie zabrzmiał gniew. — Po co miałby cokolwiek udowadniać. Czy obchodzi go, w co wierzymy, a w co nie? Zajmuje się swoimi sprawami i sądzi, że może będę mógł mu pomóc. „Sprzymierzeniec przeciw cudzoziemcom”, powiedział.

— Nie pozwól mu, by cię wykorzystał.

— Dlaczego nie? Jeśli potrzebuje sojusznika w walce z Niemcami, chętnie mu pomogę, choć nie wiem, na co mógłbym się przydać. Dlatego nic im nie powiedziałem.

Magda czuła, że chodzi nie tylko o Niemców, że przed nią także coś ukrywa. To było zupełnie do niego niepodobne.

— Papo, chyba nie mówisz poważnie!

— Mamy wspólnego wroga, Molasar i ja, prawda?

— Teraz tak. Ale co potem?

Zignorował jej pytanie.

— Nie zapominaj też, że on może być wielką pomocą w mojej pracy. Muszę dowiedzieć się o nim wszystkiego. Muszę znowu z nim porozmawiać. Muszę! — powrócił spojrzeniem do twierdzy. — Tak wiele się zmieniło... tyle spraw trzeba przemyśleć na nowo...

Mimo starań, Magda nie mogła pojąć powodów nastroju ojca.

— Papo, coś cię martwi. Przecież przez całe lata uważałeś, że w mitach o wampirach może tkwić ziarno prawdy. Wiele razy ryzykowałeś ośmieszeniem. Teraz, gdy okazało się, że miałaś rację, martwisz się. Powinieneś się cieszyć.

— Czy ty nic nie rozumiesz? To była tylko intelektualna gra. Lubilem bawić się tą myślą, wykorzystywać ją do stymulacji umysłowej i do irytowania tych zakutych łbów z Instytutu Historii!

— To było coś więcej niż zabawa i nie próbuj temu zaprzeczać!

— No dobrze... jednak nie śniło mi się nawet, że takie stworzenie naprawdę istnieje. I nigdy nie myślałem, że spotkam się z nim twarzą w twarz! — jego głos opadł do szeptu. — Nie sądziłem też, że może rzeczywiście bać się...

Magda czekała, by skończył, lecz Papa umilkł. Zapadł w zamyślenie, nieświadomie sięgając prawą ręką do kieszeni na piersi.

— Bać się czego. Papo? Czego on się boi?

Lecz ojciec nie słyszał. Zapatrzony w twierdzą szukał czegoś w kieszeni.

— On jest zły, Magdo. To pasożyt, obdarzony nadprzyrodzoną mocą, żywiący się ludzką krwią. Ucieleśnione zło, zło dotykalne. A jeśli tak, to gdzie kryje się dobro?

— O czym ty mówisz? — te rozproszone myśli zaczynały ją przerażać. — To przecież nie ma sensu!

Wyciągnął coś z kieszeni i podsunął jej przed oczy.

— O tym! O tym właśnie mówię!

Trzymał w ręku srebrny krzyżyk, ten sam, który wypożyczyła od kapitana. O co Papie chodzi? Dlaczego tak na nią patrzy, dlaczego tak błyszczą mu oczy?

— Nie rozumiem.

— Molasar boi się tego. ^

Co się z Papą dzieje?

— No to co? Według tradycji wampir powinien...

— Tradycji! Ale to nie jest tradycja! To rzeczywistość! On był przerażony! Niemal uciekł z pokoju! Przed krzyżem!

Nagle Magda pojęła, co niepokoiło Papę przez cały ranek.

— Ach! Teraz rozumiesz, prawda? — pokiwał głową i uśmiechnął się smutno.

Biedny Papa! Musiał spędzić w niepewności całą noc. Umysł Magdy opierał się, nie chciał przyjąć tego, czego się właśnie dowiedziała.

— Nie chcesz chyba powiedzieć...

— Nie możemy nie znać faktu, Magdo — podniósł krzyżyk i przyglądał się refleksom słońca na porysowanej, lśniącej powierzchni. — Cześć naszą wiary, tradycji właśnie, jest to, że Chrystus nie był Mesjaszem. Że Mesjasz ma dopiero nadejść. Że Chrystus był zwykłym człowiekiem, a jego wyznawcy to na ogół dobrzy ludzie, którzy jednak złądził. Jeśli to prawda... — krzyż zdawał się go hipnotyzować — jeśli to prawda... jeśli Chrystus był tylko człowiekiem... dlaczego krzyż, instrument jego śmierci, miałby tak przerażać wampira? Dlaczego?

— Zbyt pośpiesznie wyciągasz wnioski. Papo. Na pewno istnieje jakieś wytłumaczenie.

— Jestem tego pewien. Pomyśl jednak: wiedzieliśmy o tym zawsze, powtarzały to bajki i mity, powieści i filmy, tworzone na podstawie tych bajek. I kto z nas zastanowił się choćby przez chwilę? Wampir boi się krzyża. Dlaczego? Bo to symbol zbawienia człowieka. Rozumiesz, co z tego wynika? Aż do dzisiejszej nocy nie przyszło mi to do głowy.

„Czy to możliwe? — spytała siebie Magda. — Czy to naprawdę możliwe?”

Papa odezwał się znowu, bezbarwnym, mechanicznym głosem.

— Jeśli taka istota jak Molasar uznaje symbol chrześcijaństwa za odrażający, to logicznym wnioskiem z tego faktu jest, że Chrystus był czymś więcej niż człowiekiem. A jeżeli tak, to nasz naród, nasza wiara, nasza tradycja od dwóch tysięcy lat podążają błędną drogą. Mesjasz przybył, a myśmy go nie rozpoznali!

— Nie możesz tak mówić! Nie wierzę ci! Musi być inne wytłumaczenie!

— Nie było cię tam. Nie widziałaś odrazy na jego twarzy, gdy wyjąłem krzyż. Nie widziałaś, jak cofnął się przerażony i kulił się, póki go nie schowałem. Krzyż ma władzę nad Molasarem!

Tak musiało być. Przeczyło to najbardziej podstawowym dogmatom wiary Magdy, lecz jeśli Papa twierdził, że tak się stało, musiało to być prawdą. Pragnęła powiedzieć coś uspokajającego, coś dodającego odwagi, lecz wykrztusiła jedynie:

— Papo...

Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Nie martw się, moje dziecko. Nie mam zamiaru wyrzucić swojej Tory i szukać klasztoru. Moja wiara sięga głębiej. Ale przyznasz, że ta sprawa skłania do zastanowienia, stawia pytanie, czy przypadkiem nie pomyliliśmy się... czy nie spóźniliśmy się na łódź, która odpłynęła dwadzieścia wieków temu.

Dla jej dobra starał się traktować cały problem lekko, Magda wiedziała jednak, że w duszy cierpi, jakby palono go żywcem.

Usiadła na trawie, by się zastanowić. I wtedy dostrzegła jakiś ruch w otwartym oknie nad sobą, połysk rdzawych włosów. Zacinęła pięści uswiadamiąjąc sobie, że to okno pokoju Glenna. Na pewno wszystko słyszał.

Patrzyła w to okno przez kilka kolejnych minut, by przyłapać go na podsłuchiwaniu, lecz nic więcej nie zobaczyła. Miała właśnie zrezygnować, gdy usłyszała jego głos.

— Dzień dobry!

Glenn wyszedł zza budynku, niosąc w rękach dwa krzesła.

— Kto przyszedł? — spytał Papa, który nie potrafił się odwrócić i spojrzeć za siebie.

— Ktoś, kogo poznałam wczoraj. Ma na imię Glenn. Mieszka w pokoju naprzeciwko mnie.

Glenn wesoło skinął Magdzie głową, obszedł dookoła fotel i stanął nad Papą. Miał na sobie wełniane spodnie, buty do wspinaczki i luźną, rozpiętą pod szyją koszulę. Postawił krzesła na ziemi i wyciągnął rękę.

— Witam pana. Miałem już okazję poznać pańską córkę.

— Theodor Cuza — odparł z wahaniem Papa, z trudem kryjąc podejrziwość. Wsunął swą dłoń, sztywną i zdeformowaną, w dłoń Glenna, po czym nastąpiła parodia uścisku. Następnie Glenn wskazał Magdzie krzesło.

— Usiądź. Ziemia jest jeszcze wilgotna.

Magda wstała.

— Dziękuję, postoję — odparła z całą pogardą, jaką zdołała zawrzeć w słowach. Czowała odrazę dla podsłuchiwania i jeszcze większą dla narzucania swego towarzystwa. — I tak mieliśmy już iść.

Kiedy szła, by zająć miejsce za fotelem, Glenn delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Proszę jeszcze nie odchodzić. Zbudziły mnie dwa głosy, dobiegające przez okno, mówiące o twierdzy i coś o wampirze — uśmiechnął się. — Porozmawiajmy o tym, dobrze?

Magda aż zaniemówiła, rozwścieczona jego bezczelnością i tym, jak pozwolił sobie ją dotknąć. Mimo to nie wyszarpnęła mu ramienia. Jego dotyk pobudzał jakby mrowienie. Był przyjemny.

Papa jednak nie musiał się powstrzymywać.

— Nie wolno panu wspomnieć ani słowem o tym, co pan tutaj usłyszał! Może chodzić o nasze życie!

— O to nie musi się pan martwić — Glenn przestał się uśmiechać. — Niemcy i ja nie mamy sobie nic do powiedzenia — obejrzał się na Magdę. — Może jednak usiądziesz? Przyniosłem to krzesło dla ciebie.

Spojrzała pytająco na ojca.

— Papo?

Z rezygnacją pokiwał głową.

— Chyba nie mamy wielkiego wyboru.

Glenn zabrał dłoń, gdy Magda ruszyła w stronę krzesła. Poczula, że gdzieś we wnętrzu powstaje w niej nieokreślona pustka. Patrzyła, jak odwraca drugie krzesło i siada na nim okrakiem, opierając łokcie na oparciu.

— Ostatniej nocy Magda opowiedziała mi o wampirze w twierdzy — zaczął. — Ale chyba nie zrozumiałem, jakie imię panu podał.

— Molasar — wyjaśnił Papa.

— Molasar — mruknął Glenn, jakby obracając to słowo na języku. Wyraźnie się nad czymś zastanawiał. — Mo... la... sar — rozjaśnił się, jakby udało mu się rozwiązać zagadkę. — Tak, Molasar. Dziwne imię, nie sądzi pan?

— Obce — odparł Papa. — Ale nie takie dziwne.

— A to — Glenn wskazał na krzyżyk, który Papa wciąż ścisnął w palcach. — Czy dobrze słyszałem, że Molasar boi się tego?

— Tak.

Magda zauważyła, że Papa nic nie wyjaśnia z własnej woli, odpowiada tylko na pytania.

— Jest pan Żydem, profesorze, prawda?

Papa skinął głową.

— Czy Żydzi często noszą przy sobie krzyże?

— Córka wypożyczyła go dla mnie, jako obiekt doświadczenia.

Glenn spojrzał na nią.

— Skąd go wzięłaś?

— Od jednego z oficerów w twierdzy.

Czemu służyły te pytania?

— Czy należał do niego?

— Nie. Powiedział, że to któregoś z zabitych żołnierzy — zaczynała pojmować, do jakich wniosków prowadzi ta rozmowa.

— Dziwne — stwierdził Glenn, zwracając się do Papy. — Ten krzyżyk nie ocalił żołnierza, który był jego właścicielem. Można by przypuszczać, że lękająca się krzyża istota pozostawi swą ofiarę w spokoju i poszuka raczej innej, która nie ma żadnego... jak by to nazwać?... amuletu.

— Może żołnierz nosił krzyżyk pod koszulą — mruknął Papa. — Albo w ogóle zostawił go w pokoju.

— Może... — uśmiechnął się Glenn.

— Nie pomyśleliśmy o tym — Magda chętnie poparłaby każde wyjaśnienie, które podtrzymałoby słabnącego ducha Papy.

— Należy wątpić we wszystko — oświadczył Glenn. — Zawsze. Chyba nie muszę o tym przypominać uczonemu?

— Skąd pan wie, że jestem uczonym? — warknął Papa, a jego oczy zaświeciły dawnym blaskiem. — Chyba że córka panu powiedziała...

— Iuliu mi powiedział. Jest jeszcze coś, co pan przeoczył, coś tak oczywistego, że kiedy o tym powiem, oboje poczujecie się głupio.

— Chętnie pocujemy się głupio — wtrąciła Magda. „Mów — pomyślała. — Proszę”.

— Dobrze. Dlaczego wampir, tak bardzo bojący się krzyża, mieszka w budowli, której mury są nabijane krzyżami? Czy możecie to wyjaśnić?

Magda spojrzała na ojca, który także patrzył na nią oszołomiony.

— Wie pan — powiedział zakłopotany — tak często bywałem w twierdzy i tak długo próbowałem rozwiązać zagadkę tych krzyży, że po prostu przestałem je dostrzegać.

— To rozumiałe. Sam byłem tu już kilka razy i zauważyłem, że po pewnym czasie jakby stapiają się z tłem. Problem jednak pozostaje: dlaczego istota, która lęka się krzyża, otacza się niezliczonymi krzyżami? — Wstał i bezwysiłku zarzucił sobie krzesło na ramię. — Pójdę teraz poprosić Lidię o śnia-

danie. Możecie w spokoju myśleć nad rozwiązaniem tej kwestii.
O ile ono istnieje.

— Ale dlaczego pan się tym interesuje? — spytał Papa. — Kim pan właściwie jest?

— Zwykłym podróżnym — odparł Glenn. — Lubię tę okolicę i staram się odwiedzać ją regularnie.

— Mam wrażenie, że twierdza ciekawi pana bardziej niż trochę. Sporo pan o niej wie.

Glenn wzruszył ramionami.

— Z pewnością nie więcej od pana.

— Szkoda, że nie wiem, jak powstrzymać ojca od powrotu w to straszne miejsce — wtrąciła Magda.

— Muszę wrócić, moja droga. M u s z ę się znowu spotkać z Molasarem.

Magda roztarła dłonie, marznące na samą myśl o powrocie Papy do twierdzy.

— Nie Chcę po prostu znaleźć cię rano z rozerwanym gardłem, jak tamtych.

— Człowiekowi mogą się przydarzyć gorsze rzeczy — zauważył Glenn.

Zaskoczona zmianą w jego głosie Magda spostrzegła, że cała wesołość i uprzejmość zniknęły z twarzy Glenna. Z poważną miną wpatrywał się w Papę. Trwało to ledwie kilka sekund i zaraz znów się uśmiechnął.

— Śniadanie czeka. Nie wątpię, że spotkamy się jeszcze. Lecz zanim odejdę... — stanął za wózkiem inwalidzkim i wolną ręką obrócił go o 180 stopni.

— Co pan wyprawia! — krzyknął Papa. Magda zerwała się na nogi.

— Proponuję panu tylko zmianę scenerii, profesorze. Twierdza to w końcu dość ponure miejsce. Dzień jest zbyt piękny, by się nią zajmować.

Wyciągnął rękę w stronę dna przełęczy.

— Proszę patrzeć na południe i wschód, nie na północ. Mimo swej surowości jest to najpiękniejsza okolica na świecie. Proszę spojrzeć, jak zielenieje trawa, jak dzikie kwiaty rozkwitają w skalnych szczelinach. Niech pan choćby przez chwilę zapomni o twierdzy.

Przez moment patrzył Magdzie prosto w oczy, a potem już go nie było, zniknął ze węglem, z krzesłem wspartym na ramieniu.

— Dziwny człowiek — odezwał się Papa wesoło.

— Na pewno — potwierdziła. Ale choć uważała go za dziwaka, Magda miała wobec Glenna dług wdzięczności. Dla siebie tylko znanych powodów wtrącił się w ich rozmowę, pokierował nią według własnych zamierzeń, sprawił, że poprawił się bliski załamania nastrój Papy. Zrozumiał wszystkie wątpliwości Papy i rzucił na nie z kolei cień zwątpienia. Poprowadził dyskusję z wprawą, osiągając znakomite efekty. Ale dlaczego? Cóż go obchodziły duchowe cierpienia starego Żyda z Bukaresztu?

— Postawił jednak kilka interesujących pytań — mówił dalej Papa. — Znakomitych pytań. Jak to się stało, że sam na nie nie wpadłem?

— Ani ja?

— Naturalnie — dodał tonem usprawiedliwienia — on nie przeżył niedawno spotkania z istotą, którą uznawano za wytwór zбочzonej wyobraźni. Łatwo mu zachować obiektywizm. Przy okazji, jak właściwie go poznałaś?

— Ostatniej nocy, kiedy stałam na skraju wąwozu i obserwowałam twoje okno...

— Nie powinnaś tak się mną przejmować! W końcu to ja cię wychowałem, nie na odwrót.

Magda zignorowała tę uwagę.

— ... przyjeleciał konno. Zdawało się, że chce jelecić prosto do twierdzy. Zatrzymał się jednak, kiedy zobaczył światła i Niemców.

Papa zastanowił się przez chwilę, po czym zmienił temat.

— Jeśli już mowa o Niemcach, to chyba lepiej wróć, zanim przyjdą mnie szukać. Wolę wejść do twierdzy z własnej woli, niż pod bronią.

— Czy nie ma sposobu...

— ... by uciec? Oczywiście! Po prostu popeliasz mój wózek tą drogą aż do Campiny! Albo lepiej, pomożesz mi wsiąść na konia, to skróci podróż! — jego ton był coraz bardziej zgryźliwy. — A najprościej będzie poprosić tego majora SS, żeby wypożyczył nam jedną z ciężarówek. Powiemy, że chodzi o przejazdkę. Na pewno się zgodzi

— Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? — czuła się dotknięta jego ironią.

— A dlaczego wolisz się męczyć nadzieją na ucieczkę nas obojga? Ci Niemcy nie są durniami. Wiedzą, że ja nie ucieknę, i sądzą, że nie zostawisz mnie samego. Chociaż tego właśnie Chcę. Przynajmniej jedno z nas byłoby bezpieczne.

— Nawet gdybyś mógł uciec, i tak wróciłbyś do twierdzy! Mam rację, prawda? — zaczynała rozumieć jego zachowanie. — Ty chcesz tam wrócić.

— Jesteśmy tu jak w pułapce — odparł, unikając jej wzroku. — Czuję, że muszę wykorzystać okazję, jaka trafia się raz na całe życie. Gdybym ją przepuścił, zdradziłbym wszystko, w co zawsze wierzyłem i czego dokonałem.

— Gdyby nawet w tej chwili wylądował tu samolot i pilot zaproponował nam ucieczkę w bezpieczne miejsce, odmówiłbyś, prawda?

— Magdo, jak muszę się z nim zobaczyć? Muszę go spytać o te krzyże w murach! Jak stał się tym, kim jest teraz! A przede wszystkim muszę się dowiedzieć, dlaczego boi się krzyża. Oszaleję chyba, jeśli tego nie zrobię.

Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało. Przez długą chwilę. Magda wyczuwała, że wyrósł między nimi mur nie tylko milczenia. Papa oddalał się od niej, zamykał w sobie, odpychał od siebie. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Zawsze potrafili dyskutować razem o wszelkich problemach. Teraz wyraźnie unikał rozmowy. Pragnął jedynie wrócić do Molasara.

— Odwieź mnie z powrotem — rzekł tylko, gdy przedłużająca się cisza zaczęła być nie do wytrzymania.

— Zostań jeszcze trochę. Ten długi pobyt w twierdzy źle na ciebie wpływa.

— Absolutnie nic mi nie jest, Magdo. Sam wiem, co mam robić. Odwieziesz mnie, czy mam tu czekać, aż naziści przyjdą mnie szukać?

Magda przygryzła wargi z gniewu i niepokoju, lecz bez słowa chwyciła fotel i odwróciła go w stronę twierdzy.

XX

Usiadł o metr od okna, tak, by słyszeć prowadzoną na dole rozmowę, a jednocześnie pozostać niewidocznym, gdyby Magda znów spojrzała w górę. Poprzednio był nieostrożny — chciał słyszeć jak najdokładniej i oparł się o parapet. Dlatego Magda go zauważyła. Uznał wtedy, że najlepszym wyjściem z niezręcznej sytuacji będzie frontalny atak, zszedł więc na dół, by spotkać się z ojcem i córką.

Rozmowa dobiega chyba końca. Kiedy usłyszał trzeszczenie kół wózka, wychylił się i patrzył, jak Magda prowadzi ojca, pozornie opanowana, mimo burzy uczuć, jaka z pewnością szalała w jej umyśle. Raz jeszcze wystawił głowę za okno, by spojrzeć, jak znika za rogiem gospody.

Wiedziony impulsem wybiegł na korytarz i trzema długimi krokami przemierzył odległość dzielącą go od pokoju Magdy. Pchnął drzwi, które otworzyły się bez oporu, i podszedł do okna. Szła ścieżką w kierunku mostu, popychając ojca przed sobą.

Lubił na nią patrzeć.

Zaciekawiała go zaraz pierwszego ranka, na skraju wąwozu, gdy stanęła naprzeciw, tak na pozór spokojna, a jednak cały czas ściskająca w dłoni kamień. A później, kiedy sprzeciwiła mu się w gospodzie i odmówiła zmiany pokoju, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w świetle, gniewną, z płonącymi oczyma, wiedział, że jego pancierz mięknie. Ciemnobrązowe, same oczy, zarumienione pohczki... podobała mu się. Kiedy się uśmiechała, była śliczna. Tylko raz zrobiła to w jego obecności;

w kącikach jej oczu pojawiły się wtedy śmieszne zmarszczki, a spod warg ukazały się białe, równe zęby. A jej włosy... te cienkie kosmyki, które widział, były lśniaco kasztanowe... wyglądałyby cudownie, gdyby je odsłoniła, zamiast chować pod chustą.

Była jednak atrakcyjna nie tylko fizycznie. Podobał mu się jej charakter. Przyglądał się, jak dojeżdża do bramy i przekazuje ojca wartownikowi. Wrota zatrzasnęły się i pozostała na moście sama. Kiedy się odwróciła i ruszyła z powrotem, cofnął się na środek pokoju, by nie mogła go zobaczyć, i patrzył na nią z tej pozycji.

No proszę! Jak sobie idzie! Wie, że wszystkie oczy wpatrują się w nią łakomie, że żołnierze rozbierają ją w wyobraźni i gwałcą. Mimo to kroczy wyprostowana ani za szybko, ani za wolno. Zupełny spokój, jakby wyszła na codzienny spacer. A przecież z pewnością w duszy drży cała.

Pokreślił głową w niemym podziwieniu. Już dawno opanował sztukę otaczania się barierą nieprzeniknionego chłodu. Pozwalało to na izolację, chroniło przed zbyt bliskimi kontaktami, zmniejszało szanse impulsywnych reakcji. Dzięki temu potrafił obserwować wszystko i wszystkich wokół siebie jasno, spokojnie i bez emocji, choćby znalazł się w centrum chaosu.

Zdał sobie sprawę, że Magda jest jedną z bardzo nielicznych osób zdolnych przebić ten zimny pancerz. Pociągała go, a do tego odczuwał dla niej szacunek — a to zdarzało się nieczęsto.

Teraz jednak nie mógł się angażować. Musiał zachować dystans. Chociaż... tak długo już żył bez kobiety, a ona budziła w nim uczucia, o których sądził, że odeszły na zawsze. Prześliznęła się przez jego gardło i wyczuwał, że on także nie jest jej obojętny. Miło by było...

„Nie — pomyślał. — Nie możesz, nie wolno ci o niej myśleć. Zwłaszcza teraz! Tylko dureń...”

A jednak... »

Westchnął. Lepiej pohamować swe uczucia, zanim zupełnie przestanie nad nimi panować. W przeciwnym razie rezultaty mogą okazać się katastrofalne. Dla nich obojga.

Była już całkiem blisko. Wyszedł z pokoju, starannie zamknął

za sobą drzwi i wrócił do siebie. Rzucił się na łóżko, założył ręce pod głowę i czekał na odgłos kroków na schodach. Nic jednak nie słyszał.

Magda stwierdziła, ku swemu zaskoczeniu, że im bliżej jest gospody, tym mniej myśli o Papie, a więcej o Glennie. Poczowała ukłucie w duszy. Zostawiła kalekiego ojca samego wśród faszystów, szykującego się do nocnego spotkania z nieumierającym, a myślami wciąż wracała do tego obcego. Na jego wspomnienie czuła jakby lekkość w okolicy serca i przyspieszenie pulsu.

„To głód — stwierdziła. — Powinnam zjeść jakieś śniadanie?”

Obok gospody nie było nikogo. Stołek, który przyniósł dla niej Glenn, stał pusty w blasku słońca. Rzuciła okiem w stronę okna, lecz tam także nie dostrzegła niczego.

Podniosła stołek, by zanieść go z powrotem do budynku. Wmawiała sobie, że nie czuje rozczarowania, że jest zwyczajnie głodna.

Przypomniała sobie, jak Glenn mówił, że zamierza zjeść śniadanie. Może więc jest jeszcze w gospodzie? Przyspieszyła kroku.

Weszła do środka. W jadalni na lewo siedział Iuliu. Odkroił sobie potężny klin z kręgu sera i popijał kozie mleko. Miała wrażenie, że jada co najmniej sześć razy dziennie.

Był sam.

— *Domnisoara* Cuza! — zawołał. — Może zje pani kawałek sera?

Magda kiwnęła głową i usiadła. Nie była tak głodna, jak się jej zdawało, ale musiała coś jeść, by funkcjonować. Poza tyrn chciała zadać Iuliu kilka pytań.

— Ten pański gość — zaczęła obojętnym tonem. Wzięła plaster sera, podany jej na ostrzu noża. — Musiał wziąć śniadanie do pokoju?

Oberżysta zmarszczył brwi.

— Śniadanie? Nie zamawiał śniadania. Ale wielu gości przywozi własny prowiant.

Magda zastanowiła się. A więc nikt nie czekał na Glenna ze śniadaniem. Czyżby szukał pretekstu, by odejść?

— Panie Iuliu, jest pan znacznie spokojniejszy niż ubiegłej nocy. Co pana tak zdenerwowało, kiedy przyjechał Glenn?

— Nic ważnego.

— Trząś się pan cały! Chcę wiedzieć czemu, zwłaszcza że mój pokój jest naprzeciwko jego. Jeżeli uważa pan, że ten człowiek jest niebezpieczny, powinien mnie pan ostrzec.

Oberżysta skoncentrował swą uwagę na krojeniu sera.

— Będzie mnie pani uważać za głupca.

— Nie będę.

— Jak pani chce — odłożył nóż i zaczął mówić konspiracyjnym szeptem. — Kiedy byłem chłopcem, mój ojciec prowadził tę gospodę, tak jak ja dzisiaj, i płacił pracującym w twierdzy. Zdarzyło się raz, że zabrakło części dostarczonego złota. Skradziono je, jak twierdził mój ojciec, więc nie mógł wypłacić robotnikom całej sumy. To samo miało miejsce przy następnej dostawie — część pieniędzy zaginęła. Wtedy, pewnej nocy, przybył jakiś obcy i zaczął bić mego ojca, okładać go i ciskać po pokoju, jakby był słomianą kukłą. Kazał mu znaleźć pieniądze. „Gdzie pieniądze?” krzyczał. „Gdzie pieniądze?” — Iuliu wydał i tak tłuste policzki. — Ojciec, wstyd mi to przyznać, znalazł złoto. Zabrał trochę i ukrył gdzieś. Obcy był wściekły. Nigdy jeszcze nie widziałem tak rozniewanego człowieka. Znow zaczął bić i kopać mego ojca. Złamał mu obie ręce.

— Ale co to ma za związek...

— Musi pani zrozumieć — Iuliu jeszcze bardziej zniżył głos — że mój ojciec był uczciwym człowiekiem i że przełom wieków był potwornym okresem dla tej okolicy. Zachował tylko nieco złota, by mieć pewność, że zimą będzie miał co jeść. Oddałby wszystko, gdyby tylko nadeszły lepsze czasy. To jedyna nieuczciwość, jakiej się dopuścił w swym dobrym, solidnym...

— Panie Iuliu — Magda przerwała strumień słów. — Co to ma wspólnego z tym człowiekiem na górze?

— On wygląda tak samo, *Domnisoara*. Miałem wtedy dziesięć lat, ale widziałem człowieka, który pobił ojca. Miał rude włosy i był bardzo podobny do tego gościa. A przecież —

zaśmiał się cicho — tamten miał jakieś trzydzieści lat, tak jak ten i zdarzyło się to czterdzieści lat temu. To nie może być ten sam człowiek. Ale nocą, w świetle świecy... zdawało mi się, że przyszedł, żeby mnie też pobić.

Magda uniosła pytająco brwi.

— Oczywiście, nie brakuje ani odrobiny złota — wyjaśnił pośpiesznie oberżysta. — Tyle że ostatnio nie wpuszczają robotników do twierdzy, a ja płacę im jak zwykle. Nie pozwolę, by ktokolwiek powiedział, że zatrzymałem złoto dla siebie. Nigdy!

— Naturalnie, panie Iuliu — wstała, biorąc ze stołu jeszcze jeden plaster sera. — Pójdę do siebie. Spróbuję trochę odpocząć.

Skinął głową z uśmiechem.

— Kolacja będzie o szóstej.

Magda wbiegła na schody, lecz koło drzwi Glenna zwołniła mimowolnie, spoglądając na nie z zaciekawieniem. Zastanawiała się, co on tam robi, jeżeli w ogóle jest u siebie.

W jej własnym pokoju było duszno, więc zostawiła drzwi otwarte, by zrobić przeciąg. Porcelanowy dzbanek na szafce był pełen. Nalała trochę chłodnej wody do miski i ochlapała twarz. Była zmęczona, ale wiedziała, że nie zdoła zasnąć... zbyt wiele myśli krążyło w jej głowie, by mogła wypocząć.

Chór cienkich popiskiwań sprawił, że podeszła do okna. Wśród gałęzi drzewa, rosnącego tuż obok północnej ściany gospody, jakiś ptak uwił sobie gniazdo. Widziała czwórkę piskląt, ich głowy, składające się na pozór wyłącznie z oczu i rozwartych szeroko dziobków, wyciągnięte, chude szyjki, gdy starały się pochwycić to, co przyniosła ich matka. Magda nie znała się na ptakach. Te tutaj były szare z czarnymi plamkami na skrzydłach. W domu, w Bukareszcie, mogłaby sprawdzić, co to za gatunek. Lecz po tym wszystkim, co się wydarzyło, stwierdziła, że zupełnie jej to nie interesuje.

Spięta i niespokojna, spacerowała po pokoiku. Sprawdziła przywiezioną z domu latarkę. Wciąż działała. To dobrze. Dziś w nocy będzie jej potrzebna. Wracając spod bramy twierdzy podjęła decyzję.

Dostrzegła mandolinę, opartą o ścianę obok okna. Podniosła ją, usiadła na łóżku i zagrała. Z początku nieśmiało, po-

prawiając strojenie przy pierwszej prostej melodyjce, potem coraz bardziej płynnie i lekko, skupiona na muzyce odtwarzała jedną ludową piosenkę za drugą. Jak wielu utalentowanych amatorów osiągnęła pewien rodzaj zespolenia z instrumentem. Wpatrzona w jakiś punkt w przestrzeni, grała na ślepo, nucąc bezgłośnie. Napięcie spłynęło z niej, zastąpione przez wewnętrzny spokój. Straciła poczucie czasu.

Jakiś rucli w korytarzu za otwartymi drzwiami przywołał ją znowu do rzeczywistości. To był Glenn.

— Jesteś znakomita — pocliwał ją od drzwi.

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Nie bardzo. Zrobiłam się nieuważna.

— Może. Ale rozległość twojego repertuaru jest oszałamiająca. Znam tylko jedną osobę, która potrafi tak dobrze zagrać tak wiele pieśni.

— Kogo?

— Mnie.

Znowu ta zarozumiałość. A może po prostu się z nią drażni? Postanowiła wykazać mu jego braki.

— Udowodnij to — powiedziała, podając mu mandolinę.

Glenn uśmiechnął się, wszedł do pokoju, przysunął do łóżka trójnożny taboret, usiadł i wziął instrument. Po demonstracyjnym „właściwym” nastrojeniu, zaczął grać. Magda słuchała zdumiona. Jak na tak wielkiego mężczyznę o silnych rękach, dotykał strun z zadziwiającą delikatnością. Wyraźnie chciał się popisać i grał te same pieśni co ona, choć w bardziej ozdobnym stylu.

Obserwowała go z uwagą. Podobało jej się, jak jego niebieska koszula napina się na szerokich ramionach. Zawinął rękawy do łokci i Magda patrzyła, jak poruszają się mięśnie i ścięgna, gdy uderza w struny. Ramiona miał poznaczone bliznami, przecinającymi nadgarstki i ciągnącymi się w górę, pod rękawy. Miała ochotę spytać go o te blizny, uznała jednak, że to zbyt osobista sprawa.

Na pewno jednak mogła go spytać o sposób gry niektórych melodii.

— Tę ostatnią zagrałeś nieprawidłowo — stwierdziła.

— Którą?

— Nazywam ją „Narzeczona murarza”. Wiem, że tekst zmienia się, zależnie od regionu, ale melodia jest zawsze taka sama.

— Nie zawsze — oświadczył Glenn. — Tak grano ją na początku.

— Skąd to przekonanie — znów irytująca pewność siebie.

— Ponieważ wioskowa *lauter*, która mnie uczyła, była już bardzo stara, gdy się spotkaliśmy. Od dawna nie żyje.

— Z jakiej wioski? — Magda była oburzona. Chodziło o sprawy, w których była ekspertem. Nie pozwoli się pouczać.

— Kranich, koło Suceavy.

— Acli... Mołdawia. To może wyjaśniać różnice — podniosła głowę. Glenn przyglądał się jej natarczywie.

— Czujesz się samotna bez ojca?

Magda zastanawiała się. Z początku bardzo tęskniła za Papą i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. W tej chwili jednak była bardzo zadowolona, że może siedzieć tu z Glennem, słuchać jego gry i — tak — nawet się z nim spierać. Nie powinna go wpuszczać do swego pokoju, lecz czuła się przy nim bezpieczna. I podobał się jej, zwłaszcza jego niebieskie oczy, choć zdawał się mistrzem w pilnowaniu, by niczego z nich nie wyczytała.

— Tak — przyznała. — I nie..

Roześmiał się.

— Szczerą odpowiedź. I to od razu dwie.

Zapadła cisza. Nagle Magda zdała sobie sprawę z faktu, że Glenn jest mężczyzną, wysokim mężczyzną o potężnych mięśniach. Otaczała go aura męskości, jakiej nie dostrzegła jeszcze u nikogo. Nie odczuła jej wczoraj ani dziś rano, lecz tutaj, w tym ciasnym pokoiku, wypełniała przestrzeń. Zdawało się, że pieści ją, sprawia, że czuje się kimś niezwykłym i wyjątkowym. Prymitywne wrażenie. Słyszała o zwierzęcym magnetyzmie... czy to jest właśnie to, co teraz czuje? Czy może to fakt, że Glenn wydaje się tak pełen życia, wręcz tryska żywotnością?

— Masz męża? — zapytał, spoglądając na złotą obrączkę na jej palcu, ślubną obrączkę jej matki.

— Nie.

- Więc kochanka?
- Oczywiście, że nie.
- Dlaczego?
- Bo... — Magda zawahała się. Nie śmiała się przyznać, że tylko w snach dopuszcza jeszcze możliwość wspólnego życia z mężczyzną. Wszyscy interesujący mężczyźni, których ostatnio poznała, byli już żonaci, a ci wolni chcieli pozostać wolnymi dla siebie znanych powodów bądź dlatego, że żadna szanująca się kobieta by ich nie poślubiła. Z pewnością jednak wszyscy, których w życiu spotkała, zdawali się pokurczeni i wyblakli w porównaniu z tym, który teraz siedział naprzeciw niej. — Bo jestem już w takim wieku, kiedy te rzeczy nie wydają się ważne.
- Jesteś jeszcze dzieckiem.
- A ty? Jesteś żonaty?
- W tej chwili nie.
- A byłeś?
- Wiele razy.
- Zagraj jeszcze coś — poprosiła wzburzona Magda. Glenn wyraźnie wolał się z nią drażnić, niż odpowiadać szczerze. Po chwili jednak melodia dobiegła końca i wrócili do rozmowy. Tematy były najrozmaitsze, zawsze jednak powiązane z jej osobą. Magda opowiadała o wszystkim, co ją interesowało, poczynając od muzyki, cygańskiego i rumuńskiego folkloru, będącego źródłem jej ulubionych melodii, kończąc na nadziejach, marzeniach i opiniach. Początkowo przychodziło jej to z trudem, potem jednak, zachęcona przez Glenna, mówiła z coraz większą łatwością. Był to jeden z tych nielicznych w jej życiu przypadków, kiedy tylko ona mówiła. A Glenn słuchał. Nie tak, jak tylu innych mężczyzn, którzy czekają tylko na okazję, by skierować rozmowę na swój temat. Glenn nie chciał mówić o sobie i stale wracał do jej osoby. Mijały godziny, wreszcie gospodę okrył zmierzch. Magda ziewnęła.
- Przepraszam — powiedziała. — Już sama siebie nudzę. Dość na mój temat. Co z tobą? Skąd pochodzisz?
- Glenn wzruszył ramionami.
- Wychowywałem się po trochu w całej zachodniej Europie. Myślę jednak, że można uznać mnie za Brytyjczyka.

— świetnie mówisz po rumuńsku, zupełnie jak ktoś tutejszy.

— Często tu bywałem, a nawet żyłem w rumuńskich rodzinach tu i tam.

— Ale czy jako poddany brytyjski nie ryzykujesz za bardzo, przyjeżdżając do Rumunii? Zwłaszcza, że mieszkasz w tak bliskim sąsiedztwie Niemców?

Glenn zawahał się.

— Szczerze mówiąc, nie mam żadnego obywatelstwa. Mam dokumenty z różnych krajów, stwierdzające, że jestem tych krajów obywatelem, ale nie mam własnego. W tych górach nie jest to potrzebne.

Człowiek bez własnego kraju? Magda nigdy o kimś takim nie słyszała. Komu służy?

— Bądź ostrożny. Niewielu Rumunów ma takie włosy.

— To prawda — uśmiechnął się i przyglądał jej dłonią. — Ale Niemcy siedzą w twierdzy, a Żelazna Gwardia, jeśli wie, co dla niej dobre, będzie się trzymać z daleka. Postaram się nie rzucić w oczy, póki tu jestem, a to nie potrwa długo.

Magda poczuła rozczarowanie. Wołała, by został dłużej.

— Jak długo? — wiedziała, że zadała to pytanie zbyt pośpiesznie, ale teraz nie mogła go już cofnąć. Chciała wiedzieć.

— Tyle, ile wymaga ostatnia wizyta, zanim Niemcy i Rumunia wypowiedzą wojnę Rosji.

— Ale to nie...

— To nieuniknione. I to już wkrótce — wstał z taboretu.

— Gdzie idziesz?

— Musisz odpocząć. Jesteś zmęczona.

Glenn pochylił się i wsunął jej w dłoń mandohnę. Na chwilę ich palce zetknęły się i Magda poczuła jakby elektryczny wstrząs, budzący niezwykle dreszcze. Nie cofnęła jednak ręki... nie... ponieważ wtedy to uczucie by zniknęło, a wraz z nim cudowne ciepło, rozlewające się od palców po całym ciele, i w dół, do stóp.

Wiedziała, że Glenn także to odczuwa na swój sposób.

Potem jednak oderwał swe palce od jej dłoni i cofnął się do drzwi. Wrażenie rozplynęło się, pozostawiając po sobie dziwną słabość. Magda chciała go zatrzymać, chwycić za rękę i poprosić, by został. Lecz nie umiała sobie wyobrazić siebie

robiącej coś takiego, była zdumiona nawet tym, że w ogóle tak pomyślała. Powstrzymywała ją także niepewność. Ogarniały ją nowe, nieznanne uczucia i emocje. Jak je ma kontrolować?

Kiedy za Glennem zamknęły się drzwi, poczuła, że ciepło znika, pozostawiając po sobie pustkę. Przez chwilę siedziała nieruchomo, po czym spróbowała przekonać samą siebie, że to nawet lepiej. Potrzebowała snu. Gdy nadejdzie czas, musi być czujna i wypoczęta.

Postanowiła bowiem, że dziś w nocy Papa nie spotka się z Molasarem samotnie.

XXI

TWIERDZA **Czwartek, 1 maja** *godz. 17.22*

Kapitan Woermann siedział sam w pokoju. Słońce kryło się za murami, a on obserwował, jak wydłużają się cienie. Jego niepokój narastał. Cienie nie powinny go denerwować. Przez dwie noce z rządu nikt nie zginął i nie było żadnego powodu, by dziś miało być inaczej. Dręczyły go jednak złe przeczucia.

Morale żołnierzy poprawiło się ogromnie. Znowu zaczęły zachowywać się i czuć jak zwycięzcy. Widział to w ich oczach, ich twarzach. Przeżyli zagrożenie, kilku z nich zginęło, ale wytrzymali i nadal panowali nad twierdzą. Gdy nie było dziewczyny ani żadnych świeżych trupów, żołnierze w szarych i czarnych mundurach zawarli milczący pakt. Nie mieszały się ze sobą, pojawiło się jednak nowe poczucie wspólnoty. Razem zwyciężyli. Woermann nie potrafił dzielić ich optymizmu.

Spojrzał na obraz. Nie miał już ochoty, by go kończyć, a tym bardziej, by zaczynać inny. Nie mógł się zdobyć nawet na to, by wstać, wyjąć farby i zamalować ten cień wiszącego ciała. Przyjrzał mu się uważnie. Każdego dnia stawał się coraz wyraźniejszy. Dziś także był ciemniejszy niż wczoraj, o bardziej ostrych konturach. Woermann otrząsnął się i odwrócił wzrok. Bzdury.

Nie... niezupełnie bzdury. Coś potwornego nadal przebywało w twierdzy. Przez dwie noce nikt nie zginął, lecz sama twierdza nie zmieniła się. Zło nie odeszło, po prostu — odpoczywało. Odpoczywało? Czy to właściwe słowo? Nie bardzo. Raczej wyczekiwało. Ale z pewnością nie zniknęło. Nadal zdawało się, że mury napierają na niego, nadal powietrze było ciężkie

od nienawiści. Żołnierze mogli poklepywać się po plecach i opowiadać o zwycięstwie, lecz Woermann tego nie potrafił. Wystarczyło mu spojrzeć na skazę obrazu, by poczuć absolutną pewność, że seria zabójstw nie skończyła się jeszcze. Nastąpiła jedynie przerwa, która mogła potrwać kilka dni, a mogła zakończyć się tej nocy. Nic nie zostało zwyciężone ani wypędzone. Śmierć czaiła się nadal, gotowa uderzyć, gdy tylko nadarzy się okazja.

Wyprostował ramiona, próbując odpędzić przenikający go chłód. Coś miało się zdarzyć, i to już wkrótce. Czuł to.

„Jeszcze jedna noc — pomyślał. — Daj mi jeszcze jedną noc”.

Jeżeli śmierć nie zaatakuje do jutrzejszego ranka, Kaempffer odjedzie do Ploesti. Wtedy Woermann znowu będzie ustanawiał reguły — bez przeszkód ze strony SS. I gdy tylko zaczną się kłopoty, wyprowadzi swoich ludzi z twierdzy.

Kaempffer... zastanawiał się, co porabia teraz kocliany, słodki Erich. Nie widział go od południa.

SS-Stumbannfilirer Kaempffer pochylał się nad planem węzła kolejowego Ploesti, rozłożonym na posłaniu. Zmrok zapadał szybko. Bolały go oczy od wpatrywania się w przecinające się linie. Lepiej skończyć teraz, niż dalej analizować tę mapę w ostrym świetle żarówki.

Przeciagnał się i przetarł powieki. Przynajmniej nie zmarował dnia. Nowe plany węzła kolejowego zawierały pewne cenne informacje. Z tymi Rumunami będzie musiał zaczynać od zera. Całą budowę obozu pozostawiają na jego barkach, nawet wybór miejsca. Uznał, że udało mu się znaleźć coś odpowiedniego. Na wscliodnich obrzeżach węzła stały stare magazyny. Jeśli nikt z nich nie korzysta ani nie zamierza wykorzystywać ich do czegoś ważnego, mogą posłużyć jako załazek obozu Ploesti. Zasięki z drutu położą się w parę dni, po czym Żelazna Gwardia będzie mogła spokojnie zabrać się do wyszukiwania Żydów.

Kaempffer Chciałby już zacząć. Pozwoli gwardzistom ściągnąć pierwszych „gości” w taki sposób, jaki uznają za stosowny, sam zaś będzie doglądał budowy obozu. Potem

pokaże Rumunom, jak wyglądają wypróbowane przez SS metody izolowania elementów niepożądanych.

Składając plan myślał o ogromnych zyskach, jakie przyniesie obóz, i o tym, w jaki sposób zatrzyma większą część tych zysków dla siebie. Pierścionki, zegarki i biżuterię trzeba odbierać więźniom Natychmiast; złote zęby i kobiece włosy mogą poczekać. Wszyscy komendanci w Niemczech i Polsce bogacili się szybko. Kaempffer nie widział powodu, dla którego miałby być wyjątkiem.

Zresztą, to jeszcze nie wszystko. W bńskiej przyszłości, kiedy już obóz będzie pracował jak dobrze naoliwiona maszyna, pojawią się możliwości wynajmowania co zdrowszych więźniów rumuńskim zakładom przemysłowym. Tych więźniów może być całkiem sporo, zwłaszcza że wkrótce rozpocznie się realizacja Planu Barbarossa. Armia rumuńska zaatakuje Rosję u boku Wehrmachtu, pozbawiając kraj siły roboczej. Tak, fabryki będą potrzebować robotników. Ich płace, naturalnie, trafią do komendanta obozu.

Znał wszystkie sztuczki. Hoss w Auschwitz nauczył go dobrze. Nieczęsto człowiek miał okazję równocześnie służyć swej ojczyźnie, bogacić się i poprawiać bilans genetyczny rasy ludzkiej. Miał szczęście...

Jedyną przeszkodą była ta przeklęta twierdza. Dobrze przynajmniej, że udało się wreszcie opanować sytuację. Jeśli nic się nie zmieni, będzie mógł jutro rano wyjechać i przekazać do Berhna sprawozdanie ze swej zakończonej sukcesem działalności. Raport zostanie odpowiednio sformułowany: przybył na miejsce i perwszej nocy, zanim zdołał przejść do działań ofensywnych, stracił dwóch ludzi. Potem nie było już żadnych morderstw (nie będzie precyzował zbyt dokładnie sposobu, w jaki udało mu się to osiągnąć, lecz bardzo wyraźnie zaznaczy, po czyjej stronie leży zasługa). Po trzech spokojnych nocach opuścił twierdzę. Zadanie zostało wykonane. Jeśli znowu ktoś zginie, pójdzie to na rachunek tego nieudacznika, Woermanna. On, Kaempffer, będzie wtedy zbyt zajęty zakładaniem obozu w Ploesti. Będą Musieli znaleźć kogoś innego, by wyciągnął Woermanna z kłopotów.

Magdę wyrwało ze snu pulkanie do drzwi — to Lidia przysłała zawołać ją na łoałację. Szybłco przemyła oczy wodą. Była całłciem przytomna, ale nie czuła głodu. Ściśnięty żołałek nie przyjąłby ani odrobiny jedzenia.

Stała przy oknie. Niebo nie ściemniało jeszcze całłciem, lecz na przełęczu panował już mrok. Noc okryła twierdzę, choć nie zapłoneły jeszcze światła na dziedzińcu. Tu i tam, niby oczy w mroku, jaśniały okna — między nimi i Papy. Na razie jednak nie zapalono tej iluminacji, sprawiającej wrażenie — jak to powiedział Glenn? — że clica tu ściągnąć turystów.

. Ciekawe, czy Glenn siedział teraz na dole przy koloacji? Czy myślał o niej? Może czekał? Czy raczej zajęty był jedzeniem? Nieważne. Pod żadnym pozorem nie może pozwolić, by ją zobaczył. Jedno spojrzenie w oczy wystarczy, by domyślił się, co zamierza i próbował ją zatrzymać.

Magda starała się skupić uwagę na tym, co się dzieje w twierdzy. Dlaczego w ogóle myśli o Glennie? On da sobie radę sam. Powinna myśleć o Papie i swojej misji.

Uparcie jednak wracała myślami do Glenna. Śnił jej się nawet, gdy się zdrzemnęła. Nie pamiętała dokładnie szczegółów, pozostało tylko wrażenie, ciepłe i w jakiś sposób erotyczne. Co się z nią działo? Nigdy nie reagowała w ten sposób na czyjaś obecność, nigdy. Owszem, kiedy miała niecałe dwadzieścia lat, młodzi ludzie zalecali się do niej, a dwóch czy trzech nawet jej się podobało, ale nic więcej. Nawet Michał... byli sobie bhscy, nigdy go jednak nie pożądała.

To było to: zaszokowana Magda zdała sobie sprawę, że pożąda Glenna, chce czuć go obok siebie, chce, by...

To absurd! Zachowuje się jak prosta, wiejska dziewczyna, podniecona spotkaniem pierwszego w życiu eleganta z wielkiego miasta. Nie, nie może sobie pozwolić na tego typu uczucie wobec Glenna ani jakiegokolwiek innego mężczyzny. Nie wtedy, gdy Papa jest sam i nie potafi się obronić. Zwłaszcza teraz, kiedy został w twierdzy z Niemcami i tym czymś. Papa jest najważniejszy. Nie ma nikogo oprócz niej i ona nie może go zostawić.

Ale Glenn... gdyby było więcej takich mężczyzn... Przy nim czuła się kimś ważnym, jak gdyby istotny był sam fakt, że jest

tym, kim jest, jakby mogła być z tego dumna. Mogła z nim rozmawiać, nie czując się jak mól książkowy, za którego brali ją inni.

Mijała dziesiąta, gdy Magda wyszła z gospody. Ze swego okna obserwowała, jak Glenn przemyka się ścieżką i zajmuje pozycję w krzakacli na skraju wąwozu. Dała mu chwilę, związała włosy cliustą, cliwyciła latarkę i wyszła z pokoju. Na schodach, w korytarzu ani przy wyjściu nie spotkała nikogo.

Nie poszła w stronę mostu. Zamiast tego opuściła ścieżkę i ruszyła ku skrytym w cieniu zboczom gór. Po omacku wyszukiwała drogę. Nie mogła palić światła, dopóki nie znajdzie się w twierdzy. Tutaj albo w wąwozie zdradziłoby jej otoczenie strażnikom na murach. Podciągnęła sweter i wetknęła latarkę za pasek spodnicy. Czuła na skórze zimny dotyk metalu.

Dolarze wiedziały, dokąd idzie. Tam, gdzie wąwóz dotykał skalnej ściany, rozciągało się trójkątne osypisko ziemi, kamieni i odłamków, od wieków zsuwających się z góry. Opadało łagodnie w dół i dawało dobre oparcie dla stóp. Znalazła je wiele lat temu, gdy pierwszy raz wyprawiała się do wąwozu w poszukiwaniu nie istniejącego kamienia węgielnego. Od tamtego dnia wielokrotnie pokonywała to przejście, zawsze jednak w blasku dnia. Dziś w nocy ciemność i mgła obróciły się przeciwko niej. Nie mogła liczyć nawet na księżyc, mający wzejść dopiero po północy. Ryzyko było spore, lecz Magda nie wątpiła, że da sobie radę.

Dotarła do urwiska, gdzie kończył się wąwóz. Osypisko tworzyło połówkę stożka, sięgającego podstawą dna wąwozu, jakieś dwadzieścia metrów niżej. Wierzchołek tego stożka znajdował się o dwa kroki od miejsca, w którym się zatrzymała.

Magda odetchnęła głęboko, zaciśnęła zęby i rozpoczęła zejście. Poruszała się wolno, ostrożnie, sprawdzając każdy kamień, na którym stawiała stopę. Dla zachowania równowagi przytrzymywała się większych głazów. Nie spieszyła się, miała jeszcze bardzo dużo czasu. Najważniejsza była ostrożność — ostrożność i dsza. Wystarczył jeden fałszywy krok, by ześliznęła się na sam dół. Ostre kamienie rozdarłyby jej ciało na strzępy,

zanim dotarłaby do dna wąwozu. Nawet gdyby przeżyła, liałas zaalarmowałby strażników na muraceli. Musiała uważać.

Posuwała się powoli, starając się nie myśleć o tym, że Molasar może czekać na nią w wąwozie. Raz tylko przeżyła chwilę grozy, zaraz po tym, jak zanurzyła się pod falującą łagodnie powierzchnią mgły. Przez moment nie mogła znaleźć oparcia. Zwisła z wystającego głazu, maclając nogami ponad niewidoczną przepaścią. Zdawało się, że cały świat zniknął, pozostawiając tylko ten kamień i ją samotną na zawsze. Stłumiła jednak panikę i przesunęła się w lewo, gdzie stopy dotknęły gruntu.

Dalej droga była łatwiejsza. Bez przeszkód dotarła do podstawy osypiska. Najtrudniejszy odcinek pozostawał jednak jeszcze przed nią. Dno wąwozu pokrywały nierówne skały i ostre trawy, przesłonięte mgłą, wirującą wokół i oplatającą ją szarymi mackami. Magda poruszała się powoli i z najwyższą ostrożnością. Skały były śliskie i zdradzieckie, każdy krok groził upadkiem i złamaniem kości. Szła niemal na ślepo, lecz wciąż posuwała się naprzód. Minęła całą wieczność, zanim zauważyła nad głową ciemniejszy pas. Dotarła do mostu. Fundament wieży znajdował się przed nią, trochę na lewo.

Była już prawie u celu, gdy nagle lewa stopa zanurzyła się aż po kostkę w lodowatej wodzie. Magda cofnęła się szybko, by zdjąć buty, grube pończocli i zawinąć spódnicę powyżej kolan. Potem, zacisnąwszy zęby, weszła w wodę. Oddychała z trudem, gdy chłód kłuł jej stopy i łydki, wbijając igły bólu aż do kości. Mimo to posuwała się spokojnym, równym krokiem, z determinacją powstrzymując się, by nie pobiec na drugi brzeg, gdzie było ciepło i sucho. Bieg oznaczał hałas, a hałas zaalarmowałby wartowników.

Przeszła dobre kilka metrów, zanim zorientowała się, że wyszła z wody. Stopy zdrętwiały jej zupełnie. Drżąca usiadła na kamieniu i masowała palce nóg, póki nie wróciło czucie. Dopiero wtedy wciągnęła znowu pończochy i buty.

Po kilku krokach stanęła na skalnej płycie, na której wzniesiono twierdzę. Szorstki granit nie sprawiał kłopotów. Po kilku krokach dotarła do miejsca, gdzie wieża sięgała dna

wąwozu. Znów poczuła pod palcami równe powierzchnie i kąty proste obrobionych ludzką ręką bloków.

Wymacała większą płytę, której szukała, i pchnęła mocno. Kamienny blok cofnął się z ledwie dosłyszalnym zgrzytem i Magda stanęła przed czarnym prostokątem wejścia, podobnym do rozwartej szeroko paszczy. Nie pozwoliła sobie na wahanie. Wyciągając zza paska latarkę postąpiła naprzód.

Wrażenie zgęstniałej złej woli uderzyło ją jak cios, wyciskając z czoła krople lodowatego potu. Miała ochotę zawrócić i pognać do wyjścia, w mgłę. Uczucie było o wiele gorsze niż wtedy, gdy we wtorek nocą wjechali razem z Papą do twierdzy, o wiele gorsze niż dziś rano, gdy przekroczyła bramę. Czy to ona była teraz bardziej wyczulona, czy zło stało się silniejsze?

Przesuwał się wolno, ospale i bez celu poprzez najgłębsze odnogi jaskini, tworzącej dolny poziom twierdzy. Poruszał się od cienia do cienia, sam jak cząstka mroku — w ludzkiej postaci, lecz dawno już pozbawiony tego, co było istotą człowieczeństwa.

Zatrzymał się, wyczuwając nowe życie, nieobecne jeszcze przed chwilą. Ktoś wszedł do twierdzy. Chwila koncentracji wystarczyła, by rozpoznać córkę tego kaleki, tę, którą dotknął dwie noce temu, która była tak pełna siły i dobroci, że jego nienasycony głód zmienił się w gwałtowne pożądanie. Wpadł w furię, gdy Niemcy usunęli ją z twierdzy.

Teraz wróciła.

Znowu popłynął przez ciemność, lecz teraz jego ruch nie był już ospały ani bezcelowy.

Magda stała wśród egipskich ciemności, drżąca i niepewna. Poruszone jej przejściem drobinki kurzu drażniły gardło i nos, utrudniały oddychanie. Musiała stąd wyjść. Ta misja nie miała sensu. Jak może pomóc Papie przeciw jednemu z nieumierających? Co chciała osiągnąć przychodząc tutaj? Głupie bohaterstwo bywa przyczyną śmierci! Za kogo się uważała? Jak mogła sądzić...

„Stop!” — krzyknęła w myśli. Zachowywała się jak tchórz. Potrafi pomóc Papie. Nie wiedziała dokładnie w jaki sposób, ale przynajmniej będzie przy nim, by go wesprzeć. Musi iść dalej.

Z początku miała zamiar zasunąć za sobą maskujący wejście blok, teraz jednak nie mogła się do tego zmusić. Poczuje się pewniej, choćby odrobinę, jeśli będzie wiedziała, że droga ucieczki stoi otworem.

Uznała, że może już użyć latarki. Promień przebił ciemność, oświetlając dolną część długich, kamiennych schodów, wspinających się spiralą wokół wewnętrznej ściany wieży. Skierowała latarkę do góry, lecz mrok światło bez śladu.

Nie miała wyboru. Musiała tam wejść.

Po niebezpiecznym zejściu i drodze przez okryty mgłą wąwóz, schody — nawet tak strome jak te — wydawały się luksusem. Przesuwała promień latarki w przód i w tył, by się upewnić, że każdy stopień, na którym ma stanąć, jest cały i pewny. W ogromnym, mrocznym, kamiennym cylindrze panowała cisza, zakłócana tylko echem jej kroków. Nie słyszała żadnych dźwięków, póki nie przebyła dwóch z trzech kręgów spirali schodów.

Wtedy, z prawej strony, poczuła jakiś podmuch. I usłyszała dziwny hałas.

Stanęła nieruchomo, jakby zamrożona powiewem chłodnego powietrza, nasłuchując odległego, cichego drapania. Jego wysokość i natężenie zmieniały się, lecz nie ustawało ani na chwilę. Szybko błysnęła latarką w prawo, oświetlając wąską, wysoką prawie na dwa metry szczelinę w murze. Widziała ją już, gdy przechodziła tędy poprzednio, lecz nigdy nie zwracała na nią uwagi. Nigdy nie czuła tutaj przewiewu, nigdy nie dobiegały stamtąd żadne hałasy.

Magda skierowała promień w otwór, by sprawdzić, jakie jest źródło tych dźwięków, lecz z nadzieją, że nic nie zobaczy.

„Byle tylko nie szczury — myślała. — Boże, spraw, by tam nie było szczurów”.

W świetle latarki dostrzegła tylko puste, nagie dno grotu. Hałas dobiegał gdzieś z głębi. Z prawej strony, jakieś dwadzieścia metrów od niej, dostrzegła słaby blask. Zgasiła latarkę.

Tak, widziała światło, bardzo słabe, i dochodzące skądś z góry. Magda wyteńczyła wzrok i rozpoznała w ciemności kształt schodów.

Nagle zrozumiała, gdzie się znajduje. Patrzyła od wschodniej strony na dolny poziom podziemi. To oznaczało, że światło sączyło się tu przez pęknięcie w podłodze piwnicy. Dwie noce temu stała tam, przy tych schodach, a Papa badał...

... ciała. Jeśli stopnie znajdowały się z prawej strony, to po lewej leżało ośmiu martwych żołnierzy.

Przez cały czas słyszała dziwne dźwięki, dochodzące z drugiego końca groty — o ile ta grota miała koniec.

Z trudem powstrzymując drżenie rąk zapaliła latarkę i ruszyła dalej. Musiała jeszcze raz okrążyć wieżę. Poświeciła w górę, w miejsce, gdzie schody znikwały w ciemnej niszy tuż pod sufitem. Ten widok dodał jej sił. Wiedziała, że sufit tego pomieszczenia jest jednocześnie podłogą pierwszego poziomu wieży. Tam mieszkał Papa. A nisza mieściła się wewnątrz ściany, oddzielającej jego dwa pokoje.

Magda pośpiesznie wspięła się na ostatnie stopnie i wsunęła do niszy. Przycisnęła ucho do dużego, kamiennego bloku po prawej stronie. Umocowany był na zawiasach, tak jak ten przy wejściu, dwadzieścia metrów niżej. Nie wychwyciła żadnego dźwięku, lecz nadal stała nieruchomo, zmuszając się, by odczekać jeszcze chwilę. Nic, żadnych głosów ani kroków. Papa był sam.

Pchnęła blok oczekując, że odsunie się bez oporu. Nie drgnął nawet. Naparła na niego całym ciałem, bez efektu. Skulona w maleńkiej wnęce Magda zastanawiała się nad wyjaśnieniem. Pięć lat temu odsunęła ten kamień bez wysiłku. Może przez ten czas budowla osiadła, naruszając precyzyjną równowagę drzwi?

Miała ochotę zastukać w mur ręką, żeby dowiedzieć się, czy ktoś tam jest. Zawiadomiłaby w ten sposób Papę o swojej obecności. Ale co wtedy? Na pewno nie mógł jej pomóc. A gdyby dźwięk dotarł na wyższe poziomy i zaalarmował któregoś ze strażników albo oficera? Nie, musiała zachować ciszę.

Ale przecież musiała się tam dostać! Oparła się plecami o kamień, a nogami o przeciwległą ścianę i pchnęła raz jeszcze, nateżając mięśnie aż do bólu. Blok pozostał nieruchomy.

Stała we wnętrzu, zła i rozczarowana. Wtedy wpadła na nowy pomysł. Przecież istnieje inna droga — przez podziemia. Jeśli nie będzie straży, może przedostać się na dziedziniec, a jeśli światła nadal się nie palą, uda się jej przemknąć do wieży i pokoju Papy. To niedaleko. Tak wiele jeśli... ale zawsze może się wycofać, gdy stwierdzi, że droga jest zablokowana.

Szybko zeszła do otworu w murze. Nadal wiało z niego chłodem, nadal słyszała odległe drapanie. Przekroczyła szczelinę i ruszyła ku scliodom, prowadzącym do piwnicy. Szła w stronę blasku, sączącego się przez otwór w suficie. Krąg światła latarki przesunął się tuż przed nią, niemal pod nogami. Uważała, by nie świecić w lewą stronę, gdzie leżały ciała.

Z każdym krokiem coraz trudniej było posuwać się naprzód. Rozum, poczucie obowiązku, miłość do ojca, wszystkie wyższe uczucia umysłu pchały ją dalej, lecz jakaś pierwotna część mózgu buntowała się i nakłaniała do powrotu.

Szła dalej, przewyciężając wszelkie obawy. Nie cofnie się przecież teraz... choć drżenie cieni wokół niej budziło lęk i niepokój. „To tylko złudzenie”, powtarzała sobie. Póki się nie zatrzyma, nic jej nie grozi.

Była już niemal przy schodach, gdy dostrzegła jakiś kształt poruszający się pod pierwszym stopniem. Z trudem powstrzymała krzyk, gdy znalazł się w kręgu światła.

Szczur!

Ruchliwy ogon otaczał jego tłusty tułów, gdy siedział sobie spokojnie i lizał pazury. Magda poczuła, że ogarnia ją obrzydzenie i że zaraz chyba wymiotuje. Wiedziała, że póki ta bestia tam siedzi, nie postąpi ani kroku dalej. Wreszcie szczur spojrział na nią wrogo i odbiegł w mrok. Magda nie czekała, aż zmieni zdanie i wróci. Wbiegła do połowy schodów, zatrzymała się i nasłuchiwała, próbując się uspokoić.

Na gorze panowała cisza — żadnej rozmowy, kaszlnięcia, odgłosu kroków. Jedyńm dźwiękiem było nieustające drapanie, głośniejsze teraz, gdy znalazła się pod piwnicą, lecz wciąż odległe, dobiegające gdzieś z dalszych części grotu. Starła się go nie słyszeć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co to może być, i nie miała ochoty próbować.

Raz jeszcze poświeciła dookoła, chcąc się upewnić, że nie

ma w pobliżu szczurów, po czym wolno, ostrożnie i cicho zaczęła wchodzić w górę. Zatrzymała się na chwilę, żeby wyrzucić przez otwór w podłodze. Za pękniętą ścianą po prawej stronie biegł główny korytarz, oświetlony rzędem jaskrawych żarówek i chyba pusty. Zrobiła trzy szybkie kroki i znalazła się w piwnicy, kolejne trzy doprowadziły ją do pęknięcia w murze. Znow nasłuchiwała, czy nie nadchodzą strażnicy. Potem wyjrzała na korytarz. Nikogo.

Teraz dopiero zaczynała się naprawdę niebezpieczna część drogi. Będzie musiała przejść przez cały korytarz aż do schodów prowadzących na dziedziniec. I na górę. A potem...

„Po kolei — pomyślała. — Najpierw korytarz. Później będę się martwić o schody”.

Czekała, bojąc się wyjść na oświetloną przestrzeń. Do tej pory poruszała się w mroku, tam gdzie nie mogła spotkać nikogo. Stać pod tymi żarówkami byłoby tak, jak wyjść nago w południe na ulicę w centrum Bukaresztu. Jedyną jednak alternatywę stanowiły rezygnacja i powrót.

Przekroczyła szczelinę i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż korytarza. Była już niemal przy schodach, gdy dosłyszała z góry jakiś dźwięk. Ktoś schodził na dół. Cały czas była gotowa, by na pierwszy znak czyjejs obecności skoczyć do któregoś z bocznych pomieszczeń. Teraz to zrobiła.

Zatrzymała się tuż za drzwiami. Niczego nie widziała, nie słyszała, nie dotknęła, wiedziała jednak, że nie jest tu sama. Musiała wyjść! Wtedy jednak zobaczy ją ten, kto schodzi po schodach. Nagle wyczuła w ciemności jakiś ruch i czyjaś ręka chwyciła ją z tyłu za gardło.

— Co my tu mamy? — odezwał się ktoś po niemiecku.

W pokoju był wartownik. Teraz ciągnął ją z powrotem na korytarz.

— No, no! Przyjrzyjmy ci się przy świetle!

Magdę ogarnęło przerażenie, słyszała szybkie i głośnie uderzenia własnego serca. Czekala, by zobaczyć kolor munduru żołnierza. Jeśli był szary, miałyby jakąś szansę. Jeśli czarny...

Był czarny. W dodatku biegł ku nim drugi SS-man.

— To ta Żydówka — powiedział pierwszy. Był bez hełmu,

oczy miał mętne. Na pewno spał w tym pokoju, w którym Chciała się ukryć.

— Jak się tu dostała? — zdziwił się drugi, podchodząc bliżej.

Magda kulila się pod ich spojrzeniami.

— Nie mam pojęcia — stwierdził pierwszy, puszczając ją i popychając w stronę schodów. — Lepiej zabierzmy ją do majora.

Sięgnął do pokoju po hełm, który zdjął, gdy układał się do drzemki. Drugi SS-man stanął obok. Magda działała bez namysłu. Pchnęła pierwszego i pomknęła do szczeliny w ścianie. Nie Chciała widzieć tego majora. Jeśli tylko przedostanie się na niższy poziom, ma szansę ucieczki. Tylko ona zna drogę...

Poczuła palący ból w potylicy, a szarpnięcie za włosy i chustkę niemal oderwało ją od ziemi. Drugi żołnierz nie był jeszcze usatysfakcjonowany. Przyciągnął ją do siebie, oparł dłoń o jej pierś i pchnął na ścianę.

Potworne uderzenie o mur odebrało Magdzie oddech. Poczuła, jak traci przytomność. Następne chwilę składały się tylko z barwnych, rozmazanych plam i beztętnych głosów:

— Nie zabiłeś jej chyba?

— Nic jej nie będzie.

— Nie wie jeszcze, gdzie jej miejsce.

— Widocznie nikt jej dotąd nie nauczył.

I po krótkiej przerwie:

— Tutaj.

Wciąż pogrążona we mgle, bezwładna, niewidząca, Magda poczuła, że ciągną ją za ramiona po kamiennej podłodze za róg, dalej od światła. Pojęła, że znalazła się w którymś z pokojów. Ale dlaczego? Puścili jej ręce, usłyszała trzask zamykanych drzwi, zapadła ciemność. SS-mani rzucili się na nią, przeszkadzając sobie wzajemnie. Jeden próbował ściągnąć jej spódnicę w dół, drugi starał się zadrzeć ją do góry, by dostać się do bielizny.

Krzyczałyby, lecz nie mogła wydobyć głosu; odpychałyby ich, lecz ręce i nogi zrobiły się ciężkie, bezwładne. Ponad ramionami napastników widziała oświetlony kontur drzwi na korytarz. Teraz Chciałyby się tam znaleźć.

Kontur drzwi przygasł nagle, jakby przesunął się za nimi

jakiś cień. Wyczuła czyjaś obecność w korytarzu. Nagle drzwi rozpadły się z ogłuszającym trzaskiem i zasypały ją odłamkami. Potężna, męska postać stanęła w progu, zasłaniając światło.

„Glenn!”, pomyślała w pierwszej chwili, lecz nadzieja zgasała, stłumiona falą chłodu i wrogości, emanujących od drzwi.

Zaskoczeni Niemcy krzyknęli przerażeni. Postać skoczyła w przód i Magda miała wrażenie, że rozrasta się nagle. Poczula kopnięcia i uderzenia — to żołnierze usiłowali jak najszybciej pochwycić odłożoną na bok broń. Byli zbyt powolni. Z oszalamiającą prędkością przybysz znalazł się przy nich, pochylił, chwycił za gardła i wyprostował na pełną wysokość.

Magda zaczynała pojmować grozę dziejących się wydarzeń. To Molasar stał nad nią — wielka, ciemna sylwetka, obramowana padającym z korytarza blaskiem, dwa rozjarzone czerwienią punkty w miejscu oczu, w każdej ręce wyrwywający się, szarpący, tracący dech SS-man, trzymany na długość ramienia. Nie puszczał ich, póki nie przestali się poruszać i nie zamarzyły ich zduszone krzyki, dopóki nie zawiśli bezwładnie. Wtedy potrząsnął nimi mocno, tak gwałtownie, że Magda usłyszała trzask i zgrzyt pękających kości karków. Cisnął oba ciała w ciemny róg pokoju i sam podążył za nimi.

Walcząc z bólem i słabością Magda przewróciła się na brzuch, a potem podniosła z trudem na kolana. Nie mogła ustać. Jeszcze przez kilka minut nogi nie będą w stanie jej unieść.

Wtedy dobiegł ją ten odgłos — łakome, syczące cmokanie, od którego ogarnęły ją mdłości. Przerażenie poderwało ją na nogi i pchnęło ku drzwiom.

Musi się wydostać! Wobec niewypowiedzianej grozy tego, co działo się w pokoju, zapomniała o ojcu. Korytarz kołysał się przed nią, gdy potykając się szła w stronę pęknięcia w murze. Z determinacją starała się zachować przytomność. Dotarła do szczeliny nie przewracając się ani razu, gdy jednak ją przekraczała, dostrzegła kątem oka jakiś ruch.

Molasar zbliżał się do niej długim, zdecydowanym krokiem, zwinnie i szybko. Płaszcz powiewał mu na ramionach, oczy błyszczały, wargi i broda wysmarowane były krwią.

z cichym okrzykiem Magda przeskoczyła szczelinę i pobiegła ku schodom do podziemi. Nie miała żadnej szansy, jednak nie chciała się poddać. Wyczuwała go tuż za sobą, ale nie oglądała się. Skoczyła na stopnie.

Posliznęła się lądując, lecz nim upadła, silne ramiona, zimne jak noc, pochwyciły ją z tyłu. Jedno objęło jej plecy, drugie wsunęło się pod kolana. Otworzyła usta, by krzyknąć ze zgrozy i obrzydzenia, lecz nie mogła wydać głosu. Czuła, że Molasar podnosi ją i schodzi w dół. Raz tylko spojrzała na kanciaste rysy jego bladej, poznaczonej kropelkami krwi twarzy, długie, zmierzwiłone kosmyki włosów i oczy, w których błyszczało szaleństwo. Potem, gdy Molasar niósł ją dalej i dalej od światła, nie widziała już nic. Wampir skreślił ku spiralnym schodom pod wieżą. Próbowwała się wyrwać, lecz jego uścisk był zbyt silny. Wreszcie zrezygnowała. Wolą zachować siły do chwili, gdy pojawi się szansa ucieczki.

Tak jak poprzednio, mimo wielu warstw ubrania, czuła przejmujące zimno w miejscach, gdzie jej dotykał. Wokół unosił się nieprzyjemny zapach stęchlizny. Molasar nie był fizycznie brudny, lecz mimo to wydawał się... nieczysty.

Przeniósł ją przez wąską szczelinę do komory pod wieżą.

— Gdzie...? — wychrypiąła pierwsze słowo pytania, nim lęk odebrał jej głos.

Nie odpowiedział.

Jeszcze w podziemiu Magda zaczęła drzeć, teraz szczękała już zębami. Molasar zdawał się odbierać całe ciepło jej ciała.

Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, lecz Molasar wspinał się spokojnie i pewnie, pokonując po dwa stopnie naraz. Po jednym okrążeniu wewnętrznej powierzchni podstawy wieży zatrzymał się.

— Magda!

To był głos Papy. Nim źrenice przystosowały się do zmiany oświetlenia, poczuła, że Molasar stawia ją na podłodze i puszcza. Wyciągnęła rękę w kierunku głosu i dotknęła poręczy inwalidzkiego wózka. Pochwyciła ją tak, jak tonący chwytą się kawałka drzewa.

— Co ty tu robisz? — spytał Papa chrapliwym szeptem.

— żołnierze... — tyle tylko zdołała wykrztusić. Widziała już dobrze. Papa wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

— Porwali cię z gospody?

Pokręciła głową.

— Nie. Sama przyszłam. Dołem.

— Ale czemu postąpiłaś tak głupio?

— Żebyś nie spotkał się z nim sam — nie musiała wskazywać Molasara. Znaczenie słów było aż nadto oczywiste.

Przez tę krótką chwilę pokój wyraźnie pociemniał. Wiedziała, że Molasar stoi gdzieś z tyłu, w cieniu za uchylonym, kamiennym blokiem, ale nie mogła się zmusić, by tam spojrzeć.

— Złapali mnie dwaj SS-mani — mówiła dalej. — Wciągnęli do pokoju. Chcieli...

— Co się stało? — oczy Papy rozszerzyły się.

— Zostałam... — Magda rzuciła okiem przez ramię, w cień. — ...uratowana.

Papa patrzył na nią ciągle, lecz już nie z troską ani zdziwieniem, ale z niedowierzaniem.

— Przez Molasara?

Magda kiwnęła głową i wreszcie znalazła dość siły woli, by odwrócić się i stanąć twarzą w twarz z upiorem.

— On zabił ich obu!

Patrzyła na niego. Stał w cieniu obok rucliomego kamienia — okryta mrokiem postać z koszmarnego snu, z niezbyt wyraźnie widoczną twarzą oraz błyszczącymi oczami. Plamy krwi już zniknęły, jakby zostały wchłonięte przez skórę, nie wytarte. Magda zadrżała.

— Popsułaś wszystko! — zawołał Papa, zaskakując ją nutą gniewu w głosie. — Kiedy tylko znajdą ciała, wściekłość majora uderzy we mnie z pełną siłą! Wszystko z twojego powodu!

— Przyszłam, żeby być z tobą — rzekła urażona. Dlaczego był na nią zły?

— Nie prosiłem cię o to! Nie Chciałem, żebyś tu była, i teraz też nie Chcę!

— Proszę, Papo!

Wyciągnął zniekształcony palec w stronę otworu w ścianie. ‘

— Odejdź, Magdo! Mam za dużo do zrobienia i zbyt mało

czasu. Niedługo przybiegną tu faszyci i spytają, dlaczego zginęło kolejnych dwóch żołnierzy, a ja *będę* musiał coś odpowiedzieć! Zanim przyjdą, muszę porozmawiać z Molasarem.

— Papo...

— Idź!

Magda patrzyła na niego nieruchomo. Jak mógł tak do niej mówić? Miała ochotę płakać, prosić, skłaniać go do rozsądku. Nie potrafiła jednak. Nie mogła mu się sprzeciwić, nawet wobec Molasara. Był jej ojcem i musiała go słuchać, choć był tak okrutnie niesprawiedliwy.

Odwróciła się i mijając obojętnego Molasara przekroczyła otwór. Kamienny blok zamknął się za nią i znowu znalazła się w ciemności. Sięgnęła do pasa, ale latarki nie było. Musiała ją gdzieś zgubić.

Miała teraz dwa wyjścia: wrócić do pokoju Papy, by poprosić o świecę czy lampę, albo schodzić po ciemku. Po chwili namysłu zdecydowała się na to drugie. Nie mogła spojrzeć ojcu w oczy. Zranił ją bardziej, niż myślała, że jest do tego zdolny. Coś się w nim zmieniło. Utracił swoją łagodność i zrozumienie, od dawna będące nieodłączną częścią jego charakteru. Odepchnął ją, jakby była kimś obcym. I nawet się nie upewnił, czy ma ze sobą światło!

Magda stłumiła szloch. Nie będzie płakać. Ale co mogła zrobić? Czowała się całkowicie bezradna. I jeszcze gorzej — czuła się zdradzona.

Pozostało jej tylko opuścić twierdzę. Ruszyła w dół, wymacując przed sobą drogę. Nic nie widziała, wiedziała jednak, że jeśli będzie lewą ręką dotykać ściany i ostrożnie, powoli stawiać nogi, dotrze bezpiecznie na dno komory.

Kiedy przebyła pierwszy krąg spirali schodów, zaczęła nasłuchiwać, czy nie usłyszy tamtego drapania, dolatującego przez szczelinę w ścianie. Ale nie. Zamiast tego dobiegał z ciemności inny dźwięk — głośniejszy i bliższy. Zwolniła kroku. Jej dłoń ześliznęła się z muru i zamarła w chłodnym podmuchu, wiejącym przez otwór. Dźwięk narastał.

Był to odgłos szurania, obrzydliwy dźwięk powłóczenia nogami, od którego zaszczękały jej zęby, a wyschnięty język

przyłgnął do podniebienia. To przecież nie mogły być szczury, nie takie duże... Głos dobiegał z głębokich ciemności po lewej stronie. Po prawej sączył się z leżącej wyżej piwnicy słaby blask, nie sięgał jednak źródła dźwięku. Tym lepiej. Woląla nie widzieć, co to było.

Wyciągnęła rękę i na krótką chwilę ogarnęła ją panika — nie mogła trafić na przeciwną krawędź szczeliny. Wreszcie poczuła pod palcami chłodny, cudownie twardy kamień i ruszyła w dół szybciej niż poprzednio, niebezpiecznie szybko. Dyszała ciężko, a serce biło jej jak szalone. Jeśli to coś w podziemiu ją goni, to zanim dotrze do schodów, ona musi wyjść z twierdzy.

Szła w dół, bez końca, co chwilę oglądając się przez ramię w instynktownych i całkowicie bezowocnych próbach dostrzeżenia czegokolwiek w ciemności. Kiedy wreszcie dotarła na sam dół, z ulgą zobaczyła niewyraźny, jasny prostokąt wyjścia. Potykając się pobiegła ku niemu i weszła w mgłę. Zasunęła za sobą kamienny blok i oparła się o niego, odychając z ulgą.

Po chwili zdała sobie sprawę, że opuszczając mury twierdzy nie znalazła się poza zasięgiem wrogiej atmosfery. Rankiem emanacja złej woli sięgała progu bramy; teraz rozciągała się dalej. Magda ruszyła przed siebie niepewnym krokiem. Dopiero przy strumyku przestała wyczuwać tę aurę zła.

Nagle usłyszała w górze niewyraźne krzyki. Mgła rozjaśniła się — w twierdzy zapalono wszystkie światła. Ktoś musiał znaleźć dwa świeże trupy.

Magda nie zatrzymywała się. Światła nie groziły jej niczym, gdyż nie sięgały poprzez kłęby mgły do dna wąwozu. Przypominały raczej blask słońca, obserwowany spod mętnych wód jeziora. Tu, na dole, raczej ją ukrywały niż odsłaniały. Bez zatrzymania weszła w wodę, tym razem nie zdejmując nawet butów ani pończoch — chciała jak najszybciej znaleźć się możliwie daleko od twierdzy. Cień mostu przesunął się nad nią i wkrótce stała już u podstawy osypiska. Odpoczęła chwilę i rozpoczęła wspinaczkę. Zatrzymała się znowu dopiero wtedy, gdy znalazła się powyżej poziomu mgły, teraz wypełniającej wąwóz niemal całkowicie. Od czubka osypiska dzieliła ją już

tylko niewielka odległość. Jeszcze kilka sekund i będzie bezpieczna.

Podciągnęła się na krawędź, wstała i podbiegła skulona. Kiedy znalazła się w gąszczu krzaków, potknęła się o korzeń i upadła jak długa, uderzając kolanem o kamień. Przyciągnęła je do piersi i zaszlochała rozpaczliwie, nieproporcjonalnie do odczuwanego bólu. Musiała wypłakać swój żal do Papy, ulgę, że udało jej się wydostać, wszystko, co widziała i słyszała w twierdzy i co ją spotkało, czy też prawie spotkało.

— Byłaś w twierdzy.

Glenn... Nikogo bardziej nie pragnęła widzieć w tej chwili. Szybko otarła rękawem oczy i wstała, a raczej spróbowała wstać. Ostry ból zranionego kolana objął całą nogę i gdyby nie Glenn, przewróciłaby się znowu.

— Coś ci się stało? — spytał łagodnie.

— Nic. To tylko zadrapanie.

Spróbowała zrobić krok do przodu, lecz noga nie mogła utrzymać jej ciężaru. Glenn bez słowa wziął ją na rękę i poniosł w stronę gospody.

Już drugi raz tej nocy ktoś niósł Magdę. Ramiona Glenna były jednak niby ciepłe sanktuarium, w którym znikał chłód, jaki wciąż jeszcze czuła po dotknięciu Molasara. Opuścił ją strach. W jaki sposób znalazł się przy niej tak, że nic nie słyszała? A może stał tam cały czas i czekał na jej powrót?

Magda oparła głowę na ramieniu Glenna, nareszcie czując się bezpieczna i spokojna. „Gdyby to mogło trwać wiecznie”, pomyślała.

Bez wysiłku wniósł ją do gospody, przez pusty korytarz, po schodach na piętro i do jej pokoju. Tam posadził ją delikatnie na łóżku i przykleknął.

— Pokaż to zadrapanie.

Magda zawahała się, lecz zaraz odsłoniła lewe kolano. Spódnica nadal zasłaniała prawą nogę. Gdzieś w głębi pojawiła się myśl, że nie powinna tak siedzieć na łóżku i pokazywać nogi mężczyźnie, którego prawie nie zna. Jednak...

Rozerwana, szorstka, ciemnoniebieska pończocha odsłaniała nabiegłą krwią szramę na rzepce kolanowej. Skóra była

opuchnięta. Glenn sięgnął po ręcznik, zamoczył go w wodzie i przyłożył do rany.

— To powinno pomóc — oświadczył.

— Co się stało z twierdzą? — spytała Magda, starając się ignorować, a mimo to rozkoszując się poczuciem ciepła, promieniującego wzdłuż uda od miejsca, gdzie jego ręka przyciskała do rany kompres.

Podniósł głowę.

— Byłaś tam. Powinnaś wiedzieć.

— Byłam, ale nie potrafię wyjaśnić... A może nie umiem się pogodzić z tym, co się dzieje. Wiem, że przebudzenie Molasara odmieniło twierdzę. Kiedyś kochałam to miejsce, teraz się go boję. Jest tam coś zdecydowanie... niedobrego. Nie trzeba tego widzieć ani dotykać, tak jak czasem nie trzeba wyglądać przez okno, żeby wiedzieć, że pogoda jest fatalna. To przesyca powietrze... sączy się przez skórę.

— Co „niedobrego” wyczuwasz w Molasarze?

— Jest zły. Wiem, że to nic konkretnego, ale on jest złem. Potwornym, pradawnym złem, które żywi się śmiercią, które ceni to, co jest wrogiem żywym, i lęka się wszystkiego, co kochamy — wzruszyła ramionami, zaskoczona pasją, jaka zabrzmiała w tych słowach. — Tak to odczuwam. Rozumiesz coś z tego?

Glenn przyglądał się jej uważnie.

— Musisz być niezwykle wyczulona, jeśli to zauważyłaś — stwierdził.

— A jednak...

— A jednak co?

— A jednak dziś w nocy Molasar wybawił mnie z rąk dwóch ludzi, którzy powinni przecież być moimi sprzymierzeńcami przeciwko niemu.

Żrenice błękitnych oczu Glenna rozszerzyły się nagle.

— Molasar cię uratował?

— Tak. Zabił dwóch niemieckich żołnierzy — drgnęła na wspomnienie ich śmierci. — To było straszne. Ale mnie nie skrzywdził. Dziwne, prawda?

— Bardzo.

Pozostawiając mokry ręcznik Glenn zabrał rękę z jej kolan

i przeczesał palcami swe rude włosy. Magda Chciałaby, żeby położył ją z powrotem, ale wydawał się myśleć o czym innym.

— Uciekłaś mu?

— Nie. Zaniósł mnie do ojca — patrzyła, jak Glenn zastanawia się, wreszcie kiwa głową, jakby zrozumiał. — I było jeszcze coś.

— Z Molasarem?

— Nie. Jeszcze coś w twierdzy. W podziemiu... coś się tam ruszało. Może właśnie to wcześniej drapało.

— Drapało? — powtórzył cicho Glenn.

— Skrobało, szurało... w głębi, w podziemiu.

Glenn wstał i bez słowa podszedł do okna. Wpatrywał się nieruchomo w twierdzę.

— Opowiedz mi wszystko, co się wydarzyło dziś w nocy — poprosił. — Od chwili, gdy weszłaś do twierdzy, do momentu, kiedy ją opuściłaś. Nie pomijaj żadnych szczegółów.

Magda zaczęła opowiadać wszystko, co zapamiętała, aż do chwili, kiedy Molasar puścił ją w pokoju Papy. Wtedy jakby zabrakło jej słów.

— Coś nie w porządku?

— Nie, nic.

— Co z twoim ojcem? — zapytał Glenn. — Coś mu się stało?

Poczuła ból w krtani.

— Czuł się świetnie — mimo uśmiechu łzy popłynęły jej z oczu. Na próżno starała się je powstrzymać. — Kazał mi iść sobie... zostawić go samego z Molasarem. Możesz to sobie wyobrazić? Po wszystkim, co przeszłam, żeby do niego dotrzeć, on kazał mi się wynosić!

Żal i gniew w jej głosie musiały dotrzeć do Glenna mimo jego zamyślenia, gdyż odwrócił się od okna i spojrzał na nią.

— Nie przejął się, że zostałam napadnięta i prawie zgwałcona przez dwie faszystowskie bestie... nawet nie spytał, czy nic mi się nie stało. Martwił się tylko tym, że zabieram mu czas przeznaczony na spotkanie z Molasarem. Jestem jego córką, a on myślał jedynie o rozmowie z tym stworem.

Glenn usiadł obok, objął ją ramieniem i delikatnie przyciągnął do siebie.

— Twój ojciec żyje w straszliwym napięciu. Musisz o tym pamiętać.

— A on powinien pamiętać, że jest moim ojcem.

— Tak — przyznał Glenn. — Powinien.

Przekreślił się, położył na łóżku i pociągnął Magdę za ramiona.

— Chodź. Połóż się obok mnie i zamknij oczy. Wszystko będzie dobrze.

Czując, jak serce podchodzi jej do gardła, Magda pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. Nie zważając na ból w kolanie podniosła nogi i odwróciła się twarzą do niego. Leżeli przy sobie, Glenn z ręką pod jej plecami, ona z głową wtuloną we wgłębienie jego ramienia, przyciskając lewą dłoń do jego piersi. Ich ciała niemal się stykały. Wspomnienie Papy i tego, jak ją zranił, odplynęło, wyparte przez nowe uczucie. Nigdy dotąd nie leżała obok mężczyzny. Budziło to lęk i zachwyt równocześnie, gdy pochłaniała ją aura jego męskości. Czuła zawrót głowy, mrowienie wszędzie, gdzie go dotykała, miała wrażenie, że małe ładunki elektryczne płyną po jej ubraniu... ubraniu, które zaczynało ją dusić.

Powodowana nagłym impulsem podniosła głowę i pocałowała go w usta. Przez chwilę żarliwie oddawał pocałunek, lecz zaraz cofnął się.

— Magdo...

Obserwowała jego oczy, widząc w nich mieszaninę pożądania, wahania i zdziwienia. Lecz ona była bardziej zdziwiona. Pocałunek nie był świadomym działaniem, raczej efektem nowo rozbudzonej potrzeby. Jej ciało działało na własną rękę, a ona nie próbowała mu przeszkadzać. Ta chwila może się już nie powtórzyć. Chciała powiedzieć Glennowi, by ją kochał, lecz nie odważyła się.

— Kiedyś, Magdo — powiedział, jakby czytając w jej myślach. Delikatnie ułożył jej głowę na powrót na swym ramieniu. — Kiedyś tak. Ale nie dziś. Nie tej nocy.

Pogładził ją po włosach i szepnął, by zasnęła. Dziwne, ale jego obietnica zupełnie wystarczyła. Podniecenie opuściło ją, a wraz z nim pamięć o nocnych przejściach. Nawet lęk o Papę i o to, co robi w tej chwili, wydał się nagle czymś odległym

i nie tak ważnym. Na powierzchni ogarniającego ją spokoju pojawiły się jeszcze plamy troski, były jednak coraz rzadsze i mniejsze, coraz bardziej od siebie oddalone. Napływały za to pytania dotyczące Glenna: kim był naprawdę, i czy to rozsądne, nie mówiąc już o tym, czy właściwe, pozwolić sobie na takie z nim zbliżenie.

Glenn... zdawał się wiedzieć o twierdzy i Molasarze więcej, niż mówił. Rozmawiał o nich, jakby był lepiej od niej zorientowany. Nie zainteresował się informacją o schodach pod wieżą, o szczelinie prowadzącej z tych schodów do podziemia, choć przecież wspominała o nich tylko pobieżnie. Istniało jedno wyjaśnienie: musiał o tym wiedzieć wcześniej.

Ale to były drobnostki. Jeżeli ona wiele lat temu odkryła ukryte wejście do twierdzy, to on także mógł je znaleźć. Ważne było to, że po raz pierwszy w życiu czuła się absolutnie bezpieczna, spokojna i przez kogoś upragniona.

Wreszcie odpłynęła w sen.

XXII

Gdy tylko kamienna płyta zamknęła się za Magdą, jej ojciec spojrzął na Molasara, wprost w zwrócone ku sobie bezdenne, czarne otchłanie źrenic. Czekał całą noc, by go wypytać, by wyjaśnić sprzeczności, jakie wskazał mu rano ten dziwny, rudowłosy obcy. I nagle Molasar pojawił się, trzymając w ramionach Magdę.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytał Cuza.

Molasar patrzył na niego nieruchomo, bez słowa.

— Dlaczego? Wydawałoby się, że ona będzie dla ciebie najwyżej kolejnym smacznym kąskiem!

— Nadużywasz mojej cierpliwości, kaleko! — twarz Molasara pobieliała z gniewu. — Nie mogę się spokojnie przyglądać, jak dwóch Niemców napastuje i gwałci kobietę z mojego kraju, tak jak pięćset lat temu nie mogłem spokojnie patrzeć na Turków, którzy robili to samo. Dlatego sprzymierzyłem się z Vladem Tepesem. Dzisiejszej nocy ci Niemcy posunęli się jednak dalej, niż odważyłby się Turek — chcieli popełnić ten czyn w murach mojego domu! — uśmiechnął się nagle. — Przyznaję, że zakończenie ich nędznego żywota sprawiło mi pewną przyjemność.

— Jestem pewien, że podobnie bawiła cię współpraca z Vladem.

— Jego zamiłowanie do wbijania na pal dawało mi aż nadto możliwości zaspokojenia swoich potrzeb bez zwracania na siebie uwagi. Vlad mi ufał. Pod koniec byłem jednym z niewielu bojarów, na których naprawdę mógł polegać.

— Nie rozumiem cię.

— I nie musisz. Nie jesteś do tego zdolny. Wykraczam poza twoje zdolności pojmowania.

Cuza starał się uporządkować myśli. Zbyt wiele sprzeczności... nic nie wyglądało tak, jak oczekiwał. A przede wszystkim musiał brać pod uwagę niezwykle fakt, że bezpieczeństwo, a może i życie córki winien jest nieumierającym.

— Jestem twoim dłużnikiem.

Molasar nie odpowiedział.

Cuza zawahał się, po czym zadał najbardziej intrygujące go pytanie.

— Czy jest więcej takich, jak ty?

— Chcesz powiedzieć: nieumierających? *Moroi*? Kiedyś tak. Nie wiem, czy teraz. Odkąd się przebudziłem, wyczuwam u żyjących taką niechęć dla uznania mojego istnienia, że mogę chyba bezpiecznie założyć, iż przez te pięćset lat powybijano wszystkich *moroi*.

— A czy wszyscy tak bali się krzyża?

Molasar zeszywniał.

— Nie masz go ze sobą, prawda? Ostrzegam...

— Nie, nie mam. Zastanawia mnie jednak twój lęk — profesor skinął ręką na ściany. — Otoczyłeś się tysiącami mosiężno-niklowych krzyży, a mimo to wczoraj wpadłeś w panikę na widok jednego, małego, srebrnego krzyżyka.

Molasar zbliżył się do ściany i położył dłoń na najbliższym krzyżu.

— To podstęp. Spójrz, jak wysoko ułożone są ich ramiona. To już prawie nie krzyże. Taki układ nie ma na mnie wpływu. Kiedy budowałem twierdzę, kazałem ich wmurować całe tysiące, by zmylić ścigających. Nie mieściło im się w głowach, że ktoś taki jak ja mógłby zamieszkać w budowli nabijanej „krzyżami”. Ponadto, czego się dowiesz, gdy będę pewien, że mogę ci zaufać, ten kształt ma dla mnie szczególne znaczenie.

Cuza rozpaczliwie szukał jakiejś sprzeczności w wyjaśnieniach Molasara. Bezskutecznie. Czuł się tak, jakby ktoś złożył mu na ramiona potworny ciężar. Musiał się zastanowić.

I musiał zatrzymać tu Molasara, porozmawiać z nim! Nie mógł pozwolić, by teraz odszedł. Jeszcze nie.

— Kim byli ci ścigający?
— Czy nazwa Glaeken coś ci mówi?
— Nie.
— Zupełnie nic? — Molasar zbliżył się o krok.
— Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie słyszałem tego słowa.
„Dlaczego to dla niego takie ważne?”
— Więc może już ich nie ma — mruknął Molasar, bardziej do siebie niż do profesora.
— Nie rozumiem. Kim albo czym jest Glaeken?
— Glaeken byli fanatyczną sektą, która pojawiła się w średniowieczu jako zbrojne ramię Kościoła. Jej członkowie wymuszali ortodoksyjne wyznawanie wiary i z początku odpowiadali bezpośrednio przed papieżem. Po pewnym czasie jednak stali się prawem sami dla siebie. Starali się zająć wszelkie pozycje gwarantujące sprawowanie władzy, objąć kontrolą królewskie rody, tak by całym światem wadała jedna siła, jedna religia i jedno prawo.
— Niemożliwe! Jestem ekspertem w dziedzinie historii Europy, zwłaszcza tej jej części i wiem, że nigdy nie istniała taka sekta! Molasar pochylił się i wyszczerzył zęby.
— Śmiesz nazywać mnie kłamcą w moim własnym domu? Durniu! Co możesz wiedzieć o historii? Co wiedziałeś o mnie, o takich jak ja, dopóki ci się nie ukazałem? Co wiedziałeś o historii twierdzy? Nic! Glaeken byli tajnym bractwem. Królewskie rody nigdy o nich nie słyszały, a jeśli nawet Kościół w późniejszych wiekach znał prawdę o Glaeken, to jej nie zdradzał.
Cuza odwrócił głowę, nie mogąc znieść cuchnącego krwią oddechu Molasara.
— A jak ty się o nich dowiedziałeś?
— Były dni, kiedy niewiele działo się na świecie spraw, których nie znaliby *moroi*. A kiedy dowiedzieliśmy się o zamiarach Glaeken, postanowiliśmy działać — wyprostował się z wyraźną dumą. — Przez wieki *moroi* walczyli z Glaeken. Było jasne, że doprowadzenie ich planów do pomyślnego końca stanie się dla nas klęską, płataliśmy więc intrygi, raz po raz wysysając życie z władców, którzy znaleźli się pod ich wpływem.

Zaczął spacerować po pokoju.

— Z początku Glaeken nie byli nawet pewni, czy istniejemy. Gdy jednak przekonali się o tym, wypowiedzieli nam wojnę. Jeden po drugim moi bracia *moroi* ginęli prawdziwą śmiercią. Kiedy i wokół mnie zaczęła zaciskać się pętla, zbudowałem tę twierdzę i zamknąłem się w niej, zdecydowany przeczekać Glaeken i ich plany władania światem. Chyba odniosłem sukces.

— Bardzo sprytnie — przyznał Cuza. — Otoczyłeś się pseudokrzyżami i pogrążyłeś w hibernacji. Muszę cię jednak spytać i prosić, byś odpowiedział: dlaczego boisz się krzyża?

— Nie Chcę o tym dyskutować.

— Musisz mi powiedzieć. Mesjasz... czy Jezus Chrystus?

— Nie! — Molasar zachwiał się, oparł o ścianę i z trudem chwytął oddech.

— Co się stało?

— Gdybyś nie był moim rodakiem, wyrwałbym ci język, tu i teraz.

„Przeraża go nawet imię Chrystusa”, pomyślał Cuza.

— Ja nigdy...

— Nigdy tego nie wymawiaj! Jeśli zależy ci na mojej pomocy, nigdy więcej nie powtarzaj tego słowa!

— Przecież to tylko słowo!

— Nigdy! — Molasar wracał do siebie. — Zostałeś ostrzeżony. Jeszcze raz, a twoje ciało spocznie w podziemiu obok Niemców.

Profesorowi zdawało się, że tonie. Musiał sprawdzić jeszcze coś.

— A te słowa: *litgadal wejtkadasz szemej, raba belma diwera czireutej, vejamlicz...*

— Coż to za bezsensowny bełkot? — przerwał mu Molasar. — Jakieś zaklęcie? Inkantacja? Próbujesz mnie odpuścić? — zbliżył się do niego. — Sprzymierzyłeś się z Niemcami?

— Nie! — tyle zdążył powiedzieć, zanim głos mu się załamał. W głowie mu się kręciło jak od ciosu, zaciskał kalekie dłonie na poręczu fotela, jakby czekając, że pokój zaraz stanie dęba i ciśnie go w otchłań. To był koszmar! Ten stwór z Ciemności cofał się na widok krzyża i tracił dech słysząc imię Jezusa

Chrystusa! Za to słowa Kadyszu, hebrajskiej modlitwy za umarłych, były dla niego bezsensownym bełkotem! To nie mogło być prawdą! A jednak było.

Molasar coś mówił, nieświadom burzy myśli i wątpliwości uczonego. Cuza starał się go słuchać. Słowa wampira mogą mieć kluczowe znaczenie dla ocalenia jego i Magdy.

— Moja moc rośnie. Czuję, jak do mnie powraca. Niedługo, najwyżej za dwie noce, będę dość silny, by pozbyć się z twierdzy tych cudzoziemców.

Cuza starał się pojąć znaczenie usłyszanych słów: moc... dwie noce... pozbyć się z twierdzy... Lecz w jego uszach wciąż dzwięczały inne, natrętne, zagłuszające myśl: *litgadal vejtkadasz szemej.*

Nagle dosłyszał stukot ciężkich butów biegnących do wieży i Dalej po schodach na górę, słabe krzyki strachu i gniewu na dziedzincu. Na moment przygasła zwisająca z sufitu żarówka, sygnalizująca nagły wzrost poboru mocy generatora.

Molasar odsłonił zęby w wilczym uśmiechu.

— Zdaje się, że znaleźli swoich dwóch towarzyszy broni.

— I zaraz przyjdą tu, by obwinić mnie za ich śmierć — odparł zaniepokojony profesor. Hałas wyrwał go z otępienia.

— Jesteś człowiekiem intelektu — stwierdził Molasar, podchodząc do ściany i od niechcienia popychając ruchomy blok. — Użyj go.

Cuza przyglądał się bezradnie, jak wampir znika i rozplywa się w mroku ukrytego korytarza. Żałował, że nie może pójść za nim. Gdy kamień zasunął się, podjechał do stołu i pochylił nad *Al Azif* udając, że czyta. Czekał, drząc.

Nie musiał czekać długo.

Do pokoju wpadł Kaempffer.

— Żydzie! — krzyczał, wyciągając palec w oskarżycielskim geście. Stał w szerokim rozkroku, co niewątpliwie uważał za pozę jednocześnie groźną i władczą. — Zawiodłeś, Żydzie! Powiniennem się tego spodziewać!

Cuza mógł tylko siedzieć i patrzeć na niego tępo. Co mógł powiedzieć? Nie miał już sił. Czuł się wrakiem, kaleką nie tylko na ciele, lecz i na duszy. Bolała go każda kość, każdy staw i mięsień. Po spotkaniu z Molasarem nie potrafił zebrać

myśli. Czuł suchość w ustach, ale nie ośmielił się sięgnąć po wodę — na sam widok majora SS poczuł gwałtowne parcie na pęcherz.

Nie był stworzony do takich sytuacji. Był wychowawcą, naukowcem, uczonym w piśmie. Nie potrafił rozmawiać z tym wymuskany gogusiem, który miał nad nim władzę życia i śmierci. Pragnął zemsty, ale nie miał nawet najmniejszej nadziei, że kiedyś będzie mógł jej dopełnić. Czy naprawdę warto było żyć w takim świecie?

Ile jeszcze potrafi znieść?

Ale istniała Magda. Musi być dla niej jakaś nadzieja.

Dwie noce... Molasar mówił, że za dwie noce będzie miał dość siły. Czterdzieści osiem godzin. Czy zdoła wytrwać tak długo. Tak, zmusi się do wytrwania, aż do sobotniej nocy. Sobotnia noc... skończy się szabas. Czy szabas ma jeszcze jakieś znaczenie? Czy cokolwiek jeszcze je ma?

— Słyszałeś mnie. Żydzie? — major prawie krzyczał.

— On nawet nie wie, o co ci chodzi — zabrzmiał inny głos.

Do pokoju wszedł kapitan Woermann. Cuza wyczuwał w nim jakąś wewnętrzną dobroć, coś w rodzaju szlachetności. Nie była to cecha, której oczekiwalby u niemieckiego oficera.

— Zaraz się dowie! — Kaempffer zrobił dwa kroki i znalazł się przy stole. Pochylił się w przód, aż jego doskonale aryjska twarz znalazła się o kilka centymetrów od twarzy Cuzy.

— Co się stało, majorze? — spytał profesor. Choć starał się udawać niewiedzę, nie próbował ukrywać swego strachu. — Co ja takiego zrobiłem?

— Nic nie zrobiłeś. Żydzie! I o to właśnie chodzi! Od dwóch nocy siedzisz tu i grzebiesz w książkach, przypisując sobie zasługę nagłego przerwania ciągu zabójstw. Ale dzisiaj...

— Nigdy... — zaczął Cuza, lecz Kaempffer przerwał mu waląc pięścią w stół.

— Cisz! Dzisiaj znaleziono w piwnicy dwóch moich ludzi! Martwych, z rozerwanymi gardłami!

Cuza ujrzał oczyma duszy dwa trupy. Oglądał zwłoki wcześniejszych ofiar, więc bez trudu, a nawet z pewną satysfakcją, wyobraził sobie ich rany. Chcieli zhańbić jego córkę,

więc zasłużyli na to, co ich spotkało. Molasar miał prawo pić ich krew.

Teraz jednak on sam znalazł się w niebezpieczeństwie. Wściekła twarz majora wskazywała na to wyraźnie. Musi szybko coś wymyślić, bo nie dożyje sobotniej nocy.

— Jest całkiem jasne, że ostatnie dwie spokojne noce nie były twoją zasługą. Nie ma żadnego związku pomiędzy twoim przyjazdem a zaprzestaniem morderstw. To zwykły, szczęśliwy dla ciebie zbieg okoliczności. Kazałeś nam jednak wierzyć, że to twoje dzieło. Co dowodzi tylko słuszności tego, czego nauczyłem się w Niemczech: nigdy nie należy ufać Żydowi.

— Nie przypisywałem sobie żadnych zasług! Nawet nie...

— Chcesz mnie tu zatrzymać. Żydzie, prawda? — Kaempfer zmrugał oczy, zniżając groźnie głos. — Robisz, co możesz, żeby utrudnić wypełnienie mojej misji w Ploesti, co?

Coza nie pojmował nagłej zmiany wątku. Ten człowiek musi być szalony... tak jak szalony był Abdul Alliazred po napisaniu *Al Azif*, które leżało przed nim na stole...

Miał pomysł.

— Ale, panie majorze, właśnie coś znalazłem! W tej książce! Słyszac to kapitan Woermann także podszedł bliżej.

— Znalazł pan? Co takiego?

— Nic nie znalazł! — burknął Kaempfer. — To kolejne żydowskie łgarstwo, żebyśmy zostawili go przy życiu. „Masz słuszność, majorze”.

— Pozwól mu mówić, na miłość boską! — zawołał Woermann. — Co pan znalazł? — zwrócił się do profesora. — Proszę mi pokazać.

Coza wskazał kartę księgi, pokrytą arabskim pismem. Tekst pochodził z ósmego wieku i nie miał nic wspólnego z twierdzą, ani nawet z Rumunią. Miał nadzieję, że Niemcy o tym nie wiedzą.

Woermann z powątpiewaniem zmarszczył brwi.

— Nie umiem odczytać tych zygzaków.

— On kłamie! — krzyknął Kaempfer.

— Księga nie kłamie, majorze — oświadczył spokojnie profesor. Zamilkł na chwilę modląc się w duszy, by Niemcy

nie znali różnic między tureckim i staroarabskim. Potem podjął swą bajkę. — Została napisana przez pewnego Turka, który dotarł tutaj z armią Moliammeda II. Pisze, że natrafili na niewielki zameczek — opis krzyży w ścianach może oznaczać jedynie, że chodzi mu o tę twierdzę — w którym żyli władcy Wołochów. Cień zmarłego pana pozwala miejscowym bezpiecznie spać w murach warowni, lecz gdy obcy najeźdźcy odważą się przekroczyć próg jego dawnego domu, zabija ich, co noc jednego. Rozumiecie, panowie? To, co dzieje się teraz, zdarzyło się już oddziałowi tureckiej armii pięćset lat temu!

Cuza wpatrywał się z napięciem w twarze obu oficerów. Sam był zaskoczony, że tak zgrabnie udało mu się ułożyć wiarygodną historię z tego, co wiedział o Molasarze i dziejach tego regionu. Oczywiście, były w niej słabe punkty, lecz miał duże szanse, że Niemcy tego nie zauważą.

— Bzdura! — parsknął Kaempffer.

— Niekoniecznie — odezwał się Woermann. — Pomyśl tylko: Turcy wtedy wiecznie kogoś napadali. Policz naszych zabitych. Razem z dzisiejszymi mamy średnio jednego trupa każdej nocy od naszego przybycia 22 kwietnia.

— Mimo wszystko... — SS-man nie był już tak pewny swych racji. Spojrzał pytająco na Cuzę. — Więc nie jesteśmy pierwsi?

— Nie. Przynajmniej według tej książki.

Udało się! Największe kłamstwo w życiu profesora, zmyślone w jednej chwili, okazało się skuteczne! Niemcy po prostu nie wiedzieli, w co mają wierzyć! Miał ochotę się roześmiać.

— Jak w końcu załatwili ten problem? — spytał Woermann.

— Wyjechali.

Na moment zapadła cisza.

— Sam widzisz — zwrócił się Woermann do Kaempffera. — Powtarzam to od...

— Nie możemy wyjechać! — w głosie SS-mana zabrzmiała nutka hysterii. — Nie przed niedzielą. A jeśli do tego czasu nie wymyślisz jakiegoś rozwiązania. Żydzie — zwrócił się do Cuzy — dopilnuję, żebyście razem z córką osobiście towarzyszyli mi do Ploesti!

— Ale po co?

— Przekonasz się, kiedy dotrzemy na miejsce — Kaempffer przerwał na chwilę, po czym jakby podjął decyzję. — Nie, lepiej powiem od razu. Może to ci doda sił. Na pewno słyszałeś o Auschwitz? I Buchenwaldzie?

Profesor poczuł nagły ucisk w żołądku.

— Obozy śmierci!

— Wolimy je nazywać obozami przesiedleńczymi. W Rumunii jeszcze ich nie ma. Moja misja polega na naprawieniu tego braku. Twoja rasa. Cyganie, masoni i inne ludzkie śmiecie trafią do obozu, który założę w Ploesti. Jeśli okażesz się dla mnie użyteczny, postaram się, by twoje przybycie do obozu zostało odsunięte, może nawet do czasu twej naturalnej śmierci. Ale jeśli będziesz mi przeszkadzał, uczynię ci zaszczyt: razem z córką zostaniecie jego pierwszymi mieszkańcami.

Cuza patrzył na niego nieruchomo. Czuł, że porusza ustami i językiem, lecz nie mógł wydobyć głosu. Był zbyt wstrząśnięty, zbyt zaskokowany tym, co właśnie usłyszał. To niemożliwe! Ale lśniająca w oczach SS-mana uciecha świadczyła o tym, że nie kłamał.

— Bestia! — wykrztusił wreszcie profesor.

Kaempffer uśmiechnął się szeroko.

— Może to dziwne, lecz takie słowo w ustach Żyda nie wydaje mi się obraźliwe. Świadczy raczej, że prawidłowo wypełniam swoje obowiązki — podszedł do drzwi i raz jeszcze się obejrzał. — Czytaj uważnie swoje księgi. Żydzie. Pracuj pilnie. Znajdź rozwiązanie. Pamiętaj, nie chodzi tylko o ciebie, ale i o twoją córkę.

Odwrócił się i wyszedł.

Cuza spojrział błagalnie na Woermanna.

— Kapitanie...

— Nic nie mogę zrobić, *Herr Professor*. Najwyżej doradzić, by zajął się pan tymi tekstami. Znalazł pan wzmiankę o twierdzy, są szanse, że odszuka pan następną. Sugerowałbym także, by pańska córka rozejrzała się za jakimś bezpieczniejszym miejscem... może gdzieś w górach.

Nie mógł się przyznać kapitanowi, że kłamał, że nie znalazł nic na temat twierdzy i nie ma najmniejszej nadziei, by kiedyś znalazł cokolwiek. A co do Magdy...

— Moja córka jest uparta. Zostanie w gospodzie.

— Tak myślałem. Ale jestem bezsilny, nie mogę wam pomóc. Nie dowodzę już w twierdzy — skrzywił się lekko. — Zastanawiam się, czy w ogóle kiedyś dowodziłem. Dobranoc.

— Chwilęczkę! — Cuza niezgrabnie wydobyl z kieszeni srebrny krzyżyk. — Nie jest mi już potrzebny. Proszę go zabrać.

Woermann wziął krzyżyk do ręki i przyglądał mu się przez chwilę. Potem także wyszedł.

Cuza siedział w wózku, pogrążony w najczarniejszej rozpacz. Nie widział wyjścia. Jeśli Molasar przestanie zabijać Niemców, Kaempffer wyjedzie do Ploesti i rozpocznie systematyczną eksterminację rumuńskich Żydów. Jeśli nie przestanie, Kaempffer zniszczy twierdzę i jako pierwsze ofiary powlecze do Ploesti jego i Magdę. Myśląc o córce w rękach Niemców zrozumiał stare powiedzenie o losie gorszym od śmierci.

Musiało być jakieś wyjście. Od tego, co się tu wydarzy, zależało dużo więcej, niż tylko życie jego i Magdy. W grę wchodziły setki tysięcy, może milion albo jeszcze więcej ludzkich istnień. Musi się znaleźć sposób powstrzymania Kaempffera. Trzeba mu jakoś przeszkodzić... zdawało się, że niezwykle ważne dla majora jest, by przybył do Ploesti w poniedziałek. Czy jeśli się spóźni, odbiorą mu tę misję? Gdyby tak, skazani cieszyliby się krótkim okresem łaski.

A gdyby Kaempffer nigdy nie opuścił twierdzy? Gdyby przytrafił mu się śmiertelny wypadek? Ale jak? Jak go zatrzymać?

Zalkał z bazradności. Był tylko kalekim Żydem, otoczonym niemieckimi żołnierzami. Potrzebował rady. I odpowiedzi. Szybko. Splótł sztywne palce i pochylił głowę.

„Boże, pomóż swemu słudze, pozwól zapobiec cierpieniom niewinnych. Pomóż mi im pomóc. Spraw, bym znalazł sposób, by ich ocalić...”

Niema modlitwa rozplynęła się w zapomnieniu rozpacz. Po co to wszystko? Ilu z tych niezliczonych tysięcy, ginących z niemieckich rąk, łączyło swe serca, umysły i głosy w podobnym błaganiu? I co się z nimi stało? Nie żyją! Jaki los spotka

jego, jeśli będzie czekać odpowiedzi na własną modlitwę? Śmierć. A Magdę? Pewnie jeszcze gorszy.

Siedział pogrążony w rozpacz.

Pozostawał jeszcze Molasar.

Woermann zatrzymał się na chwilę przed drzwiami pokoju profesora. Kiedy Cuza wyjaśniał, co znalazł w starej księdze, odniósł dziwne wrażenie, że mówi prawdę, a jednocześnie kłamie. Ciekawe. Nie rozumiał gry tego starca.

Wyszedł na jaskrawo oświetlony dziedziniec. Wartownicy patrzyli na niego niespokojnie. No cóż, wszystko było zbyt piękne, by mogło trwać. Dwie noce bez ofiar... nie można było liczyć na trzy. Teraz znaleźli się w takiej samej sytuacji jak na początku, z wyjątkiem liczby ciał, która wciąż rosła. Dziesięć. Każdej nocy jedno od dziesięciu dni. Przerażająca statystyka. Gdyby tylko zabójca, ten „wołoski władca” Cuzy powstrzymał się do jutra... Kaempffer by wyjechał, a on mógłby wyprowadzić stąd ludzi. Teraz wyglądało na to, że będą musieli tu zostać do końca tygodnia. Piątkową, sobotnią i niedzielną noc. Trzy trupy. Może więcej.

Woermann skręcił w prawo, w stronę wejścia do piwnicy. Sekcja pogrzebowa powinna już złożyć dwa nowe ciała w podziemiu. Nawet SS-manom należała się po śmierci odrobina szacunku.

W piwnicy zajrzał do pomieszczenia, w którym znaleziono zabitych. Morderca nie tylko rozerwał im gardła, ale także połamał kręgi szyjne. To stanowiło nowość. Pokój był teraz pusty, jeśli nie liczyć odprysków wyłamanych drzwi. Co się tu działo? Broń zabitych nie była używana. Czy próbowali się ratować ryglując drzwi? Czemu nikt nie słyszał ich krzyków? A może wcale nie krzyczeli?

Poszedł dalej korytarzem do szczeliny w pękniętym murze. Usłyszał dobiegające z dołu głosy. Na schodach spotkał sekcję pogrzebową; żołnierze chuchali w przemarznięte dłonie. Zawrócił ich na dół.

— Zobaczmy, jak się spisaliście.

w podziemiu światło lampek i lamp naftowych padało na białe płachty, okrywające dziesięć ułożonych na ziemi ciał.

— Uporządkowaliśmy tu, *Herr Hauptmann* — odezwał się szeregowiec w szarym mundurze. — Całuny trochę się pogniotły.

Woermann rozejrzył się dookoła. Wszystko było chyba w porządku. Wkrótce musi podjąć decyzję, co zrobić z ciałami. Trzeba będzie odesłać je do kraju. Ale jak?

Klasnął w ręce. Naturalnie: Kaempffer! Niezależnie od sytuacji, major ma zamiar odjechać w niedzielę. Może przewieźć zwłoki do Ploesti, skąd odlecą do Niemiec. Znakomicie... rola w sam raz dla niego.

Zauważył, że lewa stopa trzeciego ciała wystaje spod całunu. Kiedy pochylił się, żeby go poprawić, spostrzegł, że but jest ubłocony. Można by pomyśleć, że zabitego przewleczono tu za ramiona. Oba obcasy były pokryte gliną.

Woermann rozgniewał się, lecz zaraz uspokoił. Czy to ma jakieś znaczenie? Trup to trup. Nie warto się przejmować parą zabłoconych butów. W zeszłym tygodniu problem wydawałby się bardziej istotny. Teraz to drobnostka. Głupstwo. Mimo to brudne buty niepokoiły go. Nie wiedział właściwie dlaczego, ale odczuwał niepokój.

— Wracajmy, chłopcy — powiedział, odwrócił się i ruszył naprzód, pozostawiając za sobą tylko chmurę pary oddechu. Żołnierze podążyli za nim. Tu, na dole, było naprawdę zimno.

Woermann zatrzymał się przed schodami i obejrzał raz jeszcze. W słabym świetle ledwie dostrzegął leżące ciała. Te brudne, ubłocone buty nie dawały mu spokoju. Po chwili jednak ruszył za żołnierzami do góry.

Kaempffer stał przy oknie w swoim pokoju i obserwował dziedziniec. Widział, jak Woermann schodzi do piwnicy i wraca. Nie ruszał się z miejsca. Właściwie powinien teraz czuć się w miarę bezpieczny. Nie dlatego, że wokół krążyły straże, lecz dlatego, że to, co zabijało jego żołnierzy, wykonało dziś swoją pracę i już nie zaatakuje.

Mimo to odczuwał straszliwą zgrozę.

Przyszła mu bowiem do głowy potworna myśl. Jak dotąd ofiarami byli tylko zwykli żołnierze. Oficerowie pozostali nietknięci. Dlaczego? Mogło to być kwestią czystego przypadku, jako że żołnierzy było w twierdzy ponad dwadzieścia razy więcej niż oficerów. Kaempffer podejrzewał jednak niejasno, że on i Woermann trzymani są w rezerwie na coś wyjątkowo okropnego.

Nie wiedział, skąd przyszła mu ta myśl, lecz nie mógł o niej zapomnieć. Gdyby tylko mógł się komuś zwierzyć... komukolwiek... przynajmniej częściowo pozbyłby się ciężaru. Może nawet potrafiłby zasnąć.

Nie było jednak nikogo.

Będzie więc stał przy oknie aż do świtu. Nie odważy się zamknąć oczu, dopóki słońce nie rozjaśni nieba swym blaskiem.

XXIII

TWIERDZA **Piątek, 2 maja** **godz. 07.32**

Magda czekała przed bramą, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Zmarzła, mimo porannego słońca. Lodowate uczucie zła, dawniej ograniczone tylko do murów twierdzy, teraz zdawało się przesączać na przelęcz. Ostatniej nocy ścigało ją niemal do strumienia; dziś rano wyczuła je, gdy tylko postawiła stopę na moście.

Wysokie, drewniane wieże zostały otwarte od wewnątrz i teraz opierały się o kamienne ściany krótkiego tunelu. Magda obserwowała uważnie cały dziedziniec, od wieży, gdzie powinien ukazać się Papa, aż do mrocznego otworu po przeciwnej stronie, prowadzącego wprost do piwnic i tylnej części twierdzy. Żołnierze zajęci byli wyciąganiem kamieni z murów. Wczoraj poruszali się dość leniwie i bez zapału, dziś pracowali jak szaleńcy. Jak śmiertelnie przerażeni szaleńcy.

Dlaczego po prostu nie wyjadą? Nie potrafiła zrozumieć, czemu spędzają tu kolejne noce w oczekiwaniu, aż zginą następni spośród nich. To nie miało sensu.

Martwiła się o Papę. Czy nie zrobili mu czegoś, kiedy znaleźli zwłoki dwóch niedoszłych gwałcicieli? Na moście przemknęła jej przez głowę potworna myśl, że mogli go rozstrzelać. Uspokoił ją wartownik, szybko zgadzając się posłać kogoś po ojca. Teraz, nieco już spokojniejsza, zamyśliła się.

Rankiem obudziły ją krzyki głodnych piskląt z ptasiego gniazda tuż za oknem i pulsujący ból w kolanie. Stwierdziła, że leży w łóżku sama, w ubraniu i pod kołdrą. W nocy była

tak bezradna i Glenn łatwo mógł to wykorzystać. Powstrzymał się jednak, nawet wtedy, gdy było zupełnie oczywiste, że go pragnie.

Magda zadrżała na samo wspomnienie swego wczorajszego zachowaniu. Jak mogła być tak bezwstydna? Na szczęście Glenn ją odepchnął... nie, to zbyt mocne słowo... odsu... odsunął raczej. Zastanowiła się nad tym, zadowolona, że się powstrzymał, a jednocześnie odrobinę rozczarowana, że przyszło mu to tak łatwo.

Właściwie, czemu miałyby czuć się zawiedziona? Nigdy nie oceniała wysoko swych zdolności do uwodzenia mężczyzn. A jednak... jakiś obrzydliwy głos szeptał do ucha, że pewnie jej czegoś brakuje.

Może jednak to nie ma nic wspólnego z jej osobą. Może to jeden z tych... z tych mężczyzn, którzy nie potrafią pokochać kobiety, jedynie innego mężczyznę. Lecz to nie była prawda. Magda pamiętała ich jedyny pocałunek — nawet teraz to wspomnienie sprawiało, że nagle robiło się jej przyjemnie ciepło — i pamiętała, jak mocno oddał jej go Glenn.

Bardzo dobrze. Dobrze, że nie przyjął propozycji. Jak potem mogłaby mu spojrzeć w oczy? Pokonana przez własną rozwiązłość musiałaby go unikać, pozbawiając się tym samym jego towarzystwa. A przecież tak go pragnęła.

Ostatnia noc była wyjątkowa — rezultat przypadkowego zbiegu niezwykłych okoliczności, które się już nie powtórzą. Teraz zdawała sobie sprawę z tego, co zaszło: fizyczne i emocjonalne wyczerpanie, napad żołnierzy, ocalenie przez Molasara, odrzucenie przez Papę propozycji pozostania przy nim — wszystko to sprawiło, że była całkowicie rozstrojona nerwowo. To nie Magda Cuza leżała na łóżku obok Glenna; to ktoś inny, kogo nie znała. Nie może się to powtórzyć.

Rankiem przechodziła, kulejąc, obok jego drzwi. Miała ochotę zapukać, podziękować za pomoc i przeprosić za swoje zachowanie. Nasłuchiwała jednak prawie minutę i zrezygnowała, nie słysząc żadnego dźwięku. Nie chciała go budzić.

Ruszyła prosto do twierdzy, nie tylko po to, by sprawdzić, jak czuje się Papa, ale też, by mu wytłumaczyć, jak bardzo ją zranił swym traktowaniem i jak zastanawia się, czy nie posłuchać jego rady i nie uciec. Byłaby to tylko groźba, chciała

jednak zmusić go do reakcji, a przynajmniej przeprosin. Całą drogę powtarzała sobie w myśli, co mu powie i jakim tonem. Była gotowa.

Wtedy właśnie przy wejściu na wieżę ukazał się Papa, na wózku popychanym przez niemieckiego żołnierza. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego umęczoną twarz, by spłynął z niej cały gniew i żal; zdawało się, że w ciągu jednej nocy przybyło mu dwadzieścia lat. Wyglądał na jeszcze słabszego niż zwykle, choć nie sądziła, by to było możliwe.

„Jak bardzo cierpi — pomyślała. — To nie na siły zwykłego człowieka. Musi walczyć z własnymi rodakami, własnym ciałem, a teraz jeszcze z armią niemiecką. Nie mogę stawać przeciw niemu”.

Żołnierz, który dowiózł go do bramy, okazał się bardziej uprzejmy niż ten wczoraj — zatrzymał przed nią wózek. Potem odszedł. Bez słowa złapała uchwyty i popchnęła Papę na most. Przejechali może pięć metrów, gdy powiedział:

— Zatrzymaj się, Magdo.

— Co się stało? — nie Chciała stawać. Wciąż czuła za sobą emanację twierdzy. Papa chyba nic nie dostrzegł.

— Nie spałem całą noc.

— Nie pozwolili ci? — przeszła do przodu i przykucnęła przy nim. Instynkt opiekuńczy pobudzał ją do gniewu. — Nie zrobili ci chyba krzywdy?

Spojrzał na nią zaropiałymi oczami.

— Nawet mnie nie dotknęli, ale skrzywdzili mnie.

— Jak?

— Posłuchaj uważnie, Magdo — zaczął mówić cygańskim dialektem, który znali oboje. — Dowiedziałem się, po co przyjechali tu SS-mani. Twierdza to dla nich jedynie przystanek po drodze do Ploesti, gdzie ten major ma założyć obóz śmierci.

Magda poczuła mdłości.

— Nie! To nieprawda! Rząd nigdy by nie wpuścił tu Niemców, żeby...

— Oni już tu są! Sama wiesz, że budowali umocnienia wokół rafinerii w Ploesti. Uczyli rumuńskich żołnierzy walczyć. Jeśli to robią, czemu nie chcesz uwierzyć, że zamierzają teraz nauczyć Rumunów, jak mordować Żydów? Jak rozumiem,

major jest w tym względzie człowiekiem doświadczonym. Kocha swoją pracę. Będzie dobrym nauczycielem, to widać.

To niemożliwe! Ale przecież w istnienie Molasara także nie wierzyła. W Bukareszcie słyszała opowieści o obozach śmierci, powtarzane szeptem historię o popełnianych tam bestialstwach, o nieprzeliczonych ofiarach. Z początku nikt w to nie wierzył, lecz kiedy kolejni świadkowie powtarzali to samo, nawet najbardziej sceptyczny Żyd musiał uznać fakty. Goje nie wierzyli. To nie oni byli zagrożeni. Wiara nie leżała w ich interesie, mogła im nawet zaszkodzić.

— Znakomite położenie — mówił dalej Papa zmęczonym, wypranym z wszelkiej emocji głosem. — Łatwo będzie nam tam dowieźć. A gdyby jakiś nieprzyjaciel spróbował zombardować pola naftowe, wybuchnie piekło i załatwi robotę za nazistów. Kto wie? Informacja o lokalizacji obozu może nawet sprawić, że wrogowie zawahają się przed atakiem. Chociaż wątpię.

Przerwał bez tchu.

— Trzeba powstrzymać Kaempffera — dodał po chwili.

Magda poderwała się na nogi i skrzywiła od ostrego bólu w kolanie.

— Chyba nie sądzisz, że ty zdołasz go powstrzymać? Dziesięć razy zdążysz zginąć, zanim uda ci się choćby go podrapać!

— Muszę znaleźć jakiś sposób. Teraz nie chodzi już tylko o twoje życie. Chodzi o tysiące niewinnych. Wszystko zależy od Kaempffera.

— Przecież nawet jeśli coś go... powstrzyma, to po prostu przyślą innego.

— Tak. Ale minie trochę czasu, a każda zwłoka działa na naszą korzyść. Może tymczasem Rosja zaatakuje Niemcy albo odwrotnie... Dwa wściekłe psy, takie jak Hitler i Stahn, nie wytrzymają długo, by nie skoczyć sobie do gardeł. Być może podczas konfliktu obóz w Ploesti zostanie zapomniany.

— Ale jak zdołasz zatrzymać majora? — musiała skłonić Papę do zastanowienia, uświadamiając mu, że jego pomysł jest szaleństwem.

— Może Molasar...

Magda nie chciała wierzyć w to, co usłyszała.

— Papo, nie!

— Poczekaj — uniósł dłoń okrytą bawełnianą rękawiczką. — Molasar wspomniał, że może mnie wykorzystać jako sprzymierzeńca przeciw Niemcom. Nie wiem, w czym mógłbym, mu pomóc, ale dowiem się tej nocy. W zamian poproszę tylko, by zatrzymał majora Kaempffera na dobre.

— Nie wolno ci wchodzić w układy z kimś takim jak Molasar! Nie masz pewności, czy na końcu nie zabije i ciebie!

— Nie dbam o własne życie. Powiedziałem ci, chodzi tu o coś więcej. Poza tym, wyczuwam u Molasara coś w rodzaju honoru. Wydaje mi się, że oceniasz go zbyt ostro. Reagujesz jak kobieta, nie jak uczoney. Molasar jest dzieckiem swojej epoki, a była to krwawa epoka. Posiada jednak poczucie narodowej dumy, a ta duma została głęboko urażona samą obecnością Niemców. Może zdołam to wykorzystać. Myśl o nas jako o rodakach Wołochach i traktuje lepiej niż obcych. Czy nie uratował cię przed tymi dwoma Niemcami, na których wpadłaś w nocy? Przecież łatwo mogłaś stać się trzecią ofiarą. Musimy spróbować go wykorzystać! Nie mamy wyboru.

Magda stała nieruchomo, szukając innej możliwości. Bezskutecznie. I choć sama myśl o tym napęłniała ją odrazą, musiała przyznać, że plan Papy daje isierkę nadziei. Może naprawdę zbyt surowo sądzi Molasara? Może wydaje się zły, gdyż jest tak absolutnie, nieporównywalnie inny? Czy jest raczej żywiolową potęgą, niż czymś świadomie złym? Major Kaempffer wydawał się lepszym przykładem prawdziwie złej istoty. Nie umiała znaleźć odpowiedzi. Musiała opierać się na intuicji.

— Nie podoba mi się to. Papo — stwierdziła tylko.

— Nikt nie mówi, że ma ci się podobać. Nikt nie obiecał nam prostego wyjścia, zresztą jakiegokolwiek wyjścia — bezskutecznie starał się stłumić ziewnięcie. — Odwieź mnie z powrotem. Chcę się trochę przespać przed nocnym spotkaniem. Muszę być wypoczęty i przytomny, jeśli mam się dogadać z Molasarem.

— Pakt z diabłem — powiedziała Magda drżącym głosem,

opadającym do ledwie słyszalnego szeptu. Bała się o ojca bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie, moja droga. Diabeł w twierdzy nosi czarny mundur, trupa główkę na czapce i mówi o sobie: Sturmbannfuhrer.

Magda niechętnie odprowadziła go do bramy i patrzyła niespokojnie, aż zniknął w wieży. Wracając do gospody nie mogła zebrać myśli. Wszystko działo się zbyt prędko. Jej życie do tej pory wypełnione było książkami, studiami, muzyką i czarnymi znaczkami nut na białym papierze. Nie była stworzona do intryg. W głowie jej się kręciło od wszystkiego, co przed chwilą usłyszała.

Miała nadzieję, że Papa wie, co robi. Instynktownie sprzeciwiała się planom przymierza z Molasarem do chwili, gdy spojrzała na jego twarz i dostrzegła migocącą w oczach iskrę nadziei, błysk dawnego zapалу, dzięki któremu tak miło było kiedyś przebywać w jego towarzystwie. To była dla Papy jedyna szansa, by coś zrobić, zamiast siedzieć w fotelu i czekać, aż inni coś zrobią z nim. Rozpaczliwie potrzebował świadomości, że jest użyteczny dla swego narodu... dla kogokolwiek. Nie mogła mu tego odebrać.

Koło gospody zniknął wreszcie promieniujący z twierdzy chłód. Obeszła budynek dookoła szukając Glenna, w nadziei, że może wypoczywa na słońcu. Nie znalazła, nie było go też w jadalni, kiedy przechodziła obok. Weszła na górę i nasłuchując przystanąła koło jego drzwi. Cisza. Nie robił wrażenia śpiocha; może coś czytał.

Podniosła dłoń, by zapukać, ale zrezygnowała. Lepiej spotkać go gdzieś przypadkiem. Mógłby pomyśleć, że za nim biega.

W jej własnym pokoju powitał ją świergot piskląt za oknem. Podeszła, by zajrzeć do gniazda. Widziała sterczące spomiędzy gałązek cztery małe główki, ale nigdzie nie mogła dostrzec matki. Miała nadzieję, że szybko wróci, gdyż, sądząc po głosach, maluchy były już strasznie głodne.

Wzięła mandolinę, ale odłożyła ją po kilku akordach. Była podenerwowana, a nieustające krzyki piskląt wcale jej nie uspokajały. Z nagłą determinacją wyszła na korytarz.

Dwa razy zastukała w zamknięte drzwi pokoju Glenna. Nikt nie odpowiedział, nie słyszała żadnych głosów. Zawahała się, po czym zdecydowanie nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się.

— Glenn?

Pokój był pusty. Wyglądał dokładnie tak samo jak ten, który sama zajmowała, zresztą właśnie tutaj mieszkała, kiedy ostatni raz przyjechali z Papą do twierdzy. Coś się jednak nie zgadzało. Przyjrzała się uważnie... lustro. Zniknęło lustro ze ściany. Widać było jeszcze miejsce, gdzie wisiało — prostokąt jaśniejszego tynku. Musiało się stłuc od czasu jej pobytu tutaj i nie powieszono nowego.

Magda weszła do środka i wolno obeszła pokój dookoła. Więc tutaj mieszkała... tu stało nie zasłane łóżko, w którym sypiał. Poczowała podniecenie na myśl, co powie, jeśli on teraz wróci. Jak zdoła wyjaśnić swoją obecność? Nie potrafi. Lepiej będzie, jeśli zaraz sobie pójdzie.

Odwróciła się i zauważyła, że drzwi szafy są uchyłone. Wewnątrz coś błyszczało. Trochę ryzykowała, ale co może zaszkodzić szybki rzut oka? Otworzyła drzwi do końca.

Lustro, które powinno wisieć na ścianie, stało w kącie szafy. Dlaczego Glenn je zdjął? Zresztą, może wcale nie. Może zwyczajnie spadło i Luliu nie zdążył go jeszcze powiesić z powrotem. Oprócz lustra w szafie znalazła trochę ubrań i jeszcze coś: w drugim kącie stało jakieś długie pudło, prawie tak długie jak Magda.

Przykłęknęła zaciekawiona i dotknęła ostrego pokrytego skórą wieka. Było szorstkie, popękane i nierówne, najwyraźniej nie dbano o nie dostatecznie. Nie mogła sobie wyobrazić, co mogłoby znajdować się w środku. Obejrzała się przez ramię. Pokój nadal był pusty, drzwi otwarte, w korytarzu panowała cisza. Potrzebowała tylko sekundy, by zwolnić zaczepy, otworzyć pudło, zajrzeć do środka, zamknąć je z powrotem i wyjść. Musiała się dowiedzieć. Czując rozkoszne podniecenie niegrzecznego dziecka, zaglądnęła ukradkiem w zakazane miejsce, wyciągnęła rękę do mosiężnych klamer. Było ich trzy; zgrzytnęły, gdy je zwalniała, jakby ktoś posypał je piaskiem. Zawiasy wieka wydały taki sam odgłos.

z początku nie wiedziała, co to jest. Było błękitne, głęboko-, ciemno-, stalowobłękitne, zrobione z metalu, choć nie potrafiła powiedzieć z jakiego. Miało kształt wydłużonego trójkąta — długi, zwężający się kawał metalu, ze spiczastym końcem i bardzo ostrymi krawędziami. Jak miecz. Tak, to było to! Tyle, że bez rękojeści. Na końcu był tylko piętnastocentymetrowy szpikulec, wyglądający jakby miał się wsunąć w rękojeść. Cóż to będzie wtedy za wspaniała, straszliwa broń!

Zauważyła, że ostrze pokryte jest niezwykłymi symbolami, nie wrytymi, ale wyrzeźbionymi w błękitnej powierzchni metalu. Przesunęła czubkiem małego palca po zagłębieniach. To były runy, ale niepodobne do żadnych, jakie widziała w życiu. Znała runy germańskie i skandynawskie, pochodzące ze średniowiecza i jeszcze wcześniejsze, nawet z trzeciego wieku. Te jednak były starsze, o wiele starsze. Było w nich coś przeraźliwie dawnego, co budziło niepokój. Zdawały się zmieniać i przesuwac, gdy na nie patrzyła. Ten miecz był bardzo stary... tak bardzo, że zastanawiała się, kto lub co go wykuło.

Drzwi pokoju zamknęły się z trzaskiem.

— Znalazłaś to, czego szukałaś?

Magda odskoczyła i wieko pudła zatrzasnęło się nad klingą. Stała twarzą w twarz z Glennem. Serce biło jej głośno z zaskoczenia i poczucia winy.

— Glenn, ja...

Był wściekły.

— Myślałem, że mogę ci zaufać! Co spodziewałaś się tu znaleźć?

— Nic... Szukałam ciebie — nie pojmowała jego gniewu. Miał prawo się zdenerwować, ale żeby aż tak...

— W szafie?

— Nie. Ja... — po co się tłumaczyć? Cokolwiek powie, zabrmi fałszywie. Nie miała tu nic do roboty. Wiedziała, że wina leży po jej stronie i czuła się potwornie, schwyтана na gorącym uczynku. Ale przecież nie chciała go okraść. Czuła, jak w niej samej wzbiera gniew na niego, na to, że wścieka się niepotrzebnie. Spojrzała mu w oczy. — Interesujesz mnie. Ja...

ja chciałabym być przy tobie, a nic o tobie nie wiem — podniosła wyzywająco głowę. — To się więcej nie powtórzy.

Chciała wyjść, zostawić go samego z tymi jego sekretami, ale nie dotarła do drzwi. Kiedy mijala Glenna, ten wyciągnął ręce i chwycił ją za ramiona, delikatnie, lecz mocno i odwrócił twarzą do siebie. Spojrzeli sobie w oczy,

— Magdo... — zaczął, a potem przyciągnął ją do siebie, przycisnął wargi do jej warg, zgniół w uścisku. Przez jedną chwilę chciała się opierać, okładać go pięściami, wrywać, lecz to był tylko pierwszy odruch, który minął, zanim zdała sobie z niego sprawę, ogarnięta płomieniem pożądania. Objęła ramionami szyję Glenna i przyciągnęła go bliżej, zatracając się w pocałunku. Jego język dotknął jej języka, szokując ją swym zuchwalstwem — nie wiedziała, że można tak całować. Drżała z rozkoszy, jaką dawał ten pocałunek. Dłonie Glenna poruszały się po jej ciele, przez warstwy ubrania dotykały pośladków, przesuwaly się po ściśniętych piersiach, pozostawiając po sobie przyjemne mrowienie i wrażenie ciepła. Dotarły do szyi, rozwiązały węzeł chusty i odrzuciły ją, potem zaczęły rozpinać guziki swetra. Nie przeszkadzała mu. Ubranie zrobiło się nagle strasznie ciasne, a w pokoju było tak gorąco... musiała się rozebrać.

Przez jedną krótką chwilę mogła jeszcze powstrzymać Glenna, mogła cofnąć się i uciec. Kiedy rozpiął sweter, jakiś wewnętrzny głos zawołał: „Czy to ja? Co się ze mną dzieje? To szaleństwo!”. Był to głos dawnej Magdy, borykającej się ze światem od śmierci matki. Nowa Magda nie posłuchała go, obca, wyrosła wśród ruin tego wszystkiego, w co tamta wierzyła — rozbudzona mocą, płonąca we wnętrzu mężczyzny, który trzymał ją w ramionach. Przeszłość, tradycje, to co uważała za przyzwoitość, straciły znaczenie; jutro stało się daleką przyszłością, której może już nie zobaczyć. Istniało tylko teraz. I Glenn.

Najpierw sweter, potem biała bluzka zsunęły się z ramion. Czula jakby dotknięcie płomienia w miejscach, gdzie włosy muskały nagą skórę. Glenn ściągnął do pasa jej ciasny stanik i piersi wyrwały się na swobodę. Nie odrywając warg od jej ust przesunął po nich palcami, kierując się ku twardym sutkom.

Zakreślił wokół nich maleńkie kółeczka, a ona jęknęła gardłowo. Przerwał pocałunek, musnął wargami szyję i zsunął się w dolinę pomiędzy piersiami, a stamtąd ku sutkom. Językiem rysował małe, wilgotne kręgi, na miejscu suchych, zakreślonych palcami. Z cichym okrzykiem chwyciła go za szyję i przycisnęła piersi do jego twarzy. Drżała, gdy budzące się gdzieś w podbrzuszu fale rozkoszy pulsowały w jej ciele.

Podniósł ją i przeniósł na łóżko. Po drodze zrzucił resztę ubrania, a jego wargi pieściły ją cały czas. Potem sam się rozebrał i pochylił nad nią. Dłonie Magdy zaczęły żyć własnym życiem, dotykały go, jakby chcąc się upewnić, że istnieje naprawdę. A potem był już na niej, wszedł w nią i po pierwszym ukłuciu bólu znalazł się w niej, i było cudownie...

„O Boże! — myślała, wśród spazmów rozkoszy. — Więc to tak? To właśnie traciłam przez te wszystkie lata? Czy to jest ten okropny akt, o którym mówiły mężatki? Niemożliwe! To zbyt cudowne! Ale nic nie straciłam, żaden mężczyzna nie może być taki jak Glenn”.

Zaczął się w niej poruszać, a ona dostosowała się do tego rytmu. Odczuwała podwójną, poczworną rozkosz, aż była pewna, że jeszcze chwila, a rozplynie się w ekstazie. Czowała, jak ciało Glenna sztywnieje i czuła nieuchronność tego, co ma nadejść. Stało się. Wygięta do tyłu, ściskając piętami brzegi wąskiego materaca, ze sterczącymi na boki kolanami patrzyła, jak świat nabrzmiewa, pęka i rozpada się w osłepiającym wybuchu płomienia.

Po chwili, przy akompaniamencie ciężkiego oddechu i zmęczenia przyglądała się przez zamknięte powieki, jak świat znowu zbiega się i składa w jedną całość.

Ten dzień spędzili w łóżku, szepcząc do siebie, chichocząc, rozmawiając i poznając siebie nawzajem. Glenn tak wiele wiedział, tyle ją nauczył, jakby dawał jej poznać własne ciało. Był delikatny, cierpliwy i czuły, raz za razem doprowadzając ją do szczytów rozkoszy. Był jej pierwszym mężczyzną — nie musiała mu tego mówić. Ona dla niego nie była pierwszą, lecz ten fakt także nie wymagał komentarza i Magda stwierdziła, że wcale jej to nie przeszkadza. Wyczuwała w nim jednak

ogromne, rozładowane teraz napięcie, jakby od bardzo dawna powstrzymywał się od kontaktu z kobietami.

Fascynowało ją jego ciało. Męska anatomia była dla Magdy jak *terra incognita*. Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni mają tak twarde i położone tuż pod skórą mięśnie. Wszystkie włosy Glenna były rude, a na piersi i brzuchu miał mnóstwo blizn, zastarzałych, cienkich białych linii na oliwkowej skórze. Kiedy o nie spytała, powiedział, że to skutki wypadków. Potem przerwał pytania, kochając się z nią jeszcze raz.

Kiedy słońce skryło się za zachodnią ścianą gór, ubrali się i wyszli na spacer, ramię w ramię, często przystając, by objąć się i pocałować. Wrócili do gospody, gdy Lidia stawiała kolację na stół. Magda poczuła, że jest wygłodzona, skorzystali więc z zaproszenia gospodyni. Magda ze wszystkich sił starała się nie patrzeć na Glenna i skupić uwagę na jedzeniu. Zaspokajała jeden głód czując, jak narasta w niej inny. Dzisiaj otworzył się przed nią całkowicie nowy świat i chciała jak najprędzej badać go dalej.

Zjedli szybko i natychmiast wstali od stołu, jak dzieci, które chcą się jeszcze pobawić przed nocą. Popędzili na piętro. Tym razem Magda poprowadziła Glenna do swojego pokoju. Do swojego łóżka. Gdy tylko zamknęły się drzwi, zaczęli zrywać z siebie ubrania i rozrzucać je na wszystkie strony, by potem tulić się do siebie w zapadającym zmroku.

Kiedy po kilku godzinach leżała w jego ramionach, pogodzona ze sobą i światem jak jeszcze nigdy w życiu, Magda zrozumiała, że jest zakochana. Magda Cuza, mól książkowy, zakochana! Nigdy jeszcze, nigdzie i w żadnym czasie nie było takiego mężczyzny jak Glenn. I on jej pragnął. Kochała go. Nie mówiła mu tego, on także nie. Uznała, że powinna poczekać, aż powie to pierwszy. Może jeszcze nieprędko, ale nic nie szkodzi. Czowała, że ją kocha i to wystarczało.

Przytuliła się mocniej. Dzisiejszy dzień mógłby być ostatnim dniem jej życia. Zachłannością byłoby oczekiwanie, co przyniesie jutro. Więc była zachłanna. Z pewnością nikomu jeszcze dało i emocje nie dostarczyły takich rozkoszy, jak jej tego dnia. Nikomu. Zupełnie inna Magda Cuza zasypiała dzisiaj, mąż obudziła się rano w tym samym łóżku. Zdawało się, że to

tak dawno... że minęło całe życie. I tamta Magda wydawała się jej całkiem obcą, uśpioną jak lunatyczka. Nowa Magda była rozbudzona i zakochana. Wszystko układało się jak najlepiej.

Magda zamknęła oczy. Już niemal przez sen słyszała świergot piskląt za oknem. Ćwierkanie było słabsze niż rano, ale jakby bardziej rozpaczliwe. Usnęła jednak, zanim zdążyła pomyśleć, co się stało.

Patrzył w ciemności na twarz Magdy. Spokojna i niewinna. Twarz śpiącego dziecka. Objął dziewczynę mocniej, załkniony, że może mu się wysliznąć.

Nie powinien się do niej zbliżać; wiedział o tym od samego początku. Coś go jednak pociągało. Pozwolił, by na nowo rozbudziła w nim to, co już wygasło, o czym myślał, że umarło. Ona rozdmuchała żar pod popiołami. A dziś rano, w gorączce gniewu, kiedy znalazł ją zaglądającą do szafy, ten żar wybuchnął płomieniem.

To było jak wyrok losu. Jak *kismet*. Zbyt wiele już przeżył i doświadczył, zbyt wiele widział, by wierzyć, że naprawdę są rzeczy komuś przeznaczone. Możliwe są za to zdarzenia... nieuchronne. Różnica była dość subtelna, lecz niezwykle istotna.

Mimo wszystko niesłusznie pozwolił jej się zaangażować, gdy nie był nawet pewien, czy będzie mógł stąd odejść. Może właśnie dlatego tak jej pragnął. Nawet jeśli tu zginie, to ze świeżym wspomnieniem o niej. Teraz nie mógł się wiązać. To odebrałoby mu koncentrację, jeszcze bardziej zmniejszając szanse na przeżycie zbliżającego się starcia. A jeśli nawet przeżyje, to czy Magda będzie go jeszcze chciała, kiedy pozna prawdę?

Naciągnął koldrę na jej nagie ramię. Nie chciał jej stracić. Jeśli istnieje jakiś sposób, by ją zatrzymać, gdy cała ta sprawa się zakończy, uczyni wszystko, by ten sposób znaleźć.

XXIV

TWIERDZA **Piątek, 2 maja** *godz. 21.37*

Kapitan Woermann siedział przed sztalugami. Miał szczerzy zamiar zamalować dziś ten cień wisielca na murze. Teraz jednak, z paletą w lewej ręce i tubą farby w prawej ręce stwierdził, że właściwie stracił na to ochotę. Niech cienie pozostaną na miejscu. Nie mają znaczenia. I tak zostawi obraz tutaj. Kiedy stąd odjedzie, nie zabierze ze sobą niczego, co przypominałoby mu to miejsce.

O ile odjedzie.

Na zewnątrz pełnym blaskiem płonęły światła lamp. Strażnicy spacerowali parami, uzbrojeni po zęby i gotowi strzelać przy najmniejszym zagrożeniu. Broń Woermanna leżała na posłaniu, schowana w kaburze i zapomniana.

Wypracował sobie własną teorię na temat twierdzy. Nie, żeby traktował ją poważnie, ale przynajmniej zgadzała się z większością faktów i wyjaśniała większość tajemnic. Twierdza żyła. To dlatego nikt nigdy nie widział, co zabijało żołnierzy, dlatego mimo rozebrania murów, nie udawało się tego wyjaśnić ani odszukać kryjówki. Zabijała sama twierdza.

Teoria pozostawiała bez wyjaśnienia jeden tylko, ale istotny szczegół. Twierdza nie była im wroga, kiedy przybyli, a w każdym razie nikt tego nie wyczuwał. To prawda, ptaki nie zakładały tu gniazd, ale Woermann nie czuł niczego pierwszej nocy, póki nie pojawiła się szczelina w murze. Wtedy twierdza się zmieniła. Stała się żądna krwi.

Nikt nie badał podziemi. Z pozorów nie było po temu powodów. Wartownicy pilnowali piwnic, kiedy ich towarzyszy

został zamordowany na górze, i nie zauważyli nic, co by wchodziło lub wychodziło przez otwór w podłodze. Może powinni przeszukać te grotty. Może tam kryło się serce twierdzy. Trzeba by tam wejść... Ale nie, to może trwać całą wieczność. Te jaskinie mogą się ciągnąć przez całe kilometry, a szczerze mówiąc, nikt nie miał ochoty ich badać. Tam, na dole, zawsze panuje noc. A noc stała się budzącym lęk nieprzyjacielem. Tylko zwłoki nie protestowały przeciwko pobytowi na dole.

Ciała... w zabłoconych butach, okryte brudnymi całunami. Woermann przypominał sobie o nich w najróżniejszych chwilach. Na przykład teraz. Przez cały dzień, od kiedy dopilnował złożenia w podziemiu dwóch ostatnich ofiar, te ubłocone buty deptały jego myśl, plątały je, oblepiały błotem.

Budne, ubłocone buty. Budziły niepokój, którego nie potrafił zdefiniować.

Siedział nieruchomo i wpatrywał się w nie dokończony obraz.

Kaempffer siedział na posłaniu ze schmeisserem na kolanach. Zadrzał. Próbował się uspokoić, ale było to ponad jego siły. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak męczący może być nieustający strach.

Musi się stąd wydostać!

Wysadzić twierdzę, zaraz, jutro — oto, co powinien zrobić! Założyć ładunki i zaraz po obiedzie zmienić ją w kupę gruzu. Wtedy mógłby spędzić sobotnią noc już w Ploesti, w łóżku z prawdziwym materacem, nie denerwując się każdym dźwiękiem, każdym podmuchem powietrza, nie zastanawiając się bez przerwy, czy coś nie zbliża się właśnie korytarzem do jego drzwi.

Jutro to jednak zbyt wcześnie. Nie będzie wyglądać za dobrze w jego aktach. W Ploesti powinien zjawić się w poniedziałek i oczekiwano pewnie, że cały czas, jaki ma do dyspozycji, poświęci na rozwiązanie tajemnicy twierdzy. Dopiero gdy zawiodą wszystkie inne sposoby, będzie można ją wysadzić. Naczelne dowództwo rozkazało obserwację przełęczą i wyznaczyło to miejsce na strażnicę. Zniszczenie go będzie przyznaniem się do porażki.

Za drzwiami słyszał miarowe kroki dwóch ludzi z Einsatzkommando. Kazał podwoić strażę w korytarzu. Wiedział, że nie ma żadnej, najmniejszej nawet szansy, by grad ołowiu ze sclimeissera zatrzymał to, co dokonywało mordów — po prostu miał nadzieję, że najpierw zginą wartownicy, a on zostanie oszczędzony przez jeszcze jedną noc. I lepiej, żeby ci wartownicy pozostali czujni na posterunku, choćby byli nie wiedzieć jak zmęczeni. Pracowali dziś ciężko, gdyż kazał ludziom rozbierać tylną część twierdzy, koncentrując wysiłki na obszarze wokół własnej kwatery. Rozebrali wszystkie ściany w promieniu dwudziestu metrów od miejsca, gdzie kulił się teraz na posłaniu. Nie znaleźli niczego. Żadnych ukrytych przejść do jego pokoju, żadnych kryjówek.

Znowu zadrzał.

Chłód i mrok nadeszły tak samo jak poprzednio, lecz Cuza czuł się zbyt słaby i chory, by odwrócić fotel i spojrzeć na Molasara. Skończyła mu się kodeina i ból szarpał stawy niustającą agonią.

— Jak wchodzisz i wychodzisz z tego pokoju? — zapytał, gdy nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Siedział przodem do zawieszzonego na zawiasach bloku granitu, ukrywającego przejście do fundamentów wieży. Spodziewał się, że Molasar przybędzie tą drogą. Ten jednak w nie wyjaśniony sposób pojawił się za jego plecami.

— Mam własne sposoby poruszania się tutaj, nie wymagające drzwi ani tajnych przejść. Sposoby, przekraczające twoją zdolność pojmwania.

— Podobnie jak i inne sprawy — głos Cuzy zdradzał beznadziejną rozpacz.

Dzień był fatalny. Poza niustającym bólem wywoływała cierpienie świadomość, że płomyk nadziei na pomoc dla swego ludu, jaki zapłonął rankiem, był tylko chimera, złudzeniem. Miał zamiar dogadać się z Molasarem, zawrzeć układ. Ale o co? O śmierć majora? Magda miała rację. Powstrzymanie Kaempffera opóźni tylko to, co nieuniknione; jego śmierć pogorszy jeszcze sytuację. Z pewnością morderstwo oficera,

został zamordowany na górze, i nie zauważyli nic, co by wchodziło lub wychodziło przez otwór w podłodze. Może powinni przeszukać te grotty. Może tam kryło się serce twierdzy. Trzeba by tam wejść... Ale nie, to może trwać całą wieczność. Te jaskinie mogą się ciągnąć przez całe kilometry, a szczyrze mówiąc, nikt nie miał ochoty ich badać. Tam, na dole, zawsze panuje noc. A noc stała się budzącym lęk nieprzyjacielem. Tylko zwłoki nie protestowały przeciwko pobytowi na dole.

Ciała... w zabłoconych butach, okryte brudnymi całunami. Woermann przypominał sobie o nich w najróżniejszych chwilach. Na przykład teraz. Przez cały dzień, od kiedy dopilnował złożenia w podziemiu dwóch ostatnich ofiar, te ubłocone buty deptały jego myśl, plątały je, oblepiały błotem.

Brudne, ubłocone buty. Budziły niepokój, którego nie potrafił zdefiniować.

Siedział nieruchomo i wpatrywał się w nie dokończony obraz.

Kaempffer siedział na posłaniu ze schmeisserem na kolanach. Zadrzał. Próbował się uspokoić, ale było to ponad jego siły. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak męczący może być nieustający strach.

Musi się stąd wydostać!

Wysadzić twierdzę, zaraz, jutro — oto, co powinien zrobić! Założyć ładunki i zaraz po obiedzie zmienić ją w kupę gruzu. Wtedy mógłby spędzić sobotnią noc już w Ploesti, w łóżku z prawdziwym materacem, nie denerwując się każdym dźwiękiem, każdym podmuchem powietrza, nie zastanawiając się bez przerwy, czy coś nie zbliża się właśnie korytarzem do jego drzwi.

Jutro to jednak zbyt wcześnie. Nie będzie wyglądać za dobrze w jego aktach. W Ploesti powinien zjawić się w poniedziałek i oczekiwano pewnie, że cały czas, jaki ma do dyspozycji, poświęci na rozwiązanie tajemnicy twierdzy. Dopiero gdy zawiodą wszystkie inne sposoby, będzie można ją wysadzić. Naczelne dowództwo rozkazało obserwację przełęczą i wyznaczyło to miejsce na strażnicę. Zniszczenie go będzie przyznaniem się do porażki.

Za drzwiami słyszał miarowe kroki dwóch ludzi z Einsatzkommando. Kazał podwoić strażę w korytarzu. Wiedział, że nie ma żadnej, najmniejszej nawet szansy, by grad ołowiu ze sclimeissera zatrzymał to, co dokonywało mordów — po prostu miał nadzieję, że najpierw zginą wartownicy, a on zostanie oszczędzony przez jeszcze jedną noc. I lepiej, żeby ci wartownicy pozostali czujni na posterunku, choćby byli nie wiedzieć jak zmęczeni. Pracowali dziś ciężko, gdyż kazał ludziom rozbierać tylną część twierdzy, koncentrując wysiłki na obszarze wokół własnej kwatery. Rozebrali wszystkie ściany w promieniu dwudziestu metrów od miejsca, gdzie kulił się teraz na postaniu. Nie znaleźli niczego. Żadnych ukrytych przejść do jego pokoju, żadnych kryjówek.

Znowu zadrżał.

Chłód i mrok nadeszły tak samo jak poprzednio, lecz Cuza czuł się zbyt słaby i chory, by odwrócić fotel i spojrzeć na Molasara. Skończyła mu się kodeina i ból szarpał stawy niustającą agonią.

— Jak wchodzisz i wychodzisz z tego pokoju? — zapytał, gdy nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Siedział przodem do zawieszzonego na zawiasach bloku granitu, ukrywającego przejście do fundamentów wieży. Spodziewał się, że Molasar przybędzie tą drogą. Ten jednak w nie wyjaśniony sposób pojawił się za jego plecami.

— Mam własne sposoby poruszania się tutaj, nie wymagające drzwi ani tajnych przejść. Sposoby, przekraczające twoją zdolność pojmowania.

— Podobnie jak i inne sprawy — głos Cuzy zdradzał beznadziejną rozpacz.

Dzień był fatalny. Poza niustającym bólem wywoływała cierpienie świadomość, że płomyk nadziei na pomoc dla swego ludu, jaki zapłonął rankiem, był tylko chimera, złudzeniem. Miał zamiar dogadać się z Molasarem, zawrzeć układ. Ale o co? O śmierć majora? Magda miała rację. Powstrzymanie Kaempffera opóźni tylko to, co nieuniknione; jego śmierć pogorszy jeszcze sytuację. Z pewnością morderstwo oficera,

odpowiedzialnego za budowę obozu koncentracyjnego, pociąg-
nie za sobą krwawy odwet na rumuńskich Żydach. Natomiast
SS zwyczajnie wysła do Ploesti kolejnego oficera. Może za
tydzień, może za miesiąc. Jakże to ma znaczenie? Niemcy nie
muszą się śpieszyć. Wygrywają każdą bitwę, zdobywają jeden
kraj po drugim. Nie ma chyba sposobu, by ich powstrzymać.
A kiedy wreszcie zawładną wszystkimi ziemiami, na których
im zależy, będą mogli spokojnie realizować idee rasowej
czystości, głoszone przez ich obłąkanego wodza.

Kaleki profesor historii w żaden sposób nie zdoła tego
zmienić.

Jego stan pogarszała jeszcze natrętna świadomość, że Mola-
sar boi się krzyża... boi się k r z y ż a!

Molasar wpłynął w jego pole widzenia i stanął nieruchomo.
„Dziwne — pomyślał Cuza. — Albo jestem pogrążony w takim
żału nad sobą, że clironi mnie to przed jego emanacją, albo
zaczynam się przyzwyczajać”. Nie czuł tego zimnego dreszczu,
który dotychczas towarzyszył obecności wampira. Może prze-
stał się już przejmować.

— Wydaje mi się, że możesz umrzeć — stwierdził Molasar.

Te słowa wstrząsnęły profesorem.

— Z twojej ręki?

— Nie. Z własnej.

Czyżby Molasar czytał w myślach? Cuza zastanawiał się nad
tym przez całe popołudnie. Samobójstwo rozwiązałyby wiele
spraw. Uwolniłoby Magdę. Bez niego mogłaby uciec w góry
i znaleźć się z dala od Kaempffera, Żelaznej Gwardii i całej
reszty. Tak, myślał o tym. Wciąż jednak brakowało mu
środków. I zdecydowania.

Odwrócił wzrok.

— Może. Lecz nawet jeśli nie z własnej ręki, to wkrótce
zginę w obozie śmierci majora Kaempffera.

— Obóz śmierci? — Molasar pochylił się w stronę światła
i zmarszczył brwi. — Miejsce, gdzie ludzie gromadzą się, by
umrzeć?

— Nie. Miejsce, gdzie ściągają się ludzi siłą, by ich zamor-
dować. Major ma założyć taki obóz niezbyt daleko stąd, na
południu.

— żeby zabijać Wołochów? — Molasar odsłonił zęby w nagłym ataku furii. — Niemiec przybył tu, aby mordować mój lud?

— To nie jest twój lud — wyjaśnił pośpiesznie profesor. Z każdą chwilą czuł coraz większą rozpacz. — To Żydzi. Nie będziesz się nimi przejmował.

— Sam decyduję, czym będę się przejmował! Ale Żydzi? Na Wołoszczyźnie nie ma Żydów, a przynajmniej nie tylu, by miało to jakieś znaczenie.

— Tak było, kiedy wznosiłeś twierdzę. Lecz w następnym stuleciu wypędzono nas z Hiszpanii i całej zachodniej Europy. Większość osiedliła się w Turcji, ale część zawędrowała do Polski, Węgier i na Wołoszczyznę.

— Nas? — Molasar wydawał się zdziwiony. — Jesteś Żydem?

Cuza kiwnął głową, spodziewając się niemal po dawnym bojarze wybuchu antysemityzmu. Ten jednak stwierdził tylko:

— Ale jesteś także Wołochem.

— Wołoszczyzna wraz z Mołdawią utworzyły państwo, zwane dzisiaj Rumunią.

— Nazwy się zmieniają. Czy urodziłeś się tutaj? A ci inni Żydzi, którzy mają trafić do obozu śmierci?

— Tak, ale...

— Więc to Wołosi!

Cuza czuł, że Molasar traci cierpliwość, musiał jednak wyjaśnić:

— Ale ich przodkowie byli w tym kraju przybyszami.

— Czy to coś znaczy? Mój dziad przybył tu z Węgier. Czy ja, zrodzony na tej ziemi, nie jestem z tej przyczyny Wołochem?

— Nie, naturalnie, że nie — ta rozmowa nie miała sensu. Chciał ją zakończyć!

— A więc nie ma to znaczenia także wobec tych Żydów, o których mówiłeś. To Wołosi, a zatem moi rodacy — Molasar wyprostował się i wypiął pierś. — Żaden Niemiec nie będzie przyjeżdżał do mojego kraju, by mordować moich rodaków!

„Typowe — pomyślał Cuza. — Założę się, że wcale mu nie przeszkażdały grabieże takich bojarów jak on, popełniane za jego czasów na wołoskich chłopach. Nigdy nie protestował

przeciwko wbijaniu ich na pal przez Władę. Wołoska szlachta miała prawo dziesiątkować ludność, ale wara od tego cudzoziemcom!”

Molasar cofnął się w cień, poza stożek padającego z lampy światła.

— Opowiedz mi o tych obozach śmierci.

— Wolałbym nie. To zbyt...

— Opowiedz!

Cuza westchnął.

— Powiem tyle, ile wiem. Pierwszy założono w Buchenwaldzie, czy może w Dachau, jakieś osiem lat temu. Są i inne: Flossenbürg, Ravensbrück, Natzweiler, Auschwitz i jeszcze wiele takich, o których w ogóle nie słyszałem. Wkrótce taki obóz powstanie w Rumunii — na Wołoszczyźnie, jak to określasz — a za rok czy dwa pewnie więcej. Obozy służą jednemu celowi: by zebrać w jednym miejscu ludzi pewnych typów, całe miliony, i poddawać ich torturom, poniżeniu, przymusowej pracy i w końcu eksterminacji.

— Miliony?

Profesor nie widział twarzy Molasara, ale wiedział, że tamten nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. Wampir był teraz cieniem wśród cieni; poruszał się szybko, niemal gorączkowo.

— Miliony — potwierdził Cuza.

— Zabiję tego niemieckiego majora!

— To nie pomoże. Są tysiące takich jak on i będą tu przybywać jeden za drugim. Możesz zabić kilku, możesz zabić wielu, ale w końcu poznają sposób, jak zabić ciebie.

— Kto ich przysyła?

— Ich przywódcą jest człowiek nazwiskiem Hitler, który...

— Król? Książę?

— Nie... — profesor szukał w myślach odpowiedniego terminu. — Chyba *wajwod* jest słowem, które najlepiej oddaje znaczenie jego władzy.

— Aha! Wódz! Zatem zabiję jego, a nie będzie przysyłał więcej ludzi.

Molasar powiedział to tak rzeczowo, że pełne znaczenie jego oświadczenia nie od razu dotarło do oziębiającego z rozpacz umysłu Cuzy.

— Co powiedziałeś — spytał dopiero po chwili.

— Lord Hitler... kiedy w pełni odzyskam swą moc, wysse z niego życie.

Cuza czuł się tak, jakby od rana starał się wydostać z dna najgłębszej części oceanu bez nadziei na łyk powietrza. Po słowach Molasara wyrwał się na powierzchnię i odetchnął głęboko. Wiedział jednak, że łatwo może zatonać znowu.

— Nie dasz rady! Jest dobrze strzeżony. I jest w Berlinie.

Molasar znowu pojawił się w świetle. Odśladniał zęby, tym razem czymś w rodzaju uśmiechu.

— Straże Lorda Hitlera nie zdadzą się na więcej niż kroki, jakie podjęli jego pachołkowie tutaj, w mojej twierdzy. Nieważne, ile zamkniętych drzwi i zbrojnych ludzi stanie między nami, zabiorę go, kiedy zechcę. I nieważne, jak daleko stąd się kryje. Gdy odzyskam siły, dosięgnę go.

Cuza z trudem tłumił podniecenie. Wreszcie pojawiła się nadzieja — większa, niż wydawało się to możliwe.

— Kiedy to nastąpi? Kiedy będziesz mógł ruszyć do Berlina?

— Będę gotów jutrzejszej nocy. Wtedy będę wystarczająco silny, zwłaszcza kiedy zabiję wszystkich najeźdźców.

— Cieszę się, że nie posłuchali mojej rady, kiedy im mówiłem, że powinni opuścić twierdzę.

— Co? — to był krzyk.

Profesor nie mógł oderwać oczu od dłoni Molasara — wyciągały się jak szpony w jego stronę, gotowe rozedrzyć na strzępy, powstrzymywane tylko wolą swego pana.

— Przepraszam! — zawołał, przyciskając ciało do oparcia fotela. — Myślałem, że tego właśnie chcesz!

— Chcę ich życia! — dłonie cofnęły się. — Kiedy zechcę czegoś innego, powiem ci dokładnie, co to jest, a ty postąpisz dokładnie tak, jak powiem!

— Oczywiście! Oczywiście! — Cuza nigdy nie mógłby zgodzić się na to szczerze i do końca, lecz chwila nie była odpowiednia, by demonstracyjnie stawiać opór. Musiał pamiętać, z jaką istotą ma do czynienia. Molasar nie pozwoli, by ktokolwiek stanął mu na drodze. Jedynie pełne podporządkowanie potrafił zaakceptować czy choćby pojąć.

— To dobrze. Potrzebuję bowiem pomocy śmiertelnika.

Zawsze tak było. Ograniczają mnie godziny nocy i Chcę mieć kogoś, kto może poruszać się za dnia i otworzyć mi drogę, dokonać pewnych przygotowań, możliwych tylko przy dziennym świetle. Tak było, kiedy budowałem twierdzę i organizowałem jej odnawianie, tak jest i teraz. W przeszłości korzystałem z ludzkich wyrzutków, ludzi o zamięłwaniach odmiennych od mojego, ale tak samo nie do zaakceptowania. Kupowałem ich usługi, umożliwiając im zaspokojenie własnych apetytów. Lecz ty... cena twojej pomocy zgadza się z moimi własnymi pragnieniami. W tej chwili łączy nas wspólna sprawa.

Profesor spojrzął na swe powykręcane chorobą palce.

— Obawiam się, że nie będę najlepszym pomocnikiem.

— Zadanie, jakie postawię przed tobą jutrzejszej nocy, jest proste: należy wynieść z twierdzy i ukryć bezpiecznie w górach pewien cenny dla mnie obiekt. Wtedy swobodnie odszukam i zniszczę tych wszystkich, którzy chcą zabijać naszych rodaków.

Coza doświadczył niezwykłego u siebie, przelotnego uczucia, zbliżonego do euforii: wyobraził sobie, jak Hitler i Himmler drżą przed Molasarem, a potem, jak ich martwe, rozszarpane — a jeszcze lepiej bezgłowe — ciała wystawia się na widok publiczny przy wejściu do pustego obozu śmierci. To by oznaczało koniec wojny i zbawienie dla jego ludu, nie tylko rumuńskich Żydów, ale dla całej rasy. Obiecywało lepszą przyszłość dla Magdy. Oznaczało koniec Żelaznej Gwardii i generała Antonescu. Mogło nawet umożliwić mu powrót na uniwersytet.

Zaraz jednak rzeczywistość sprowadziła go z obłoków z powrotem na wózek inwalidzki. Jak zdoła cokolwiek wynieść z twierdzy? Jak uda mu się ukryć to w górach, skoro ledwie ma siłę, aby samemu podjechać do drzwi?

— Potrzebujesz zdrowego człowieka — stwierdził. — Taki kaleka jak ja na nic ci się nie przyda.

Wyczuł raczej niż zauważył, że Molasar omija stół i staje obok niego. Poczuł lekki ucisk na ramieniu — dłoń wampira. Podniósł głowę i dostrzegł przyglądającego mu się Molasara. Uśmiechał się.

— Wiele jeszcze musisz się nauczyć, by poznać zakres moich możliwości.

XXV

GOSPODA **Sobota, 3 maja** **godz. 10.20**

Szczęście.

Tak, to było to. Magda nigdy nie wyobrażała sobie, jak cudownie jest przebudzić się rano w ramionach człowieka, którego się kocha, przepelniona poczuciem spokoju i bezpieczeństwa. Nadchodzący dzień zdawał się bardziej radosny, gdy wiedziała, że będzie przy niej Glenn, z którym może go dzielić.

Leżeli na boku, twarzami do siebie. Glenn jeszcze spał i choć Magda nie chciała go budzić, nie mogła się powstrzymać by go nie dotykać. Delikatnie przesunęła dłońią po jego ramieniu, musnęła palcami blizny na piersi, pogładziła po rudych włosach. Dotknęła nagim kolanem jego nogi. Pod kołdrą panowało zmysłowe ciepło, skóra stykała się ze skórą. Pożądanie sprawiało, że było jej coraz bardziej gorąco. Chciała, żeby się już obudził.

Czekając, aż się poruszy, obserwowała jego twarz. Tak wiele musiała się jeszcze o nim dowiedzieć. Skąd właściwie poclodził? Jakie miał dzieciństwo? Co robił tutaj? Po co mu było to ostrze miecza? Czemu był taki wspaniały? Zaciowywała się jak uczennica. Nie pamiętała, by była kiedyś równie szczęśliwa.

Chciałaby, żeby Papa go poznał. Na pewno świetnie będą się ze sobą zgadzać. Chociaż... nie była pewna, jak Papa zareaguje na fakt, że Glenn nie jest Żydem. Nie wiedziała, kim był, ale na pewno nie Żydem. Dla niej nie miało to znaczenia, ale Papa zawsze zwracał na takie rzeczy uwagę.

Papa...

Nagle poczucie winy stłumiło narastające pożądanie. Kiedy ona tuliła się do Glenna, szczęśliwa i bezpieczna, pomiędzy spazmami obezwładniającej rozkoszy. Papa siedział samotnie w zimnym pokoju, otoczony diabłami w ludzkiej postaci, oczekując istoty z Piekła. Powinna się wstydić.

Choć z drugiej strony, czy nie miała prawa do chwili szczęścia? Nie opuściła Papy. Wciąż była tutaj, w gospodzie. Wypędził ją wczoraj w nocy i przez cały dzień nie chciał wyjść z twierdzy. Jeśli się nad tym wszystkim zastanović, to gdyby Papa przyszedł z nią wczoraj rano do gospody, nie weszłaby do pokoju Glenna i dzisiaj nie obudziliby się razem.

Dziwne, jak się wszystko ułożyło.

Jednak wczorajszy dzień i dzisiejsza noc nic właściwie nie zmieniły. Tak, ona była inna, ale okoliczności pozostały te same. Nadal byli na łasce Niemców, tak jak wczoraj i przedwczoraj. Nadal byli Żydami wśród nazistów.

Wysunęła się z ramion Glenna, wstała i okrywając się kocem podeszła do okna. Wiele się w niej zmieniło, wiele zahamowań opadło, jak warstwy gliny z wykopanej po wiekach spizowej figurki, wciąż jednak nie potrafiła stanąć naga przy oknie w świetle dnia.

Twierdza — wyczuła ją, zanim jeszcze zobaczyła. Aura zła sięgnęła nocą aż do wioski... jak gdyby Molasar wyciągał po nią ręce. Budowla wznosiła się za wąwozem, szare głazy pod szarym, pochmurnym niebem. Wokół niej czoły się w niebyt resztki nocnego mroku. Widziała wartowników na murach i otwartą bramę. Ktoś czy coś poruszało się po moście w stronę gospody. Zmrużyła oczy, by zobaczyć, co to jest.

To był wózek inwalidzki. A w nim... Papa. Ale nikt go nie popychał. Mocnymi, szybkimi, rytmicznymi pociągnięciami ramion chwycił krawędzie kół i obracał nimi, zbliżając się do końca mostu.

To było niemożliwe... ale przecież widziała na własne oczy. Jechał do gospody!

Wołając do Glenna, by się obudził, zaczęła biegać po pokoju, zbierać i wkładać porzucane części garderoby. Glenn wstał natychmiast, naśmiewał się z jej nerwowych

ruchów i pomagał szukać ubrania. Magda nie uważała, by sytuacja była choć trochę zabawna. Ubrała się szybko i wybiegła z pokoju. Chciała być na dole, kiedy zjawi się Papa.

Tego ranka Theodor Cuza także był szczęśliwy.

Został uzdrowiony. Jego nagie, nie chronione przed chłodem poranka dłonie pewnie obracały kołami wózka. Zniknął ból i sztywność palców. Po raz pierwszy od czasu dłuższego, niż chciałby pamiętać, obudził się bez wrażenia, że w nocy ktoś pokruszył mu na drobne kawałki wszystkie stawy. Jego ramiona poruszały się w przód i w tył jak dobrze naoilione tłoki, głowa odwracała się swobodnie w obie strony bez bólu oraz trzeszczenia kości. Język miał wilgotny, w ustach dość śliny, by ją przełknąć. Spływała przez gardło bez kłopotów. Twarz odtajała i znowu mógł się uśmiechnąć tak, by patrzący nie krzywili się i nie odwracali wzroku.

Teraz właśnie się uśmiechał, idiotycznie szczyrzył zęby, upojony radością ruchu, tym, że sam sobie radził, że znowu mógł aktywnie działać w otaczającym go świecie.

Łzy! Czuł łzy na policzkach. Od kiedy choroba opanowała jego ciało płakał często, lecz łzy wyschły razem ze śliną. Teraz miał wilgotne oczy i mokrą twarz. Nie wstydził się, że płacze z radości.

Nie wiedział, czego oczekiwać, kiedy Molasar stanął przy nim tej nocy i położył mu dłoń na ramieniu, ale czuł, że zachodzi w nim jakaś zmiana. Nie wiedział jaka. Molasar kazał mu iść spać i obiecał, że rano wszystko się zmieni. Spał dobrze, nie budząc się po wielekroć, jak zwykle, by sięgnąć po kubek z wodą i zwilżyć wysuszone usta. Wstał później niż normalnie.

Wstał... to było to słowo. Powstał jak z martwych. Usiadł przy pierwszej próbie, a potem podniósł się, bez bólu, bez przytrzymywania się ściany czy fotela. Wtedy już wiedział, że będzie w stanie pomóc Molasarowi. I że pomoże. Że zrobi wszystko, co tamten mu powie.

Miał trochę trudności z opuszczeniem twierdzy. Nie mógł pokazać, że może chodzić, jechał więc wózkiem

przez dziedziniec udając, że jest tak samo niesprawny jak dawniej. Wartownicy przyglądali mu się z zaciekawieniem, ale nie zatrzymywali — miał prawo odwiedzać córkę. Na szczęście nie spotkał żadnego z oficerów.

Potem, gdy Niemcy zostali z tyłu, a przed nim była tylko wolna droga przez most, profesor Theodor Cuza kręcił kołami wózka najszybciej jak mógł. Musiał pokazać się Magdzie, żeby sama zobaczyła, co zrobił dla niego Molasar.

Na końcu mostu wózek podskoczył tak gwałtownie, że niewiele brakowało, by wypadł, lecz nie zwrócił na to uwagi. Po ścieżce jechało mu się trudniej, miał za to okazję rozruszania mięśni, które, mimo długiej bezczynności, zdawały się nienaturalnie silne. Dotarł do drzwi gospody i skręcił w lewo, za południową ścianę. Na tę stronę wychodziło tylko jedno okno, z jadalni. Podjechał do białej ściany i zatrzymał się. Tu był bezpieczny — z twierdzy nikt nie mógł go zobaczyć, a on po prostu musiał to zrobić jeszcze raz.

Zaciągnął hamulce. Silne odbicie od poręczy... i stanął na własnych nogach, bez żadnego oparcia. Sam. Stał. O własnych siłach. Znow był mężczyzną. Mógł patrzeć ludziom prosto w oczy, zamiast spoglądać na nich z dołu. Koniec z tą dziecięcą perspektywą świata, w którym wciąż traktowano go jak dziecko. Znow był u góry... znów był mężczyzną.

— Papo!

Obejrzał się. Magda wyszła zza rogu budynku i patrzyła na niego zdumiona.

— Piękny mamy ranek, prawda? — spytał i rozłożył ramiona. Wahała się tylko przez moment, nim podbiegła, by go uściskać.

— Och, Papo! — powiedziała tylko, głosem stłumionym przez połą marynarki, gdy przyciskał ją do siebie. — Możesz stać.

— Nie tylko — odsunął się i obszedł dookoła swój wózek, z początku przytrzymując się poręczy dla dodania sobie pewności. Zaraz jednak cofnął rękę, pojmując, że nie jest mu to potrzebne. Czuł się silny, silniejszy jeszcze niż rano. Mógł chodzić! Czuł, że potrafi także biegać, tańczyć! Pchnięty nagłym impulsem pochylił się, odwrócił i okręcił wkoło w niezbyt

udanej imitacji figury tanecznej cygańskiego *abulea*. Niewiele brakowało, by się przy tym przewrócił, utrzymał jednak równowagę i zatrzymał się obok Magdy, śmiejąc się z jej zdumienia.

— Papo, jak to się stało? To cud!

Ciągle zdyszany od śmiechu i wysiłku, chwycił jej dłoń.

— Tak, to cud. Cud, w całym znaczeniu tego słowa.

— Ale jak...?

— Molasar to zrobił. Uleczył mnie. Nie ma już sklerodermy, zniknęła, jakby jej nigdy nie było!

Patrzył na Magdę. Widział, jak jej twarz jaśnieje ze szczęścia, jak z trudem powstrzymuje łzy. Dzieliła jego radość. A kiedy przyjrzał się uważniej, dostrzegł, że się zmieniła. Była w niej inna, głębsza radość, jakiej jeszcze nie widział. Czuł, że powinien wykrzyć, skąd się bierze, ale teraz nie miał na to ochoty. Za dobrze było znów żyć.

Kątem oka pochwycił jakiś ruch. Obejrzał się. Magda też. Jej oczy rozbłysły, gdy zobaczyła, kto się zjawił.

— Glenn, spójrz tylko! Czy to nie cudowne? Molasar uleczył mojego ojca!

Rudowłosa mężczyzna z dziwnie oliwkową skórą stał oparty o ścianę i milczał. Bładobłękitne oczy wpatrywały się w Cuzę, aż ten odniósł wrażenie, że obserwuje jego duszę. Magda mówiła, podniecona, biegła do Glenna, ciągnęła go za ramię. Zdawało się, że jest pijana ze szczęścia.

— To cud! Prawdziwy cud! Teraz będziemy mogli stąd uciec, zanim...

— Jaką cenę pan zapłacił? — cichy głos Glenna przerwał paplaninę Magdy.

Cuza zeszywniał. Starał się wytrzymać spojrzenie tamtego, ale nie potrafił. W oczach Glenna nie było zadowolenia z jego szczęścia, jedynie smutek i zawód.

— Nie płaciłem żadnej ceny. Molasar zrobił to dla rodaka...

— Niczego nie dostaje się za darmo. Nigdy.

— Owszem, prosił mnie o kilka drobiazgów, o pomoc w przygotowaniach do opuszczenia twierdzy, bo sam nie może poruszać się swobodnie za dnia.

— Co konkretnie?

Cuzę zaczynało irytować to przesłuchanie. Glenn nie miał żadnego prawa żądać odpowiedzi i profesor postanowił ich nie udzielać

— Nie powiedział.

— Dziwne, prawda, otrzymać nagrodę za pomoc, której pan jeszcze nie udzielił? Nie wie pan nawet, czego będzie wymagał, a już przyjął pan zapłatę.

— To nie zapłata — wyjaśnił Cuza z nową pewnością siebie. — Wyleczenie sprawia tylko, że będę mógł mu pomóc. Nie musieliśmy zawierać żadnych układów. Wiąże nas wspólny cel: usunięcie z rumuńskiej ziemi Niemców oraz eliminacja Hitlera i faszyzmu ze świata.

Oczy Glenna rozszerzyły się i Cuza niemal wybuchnął śmiechem, widząc wyraz jego twarzy.

— Obiecał to panu?

— To nie była zwykła obietnica. Molasar był wściekły, kiedy mu opowiedziałem o planach Kaempffera założenia obozu śmierci w Ploesti. A kiedy się dowiedział, że w Niemczech żyje człowiek nazwiskiem Hitler, który stoi za tym wszystkim, przysiągł, że zniszczy go, gdy tylko będzie miał dość sił, by opuścić twierdzę. Nie musieliśmy się umawiać, targować ani płacić — łączy nas wspólny cel!

Chyba musiał krzyknąć, gdyż Magda odsunęła się o krok i patrzyła na niego z troską. Trzymała Glennna za ramię i opierała się o niego. Cuza poczuł, że sztywnieje. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój.

— A co ty robiłaś, dziecko, odkąd się rozstaliśmy wczoraj rano?

— Och, ja... prawie cały czas byłam z Glennem.

Nie musiała mówić nic więcej. Już wiedział. Tak, była z Glennem. Cuza przyjrzał się córce, stojącej z gołą głową i bezwstydnie przytulonej do tego obcego. Była z Glennem! Poczuł gniew. Wystarczyło, że na dwa dni spuścił ją z oczu, a już oddała się temu poganinowi. Musi położyć temu kres! I to szybko! Ale jeszcze nie teraz. Zbyt wiele miał ważniejszych spraw. Gdy tylko Molasar skończy swoją misję w Berlinie, dopilnuje, by zajął się tym Glennem, z tym jego oskarżycielskim spojrzeniem.

„Zajął się?” Nie wiedział nawet, co to właściwie znaczy. Nie rozumiał wrogości, jaką odczuwał wobec tego człowieka.

— Czy nie rozumiesz, co to oznacza? — mówiła Magda, najwyraźniej próbując go uspokoić. — Możemy stąd odejść. Papo. Możemy uciec przełęczą i wydostać się na wolność. Nie musisz wracać so twierdzy. Glenn nam pomoże! Prawda, Glenn?

— Oczywiście. Sądzę jednak, że najpierw powinnaś spytać ojca, czy chce uciekać.

„Niech go diabli? — pomyślał Cuza, gdy Magda spojrzała na niego pytająco. — Myśl, że wie wszystko!”

— Papo...? — zaczęła, lecz wyraz jego twarzy powiedział jej, jaka będzie odpowiedź.

— Muszę wrócić — oświadczył. — Nie dla siebie. Ja się już nie liczę. Chodzi o nasz naród. Naszą kulturę. O świat. Dziś w nocy on będzie na tyle silny, by skończyć z Kaempfferem i resztą Niemców w twierdzy. Potem muszę tylko wykonać kilka jego prostych zleceń i będzie mógł stąd odejść nie martwiąc się żadnym pościgiem. A kiedy Molasar zabije Hitlera...

— Czy naprawdę może to zrobić? — Magda wyraźnie nie wierzyła w możliwość dokonania takiego czynu.

— Sam zadawałem sobie to pytanie. A potem pomyślałem o tym, jak przeraził Niemców, do tego stopnia, że są gotowi strzelać do siebie, jak krył się przed nimi w tej małej twierdzy i zabijał bez przeszkód — wystawił nagie ręce na wiatr i z zachwytem przyglądał się, jak bez wysiłku i bólu zginają się i prostują jego palce. — A po tym, co zrobił dla mnie, doszedłem do wniosku, że niewiele jest rzeczy, których nie potrafiłby dokonać.

— Czy można 'mu ufać?

Cuza spojrzał na nią zdziwiony. Ten Glenn najwyraźniej zaraził ją swoją podejrzliwością.

— Czy możemy mu nie ufać? — odezwał się po chwili. — Drogie dziecko, czy nie widzisz, że to, co proponuje, oznacza dla nas wszystkich powrót do normalności? Nasi przyjaciele Cyganie nie będą już ścigani, sterylizowani ani pędzeni do niewolniczej pracy. Nas, Żydów, nikt nie będzie wypędzi

z domów i pracy, nikt nie będzie konfiskował naszej własności. Przystanie nam zagrażać zagłada całej rasy. Jak mogę mu nie zaufać?

Magda milczała. Nie miała żadnych kontrargumentów, gdyż żadne nie istniały.

— A dla mnie — mówił dalej — będzie to znacząc powrót na uniwersytet.

— Tak... twoja praca — Magda zdawała się oszołomiona.

— Z początku myślałem o swojej pracy, to prawda. Teraz jednak, gdy znowu jestem zdrowy, nie widzę powodu, bym nie miał zostać dziekanem.

Magda spojrzała na niego ostro.

— Nigdy przedtem nie Chciałeś pracować w administracji.

Miała rację. Nie Chciał. Ale okoliczności się zmieniły.

— To było kiedyś. A to jest teraz. Jeśli pomogę uwolnić Rumunię od faszystów, zasłużę chyba na jakieś uznanie?

— Przy okazji wypuści pan Molasara na wolność — rzekł Glenn, przełamując swe milczenie. — Może pan zasłużyć tym na uznanie, na które nie miałby pan ochoty.

Cuza zacisnął zęby. Dlaczego ten obcy sobie nie pójdzie?

— On już jest wolny! Ja tylko wykorzystam jego moc! Musi być sposób zawarcia z nim jakiejś... umowy. Od takiej istoty jak Molasar możemy się wiele nauczyć, wiele może nam zaproponować. Kto wie, jakie jeszcze „nieuleczalne” choroby potrafi wyleczyć? Za uwolnienie nas od faszyzmu na zawsze pozostaniemy jego dłużnikami. Uznam za nasz moralny obowiązek ustalenie warunków wspólnej z nim egzystencji.

— Warunków? — spytał Glenn. — Jakie warunki byłby pan skłonny mu zaproponować?

— Coś da się wymyślić...

— A konkretnie?

— Nie wiem... możemy oddać mu nazistów, którzy zaczęli tę wojnę i zakładają obozy śmierci. To wystarczy na początek

— A kiedy ich zabraknie? Kto następny? Proszę pamiętać! Molasar będzie trwał bez końca. Trzeba go będzie zaopatrywać. Kto następny?

— Nie będę odpowiadał na takie pytania! — krzyknął Cuza. Jego cierpliwość się wyczerpała. — Na pewno coś

wymyślmy! Jeżeli cały naród mógł się przystosować do Adolfa Hitlera, z pewnością znajdziemy sposób współlistnienia z Molasarem.

— Niemożliwe jest współlistnienie z potworami — stwierdził Glenn. — Czy to będą naziści, czy Nosferatu. Proszę wybaczyć.

Odwrócił się i odszedł. Magda patrzyła w ślad za nim, nieruchoma i milcząca. A Cuza z kolei patrzył na córkę wiedząc, że choć fizycznie nie pobiegła za tym obcym, uczyniła to duchem. Stracił swoje dziecko.

Zrozumienie tego powinno zboleć. Powinno go zranić do żywego i zmusić do płaczu. Nie czuł jednak bólu, nie żałował tej straty. Odczuwał jedynie złość. Miał wrażenie, że opuściły go wszelkie emocje z wyjątkiem wściekłości na człowieka, który zabrał mu córkę.

Dlaczego nie czuł bólu?

Magda patrzyła, jak Glenn znika za rogiem. Potem spojrzała na ojca. Obserwowała jego zagniewaną twarz i próbowała zrozumieć, co zachodzi w jego wnętrzu, równocześnie starając się rozeznaczyć we własnych uczuciach.

Papa został uzdrowiony i to było wspaniałe. Ale za jaką cenę? Zmienił się — nie tylko na ciele, lecz i na duszy, zmianie uległa nawet jego osobowość. To, jak bronił Molasara, zupełnie do niego nie pasowało. Zdawało się, że jakaś siła rozbiła Papę na kawałki i poskładała z powrotem, gubiąc przy tym niektóre części.

— A ty? — spytał Papa. — Czy też ode mnie odejdziesz?

Magda przyjrzała mu się uważnie, zanim odpowiedziała.

Wydawał się kimś obcym.

— Oczywiście, że nie — rzekła z nadzieją, że głos nie zdradza, jak bardzo pragnie być teraz z Glennem. — Ale...

— Ale co? — jego słowa były jak cięcie.

— Czy zastanowiłeś się, co oznacza zawieranie umów z taką istotą jak Molasar?

Wstrząsnął nią wyraz jeszcze niedawno martwej twarzy Papy, z wściekłością wykrzywiającego teraz usta.

— Więc to tak! Twój kochanek zbuntował cię przeciwko

własnemu ojcu i własnemu narodowi, co? — jego słowa sprawiały ból. Zaśmiał się chrapliwie. — Jak łatwo cię przekonać, dziecko. Para niebieskich oczu, trochę mięśni i jesteś gotowa odwrócić się plecami od swych mordowanych rodaków!

Magda zachwiała się jak od podmuchu wichru. Papa nie mógł tak mówić! Nigdy nie był okrutny, wobec niej ani nikogo innego, a jednak teraz zachowywał się obrzydliwie! Nie da po sobie poznać, jak bardzo ją zranił.

— Martwię się wyłącznie o ciebie — stwierdziła sucho, z trudem powstrzymując drżenie warg. — Skąd wiesz, czy możesz zaufać Molasarowi?

— A skąd ty wiesz, że nie mogę? Nie rozmawiałś z nim, nie wysłuchałaś, nie widziałaś jego oczu, kiedy mówił o Niemcach, którzy zagarnęli jego twierdzę i kraj.

— Czulałam jego dotknięcie — Magda drżała, mimo że stała w blasku słońca. — Dwa razy. Nie ma w nim nic, co by mnie przekonało, że Żydzi albo inne żywe istoty obchodzą go choć trochę.

— Mnie także dotykał — Papa podniósł ręce, po czym obszedł wkoło pustego wózka. — Sama popatrz, co sprawił ten dotyk. A jeśli idzie o Molasara, ratującego nasz naród, to nie mam złudzeń. Nie obchodzą go Żydzi w innych krajach. Tylko rumuńscy. Rumuńscy — to jest kluczowe słowo. Był tu kiedyś szlachcicem i wciąż uważa ten kraj za swój. Możesz to nazwać nacjonalizmem, patriotyzmem czy jak chcesz, to nie ma znaczenia. Fakt pozostaje faktem: Molasar chce przepędzić wszystkich Niemców z tego, co nazywa ziemią wołoską. Nasz naród na tym skorzysta. I mam zamiar uczynić wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

Magda musiała przyznać, że w słowach Papy brzmiał szczerzy zapał. Wypowiedź była logiczna i przekonująca. Być może to, co chciał zrobić, było rzeczą szlachetną. Mógłby przecież uciec, ratując siebie i ją: zamiast tego woli wrócić do twierdzy, by próbować ocalić więcej niż dwie osoby. Narzął życie dla sprawy. Może miał słuszość. Magda tak chciała w to uwierzyć.

Nie potrafiła jednak. Wspomnienie zimnego dotyku Mola-

sara sprawiało, że musiała wątpić. Było jeszcze coś: wzrok Papy, kiedy mówił. Dzikie spojrzenie, skalane...

— Chcę tylko twojego bezpieczeństwa — nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

— A ja twojego — zapewnił.

Zauważyła, że jego głos brzmiał bardziej miękko. Znowu przypominał dawnego Papę.

— Chcę też, żebyś się trzymała z daleka od tego Glenna — oświadczył. — To nie jest odpowiednie dla ciebie towarzystwo.

Magda spuściła głowę. Nigdy nie rezygnuje z Glenna.

— Nigdy nie spotkałam nikogo lepszego.

— Doprawdy?

W głosie Papy zabrzmiała niechęć.

— Tak — szepnęła. — Dzięki niemu zrozumiałam, że nie miałam pojęcia, na czym polega sens życia.

— Jakież to wzruszające! Jakież melodramatyczne! — zawołał drwiąco Papa. — Ale on nie jest Żydem!

Magda spodziewała się tego.

— Nie obchodzi mnie to — oświadczyła, podnosząc głowę. Wiedziała, że Papa również o to nie dba, szuka po prostu pretekstu. — Jest dobrym człowiekiem. Jeżeli nam się uda stąd wydostać, zostanę z nim, jeśli tylko zechce.

— Zobaczymy — powiedział z groźbą w głosie. — Ale na razie widzę, że nie mamy o czym rozmawiać.

Z rozmachem usiadł w fotelu.

— Papo?

— Odwieź mnie do twierdzy.

Magdę ogarnęła wściekłość.

— Sam sobie pojedź!

Natychmiast pożałowała tych słów. Jeszcze nigdy w życiu nie odezwała się o Papy takim tonem. A co gorsza, Papa jakby nie zauważył. Albo zauważył, ale zupełnie się nie przejął.

— Wystarczająco głupio postąpiłem, wyjeżdżając samemu dziś rano — wyjaśnił, jak gdyby Magda nic nie mówiła. — Ale nie mogłem się doczekać, aż po mnie przyjedziesz. Muszę być bardziej ostrożny. Nie chcę, żeby zaczęli coś podejrzewać i uważniej mnie pilnować. Pchaj.

Magda posłuchała, choć niechętnie i z oporami. Po raz pierwszy była zadowolona, że może zostawić go przy bramie i wrócić.

Matei Stephanescu był zły. Wściekłość płonęła mu w piersi niby rozżarzony węgiel. Nie wiedział, dlaczego. Siedział napięty i sztywny we frontowej izbie małej chaty na południowym krańcu wsi, na stole przed nim stał kubek herbaty i leżał bochenek chleba. Matei myślał o wielu sprawach. A jego wściekłość narastała.

Myślał o Alexandru i jego synach, i że to niesprawiedliwe, kiedy przez całe życie chodzą sobie pracować do twierdzy i zarabiają złoto, gdy on musi gonić po przełęczy stado kóz, dopóki nie dorosną, by można je było sprzedać albo zamienić na coś potrzebnego. Nigdy dotąd nie zazdrościł Alexandru, lecz tego ranka wydawało mu się, że to właśnie on i jego synowie są źródłem wszelkich niepowodzeń.

Matei myślał o własnych synach. Potrzebował ich tutaj. Miał czterdzieści siedem lat, a włosy już mu posiwiały i czuł bóle w stawach. A gdzie oni byli? Porzucili go. Dwa lata temu wyjechali szukać szczęścia w Bukareszcie. Zostawili rodziców samych. Nie dbali o ojca — inaczej zostaliby na wsi, by mu pomóc, gdy się zestarzeje. Od wyjazdu żaden się nawet nie odezwał. Gdyby to on pracował w twierdzy zamiast Alexandru, jego synowie na pewno zostaliby przy nim, a może tamci uciekliby do miasta.

Świat był paskudny i stawał się coraz gorszy. Nawet jego własna żona nie zainteresowała się nim na tyle, by wstać z łóżka. Ioan zawsze dbała, by przed wyjściem zjadł sohdne śniadanie. Dziś jednak było inaczej. Nie chorowała. Po prostu powiedziała: „Sam sobie zrób jeść”. Nalał więc herbaty, która zdążyła już wystygnać. Wziął ze stołu nóż i odkroił grubą kromkę chleba, lecz wypluł pierwszy kęs.

Czerstwy!

Matei uderzył pięścią w stół. Więcej tego nie wytrzyma. Wciąż z nożem w ręku wmaszerował do sypialni i stanął nad skuloną pod pierzyną żoną.

— Chleb jest czerstwy — oznajmił.

— To upiecz sobie świeżego — zabrzmiała stłumiona odpowiedź.

— Co z ciebie za żona! — zawołał chrapliwie. Ścisnął mocno śliską od potu rękojeść noża. Jego cierphwość była na wyczerpaniu.

Ioan odrzuciła pierzynę i uklękła na łóżku, z rękami na biodrach. Jej czarne włosy sterczały na wszystkie strony, opuchnięta od snu twarz wyrażała złość, będącą odbiciem jego własnej.

— Ciebie też trudno wziąć za mężczyznę!

Matei patrzył na nią zdumiony. Przez moment zdawało mu się, że wyszedł ze swego ciała i spogląda na całą scenę z boku. Te słowa nie pasowały do Ioan. Kochała go przecież. I on także ją kochał. Teraz jednak miał ochotę ją zabić.

Co się stało? Jakby samo powietrze, którym oddychali, zmuszało do odkrywania tego, co w nich najgorsze.

Zaraz jednak był znowu sobą. W ataku szaleńczej furii wyciągnął w stronę żony nóż. Poczł drzenie, gdy ostrze wbiło się w ciało, słyszał jej krzyk strachu i bólu. Odwrócił się i wyszedł. Nie obejrzał się nawet, by sprawdzić, w które miejsce trafił, ani czy Ioan jeszcze żyje.

Kapitan Woermann dopinał właśnie kołnierzyk, by zejść do mesy na obiad, gdy wyrzał przez okno i dostrzegł profesora z córką. Szli mostem w stronę twierdzy. Obserwował ich przez chwilę. Czerpał rodzaj ponurej satysfakcji z faktu, że podjął słuszną decyzję, by usunąć stąd tę dziewczynę, pozwalając jej równocześnie na codzienne spotkania z ojcem. Bez niej żołnierze wyraźnie się uspokoili. Ona także nie uciekła, chociaż nikt jej nie pilnował. Tak jak przypuszczał: jest lojalna i oddana. Zauważył, że oboje zatopieni byli w burzliwej dyskusji.

Coś w całej scenie wydawało się nie w porządku. Woermann przyglądał się uważnie, póki nie zauważył, że profesor zdjął rękawiczki. Od chwili przybycia po raz pierwszy widział jego ręce. Zdawało się też, że Cuza pomaga córce i popycha koła wózka.

Woermann wzruszył ramionami. Może po prostu poczuł się trochę lepiej. Nie oglądając się więcej zbiegł schodami na dół, dopinając po drodze pas z kaburą. Dziedziniec wyglądał jak ruina, składowisko ciężarówek, generatorów i wyrwanych z muru granitowych bloków. Ludzie, którzy tu pracowali, poszli na obiad. Dzisiaj nie byli tak gorliwi jak wczoraj, ale w nocy nikt nie zginął i nie mieli tak silnej motywacji.

Obejrzał się, gdy usłyszał od strony bramy jakieś podniesione głosy. To był profesor z córką. Kłócili się przed patrzącym na nich obojętnie strażnikiem. Woermann nie musiał znać rumuńskiego, by zrozumieć, że dziewczyna broni się, lecz nie ma zamiaru ustąpić. I bardzo dobrze. Ten staruszek wyglądał na tyrana. Wykorzystywał chorobę jako broń wobec córki.

Dziś jednak wydawał się zdrowszy. Cichy zazwyczaj głos brzmiał mocno i dźwięcznie. Musiał naprawdę poczuć się dużo lepiej.

Woermann odwrócił się i pomaszerował do mesy. Po kilku krokach jednak zwolnił. Jego wzrok przyciągał nieruchomy, ciemny łuk po prawej stronie — wejście w wąski, kamienny korytarz, prowadzący do piwnic i głębiej.

Te buty..., te przekłete, ubłocone buty... Prześladowały go w myślach. Było w nich coś paskudnego. Musiał przyjrzeć się dokładniej. Tylko raz.

Zbiegł po stopniach i ruszył korytarzem. Nie ma potrzeby, by przeciągać całą sprawę. Spojrzy tylko i zaraz wróci do światła. Podniósł stojącą obok szczeliny w murze latarnię, zapalił ją i zszedł w chłodną, milczącą ciemność podziemia.

Na podstawie schodów weszły w wilgotnej ziemi trzy wielkie szczury. Krzywiąc się z niesmakiem, Woermann namaćcał luger. Szczury popatrzyły na niego wyzywająco i odbiegły, zanim zdążył wyjąć pistolet i wprowadzić nabój do komory.

Trzymając broń w pogotowiu zbliżył się szybkim krokiem do rzędu okrytych całunami trupów. Po drodze nie zauważył żadnych więcej szczurów. Na chwilę zapomniał o zabloconych butach. Martwił się tylko o to, w jakim stanie znajdzie zwłoki. Jesli dobrały się do nich szczury, nigdy sobie nie daruje, że zwlekał z odesłaniem ciał do kraju.

Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku. Całuny zdawały się nie naruszone. Odsłaniał je, jeden po drugim, przyglądając się martwym twarzom, lecz nie dostrzegł śladów szczurzych zębów. Dotknął jedno z ciał — zimne... lodowato zimne i twarde. Pewnie gryzonie nie uznały go za apetyczne.

Mimo to nie mógł ryzykować. Odeśle ciała zaraz rano. Wystarczająco długo już czekał. Wyprostował się, by odejść, gdy dostrzegł wystającą spod płachty dłoń jednego z zabitych. Schylił się, by ją przykryć, lecz gwałtownie cofnął rękę, gdy tylko dotknął opuszków palców trupa.

Były pokaleczone.

Przeklinając szczury przysunął bliżej lampę, by obejrzeć rany... i poczuł zimny dreszcz na plecach. Dłoń była brudna, o połamanych, ubrudzonych ziemią paznokciach, ze skórą zdartą niemal do kości.

Woermann poczuł mdłości. Raz w życiu widział takie dłonie. Należały do żołnierza z poprzedniej wojny, który został ranny w głowę i mylnie uznany za zabitego. Kiedy przebudził się w trumnie, przedarł się przez sosnowe deski i ponad półtora metra ziemi. Mimo nadludzkich wysiłków nie udało mu się dotrzeć na powierzchnię. Zanim jednak skonał z braku powietrza, wysunął nad ziemię ręce.

I te ręce, obie, wyglądały dokładnie tak samo.

Drżąc cały, Woermann wycofał się do schodów. Nie chciał oglądać drugiej dłoni trupa. Niczego już nie chciał tutaj oglądać. Nigdy.

Odwrócił się i pognął do światła.

Magda wróciła prosto do pokoju z zamiarem spędzenia kilku godzin w samotności, 'tyle było spraw, nad którymi powinna się zastanowić. Nie mogła się jednak skupić. Pokój wydawał się pełen Glenna i wspomnień minionej nocy. Pognieciona pościel na łóżku stale przyciągała wzrok.

Podeszła do okna, by jak zwykle popatrzeć na twierdzę. Wrogość, dawniej zamknięta w jej murach, teraz przesycała powietrze, którym oddychała, jeszcze bardziej utrudniając koncentrację. Twierdza spoczywała na swej skalnej podstawie

niby jakiś morski potwór, wyciągający swe macki we wszystkie strony.

Odwracając się spojrzała jeszcze na ptasie gniazdo. Pisklęta były dziwnie ciche. Cały wczorajszy dzień i noc piszczały głośno, zdziwiła się więc, że nagle umilkły. Może odleciały? Nie, to niemożliwe. Magda nie знаła się na ptakach, ale wiedziała, że te maleństwa długo jeszcze nie będą mogły fruwać.

Zaniepokojona, przysunęła do okna taboret i stanęła na nim, by zajrzeć do gniazda. Pisklęta były na miejscu — nieruchome, bezwładne, puszyste ciałka z otwartymi dziobkami i szklistymi, niewidzącymi oczkami. Gdy na nie patrzyła, ogarniało ją dziwne przekonanie, że utraciła coś ważnego. Zeskoczyła na podłogę i zdziwiona oparła się o parapet. Nikt nie skrzywdził tych ptaszków. Po prostu umarli. Jakaś choroba? Czy może zagłodziły się na śmierć? Czy ich matka padła ofiarą woskowego kota? Czy je porzuciła?

Magda nie chciała dłużej być sama.

Przeszła przez korytarz i zastukała do drzwi Glenna. Kiedy nikt nie odpowiadał, otworzyła je i weszła do pokoju. Pusto. Wyrzła przez okno, by sprawdzić, czy może Glenn wypoczywa w słońcu na tyłach gospody, ale nie dostrzegła nikogo.

Gdzie mógł pójść?

Zeszła na dół. Zaskoczyły ją brudne naczynia, pozostawione na stole w jadalni — zawsze uważała Lidię za wzór gospodyni. Przypomniała sobie, że nie jadła śniadania. Zbliżała się pora obiadu i była głodna.

Iuliu stał przed frontowymi drzwiami i patrzył w kierunku wioski.

— Dzień dobry — powiedziała. — Można będzie wcześniej dostać obiad?

Oberżysta popatrzył na nią ponuro i z taką wrogością, jakby sama możliwość odpowiedzi na to pytanie przekraczała granice jego wyobraźni. Po chwili odwrócił się znowu.

Magda spojrzała na drogę. Przed jedną z chat zebrała się grupka ludzi.

— Co się tam stało? — spytała. — Nic, co by mogło interesować obcego — odburknął Iuliu, lecz chyba zaraz zmienił zdanie. — Chociaż, może powinna się pani dowie-

dzieć — uśmiechnął się złośliwie. — Chłopcy Alexandru pobili się ze sobą. Jeden nie żyje, drugi jest ciężko ranny.

— To straszne! — zawołała Magda. Znała Alexandru i jego synów, wiele razy wypytywała ich o twierdzę. Zawsze wydawali się tak sobie bliscy. Wstrząsnęła nią wiadomość o śmierci jednego z nich, a jeszcze bardziej to, że Iuliu mówił o tym z wyraźną satysfakcją.

— Wcale nie straszne *Domnisoara* Cuza. Zawsze mieli się za lepszych od nas. Dobrze im tak — zmrzył oczy. — Posłuży to też za lekcję różnym obcym, którzy przyjeżdżają i myślą, że są ważniejsi od tutejszych.

Magda cofnęła się o krok słysząc groźbę, brzmiącą w głosie Iuliu. Zawsze był taki uprzejmy. Co mu się stało?

Odwróciła się i obeszła gospodę dookoła. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała teraz Glenna. Nie znalazła go jednak, nawet w zwykłym miejscu między krzakami, skąd zwykle obserwował twierdzę.

Zniknął.

Zmartwiona i niespokojna, wróciła do gospody. Stojąc już w drzwiach zauważyła skuloną postać kobiety, się od strony wioski. Kulała i chyba była ranna.

— Pomocy!

Magda chciała do niej podbiec, ale w drzwiach pojawił się Iuliu i pociągnął ją z powrotem,

— Proszę tu zostać! — polecił groźnie, po czym spojrzal na kobietę. — Odejdź stąd, Ioan.

— Jestem ranna! — jęknęła. — Matei uderzył mnie nożem!

Magda spostrzegła, że jej lewa ręka zwisa bezwładnie, a ubranie — chyba nocna koszula — po lewej stronie od ramienia do kolan przesiąknięte jest krwią.

— To są twoje problemy — oświadczył Iuliu. — My mamy własne.

Kobieta była coraz bliżej.

— Błagam, pomóżcie mi!

Oberzysta pochylił się i podniósł kamień wielkości jabłka.

— Nie! — krzyknęła Magda i wyciągnęła rękę, by mu przeszkodzić, lecz Iuliu odepchnął ją i stękawszy z wysiłku cisnął kamień. Na szczęście dla kobiety nie miał dobrego oka

i pocisk przeleciał w bezpiecznej odległości nad jej głową. Zrozumiała jednak, co chciał przez to powiedzieć. Zawróciła i szlochając pokuśtykała z powrotem do wsi.

Magda ruszyła za nią.

— Proszę poczekać! Ja pani pomogę!

Iuliu chwycił ją brutalnie za ramię i wepchnął do wnętrza. Magda potknęła się i upadła na podłogę.

— Niech pani pilnuje swoich spraw! — zawołał. — Nie potrzebuję tu dodatkowych kłopotów. Mam dość własnych. A teraz na górę i niech pani tam siedzi!

— Nie może pan... — zaczęła, lecz kiedy oberżysta podniósł groźnie rękę, wstała szybko i wycofała się na schody.

Co się stało z Iuliu? Był innym człowiekiem. Zdawało się, że na całą wieś padł zły czar — rany, zabójstwa, nikt nie chce pomóc sąsiadowi w potrzebie. Co się tu dzieje?

Na piętrze Magda poszła prosto do pokoju Glenna. Niewielka była szansa, by nie zauważyła, jak wraca, ale musiała sprawdzić.

Nadal nikogo.

Gdzie on jest?

Zbadała niewielki pokoik. W szafie od wczoraj nic się nie zmieniło — ubranie, pudło z ostrzem miecza bez rękojeści, lustro... To lustro ją niepokoiło. Spojrzała nad biurko. Gwóźdź ciągle tkwił w ścianie. Sięgnęła za oprawę, by stwierdzić, że drucik, na którym wisiało, także był cały. To oznaczało, że nie spadło samo — zostało zdjęte. Glenn? Czemu miałby to robić?

Zamknęła szafę i wyszła. Okrutne słowa Papy i niewyjaśnione zniknięcie Glenna sprawiły, że stawała się podejrzliwa. Musi wziąć się w garść. Musi uwierzyć, że Papa znów będzie taki jak dawniej, że Glenn niedługo do niej wróci, a mieszkańcom wsi powrócą ich łagodne charaktery.

Glenn... gdzie mógł iść? I po co? Jeszcze wczoraj byli sobie tak bliscy, a dzisiaj nie umie go nawet znaleźć. Czy ją wykorzystał i teraz porzucił? Nie, nie mogła w to uwierzyć.

Wydawał się niezwykle wzburzony tym, co rano powiedział Papa. Może jego nieobecność ma z tym jakiś związek. Mimo wszystko, czuła się opuszczona.

Kiedy słońce zbliżało się do szczytów gór, Magda szalała

z niepokoju. Raz jeszcze sprawdziła jego pokój — bez zmian. Zrozpaczona wróciła do siebie i podeszła do okna. Unikając widoku cichego gniazda, obserwowała gąszcz krzaków rosnących wzdłuż krawędzi wąwozu. Szukała jakiegoś znaku, czegokolwiek, co świadczyłoby o obecności Glenna.

Dostrzegła jakiś ruch po prawej stronie mostu. Nie czekając, by się upewnić, popędziła na dół. To musiał być Glenn. Musiał.

Iuliu nie było widać i bez kłopotów wyszła na zewnątrz. Zbliżając się do krzaków dostrzegła wśród liści jego rude włosy. Serce zabiło jej szybciej, poczuła falę radości i ulgi, a także odrobinę pretensji za to, że niepokoiliła się przez cały dzień.

Glenn siedział na kamieniu i zza zasłony liści obserwował twierdzą. Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, a jednocześnie krzyknąć ze złości za to, że tak zniknął bez słowa.

— Gdzie byłeś cały dzień? — spytała, stając mu za plecami. Starąła się mówić spokojnym głosem.

— Spacerowałem — odparł, nie odwracając się. — Musiałem trochę pomyśleć, więc poszedłem na wycieczkę przełęczą. To był długi spacer.

— Tęskniłam za tobą.

— Ja też — obejrzał się i wyciągnął rękę. — Chodź, wystarczy miejsca dla dwojga.

Zdawał się dziwnie przygaszony, jakby zamyślony. Jego uśmiech nie był tak szeroki ani pocieszający, jak mógłby być.

Magda przysunęła się do niego i wtuliła pod ramię. Dobrze... dobrze było tak siedzieć.

— Czym się martwisz?

— Wieloma rzeczami. Na przykład tymi liśćmi — zerwał kilka z gałęzi i zgniótł je w dłoni. — Wysychają. Giną. A przecież dopiero skończył się kwiecień.

— To twierdza? — spytała Magda.

— Tak można by przypuszczać, prawda? Im dłużej siedzą tam Niemcy, tym więcej rozbierają wewnętrznych ścian i tym dalej rozszerza się zło. Tak przynajmniej się wydaje.

— Tak się wydaje — powtórzyła Magda.

— Jest także twój ojciec...

— Ja też się o niego martwię. Nie chciałabym, żeby Molasar

zwrócił się przeciw niemu i zostawił... — nie potrafiła tego powiedzieć, nie mogła sobie nawet wyobrazić — ...jak tamtych.

— Bywają gorsze rzeczy niż wysśanie krwi.

Zastanowiła ją powaga w głosie Glenna.

— Powiedziałeś już raz coś takiego wtedy, kiedy pierwszy raz spotkałeś Papę. Co może być gorszego?

— Może zatracić siebie.

— Nie rozumiem.

— Siebie. Własną jaźń. To, czym jest, czym starał się być przez całe życie. Może to utracić.

— Glenn, nie wiem, o co ci chodzi — naprawdę nie wiedziała. A może nie chciała wiedzieć. Glenn patrzył jakoś dziwnie, błędnym wzrokiem, i to ją niepokoiło.

— Zastanówmy się — powiedział. — Przypuśćmy, że wampir, *moroi* czy nieumierający, jakiego znamy z legend: duch zamknięty za dnia w grobie, a nocą potrzebujący, by wypijać krew żywych, to rzeczywiście jedynie legenda, tak jak zawsze uważałaś. Przypuśćmy dalej, że mit wampira to wynik prób racjonalizacji tego, czego nie mogli zrozumieć powtarzający go ludzie; że prawdziwym źródłem legendy jest istota, nie pragnąca niczego tak zwykłego jak krew, lecz żywiąca się ludzką słabością, pożądająca szaleństwa i bólu, wzrastająca w siłę od ludzkiego nieszczęścia, lęku i poniżenia.

Ton jego głosu sprawił, że poczuła się nieswojo.

— Glenn, nie mów takich rzeczy. To okropne. Jak coś może się żywić ludzkim nieszczęściem i bólem? Nie chcesz chyba powiedzieć, że Molasar...

— To tylko przypuszczenia.

— Ale błędne — stwierdziła ze szczerym przekonaniem. — Wiem, że Molasar jest zły i może nawet szalony. To wynika z jego istoty. Ale nie jest złem w sensie, o którym mówisz. To niemożliwe! Zanim tu przyjechaliśmy, ocalił mieszkańców wioski, których uwięził major. Pamiętaj też, co zrobił dla mnie, kiedy napadli mnie tamci dwaj żołnierze — Magda wzdrygnęła się na samo wspomnienie. — Uratował mnie. A co może być bardziej poniżającego niż gwałt dokonany przez

faszystów? Ktoś, kto żywi się nieszczęściem, mógł mieć moim kosztem prawdziwą ucztę. A Molasar obronił mnie, a ich zabił.

— Owszem. I to w dość brutalny sposób, sądząc z tego, co mi opowiadałaś.

Magda poczuła mdłości na wspomnienie śmiertelnego charkotu obu żołnierzy, trzasku ich kości.

— A więc?

— Więc nie odszedł całkiem głodny.

— Ale mógł mnie też zabić, gdyby mu to miało sprawiać przyjemność. Nie zrobił tego. I odniósł mnie ojcu.

Glenn spojrział na nią przenikliwie.

— Otóż właśnie.

Magda nie rozumiała, o co mu chodzi, lecz po krótkim wahaniu mówiła dalej.

— A co do ojca, to ostatnie kilka lat było dla niego niemal bezustannym cierpieniem. Teraz jest wyleczony ze sklerodermy. Jakby nigdy nie chorował! Jeśli Molasar pochłania ludzkie nieszczęścia, czemu nie pozostawił Papy chorego, by żywić się jego bólem? Czemu go uzdrowił, zamykając sobie źródło „pożywienia”?

— Rzeczywiście, dlaczego?

— Och, Glenn — westchnęła tuląc się do niego. — Przestań mnie straszyć. Boję się już wystarczająco. Nie chcę się z tobą kłócić, pokłóciłam się już z ojcem. Nie zniósę, by między nami też zaczęło się psuć.

Poczuła, że obejmuje ją mocniej.

— No dobrze. Ale zastanów się: twój ojciec jest teraz zdrowszy na ciele niż był kiedykolwiek od wielu lat. Ale co z jego umysłem? Czy jest tym samym człowiekiem, jakim był cztery dni temu?

To pytanie nękało Magdę przez cały dzień — i nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć.

— Tak... nie... nie wiem. Wydaje mi się, że jest zwyczajnie zagubiony, tak jak ja. Jestem pewna, że przyjdzie do siebie. Przeżył wstrząs, to wszystko. Nagłe uleczenie z nieuleczalnej choroby, która coraz bardziej wyniszczała jego ciało, mogło spowodować, że przez pewien czas będzie zachowywał się inaczej. Ale to przejdzie. Poczekajmy trochę.

Glenn milczał, a Magda była mu za to wdzięczna. To znaczyło, że także chce zgody między nimi. Patrzyła, jak mgła wstaje z dna przełęczy, gdy tylko słońce skryło się za górami, jak zaczyna się podnosić. Nadchodziła noc.

Noc. Papa mówił, że tej nocy Molasar uwolni twierdzę od Niemców. To powinno jej dawać nadzieję, jednak z jakiegoś powodu było groźne i straszne. Nawet uścisk ramienia Glenna nie potrafił rozproszyć jej lęku.

— Wracajmy do gospody — zaproponowała w końcu.

Glenn potrząsnął głową.

— Nie. Chcę zobaczyć, co się będzie tam działo.

— To może być długa noc.

— Może najdłuższa ze wszystkich — rzekł, nie patrząc na nią — Nieskończona.

Magda dostrzegła na jego twarzy poczucie potwornej winy. Co go dręczyło? Dlaczego nie chciał podzielić się z nią cierpieniem?

XXVI

— Jesteś gotów?

Cuza nie był zaskoczony. Oczekiwał przybycia Molasara, odkąd zgasły na niebie ostatnie promienie zachodzącego słońca. Słyszac głucho brzmiące słowa wstał z fotela, dumny i wdzięczny, że jest do tego zdolny. Cały dzień czekał, aż słońce skryje się za górami. Przeklinał je za to, że jest takie powolne.

Wreszcie chwila nadeszła. Dzisiejsza noc należy do niego i nikogo więcej. Na to czekał. Nikt nie zdoła mu odebrać tryumfu.

— Gotów! — rzekł, odwracając się. Molasar stał tuż za nim, ledwie widoczny w blasku płonącej na stole pojedynczej świecy. Cuza wykręcił żarówkę z oprawki. Czuł się lepiej przy nikłym płomyku świecy. Był spokojniejszy, bliższy Molasarowi. — Dzięki tobie mogę być pomocny.

Molasar spojrział na niego bez emocji.

— Niewiele było trzeba, by uleczyć rany zadane ci przez chorobę. Gdybym był silniejszy, uzdrowiłbym cię w jednej chwili, lecz osłabiony potrzebowałem na to całej nocy.

— Żaden lekarz nie potrafiłby tego dokonać przez całe życie... nawet przez dwa!

— Głupstwo — Molasar lekceważąco machnął ręką. — Mam wielką moc sprowadzania śmierci, lecz równie wielką uzdrawiania. Zawsze istnieje równowaga. Zawsze.

Cuza pomyślał, że Molasar jest w nietypowym, filozoficznym nastroju. On sam jednak nie chciał tracić czasu na filozofię.

— Co teraz zrobimy?

— Zaczekamy. Nie wszystko jest przygotowane.

— A potem... co potem? — profesor z trudem hamował niecierpliwość. — Co wtedy?

Molasar podszedł do okna i spojrział na ciemne sylwetki gór. Milczał przez długą chwilę, nim wreszcie przemówił cichym głosem.

— Dziś w nocy mam zamiar powierzyć ci źródło swej siły.

Musisz je zabrać, wynieść z twierdzy i znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę wśród tych skał. Nikt nie może cię zatrzymać. Nikt nie może ci go odebrać.

— Źródło twojej siły? — spytał zdumiony Cuza, szukając w pamięci. — Nigdy nie słyszałem, by nieumierający mieli coś takiego.

— Dlatego, że nie chcieliśmy, by było to wiadome — Molasar stanął twarzą do niego. — Stamtąd płynie moja moc, lecz jednocześnie jest to mój najsłabszy punkt. Pozwala mi istnieć takiemu, jaki jestem, ale w niewłaściwych rękach może przerwać to istnienie. Dlatego zawsze trzymam go blisko siebie, gdzie potrafię go obronić?

— Co to jest? Gdzie...?

— Talizman, ukryty głęboko w podziemiach. Jeśli mam opuścić twierdzę, nie mogę pozostawiać go tu bez ochrony, ani zabierać do Niemiec. To zbyt wielkie ryzyko. Muszę oddać go pod opiekę komuś, komu mogę zaufać.

Cuza poczuł chłód, gdy wpatrywały się w niego bezdenne głębokie źrenice Molasara. Z trudem zachował spokój.

— Możesz mi zaufać. Ukryję go tak dobrze, że nawet górskie kozice go nie znajdą. Przysięgam!

— Tak? — Molasar podszedł bliżej. Światło świecy padało na jego bladą twarz. — To najważniejsze zadanie, jakiego podjąłeś się przez całe życie.

— Mogę to zrobić... natychmiast — Cuza zacisnął pięści. Ruch nie sprawił mu bólu, dał raczej poczucie siły. — Nikt mi go nie odbierze.

— Nie sądzę, by ktokolwiek próbował. A nawet gdyby, to wątpię, by pozostał przy życiu ktoś, kto wiedziałby, jak go użyć przeciwko mnie. Z drugiej strony jednak, zrobiony jest ze złota i srebra. Gdyby ktoś go znalazł i spróbował przetopić...

Profesor poczuł ukłucie niepewności.

— Nic nie da się ukryć na zawsze.

— Nie trzeba na zawsze. Wystarczy do czasu, kiedy skończę z Lordem Hitlerem i jego kohortami. Talizman powinien pozostać bezpieczny do mojego powrotu. Potem sam się o niego zatroszczę.

— Będzie bezpieczny — Cuza poczuł, że wraca mu pewność

siebie. Na kilka dni potrafiłby ukryć w góraci wszystko. — Kiedy wrócisz, będę na ciebie czekał. Hitler zabity... cóż to będzie za dzień! Wolność dla Rumunii, dla Żydów. A dla mnie dowód, że miałem rację.

— Jaką rację?

— Moja córka uważa, że nie powinienem ci ufać.

Molasar zmrużył oczy.

— Nierozsądnie jest mówić o tych sprawach z kimkolwiek, nawet z własną córką.

— Ona chce zobaczyć Hitlera martwego tak samo jak ja. Po prostu trudno jej uwierzyć, że jesteś szczerzy. Znalazła się pod wpływem pewnego mężczyzny, boję się, że jest jego kochanką.

— Jakiego mężczyzny?

Profesorowi wydało się, że Molasar drgnął, że jego blada twarz stała się jeszcze bledsza.

— Nie wiem o nim zbyt wiele. Na imię mu Glenn i chyba interesuje się twierdzą. Ale co do...

Cuza poczuł, że coś szarpie go w górę. Molasar błyskawicznym ruchem wyciągnął ręce do przodu, chwycił ubranie i podniósł z podłogi.

— Jak on wygląda? — spytał chrapliwie, przez zaciśnięte zęby.

— Jest... jest wysoki — wybełkotał Cuza, przerażony potworną siłą tych rąk, znajdujących się teraz tuż przy jego gardle, bliskością długich, żółtawych zębów. — Prawie tak wysoki, jak ty i...

— Jego włosy! Jakie ma włosy?

— Rude!

Wampir odepchnął go od siebie. Profesor upadł na podłogę i potoczył bezradnie, nie mogąc się zatrzymać. Usłyszał, jak Molasar wydaje z siebie gardłowy dźwięk, choć zniekształcony wściekłością, to przecież rozpoznawalny.

— Glaeken!

Cuza uderzył o ścianę i przez chwilę leżał oszołomiony. Z wolna odzyskiwał wzrok i wtedy dostrzegł coś, czego nigdy nie spodziewał się zobaczyć na twarzy Molasara: strach.

„Glaeken? — myślał, bojąc się odezwać. — Czy nie tak nazywała się sekta, o której dwie noce temu wspominał

Molasar? Ci fanatycy, którzy go ścigali? Przed którymi ukrył się w twierdzy?"

Upiór podszedł do okna i przez chwilę patrzył na wioskę, potem, zaciskając wargi w wąską linię, odwrócił się do Cuzy.

— Jak długo już tu jest?

— Trzy dni... od środy wieczór — profesor nie mógł się powstrzymać od pytania: — Ale dlaczego? Co się stało?

Molasar nie odpowiedział od razu. Pogrążony w myślach spacerował tam i z powrotem w narastającej ciemności — trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki w drugą. Wreszcie zatrzymał się.

— Sekta Glaeken musi nadal istnieć — stwierdził słumionym głosem. — Powinienem wiedzieć! Zawsze byli wytrzymali na ciosy, a ich pragnienie władzy jest zbyt silne, by po prostu wymarli. Ci naziści, o których mówiłeś... ten Hitler... wszystko teraz nabiera sensu. Naturalnie!

Profesor uznał, że może wstać.

— Co nabiera sensu?

— Glaeken zawsze działali poza sceną, wykorzystując ruchy ludowe, by skrywać swoje istnienie i prawdziwe cele — Molasar stał niby cień, unosząc zaciśnięte pięści. — Teraz rozumiem! Lord Hitler i jego stronnicy to tylko fasada dla Glaeken. Byłem głupcem! Powinienem poznać ich metody, kiedy pierwszy raz opowiedziałeś mi o obozach śmierci. I jeszcze ten połamany krzyż, który naziści na wszystkim malują — jakże oczywiste! Glaeken byli kiedyś w służbie Kościoła!

— Ale Glenn...

— Jest jednym z nich! Nie ich marionetką, jak naziści, ale kimś z wewnętrznego kręgu! To rzeczywisty członek sekty, jeden z jej zabójców!

Cuza poczuł nagły ucisk w krtani.

— Jak możesz być pewien?

— Glaeken dobierali swych morderców według stałego wzorca: zawsze niebieskie oczy, zawsze lekko oliwkowa skóra, zawsze rude włosy. Byli wyćwiczeni we wszelkich metodach zabijania, w tym zabijania nieumierających. Ten, który nazywa siebie Glennem, ma dopilnować, bym nigdy nie opuścił twierdzy!

Profesor oparł się o ścianę. Myśl o Magdzie w ramionach człowieka reprezentującego prawdziwą siłę, kryjącą się za faszyzmem, przyprawiała o zawrót głowy. Rzecz była zbyt fantastyczna, by w nią uwierzyć! A jednak wszystko do siebie pasowało. To dopiero napawało go rzeczywistą grozą — wszystko pasowało. Nic dziwnego, że Glenn tak się zirytował słysząc, że zamierza pomóc Molasarowi uwolnić świat od Hitlera. Jasne też było, czemu stale próbował podać w wątpliwość wszystko, co mówił wampir. I czemu on sam czuł instynktowną niechęć do tego rudzielca. To nie Molasar był potworem, ale Glenn! A Magda pewnie była z nim teraz! Coś trzeba z tym zrobić!

Wyprostował się i spojrzął na wampira. W takiej chwili nie mógł sobie pozwolić na panikę. Zanim podejmie decyzję, co robić dalej, musi uzyskać niezbędne informacje.

— W jaki sposób zdoła cię powstrzymać?

— Ma swoje metody... metody doskonałe przez jego sektę w ciągu stuleci walki z takimi jak ja. On jeden byłby zdolny do wykorzystania mojego amuletu przeciw mnie. Jeśli go zdobędzie, zniszczy mnie!

— Zniszczy... — powtórzył Cuza w oszołomieniu. Glenn mógł wszystko popsuć. Śmierć Molasara oznaczała kolejne obozy śmierci, kolejne zwycięstwa armii Hitlera, wymazanie narodu żydowskiego z powierzchni ziemi...

— Trzeba go usunąć — oznajmił Molasar. — Nie mogę ryzykować i zostawiać tu źródła mej mocy, gdy on kręci się w pobliżu.

— Więc go usuń! — zawołał profesor. — Zabij, jak zabiłeś innych!

Wampir pokręcił głową.

— Nie mam jeszcze dość sił, by zmierzyć się z kimś takim. Przynajmniej poza tymi murami. W twierdzy jestem mocniejszy. Gdyby udało się go tu sprowadzić, dałbym radę. Już nigdy więcej nie stanąłby mi na drodze!

— Mam! — rozwiązanie pojawiło się w mózgu profesora zupełnie nagle. — Przyprowadzę go tutaj!

Molasar spojrzął na niego z niedowierzaniem, ale i zacięciem.

— Kto?

— Major Kaempffer będzie szczęśliwy, mogąc to zrobić! —
Cuza usłyszał własny śmiech i ten dźwięk zaskoczył go nieco.
Chociaż właściwie, dlaczego się nie śmiać z pomysłu, by SS
pomogło uwolnić świat od faszyzmu?

— Niby dlaczego?

— Zostaw to mnie!

Cuza usiadł na wózku i podjechał do drzwi. Zastanawiał się
gorączkowo. Musi znaleźć sposób skłonienia majora, by sam
wpadł na pomysł sprowadzenia Glenna do twierdzy.

— Straż! — zawołał, gdy wyjechał z wieży na dziedzińcu.
Sierżant Oster podbiegł Natychmiast w towarzystwie dwóch
żołnierzy. — Sprowadźcie majora! — polecił Cuza, dysząc
z udawanego wysiłku. — Muszę z nim mówić, natychmiast.

— Przekażę wiadomość — zgodził się sierżant. — Ale
proszę nie liczyć na to, że przybiegnie tu na pańskie wezwanie.

Obaj żołnierze wyszczerzyli zęby.

— Proszę mu powiedzieć, że dowiedziałem się czegoś waż-
nego o twierdzy. Czegoś, co wymaga natychmiastowego
działania. Jutro może być za późno!

Sierżant odwrócił się do szeregowców i skinął głową w stronę
kwatery majora.

— Ruszaj! — rozkazał. Po czym dodał, zwracając się do
drugiego. — A my dopilnujemy, żeby major Kaempffer nie
musiał chodzić zbyt daleko, by się dowiedzieć, co profesor ma
do powiedzenia.

Wartownik popchnął wózek po dziedzińcu najdalej, jak
pozwalaly gruzy po rozebranych murach. Potem Cuza został
sam. Siedział spokojnie, planując w myślach, co ma powiedzieć.
Po długiej chwili Kaempffer pojawił się w drzwiach. Miał gołą
głowę i był wyraźnie poirytowany.

— Co to za wiadomość. Żydzie? — zawołał.

— Niezwykle ważna, panie majorze — odparł profesor,
znizając głos tak, by SS-man musiał wyteńczyć słuch. — Tylko
dla pana.

Kaempffer ruszył przez labirynt kamieni i stosów gruzu.
Jego wargi poruszały się bezustannie, z pewnością rzucając
ciche przekleństwa.

Aż do tej chwili profesor nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cieszy go ta drobna rozgrywka.

Wreszcie major stanął obok wózka i gestem nakazał, by im nie przeszkadzano.

— Lepiej dla ciebie, żeby to było coś ważnego. Żydzie. Jeśli ściągnąłeś mnie tutaj dla jakiegoś głupstwa...

— Wydaje mi się, że odkryłem nowe źródło informacji o twierdzy — szepnął konspiracyjnie Cuza. — W gospodzie zamieszkał jakiś obcy. Spotkałem go dzisiaj. Bardzo go ciekawiło, co się tutaj dzieje... za bardzo. Wypytywał mnie bardzo szczegółowo.

— Czemu miałoby mnie to interesować?

— Mówił o kilku sprawach, które mnie zdziwiły. Na tyle, że kiedy wróciłem, zjrzałem do tych zakazanych ksiąg i znalazłem fragmenty, które potwierdzały jego wypowiedzi.

— Jakie wypowiedzi?

— Same w sobie są nieistotne. Istotne jest to, że dowodzą jego znajomości twierdzy i to bliższej, niż się przyznaje. Sądzę, że ma jakieś powiązania z ludźmi, którzy płacą za konserwację.

Profesor przerwał, dając majorowi czas na zastanowienie. Nie chciał go przeciążać informacjami. Po odpowiednio długiej chwili dodał:

— Gdybym był panem, majorze, poprosiłbym tego pana, by wpadł tu jutro na pogawędkę. Może zechce nam odpowiedzieć na kilka pytań.

Kaempffer prychnął pogardliwie.

— Nie jesteś mną. Żydzie! Ja nie marnuję czasu na zapraszanie jakichś głupków i nie mam zamiaru czekać do jutra — odwrócił się i przywołał sierżanta Oстера. — Sprowadź tu czterech moich ludzi, biegiem! A ty, Żydzie, pojedziesz z nami, żebyśmy mieli pewność, że^ aresztujemy właściwego człowieka.

Cuza ukrył uśmiech. Cała sprawa była tak prosta... tak piekielnie prosta.

— Kolejny zarzut mojego ojca, to że nie jesteś Żydem — powiedziała Magda. Wciąż siedzieli wśród więdących liści

i obserwowali twierdzę. Zapadał mrok i na murach zapłonęły światła.

— Ma rację.

— A jakiego jesteś wyznania?

— Żadnego.

— Przecież w jakimś musiałeś się urodzić.

Glenn wzruszył ramionami.

— Pewnie tak. Ale dawno już zapomniałem.

— Jak można coś takiego zapomnieć?

— Bardzo łatwo.

Zaczynała ją irytować to, w jaki sposób drażnił jej ciekawość.

— Czy wierzysz w Boga, Glenn?

Spojrzał na nią i błysnął zębami w swym, jak zwykle rozbajającym uśmiechu.

— Wierzę w ciebie. To nie wystarczy?

Przysunęła się bliżej.

— Tak, chyba wystarczy.

Co miała począć z tym człowiekiem, tak różnym od niej, a budzącym tak silne uczucia? Był wykształcony, mogła go uznać nawet za erudytę, a przecież nie umiała sobie wyobrazić, by kiedyś czytał książkę. Promieniował siłą, a jednak umiał być delikatny.

Glenn wydawał się gąszczem sprzeczności. Mimo to czuła, że znalazła w nim człowieka, z którym chce dzielić życie. A życie z Glennem nie przypominałoby niczego, co wyobrażała sobie dawniej. Żadnych spokojnych dni, spędzanych na badaniach i studiach, a raczej noce bez końca, pełne uścisków i namiętności. Jeśli nie zginie w twierdzy, chce spędzić resztę życia z Glennem.

Nie pojmowała, dlaczego tak na nią działał. Wiedziała tylko, co wtedy czuła... i rozpaczliwie pragnęła być przy nim. Zawsze. Tulić się do niego w nocy, rodzić mu dzieci i widzieć, jak się do niej uśmiecha — tak jak przed chwilą.

Teraz jednak się nie uśmiechał. Patrzył na twierdzę. Coś go dręczyło, coś pożerało od wewnątrz. Magda chciałaby dzielić z nim ten ból, złagodzić go, jeśli potrafi... Ale póki się jej nie zwierzy, będzie bezradna. Może teraz nadeszła właściwa chwila, by spróbować...

— Glenn — odezwała się miękko. — Po co naprawdę tu przyjechałeś?

Zamiast odpowiedzi wskazał ręką na most.

— Coś się tam dzieje.

Magda odwróciła głowę. W świetle, padającym przez otwartą właśnie bramę, dostrzegła sześć postaci, poruszających się po moście. Jedna z nich siedziała w wózku inwalidzkim.

— Gdzie oni idą z Papą? — zdziwiła się. Lęk ścisnął ją za gardło.

— Pewnie do gospody. To jedyny budynek w rozsądnej odległości.

— Idą po mnie — to było jedyne wytłumaczenie, jakie przyszło Magdzie do głowy.

— Wątpię. Nie zabieraliby twojego ojca, gdyby chcieli ściągnąć cię z powrotem do twierdzy. Chodzi im o coś innego. Przygryzając nerwowo wargę Magda obserwowała grupkę ciemnych figur, oświetlających drogę latarkami, sunących mostem ponad rzeką mgły.

— Nie pokazujmy się, póki się nie dowiemy, po co przyszli — szepnęła do Glenna, gdy tamci zbliżyli się na dziesięć metrów do ich kryjówek.

— Jeśli cię nie znajdą, pomyślą, że uciekłaś... i wyładują złość na twoim ojcu. A jeśli zaczną cię szukać, to znajdą. Jesteśmy jak w pułapce między drogą a wąwozem. Nie mamy gdzie się cofać. Lepiej wyjdź do nich.

— A ty?

— Będę tutaj, gdybyś mnie potrzebowała. Na razie jednak uważam, że im mniej mnie będą widzieli, tym lepiej.

Magda wstała z wahaniem i wysunęła się spomiędzy krzaków. Grupa ludzi zdążyła już przejść. Przyglądała się im w milczeniu. Coś jej się nie podobało. Nie potrafiła określić, co właściwie, lecz nie mogła stłumić uczucia zagrożenia, które ją ogarnęło, gdy stanęła na brzegu ścieżki. To byli SS-mani, prowadził ich major Kaempffer, mimo to Papa zdawał się przybywać tu z własnej woli i nawet z nimi rozmawiał. Na pewno wszystko jest w porządku.

— Papo?

Żołnierze, nawet ten pachający wózek, odwrócili się natychmiast, unosząc broń. Papa odezwał się do nich po niemiecku.

— Czekajcie! Proszę! To moja córka. Muszę z nią porozmawiać.

Magda podbiegła do niego, wymijając groźną piątkę cieni w czarnych mundurach.

— Po co cię tu przywieźli? — spytała, używając cygańskiego dialektu.

— Później ci wytłumaczę — odparł w tym samym języku. — Gdzie jest Glenn?

— W krzakach, zaraz za mną — wyjaśniła bez wahania. W końcu to Papa pytał. — Potrzebujesz go?

Papa natychmiast obejrzał się na majora.

— Tam jest — zawołał po niemiecku, wskazując ręką kryjówkę Glenna. Czterech SS-manów uformowało półkole i weszło w gęszcz.

Magda spojrzała na ojca wstrząśnięta.

— Papo, co ty robisz? — instynktownie postąpiła krok w stronę krzaków, lecz Papa chwycił ją za rękę.

— Wszystkie w porządku — zapewnił, powracając do dialektu Cyganów. — Dowiedziałem się właśnie, że on jest jednym z nich.

Magda usłyszała własny głos, wypowiadający rumuńskie słowa. Była zbyt poruszona zdradą Papy, by mówić w innym języku niż ojczysty.

— Nie! To...

— Należy do grupy, która steruje nazistami, wykorzystuje ich do swych własnych, potwornych celów. Jest gorszy niż faszyci!

— To kłamstwo!

„Papa oszalał”, pomyślała.

— Wcale nie. Przykro mi, że właśnie ja muszę ci to powiedzieć. Ale lepiej, żebyś dowiedziała się teraz ode mnie, niż wtedy, kiedy już będzie za późno.

— Oni go zabijają! — jęknęła ogarnięta paniką. Rozpaczliwie próbowała się wyrwać, lecz Papa trzymał ją z nowo odzyskaną siłą. Cały czas szeptał potworne rzeczy:

— Nie. Nic mu nie zrobią. Wezmą go tylko na przesłuchanie a wtedy będzie musiał wyjawić swoje powiązania z Hitlerem, by ocalić skórę — oczy błyszczały mu gorączkowo, w głosie

brzmiało napięcie. — Wtedy mi podziękujesz, Magdo! Zrozumiesz, że robię to dla ciebie!

— Robisz to dla siebie! — krzyknęła, wciąż próbując wyrwać się z jego uścisku. — Nienawidzisz go, bo...

Z krzaków dobiegły jakieś krzyki, odgłosy szamotaniny, po czym żołnierze wyprowadzili Glenna. Otaczali go wszyscy czterej, każdy z pistoletem maszynowym wycelowanym w jego pierś.

— Zostawcie go! — zaszlochała Magda, rzucając się ku niemu. Lecz Papa trzymał jej rękę w żelaznym uchwycie.

— Zostań, Magdo — odezwał się ponuro Glenn. Spojrzał w oczy Papy. — Nic nie osiągniesz, pozwalając się zastrzelić.

— Cóż za rycerskość — stwierdził zza jego pleców major Kaempffer.

— I wszystko na pokaz — szepnął Papa.

— Zostawcie go. Na miejscu opowie nam, co wie.

Żołnierze popchnęli Glenna łufami karabinów w stronę twierdzy. Po chwili był już tylko ciemną sylwetką, obramowaną blaskiem świateł, padających przez otwartą bramę. Szedł spokojnie, póki nie dotarł do mostu. Wtedy, jak się zdawało, potknął się o jego krawędź i upadł do przodu. Magda wstrzymała oddech — zrozumiała, że wcale się nie przewrócił, że chce dosięgnąć krawędzi. „O co może mu...?” Nagle zrozumiała, co chce zrobić — zeskoczyć i ukryć się pod belkami, może nawet spróbować zejścia po ścianie wąwozu, chroniony przewieszka.

Rzuciła się do przodu. „Boże, pozwól mu uciec!”, błagała w myślach. Jeśli tylko znajdzie się pod mostem, zginie we mgle i ciemnościach. Zanim Niemcy przyniosą liny, Glenn może dotrzeć do dna wąwozu i zniknie — chyba, że wcześniej zabije się spadając.

Była o pięć metrów od całej sceny, gdy zaterkotał pierwszy schmeisser, wyrzucając serię pocisków. Potem dołączyły się pozostałe, ogłuszając ją i rozjaśniając noc blaskiem wystrzałów. Zatrzymała się i patrzyła z przerażeniem, jak drewniane belki mostu wybuchają fontannami drzazg. Glenn pochylał się już nad krawędzią, gdy trafiły go pierwsze kule. Widziała, jak jego ciało skręca się szarpane gradem ołowiu, jak linie krwawych punktów pojawiają się na nogach i plecach, jak wstrząsają nim

uderzenia i nowe plamy wykwitają na piersiach oraz brzuchu. Zgiął się wpół bezwładny i runął w przepaść.

Znikł.

Następne sekundy były koszmarem. Magda stała nieruchomo, oślepiąca jeszcze błyskami strzałów. Glenn nie mógł zginąć. Nie mógł! To niemożliwe, był zbyt pełen życia, by umrzeć. To tylko zły sen, z którego obudzi się w jego ramionach. Teraz jednak musi odgrywać w tym śnie swoją rolę, z niemym krzykiem musi iść naprzód przez powietrze, które zmieniło się w przejrzystą, gęstą galaretkę.

„Nie! Nie, nie, nie, nie, nie!”

Te słowa rozbrzmiewały jedynie w myślach — nie umiałyby wydać z siebie głosu.

Żołnierze stali na krawędzi wąwozu, oświetlając latarkami kłęby mgły. Pochyliła się, lecz nie dostrzegła niczego. Stłumiła pragnienie, by rzucić się w dół, za Glennem. Zamiast tego skoczyła do najbliższego SS-mana i pięściami zaczęła okładać go po piersiach i twarzy. Zareagował odruchowo, niemal niedbale. Lekkie zaciśnięcie warg było jedynym ostrzeżeniem, nim szybkim ruchem uderzył ją w głowę krótką lufą schmeissera.

Świat zawirował. Upadła, tracąc oddech od uderzenia o ziemię. Gdzieś z daleka dobiegł głos Papy, powtarzający jej imię. Czerń przesłoniła wzrok, lecz walczyła z nią tak długo, by widzieć jeszcze, jak żołnierz popycha jego wózek przez most. Odwrócony, patrzył na nią i krzyczał.

— Magda! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Wszystko się ułoży i wtedy zrozumiesz! Wtedy mi podziękujesz! Nie masz powodu, żeby mnie nienawidzić!

Ale Magda nienawidziła. Przysięgła, że będzie go nienawidzić do końca życia. To była jej ostatnia myśl, zanim świat rozplynął się w ciemności.

Nie zidentyfikowany mężczyzna stawiał opór podczas aresztowania, został zastrzelony i spadł do wąwozu. Woermann widział zamyślenie profesora i pewność siebie na twarzach wracających do twierdzy SS-manów. Obie te rzeczy były zrozumiałe: ci zabili bezbronnego człowieka, co zawsze robili

najlepiej, a Cuza po raz pierwszy w życiu był świadkiem bezsensownego mordu.

Woermann nie mógł pojąć jedynie wściekłości i wyraźnego zawodu Kaempffera. Zatrzymał go na dziedzińcu.

— Jeden człowiek? Cała strzelanina z powodu jednego człowieka?

— Chłopcy są nerwowi — wyjaśnił major, sam wyraźnie zdenerwowany. — Nie powinien próbować ucieczki.

— Po co był wam potrzebny?

— Żyd uważał, że tamten wie coś o twierdzy.

— Nie przypuszczam, żebyś mu powiedział, że chcesz go tylko przesłuchać?

— Próbował ucieczki.

— Iw rezultacie wiesz tyle samo, co poprzednio. Pewnie przeraziłeś biedaka na śmierć. Nie dziwię się, że chciał uciec. Teraz już nic ci nie powie. Ty i tobie podobni nigdy się niczego nie nauczycie.

Kaempffer nie odpowiedział. Odwrócił się i odszedł do swojej kwatery. Woermann został sam. Płomień gniewu, który zazwyczaj rozpałał w nim major, tym razem nie wybuchnął. Kapitan czuł tylko chłodną niechęć... i rezygnację.

Przyglądał się obojętnie, jak żołnierze, którzy nie stali na warcie, wloką się do swoich pomieszczeń. Kilka minut temu, gdy na moście rozległy się strzały, wezwał wszystkich na stanowiska bojowe. Bitwy jednak nie było i teraz wszyscy czuli się rozczarowani. Rozumiał to. Też chciałby spotkać prawdziwego nieprzyjaciela z krwi i kości, którego mógłby widzieć, atakować, ranić. Wróg jednak pozostawał niewidzialny i niedotykalny.

Woermann zawrócił w stronę wejścia do piwnic. Miał zamiar zejść na dół jeszcze raz. Sam.

Musiał iść sam. Nie chciał dopuścić, by ktokolwiek dowiedział się o jego podejrzeniach. Nie teraz, kiedy postanowił zakończyć karierę oficera. To była ciężka decyzja; podjął ją jednak — wystąpi z armii. Nie chce więcej brać udziału w tej wojnie. Tego właśnie oczekiwali od niego członkowie partii w naczelnym dowództwie. Jeśli jednak rozejdzie się choćby plotka o tym, co spodziewał się znaleźć, wyrzucą go jako

wariata. Nie pozwoli, by naziści splamili jego honor zarzutem szaleństwa.

„Ublocone buty i pokaleczone palce... ubłocone buty i pokaleczone palce...” Obląkana litania, która pchała go do podziemi. W grocie działo się coś potwornego, przekraczającego możliwości pojmowania. Podejrzewał, że wie, co to jest, lecz nie potrafił tego wypowiedzieć, ani nawet sobie wyobrazić. Umysł cofał się przed obrazem sprawiając, że był nieostry i zamazany, jakby obserwowany z bezpiecznej odległości przez rozogniskowaną lornetkę.

Przeszedł pod łukiem wejścia i zbiegł po schodach.

Zbyt długo czekał na to, by wszystko, co złe w Wehrmachcie i tej wojnie, jakoś się ułożyło. Problemy jednak nie rozwiązywały się same. Teraz to rozumiał. Teraz mógł wreszcie przyznać, że okrucieństwa popełniane w walce nie były chwilową aberracją. Długo bał się spojrzeć w twarz faktom, przyznać, że cała ta wojna jest zła. Teraz to potrafił i wstydził się, że brał w niej udział.

Podziemie będzie miejscem jego pokuty. Sam, na własne oczy zobaczy, co się tam dzieje i spróbuje to naprawić. Nie zagna spokoju, póki tego nie uczyni. Dopiero kiedy oczyści swój honor, będzie mógł wrócić do Rathenow i do Helgi. Wtedy zagna ukojenia, częściowego przynajmniej zmazania win. Będzie prawdziwym ojcem dla Fritza... i wyrwie go z Hitlerjugend, choćby miał mu połamać obie nogi.

Strażnicy, mający pilnować szczeliny, nie wrócili jeszcze po alarmie. Tym lepiej. Będzie mógł wejść nie zauważony i uniknąć propozycji eskorty. Podniósł jedną z laterek i stanął u szczytu schodów, spoglądając w przyzywającą go ciemność.

Pomyślał, że chyba naprawdę jest szalony. To wariactwo, wycofywać się z armii. Tak długo przymykał oczy — po co otwierać je właśnie teraz? Po co? Przypomniawszy sobie obraz w swoim pokoju, obraz, na którym widniał cień wisielca. Ostatni raz, kiedy go oglądał, cień miał wyraźny brzusek, taki sam jak on. Tak, musiał zwariować. Przecież nie musi tam schodzić. Nie samotnie. A już na pewno nie w nocy. Dlaczego nie zaczeka do świtu?

„Ublocone buty i pokaleczone palce...”

Teraz. Musi to zrobić teraz. Nie idzie przecież bezbronny.

Ma swój luger i ma srebrny krzyżyk, który oddał mu profesor. Ruszył na dół.

Był w połowie schodów, kiedy usłyszał głosy. Zatrzymał się, by lepiej słyszeć... ciche, nierówne skrobanie gdzieś po prawej stronie, z tyłu, w samym sercu twierdzy? Szczury? Poświecił dookoła latarką, ale nie dostrzegł niczego. Nie było tych trzech gryzoni, które przywitały go na schodach w południe. Zszedł na sam dół i ruszył do miejsca, gdzie leżały trupy. Tam zatrzymał się, nieruchomy i drżący.

Ciała zniknęły.

Gdy tylko wjechał do swego zaciemnionego pokoju i usłyszał trzask zamykanych drzwi, Cuza wyskoczył z fotela i podbiegł do okna. Wyteżając wzrok wpatrywał się w most, szukając Magdy. Nawet jednak w blasku księżyca, który właśnie pojawił się nad górami, nie dostrzegł wyraźnie przeciwnej krawędzi wąwozu. Iuliu i Lidia musieli widzieć, co się zdarzyło. Pomogą jej. Był tego pewien.

Jedynie najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do pozostania w fotelu, zamiast biec na pomoc, gdy ta niemiecka bestia ją powaliła. Nie wolno mu było się zdradzić. Odkrycie przed nimi swego ozdrowienia mogłoby pokrzyżować wszystkie plany Molasara.

A te plany były teraz najważniejsze. Zniszczenie Hitlera miało pierwszeństwo przed losem pojedynczej kobiety, choćby nawet była jego córką.

— Gdzie on jest?

Cuza odwrócił się gwałtownie. W dobiegającym z ciemności głosie brzmiała groźba. Czy wampir właśnie przybył, czy czekał tu cały czas?

— Nie żyje — odparł, szukając wzrokiem źródła głosu. Wyczuł, że Molasar podchodzi bliżej.

— Niemożliwe!

— To prawda. Sam widziałem. Próbował uciec i Niemcy nafašzerowali go kulami. Pewnie był w rozpaczy. Musiał wiedzieć, co go czeka, jeśli znajdzie się w twierdzy.

— Gdzie jest ciało?

— W wąwozie.

— Trzeba je znaleźć — Molasar podszedł tak blisko, że odrobina wpadającego przez okno blasku księżyca oświetliła jego twarz. — Muszę mieć absolutną pewność.

— On nie żyje. Nikt nie jest w stanie wytrzymać tylu pocisków. Odniósł tak wiele śmiertelnych ran, że wystarczyłoby ich na dziesięciu ludzi. Musiał być martwy, zanim jeszcze spadł do wąwozu. I w dodatku upadek... — Cuza pokręcił głową. W innym czasie, w innych okolicznościach, to co widział wstrząsnęłoby nim do głębi. Ale teraz... — Na pewno nie żyje.

Molasar wciąż nie chciał uwierzyć.

— Chciałem zabić go własnoręcznie, czuć, jak ucieka z niego życie. Wtedy i tylko wtedy miałbym pewność, że już mi nie zagraża. A tak muszę zaufać twoim ocenom, że nie mógł przeżyć.

— Nie musisz na mnie polegać. Sam sprawdź. Jego ciało leży w wąwozie. Czemu go nie odzyskasz?

Molasar wolno pokiwał głową.

— Tak... tak, to właśnie uczynię... muszę się upewnić — cofnął się i rozplynął w ciemności. — Wróć do ciebie, gdy wszystko będzie gotowe.

Cuza raz jeszcze spojrział przez okno w stronę gospody, po czym wrócił na fotel. Odkrycie, że Glaeken wciąż istnieje, musiało wstrząsnąć Molasarem. Uwolnienie świata od Hitlera może okazać się nie takie proste. Mimo to musiał spróbować. Musiał!

Siedział w ciemności, nie zapalając świecy. Miał nadzieję, że Magdzie nic się nie stało.

Woermann stał wśród egipskich ciemności i patrzył na porzucone całuny, pod którymi była już tylko ziemia. Latarka drżała mu w ręku, krew dudniła w skroniach. Widział głowę Lutza, z otwartymi ustami i oczami, leżącą na lewym uchu. Cała reszta zniknęła... dokładnie tak, jak podejrzewał. Lecz to, że oczekiwał czegoś takiego, nie złagodziło wstrząsu.

Gdzie oni są?

Gdzieś z prawej strony wciąż dobiegały odgłosy drapania.

Woermann wiedział, że musi dotrzeć do ich źródła. Tego wymagał honor. Lecz najpierw... wsunął pistolet do pochwy i z kieszeni na piersi wydobyl srebrny krzyżyk. Miał wrażenie, że będzie skuteczniejszy.

Trzymając go w wyciągniętej ręce ruszył w kierunku, skąd dobiegało drapanie. Podziemna grota zmieniła się w wąski korytarz, wijący się ku tyłom twierdzy. Szedł równym krokiem a hałas przybierał na sile. Potem zobaczył szczury. Z początku tylko kilka — wielkie i grube, siedziały na wystających ze ścian kamieniach i przypatrywały mu się. Dalej było ich więcej, całe setki oblepiały ściany, aż cały tunel wydawał się wyłożony stłoczonymi futerkami, poruszającymi się i falującymi, wpatrującymi się w niego niezliczonymi paciorkami oczu. Szedł dalej, powstrzymując obrzydzenie. Szczury odsuwały mu się z drogi, nie okazywały jednak lęku. Żałował, że nie zabrał schmeissera, choć gdyby rzuciły się na niego wszystkie naraz, nie pomogłaby pewnie żadna broń.

Tunel przed nim skręcał ostro w prawo i Woermann zatrzymał się, nasłuchując. Odgłosy drapania stały się wyraźniejsze — tak wyraźne, że wyobrażał sobie niemal ich źródło za zakrętem. To znaczyło, że musi zachować ostrożność. Musi zobaczyć, co się tam dzieje, samemu nie będąc widzianym.

Będzie musiał zgasić latarkę.

Woermann bał się tego. Falująca pokrywa szczurów pod nogami i na ścianach sprawiała, że lękał się mroku. A jeśli to tylko światło je powstrzymuje? Jeśli... Zresztą, to bez znaczenia. Musi sprawdzić, co się tam dzieje. Ocenił, że dotrze do zakrętu pięcioma długimi krokami, przejdzie tę odległość w ciemności, potem skręci i robi jeszcze trzy kroki. Jeśli na nic nie natrafi, zapali latarkę i ruszy dalej. Przecież może nic nie znaleźć. Pozorna bliskość dźwięku może być jakąś cechą akustyki korytarza. Może ma jeszcze do przejścia sto metrów. A może nie...

Wstrzymując oddech zgasił światło, nie cofając jednak palca z wyłącznika, na wypadek, gdyby coś zaczęło się dziać ze szczurami. Nic nie słyszał, nic nie czuł. Stał, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, gdy zauważył, że drapanie stało się głośniejsze, jakby wzmocnione brakiem światła.

Całkowitym brakiem. Nie widział najmniejszego odbłasku, nawet śladu oświetlenia za zakrętem. Przecież to, co wydaje te odgłosy, potrzebuje choć odrobiny światła, prawda? Prawda?

Zmusił się, by ruszyć naprzód. Odliczał w myślach kroki, a każdy nerw jego ciała krzyczał, by zawrócił i uciekał. Ale przecież musiał się dowiedzieć, gdzie się podziały ciała i co wydaje te dźwięki. Może wtedy tajemnica twierdzy znajdzie rozwiązanie. Jego obowiązkiem było sprawdzić. Obowiązkiem...

Po piątym, ostatnim kroku odwrócił się i stracił równowagę. Lewa ręka — ta, w której trzymał latarkę — wyciągnęła się odruchowo szukając oparcia i trafiła na coś kosmatego, co pisnęło, poruszyło się i ugryzło go ostrymi jak brzytwa zębami. Cofnął rękę i przygryzł wargę, czekając, aż ból minie. Nie trwało to długo i udało mu się nie zgubić latarki.

Odgłosy drapania stały się wyraźniejsze i dobiegały z przodu. Ciemność była nieprzenikniona. Choć wyteżał wzrok, niczego nie dostrzegał. Zaczął się pocić — to lęk sięgał mu do wnętrzości i zacisnął palce. Przecież gdzieś tam musi być światło.

Zrobił jeden krok — nie tak długi, jak poprzednie — i stanął.

Dźwięki rozlegały się wprost przed nim... z przodu i... z dołu... drapanie, skrobanie, szuranie.

Jeszcze jeden krok.

Cokolwiek oznaczały te głosy, sprawiały wrażenie wspólnego wysiłku, a mimo to nie słyszał sapania, które powinno im towarzyszyć. Jedynie własny, nierówny oddech i tętnienie krwi w uszach. Tylko to drapanie.

Jeszcze krok i znowu zapali latarkę. Podniósł stopę, ale nie mógł przesunąć jej do przodu. Z własnej woli jego ciało nie chciało wykonać tego kroku, dopóki nie zobaczy, dokąd idzie.

Woermann wciąż stał, drżący. Chciał wrócić. Nie chciał oglądać tego, co działo się przed nim. Nic, co jest z tego świata, nie może poruszać się, czy choćby istanieć w takiej czerni. Lepiej nie wiedzieć. Ale zwłoki... Nie miał wyboru.

Wydał z siebie odgłos, który był niemal jękiem, i przesunął wyłącznik latarki. Trwało sekundę, nim zwięzły się jego zalane nagłym blaskiem źrenice. Więcej czasu potrzebował umysł, by zarejestrować groźbę tego, co odkryło światło.

I wtedy Woermann zaczął krzyczeć... głos pełen cierpienia, z początku cichy, potem coraz głośniejszy i wyższy, odbijał się echem od ścian groty, gdy kapitan odwrócił się i pognał do wyjścia. Nie zważał już na szczury. Do końca tunelu zostało mu może z dziesięć metrów, gdy zatrzymał się nagle.

Przed nim ktoś był.

Błysnął latarką, oświetlając blokującą drogę postać. Zobaczył twarz barwy wosku, płaszcz, ubranie, proste włosy i podwójne jeziora szaleństwa w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. Wtedy już wiedział. Przed nim stał pan twierdzy.

Woermann stał nieruchomo i patrzył z lękiem oraz fascynacją. Po chwili udało mu się przywołać na pomoc ćwierć wieku wojskowego doświadczenia.

— Daj mi przejść! — zawołał, kierując promień latarki na krzyżyk w prawej ręce, pewien, że trzyma skuteczną broń. — W imię Boga, w imię Jezusa Chrystusa, w imię wszystkiego co święte, daj mi przejść!

Lecz zamiast się cofnąć, postać ruszyła do przodu, bliżej Woermanna, tak blisko, że wyraźnie widział rysy twarzy, usta, rozciągnięte w chytrym uśmiechu, pełnym złośliwej uciechy. Poczul, że słabną mu kolana, a uniesione dłonie dygocą gwałtownie.

„Jego oczy... o Boże, jego oczy...” Stał jak wrośnięty w ziemię. Nie mógł się cofać do tego, co widział w korytarzu, droga przed nim była zamknięta. Promień światła drżał niepewnie, oświetlając srebrny krzyżyk. „Krzyż... Wampiry boją się krzyża!”. Wyciągnął go przed siebie, walcząc ze strachem, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał.

„Boże, jeśli jesteś moim Bogiem, nie opuszczaj mnie!”

Niewidoczna w ciemności ręka wyrwała krzyżyk ze zdrewniałej dłoni. Stwór chwycił go pomiędzy kciuk a palec wskazujący i pozwolił, by Woermann patrzył przerażony, jak zgina go i składa na połowę. Potem przekrzywił ramiona w dół, aż trzymał w ręku jedynie bezkształtny kawałek srebra. Odrzucił go tak niedbale, jak żołnierz na przepustce rzuca niedopałek papierosa.

Woermann wrzasnął ze zgrozy widząc, jak ta sama ręka wyciąga się ku niemu. Uchylił się... ale nie był dość szybki.

XXVII

Świadomość wracała powoli. Magda czuła, że coś szarpie ją za ubranie i boleśnie uciska prawą dłoń. Otworzyła oczy. Gwiazdy pogasły. Obok niej stał jakiś cień i ciągnął ją za rękę. Gdzie była? I dlaczego tak okropnie bolała ją głowa? W mózgu pojawiły się obrazy: Glenn... most... strzelanina... wąwóz...

Zabili Glenna! To nie sen. Glenn był martwy!

Usiadła, jęcząc. Ten, kto ciągnął ją za rękę, wrzasnął przerażony i rzucił się do ucieczki. Kiedy minął zawrót głowy, od którego świat wirował i kołysał się wokół niej, uniosła dłoń do bolącej opuchlizny tuż przy prawej skroni. Drgnęła z bólu, gdy jej dotknęła.

Poczuła także pulsujący ból w palcu. Skóra wokół obrączki matki była podrapana i napuchnięta. Kimkolwiek był ten cień, z pewnością próbował ściągnąć obrączkę! Ktoś ze wsi! Pewnie sądził, że nie żyje i dlatego był taki przerażony, kiedy się poruszyła.

Magda wstała i świat natychmiast zawirował znowu. Kiedy się uspokoił, gdy minęły mdłości, a ryk w uszach przycichł do monotonnego szumu, ruszyła naprzód. Każdy krok odbijał się bólem w skroniach, lecz szła dalej. Przekroczyła ścieżkę i wcisnęła się w gąszcz krzaków. Zza chmur wysunął się jasny półksiężyc. Przedtem go nie było. Jak długo leżała nieprzytomna? Musi odnaleźć Glenna!

„On żyje — powtarzała sobie. — Nie mógł zginąć”. Nie mogła go sobie wyobrazić martwego. Chociaż, w jaki sposób

mógł przeżyć? Czy ktokolwiek pozostałby żywy po tylu pociskach... i jeszcze upadek z mostu...

Magda zaszczołała, nad Glennem i nad tym, że go straciła. Pogardzała sobą za ten egoizm, lecz nie mogła nie myśleć o tych wszystkich rzeczach, których nie będą już robić razem. Po trzydziestu jeden latach znalazła wreszcie mężczyznę, którego mogła pokochać. Spędziła u jego boku jeden dzień, wspaniałe dwadzieścia cztery godziny pełne nieznanymi cudów życia, tylko po to, by go jej wyrwano i zamordowano.

To niesprawiedliwe!

Dotarła do osypiska na końcu wąwozu i zatrzymała się, by spojrzeć ponad kłębami mgły na drugi kraniec. Czy można nienawidzić kamiennej budowli? Nienawidziła twierdzy. Tam gnieździło się wyłącznie zło. Gdyby miała taką siłę, kazałaby jej runąć w dół, aż do piekła, i zabrać tam wszystkich, którzy byli wewnątrz. Tak! Nawet Papę!

Lecz twierdza unosiła się nad morzem mgły, milcząca i nieporuszona, oświetlona od wewnątrz, a z zewnątrz mroczna i posępna. Nie zważała na Magdę.

Magda przygotowała się do zejścia w dół, tak jak dwie noce temu. Dwie noce... zdawało się, że minęły wieki. Mgła sięgała samej krawędzi wąwozu, jeszcze bardziej zwiększając ryzyko. To szaleństwo, ruszać na poszukiwanie zwłok Glenna w tej ciemności. Lecz jej życie nie było już tak ważne, jak jeszcze kilka godzin temu. Musi go znaleźć... dotknąć jego ran, poszukać martwego pulsu, poczuć chłód skóry. Musiała wiedzieć ponad wszelką wątpliwość, że nie można mu pomóc. Nie spocznie, dopóki się nie przekona.

Kiedy przerzuciła nogi przez krawędź, usłyszała, jak po osypisku ześlizgują się i spadają kamyki. Z początku uznała, że to ona sama je poruszyła, lecz w chwilę potem odgłos się powtórzył. Znieruchomiła, nasłuchując. Usłyszała jeszcze inny dźwięk — czyjś ciężki oddech. Ktoś wspinał się w górę, skryty we mgle!

Cofnęła się przestraszona i stanęła wśród krzaków, gotowa do ucieczki. Wstrzymała oddech, widząc, jak z kłębow mgły wysuwa się ręka i wbija palce w miękką ziemię na krawędzi

wąwozu. Potem pojawiła się druga, a po chwili głowa. Magda natychmiast poznała twarz.

Glenn!

Myślała, że nie usłyszał. Podciągał się z wysiłkiem na rękaceli, próbując przerzucić ciało przez krawędź osypiska. Magda podbiegła, chwyciła go pod pacliy i przywołując wszystkie siły, których istnienia w sobie nawet nie podejrzewała, wywlokła na równy grunt. Leżał teraz twarzą w dół, dysząc ciężko i pojękując. Uklękła obok, bezradna i zrozpaczona.

— Glenn, ty... — jej dłonie były mokre i lśniły ciemno w blasku księżyca. — ...krwawisz!

Wiedziała, że tak będzie, spodziewała się, oczekiwała tego, ale nic innego nie potrafiła powiedzieć.

„Powinieneś już nie żyć”, pomyślała, lecz milczała. Jeśli nie wypowie tych słów, może się nie spełnią. Jego ubranie było jednak przesiąknięte krwią, płynącą z tuzina śmiertelnych ran. Cud, że jeszcze oddychał. A to, że zdołał wydostać się z wąwozu, było zupełnie niewiarygodne! Lecz przecież leżał tutaj, wyciągnięty na ziemi, żywy! Jeśli przeżył tak długo, to może...

— Sprowadzę lekarza! — kolejne zdanie bez sensu. Na Przełęczy Dinu nie było lekarzy. — Pójdę po Iuliu i Lidie! Pomogą cię przenieść do...

Glenn wymamrotał coś niezrozumiałego. Magda pochyliła się i przysunęła uclio do jego warg.

— Idź do mojego pokoju — szepnęła słabym, umęczonym głosem. Jego oddech pachniał świeżą krwią.

„Ma krwotok wewnętrzny!”

— Zaniesiemy cię tam, jak tylko Iuliu... — ale czy Iuliu zechce pomóc.

Chwycił ją za rękaw.

— Słuchaj! Weź pudło... widziałaś je wczoraj... to, w którym jest ostrze.

— To ci teraz nie pomoże! Potrzebujesz lekarza!

— Musisz! Tylko to może mnie ocalić!

Wyprostowała się, zawahała przez moment, po czym rzuciła do biegu. Znow poczuła w głowie tępe uderzenia bólu, lecz teraz ignorowała je bez trudu. Glenn chciał, by mu przynieść

tę klingę. To bez sensu, ale w jego głosie brzmiało tak silne przekonanie... prośba... potrzeba pośpiechu, że musiała posłuchać.

Nie zwolniła kroku ani na chwilę. Wpadła do gospody i wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Dopiero w ciemnym pokoju Glenna przystanąła na chwilę i po omacku odszukała szafę. Podniosła pudło. Z przeraźliwym zgrzytem otworzyło się — nie zatrzasnęła zamków, gdy wczoraj zaskoczył ją Glenn! Ostrze wypadło i z trzaskiem uderzyło o lustro, szkło posypało się na podłogę. Magda schyliła się, szybko włożyła klingę na miejsce, zasunęła zamki i wsunęła pudło pod pachę, stękając pod nieoczekiwanie dużym ciężarem. Odwracając się już do wyjścia ściągnęła jeszcze z łóżka koc i po krótkim namyśle pobiegła do swojego pokoju po drugi.

Iuliu i Lidia, zaalarmowani hałasem, stali zdziwieni u stóp schodów.

— Nie próbujcie mnie zatrzymywać! — rzuciła Magda. Coś w jej głosie musiało ich przerazić, bo bez słowa ustąpili z drogi.

Biegła przez gąszcz, potykając się, obciążona pudłem i dwoma kocami, które hamowały ją zaczepiając o gałęzie. Pędziła do Glenna modląc się, by był jeszcze żywy. Leżał na plecach, słabszy niż poprzednio.

— Klinga — szepnął. Ledwie go słyszała. — Wyjmij ją.

Przez ten straszliwy moment Magda bała się, że poprosi o *coup de grâce*. Dla Glenna zrobiłaby wszystko — oprócz tego jednego. Ale czy człowiek z takimi ranami próbowałby rozpaczliwie wydostać się z wąwozu tylko po to, by prosić o śmierć? Otworzyła pudło. Wewnątrz leżały dwa duże kawałki stłuczonego lustra. Zrzuciła je na ziemię i obiema rękami chwyciła ciemne, chłodne ostrze, wyczuwając pod palcami wryte w metalu runy.

Podawała mu je i niemal upuściła, gdy pod jego dotknięciem krawędzie zapłon[^] słabym, niebieskawym jak gazowy płomień blaskiem. Glenn odetchnął z ulgą; wyraz cierpienia znikł z jego twarzy, zastąpiony ulgą... wyglądał jak człowiek, który zimą, po długiej, ciężkiej drodze wraca do ciepłego, znajomego domu. Ułożył klingę wzdłuż swego poranionego, zakrwawionego ciała. Koniec ostrza spoczął o kilkanaście centymetrów powyżej kostek, szpikulec, mocujący rękojeść, znalazł się niemal

pod brodą. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, ponad klingą, zamknął oczy.

— Nie powinnaś tu zostawać — odezwał się słabym, niewyraźnym głosem. — Wróc później.

— Nie zostawię cię.

Nie odpowiedział. Jego oddech stał się bardziej płytki i równy. Zdawało się, że zasnął. Magda przyglądała mu się uważnie. Błękitny blask objął jego przedramiona, okrywając je delikatną patyną światła. Okryła go kocem, nie tylko po to, by było mu cieplej, ale też by nie dostrzeżono tego blasku z twierdzy. Potem odsunęła się, zarzuciła na ramiona drugi koc i usiadła oparta o skałę. Miliony pytań napłynęło do mózgu, pytań, których do tej chwili nie dopuszczała do świadomości.

Kim on był? Drobna część jego ran wystarczyłaby, aby zginął, a on wspiął się na ścianę, trudną nawet dla silnego mężczyzny o doskonałym zdrowiu. Dlaczego schował lustro w szafie, razem z pradawnym mieczem bez rękojeści? Dlaczego teraz, leżąc na granicy śmierci, przyciskał ten miecz do piersi? Jak może powierzyć komuś takiemu swoje uczucie i życie? Przecież nic o nim nie wie!

Przypomniała sobie słowa Papy: „Należy do grupy, która steruje nazistami, wykorzystuje ich do swych własnych potwornych celów. Jest gorszy niż faszyści!”

A jeśli to prawda? Jeśli namiętność tak ją zaślepiła, że nie dostrzega prawdy? Glenn z pewnością nie jest zwyczajnym człowiekiem. I ma swoje tajemnice — nie wyznał jej przecież wszystkiego. Czy to możliwe, by to on był wrogiem, a Molasar sprzymierzeńcem?

Okryła się szczelniej kocem. Teraz mogła już tylko czekać.

Powieki zaczęły jej opadać. Przeżycia tej nocy i rytmiczny głos oddechu Glenna działały usypiająco. Przez chwilę walczyła z sennością, potem uległa... tylko na chwilę... żeby oczy trochę odpoczęły.

Klaus Woermann wiedział, że nie żyje. A jednak... nie był martwy.

Dokładnie pamiętał, jak umierał. Został uduszony z okrutną

powolnością, tutaj, w mroku podziemia, rozjaśnionym tylko słabym blaskiem upuszczonej latarki. Lodowate palce o niepojętej sile zaciskały mu się na gardle tamując oddech, aż krew dudniła w uszach. I objęła go ciemność.

Ale nie wieczna ciemność. Jeszcze nie.

Nie pojmował swej świadomości. Leżał na plecach, wpatrzony w mrok otwartymi szeroko oczami. Nie wiedział, jak długo to trwa. Czas tracił wszelkie znaczenie. Pozostał mu jedynie wzrok, reszta ciała była jak odcięta. Jakby należała do kogoś innego. Nie czuł nic, ani twardej skały pod palcami, ani chłodu podziemi. Nic nie słyszał. Nie oddychał. Nie mógł ruszyć nawet palcem. Kiedy szczur przeszedł mu po twarzy, przesuając futerko po oczach, nie zdołał nawet zamrugać.

Nie żył. Ale nie był martwy.

Zniknęła trwoga i ból. Odeszły gdzieś wszelkie uczucia. Z wyjątkiem żalu. Przyszedł tu, do podziemi, szukając odkupienia, a znalazł tylko grozę i śmierć. Własną śmierć.

Nagle Woermann zdał sobie sprawę, że się porusza. Nadal nic nie czuł, ale wiedział, że coś ciągnie go za połę munduru przez mrok, wąskim korytarzem do ciemnego pomieszczenia...

...i do światła.

Linia jego wzroku pokrywała się z osią bezwładnego ciała. Kiedy ciągnięto go zasypnym granitowym gruzem korytarzem, jego spojrzenie przesuwało się po ścianie, którą rozpoznał natychmiast — to tutaj wypisano krwią słowa dawnego języka. Żołnierze zmyli krew, lecz na kamieniu wciąż widać było brunatne plamy.

Został rzucony na podłogę. Jego pole widzenia ograniczało się do fragmentu częściowo rozebranego stropu bezpośrednio nad nim. Na skraju tego pola poruszał się jakiś ciemny kształt. Woermann dostrzegł kawał grubej liny, przerzucony przez odsłonięty wspornik, pętlę tej samej liny, przesuwaną się po jego twarzy. A potem znów się poruszał...

...w górę...

...aż stopy utraciły kontakt z ziemią, a martwe ciało zaczęło się kołysać i wirować. Ciemny kształt rozplynął się w głębi korytarza, a Woermann pozostał, wisząc za sznyę na sznurze.

Miał ochotę wykrzyknąć skargę do Boga. Wiedział już, że

mroczna istota, władająca twierdzą, wypowiedziała wojnę nie tylko ciałom żołnierzy, którzy wdarli się w jej dziedzinę, ale także ich umysłom i duszom.

Zrozumiał też, że zmusiła go do odegrania zaplanowanej w tej wojnie roli: roli samobójcy. Jego ludzie pomyślą, że sam się zabił! To zdemoralizuje ich do końca. Ich dowódca, który powinien świecić przykładem, powiesił się — akt ostatecznego tchórzostwa, ostatecznej dezercji.

Nie mógł pozwolić, by tak się stało. Lecz przecież nie potrafił zrobić niczego, co zmieniłoby bieg zdarzeń. Nie żył.

Czy miała to być kara za przemykanie oczu na potworności tej wojny? Jeśli tak, to była zbyt ciężka. Zbyt drogo kazano mu płacić. Wisieć tak i czekać, aż jego żołnierze i SS-mani z Einsatzkommando przyjdą, żeby się na niego gapić. I najgorsza obelga: widzieć złośliwy uśmiech Ericha Kaempffera!

Czy dlatego pozostał świadomy, na granicy ostatecznego zapomnienia, żeby obserwować własne poniżenie — jako samobójca?

Gdyby tylko mógł coś zrobić.

Jeden, ostatni czyn, by ocalić dumę i — tak — męstwo. Ostatni gest, który nadałby znaczenie jego śmierci.

Cokolwiek!

Byle co!

Ale mógł tylko wisieć, kołysać się i czekać, aż go znajdą.

Cuza podniósł głowę, słysząc zgrzyt. Fragment muru, prowadzący do fundamentów wieży, odchyłał się wolno.

— Wszystko gotowe — dobiegł z ciemności głos Molasara.

Nareszcie! To oczekiwanie go zabijało. Przestał już niemal wierzyć, że tej nocy zobaczy jeszcze Molasara. Nie grzeszył cierpliwością, lecz nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnął działania. Próbował myśleć o Magdzie, o tym, co się z nią stało po ciosie w głowę... ale bez skutku. Zbliżająca się godzina rozprawy z „Lordem Hitlerem” zajmowała bez reszty jego myśl. Raz za razem przemierzał oba pokoje, wszereż, wzdłuż i pod ścianami, z obsesją, by jak najszybciej dokonać dzieła,

choć przecież nie mógł nic zrobić, póki nie otrzyma wiadomości od Molasara.

I wreszcie Molasar przybył. Cuza wszedł w ciemny otwór muru, na zawsze zostawiając za sobą inwalidzki wózek. Poczul w dłoni chłodny, metalowy cylinder.

— Co...? — to była latarka.

— Będzie ci potrzebna.

Zapalił ją. Pochodziła z wyposażenia niemieckiej armii. Zastanawiał się, kto...

— Chodź.

Molasar ruszył pewnie w dół po kręconych schodach, wystających z wewnętrznej powierzchni wieży. Nie potrzebował światła. Za to Cuza tak. Trzymał się tuż za plecami wampira, oświetlając stopnie latarką. Żałował, że nie ma czasu, by się rozejrzeć. Od dawna już rozpaczliwie pragnął zbadać podstawę wieży i aż do teraz musiał to robić za pośrednictwem Magdy. Lecz pora nie była na to odpowiednia. Obiecał sobie, że kiedy już błędzie po wszystkim, wróci tu i osobiście wszystko obejrzy.

Po chwili dotarli do wąskiej szczeliny w murze. Cuza przeskoczył ją za Molasarem, by stwierdzić, że znajduje się w podziemiu. Wampir przyspieszył kroku i profesor z trudem za nim nadążał. Nie narzekał jednak, wdzięczny, że może chodzić, że krew, mimo zimna, nadal krąży w palcach, a artretyzm nie atakuje stawów. Zaczynał się nawet pocić. Wspaniale!

Po prawej stronie dostrzegł słaby blask, padający z piwnicznego korytarza na schody. Błysnął latarką w lewo. Ciała zniknęły. Niemcy Musieli je wywieźć. Dziwne tylko, że zostawili rzucone na stos całuny.

Poprzez odgłos własnych kroków zaczął słyszeć inny dźwięk — delikatne drapanie. Gdy doszł do końca obszernej grotty i gdy ruszył za Molasarem wąskim tunelem, dźwięk stał się jeszcze wyraźniejszy. Mijali liczne zakręty, aż wreszcie wampir zatrzymał się i skinął na Cuzę. Drapanie rozbrzmiewało głośno i odbijało się dookoła echem.

— Przygotuj się — rzekł Molasar. Nic nie dało się wyczytać z jego twarzy. — Wykorzystałem szczątki zabitych żołnierzy. To, co zobaczysz, może tobą wstrząsnąć, lecz było konieczne

dla odzyskania talizmanu. Mogłem poszukać innego sposobu, ten jednak był wygodny... i wydawał się właściwy.

Cuza wątpił, by to, co Molasar zrobił z ciałami Niemców, cokolwiek by to było, naprawdę mogło nim wstrząsnąć.

Wszedł za wampirem do dużej, półkolistej komory, o zimnym skalistym stropie i gliniastym podłożu. W samym środku znajdował się spory wykop. Wciąż słyszał drapanie, teraz jeszcze głośniejsze. Skąd mogło dobiegać? Rozejrzał się dookoła. Promień światła latarki odbijał się od błyszczących kamiennych ścian i stropu, zalewając grotę blaskiem. Zauważył, że coś porusza się pod nogami, wokół wykopu. Coś małego. Wstrzymał oddech — szczury! Setki szczurów otaczało dół. Kręciły się i popychały nawzajem, podniecone i wyczekujące.

Cuza dostrzegł coś większego od szczura, wspinającego się po ścianie wykopu. Podeszedł bliżej, skierował promień latarki prosto w dół...

Niewiele brakowało, by ją upuścił. Miał wrażenie, że zagłębia w jeden z zewnętrznych kręgów piekła. Osłabły nagle odskoczył od otworu i oparł się o najbliższą ścianę, by nie upaść. Zamknąwszy oczy dyszał jak pies w upalny, letni dzień. Próbował się uspokoić, powstrzymać podchodzący do gardła żołądek, zaakceptować to, co zobaczył.

W dole byli zabici, dziesięciu, wszyscy w niemieckich mundurach, czarnych albo szarych. I wszyscy się poruszali! Nawet ten bez głowy!

Z wysiłkiem otworzył oczy. W szatańskim półświecie, wypełniającym komorę, widział, jak jedno z ciał pełnie niby krab po ścianie wykopu, wyrzucą niesioną w ramionach ziemię i zsuwa się z powrotem na dno.

Oderwał się od ściany i zbliżył niepewnym krokiem do dołu. Musiał widzieć.

Zdawało się, że oczy nie są im potrzebne, gdyż nie patrzyli na ręce, rozgrzebując chłodną, twardą ziemię. Martwe stawy poruszały się sztywno i niezgrabnie, jakby walcząc z unieruchamiającą je siłą, lecz pracowały bez zmęczenia, w absolutnym milczeniu, zdumiewająco skutecznie, choć bez świadomości. Szuranie ich butów, drapanie gołymi rękami po zamrożonej

niemal na kość ziemi, gdy poszerzali i pogłębiali dół... dźwięki unosily się, odbijały od stropu i ścian, nierealne, lecz głośnie...

Nagle hałas ucichł, jak gdyby nigdy go nie było. Wszystkie trupy zatrzymały się i stanęły w absolutnym bezruchu.

— Mój talizman leży kilka centymetrów pod powierzchnią ziemi — przemówił stojący obok Molasar. — Musisz go wykopać.

— A oni...? — Cuza czuł mdłości na myśl o zejściu do wykopu.

— Są zbyt niezręczni.

— Czy nie mógłbyś sam go odkopać? — spytał, patrząc błagalnie na wampira. — Zaniosę go potem gdziekolwiek zechcesz.

Oczy Molasara błysnęły gniewnie, niecierpliwie.

— To część twojego zadania! Bardzo prosta! Kiedy tak wiele spoczywa na szach, czy boisz się ubrudzić ręce?

— Nie! Oczywiście, że nie! Tylko... — spojrział na martwe ciała.

Molasar podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Nie odezwał się, nie uczynił najmniejszego gestu, a jednak trupy poruszyły się, odwróciły równocześnie i wypęzły z dołu. Potem stanęły kręgiem na jego brzegu. Szczury biegały dookoła, wspinając się na ich stopy. Molasar spojrział wyczekująco na profesora.

Nie czekając na polecenie, Cuza zsunął się przez krawędź w dół. Ułożył latarkę na jakimś kamieniu i zaczął rozgarniać wilgotną ziemię na samym dnie stożkowatego wykopu. Ręce bez kłopotów znosiły zimno i brud. Przez chwilę czuł odrazę, kopiąc w tym samym miejscu co trupy, lecz zaraz zaczął odczuwać przyjemność, że znowu potrafi pracować rękami, nawet przy tak prostym zadaniu. Był winien Molasarowi tę przysługę. Przyjemnie było czuć, jak palce wbijają się w grunt, jak wyrrywają bryły gliny. Radość sprawiła, że przyspieszył tempo. Pracował gorączkowo.

Wkrótce wyczuł ręką coś innego niż zwykła ziemia. Pociągnął za to i wy dobył pakunek w kształcie kwadratu, o boku jakichś trzydziestu centymetrów, a gruby na siedem — osiem. I ciężki, bardzo ciężki. Zerwał przegniłe opakowanie, po czym odwinął szorstką materię, tworzącą wewnętrzne zabezpieczenie.

w środku było coś jasnego, metalicznego i ciężkiego. Cuza wstrzymał oddech — z początku odniósł wrażenie, że to krzyż. Ale przecież to niemożliwe. Był to niby-krzyż, wykuty według tego samego niezwykle wzoru, co tysiące wymurowanych w mury twierdzy. Żaden z nich jednak nie mógł się równać z tym, który trzymał w ręku. Ten był prawdziwy, w każdym miejscu gruby na dwa centymetry, szablon, służący za wzór wszystkim pozostałym. Część pionowa była zaokrąglona, niemal cylindryczna, z głęboką szczeliną na szczycie i zdawało się, że zrobiono ją z czystego złota. Ramiona były chyba srebrne. Choć Cuza przyglądał się uważnie przez dolne części swych dwuogniskowych okularów, nie znalazł żadnych wzorów ani napisów.

Talizman Molasara. Klucz do jego potęgi. Cuza czuł szacunek i lęk. W tym przedmiocie kryła się moc — płynęła przez jego ręce, gdy go trzymał. Uniósł go w górę, by pokazać wampirowi, i miał wrażenie, że emanuje słabym blaskiem. A może było to tylko odbicie światła latarki od jego lśniącej powierzchni?

— Znalazłem!

Nie widział Molasara, lecz zauważył, jak ożywione ciała cofają się od wykopu, gdy uniósł nad głową ten niby-krzyż.

— Molasarze! Słyszysz mnie?

— Tak — głos dobiegał chyba gdzieś z tunelu. — Trzymasz teraz w rękach klucz do mej potęgi. Strzeż go czujnie, póki nie zostanie ukryty tam, gdzie nikt go nie znajdzie.

Podniecony, profesor zacisnął mocniej palce.

— Kiedy mam iść? I jak?

— Za godzinę, gdy tylko skończę z niemieckimi najeźdźcami. Muszą zapłacić za to, że zajęli moją twierdzę.

Ktoś walił w drzwi i jakiś głos wykrzykiwał jego nazwisko. Był podobny do głosu sierżanta Oстера... w ataku hysterii. Lecz major Kaempffer nie zamierzał ryzykować. Wypłatając się ze śpiwora chwycił luger.

— Kto tam? — nie krył irytacji. Już drugi raz tej nocy ktoś go budził. Najpierw ta bezowocna wyprawa na most z Żydem,

a teraz to. Spojrzał na zegarek: prawie czwarta. Wkrótce zacznie świtać. Czego mogą od niego cieciec o tej porze? Chyba... chyba, że ktoś zginął.

— Sierżant Oster, panie majorze.

— O co znowu chodzi? — Kaempffer otworzył drzwi. Rzut oka na bladą twarz sierżanta powiedział mu, że stało się coś strasznego. Coś gorszego niż kolejne zabójstwo.

— Kapitan, panie majorze... kapitan Woermann...

— On!? Woermann? Zamordowany? Oficer?

— Zabił się, panie majorze.

Kaempffer patrzył na sierżanta w niemym zdumieniu. Dopiero największym wysiłkiem zdołał zmusić się do myślenia.

— Zaczekajcie — rzucił, zamknął drzwi, pospiesznie wciągnął spodnie i buty, po czym narzucił na podkoszulek mundurową kurtkę, nie trudząc się jej zapinaniem. Wrócił do drzwi. — Zaprowadźcie mnie do niego.

Szedł za Osterem wśród rozebranych murów, myśląc, że samobójstwo Klause Woermanna wstrząsnęło nim bardziej, niż gdyby został zamordowany jak pozostali. To do niego nie pasowało. Ludzie się zmieniają, ale nie mógł sobie wyobrazić, by ten nastolatek, który w poprzedniej wojnie samotnie zmusił do ucieczki kompanię Brytyjczyków, teraz odebrał sobie życie, niezależnie od okoliczności.

A jednak... Woermann nie żył. Jedyne człowiek, który mógł wskazać go palcem i zawołać „Tchórz!”, zamilkł na zawsze. Ta świadomość warta była cierpień, jakie przeżył od chwili przybycia do tej kostnicy. Dodatkową satysfakcją sprawiał sposób zejścia Woermanna z tego świata. Końcowy raport wykaże to jasno: kapitan Klaus Woermann pozostanie w aktach jako samobójca. Niehonorowa śmierć. Gorsza niż dezercja. Kaempffer wiele by dał, by zobaczyć twarze jego żony i synów, z których tamten był taki dumny. Co pomyślał o ojcu, swoim bohaterze, kiedy poznają prawdę?

Zamiast prowadzić go przez dziedziniec do kwatery Woermanna, Oster skręcił w prawo, w korytarz wiodący do celi, gdzie pierwszej nocy uwięził wieśniaków. W ciągu kilku ostatnich dni częściowo rozebrano mury piwnicy. Jeszcze jeden zakręt i zobaczył Woermanna.

Wisał na grubej linie, a jego ciało kołysało się lekko, jakby na wietrze. Sznur był przywiązany do odsłoniętej podpory stropu. Kaempffer nie dostrzegł żadnego stołka i zaczął się zastanawiać, jak Woermann dostał się na górę. Może stanął na stosie gruzu, którego było tu pełno...

...oczy. Oczy Woermanna wychodziły z orbit i przez moment Kaempffer miał wrażenie, że poruszyły się, kiedy podchodził. Zaraz jednak wytłumaczył sobie, że to tylko odbicie światła, padającego z rozwieszonych pod sufitem żarówek.

Zatrzymał się przed wiszącym ciałem kolegi oficera. Klamra pasa Woermanna znalazła się o kilka centymetrów od jego nosa. Podniósł głowę, by spojrzeć na twarz wisielca, napuchniętą, obrzmiałą, siną.

...znów te oczy. Zdawało się, że patrzą na niego. Odwrócił wzrok i dostrzegł cień Woermanna na ścianie. Jego kształt był taki sam, dokładnie, jak cień wisielca, który widział na niedokończonym obrazie w kwaterze kapitana.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

Prekognicja? Czy Woermann przewidział własną śmierć? Czy też samobójstwo cały czas tkwiło w jego podświadomości?

Zadowolenie zniknęło, gdy Kaempffer zdał sobie sprawę z faktu, że był teraz jedynym oficerem w twierdzy. Od tej chwili cała odpowiedzialność spoczywa na nim. Być może właśnie on został już naznaczony na kolejną ofiarę. Co powinien...

Na dziedzińcu huknęły strzały.

Zaskoczony, Kaempffer obejrzał się, zobaczył, jak Oster spogląda w głąb korytarza i odwraca się z powrotem do niego. Lecz wyraz zaskoczenia na twarzy sierżanta zmienił się w maskę przerażenia, gdy jego wzrok przeniósł się wyżej, ponad głowę majora. Kaempffer chciał sprawdzić, co wywołało taką reakcję, i wtedy poczuł na szyi ucisk silnych, zimnych jak kamień **palców**.

Próbował odskoczyć, kopnąć tego, który stał za nim, ale jego stopa trafiła w powietrze. Otworzył usta do krzyku, lecz wydał z siebie jedynie stłumiony bulgot. Szarpiąc się, próbując oderwać od szyi palce, które wolno dusiły w nim życie,

rozpaczliwie wykręcił głowę, by sprawdzić, kto go zaatakował. Już wiedział — wiedział jakimś zamroczonym przerażeniem fragmentem umysłu — ale musiał zobaczyć! Wygiął szyję, dostrzegł rękaw napastnika, szary rękaw żołnierskiego munduru, podążył wzrokiem wzdłuż niego... w górę... do Woermanna.

„Przecież on nie żyje!”

Kaempffer wił się w rozpaczliwym przerażeniu, szarpał paznokciami martwe dłonie, zaciskające palce na jego krtani. Bez rezultatu. Straszliwa siła unosiła go za szyję, powoli i nieubłaganie, wreszcie dotykał podłogi jedynie czubkami palców, a potem wcale. Wyciągnął ramiona do Oстера, lecz sierżant nie mógł mu pomóc. Jego twarz była maską grozy. Przyciskając plecy do ściany, centymetr za centymetrem odsuwał się coraz dalej. Coraz dalej! Sprawiał wrażenie, że w ogóle nie dostrzega Kaempffera. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w swego dowódcę, który był martwy... a mimo to popełniał morderstwo.

W umyśle Kaempffera przesuwwały się oderwane obrazy, ciąg widoków i dźwięków, z każdym uderzeniem coraz wolniej bijącego serca, bardziej rozmytych i niewyraźnych.

...z dziedzińca dobiegły strzały, zmieszane z wrzaskami przerażenia i bólu... Oster cofa się korytarzem nie dostrzegając, jak zza zakrętu wynurzają się dwa żywe trupy; jeden z nich to szeregowiec Einsatzkommando Flick, martwy od pierwszej nocy w twierdzy... Oster, widzi ich, ale zbyt późno; nie wie, w którą stronę uciekać... strzały z zewnątrz, grad pocisków... strzały w korytarzu — to Oster pakuje kolejne serie w dwa ciała; pociski rozrywają ich mundury, szarpią nimi, ale umarli nie zwalniają marszu... wrzask sierżanta, gdy trupy chwytają go za ramiona i z rozmachem pchają głową w przód na kamienną ścianę... krzyk urywa się w obrzydliwym trzasku, gdy czaszka Oстера pęka jak skorupka jaja...

Wzrok Kaempffera zaszedł mgłą. Dźwięki stały się przytłumione. Mózg formował słowa modlitwy: „Boże! Pozwól mi żyć! Zrobię wszystko, co każesz, ale pozwól mi żyć!”

Trzask. Nagły upadek na podłogę. To lina urwała się pod

ciężarem dwóch ciał. Lecz ucisk na gardło nie zelżał... Mgła zasnuwa myśl... w gasnącym blasku żarówek dostrzegł jeszcze, jak ciało sierżanta Oстера ze strzaskaną czaszką podnosi się i rusza za swymi mordercami na dziedziniec... I na samym końcu Kaempffer spojrział jeszcze na wykrzywione rysy twarzy Woermanna...

...i dostrzegł uśmiech.

Na dziedzińcu panował chaos.

Wszędzie pojawiały się chodzące trupy, mordujące żołnierzy w łózkach i na posterunkach. Kule nie mogły ich zranić — i tak nie żyli. Przerażeni eks-towarzysze broni wystrzelili w nich grad pocisków, lecz martwi wciąż szli. Gorzej jeszcze — gdy tylko ginął ktoś z żywych, świeży trup wstawał natychmiast i przyuczał się do napastników.


Para żołnierzy w czarnych mundurach w panice uniosła sztabę blokującą bramę i zaczęła rozwierać wierzeje. Zanim jednak zdołali precyzyjnie się przez szczelinę między skrzydłami wrót, dopadnięto ich z tyłu i powalono na ziemię. W chwilę później stali znowu przed otwartą bramą w szeregu trupów, pilnując, by żaden z żyjących kolegów nie wydostał się na zewnątrz.

Nagle zgasły światła. To seria dziewięciomilimetrowych pocisków rozbiła generator.

Kapral SS skoczył do łazika i wcisnął rozrusznik w nadziei, że przebije się przez bramę. Zbyt szybko jednak puścił sprzęgło i zimny silnik zgasł. Martwe ręce ściągnęły go z siedzenia i zadusiły, zanim zdołał na powrót uruchomić maszynę.

Jakiś szeregowiec, drżący i pojękujący pod łóżkiem, został uduszony własnym śpiworem przez bezgłowe ciało, znane kiedyś pod nazwiskiem Lutz.

Strzelanina zaczęła przycichać. Nieustający huk wystrzałów zastąpiły pojedyncze, coraz rzadsze trzaski. Wrzaski ucichły, przez chwilę ktoś jeszcze krzychał w żołnierskich kwaterach, wreszcie i on zamilkł. Zapadła cisza. Trupy, stare i nowe, stały nieruchomo, jakby na coś czekając.



Nagle, bezgłośnie, wszystkie prócz dwóch upadły na ziemię. Pozostała para ruszyła wolno i powłócząc nogami skryła się w wejściu do piwnic. Na dziedzińcu pozostała wysoka, ciemna postać, nareszcie absolutny władca twierdzy.

A kiedy mgła napłynęła kłębamii przez otwartą bramę, powoli zajmując teren, skrywając kamienie bruku i nieruchome ciała pod falującą warstwą szarości, postać odwróciła się i podążyła do podziemi.

XXVIII

Magdę obudził dobiegający z twierdzy huk wystrzałów. Z początku przełękała się, że Niemcy dowiedzieli się jakoś o planach Papy i właśnie go rozstrzelują. Ta straszna myśl trwała. Jedynie przez chwilę. To, co słyszała, nie było równym dźwiękiem oddanej na rozkaz salwy. To były bezładne odgłosy bitwy.

Bitwy, która skończyła się szybko.

Skulona na wilgotnej ziemi zauważyła, że gwiazdy bledną na coraz jaśniejszym niebie. Odgłosy strzałów umilkły w chłodzie przedświt. Ktoś lub coś odniosło zwycięstwo. Była pewna, że to Molasar.

Wstała i podeszła do Glenna. Oddychał szybko, a twarz miał zlaną potem. Gdy zsunęła z niego koc, by obejrzeć rany, krzyknęła zdumiona — jego ciało było skąpane w płynącym z ostrza błękitnym blasku. Dotknęła go ostrożnie. Poświata nie parzyła, budziła jednak delikatne mrowienie i wrażenie ciepła. Pod poszarpaną koszulą Glenna wyczuła coś twardego, jakby napałek. Wyjęła to coś.

W słabym świetle dopiero po chwili zorientowała się, że trzyma w ręku kawałek ołowiu. Pocisk.

Przesunęła dłońmi po ciele Glenna. Było ich więcej, całe mnóstwo. Za to ran wyraźnie ubyło. Większość zniknęła, pozostawiając tylko niewielkie blizny w miejsce otworów, w które wcześniej dało się wsunąć palec. Zsunęła podartą, zakrwawioną koszulę, by odsłonić brzuch, gdzie wyczuła pod skórą jakąś narośl. Po prawej stronie ostrza, które tak silnie

przyciskał do piersi, otwierała się rana z czymś twardym tuż pod skórą. Kiedy patrzyła, to coś wolno, boleśnie przebiło się na zewnątrz —jeszcze jedna kula. To było wspaniałe i budziło lęk: miecz, jego blask, usuwał pociski z ciała Glenna i leczył rany. Magda przyglądała się w zdumieniu.

Blask zaczął przygasać.

— Magda...

Podskoczyła. Głos Glenna był o wiele mocniejszy niż wtedy, kiedy wy dostał się z wozu. Przykryła go znowu, naciągając koc aż po szyję. Oczy miał otwarte i patrzył na twierdzę.

— Odpocznij jeszcze trochę — szepnęła.

— Co się tam dzieje?

— Słyszałam strzały. Bardzo dużo.

Glenn jęknął i spróbował usiąść. Magda bez wysiłku położyła go z powrotem. Był jeszcze bardzo słaby.

— Muszę do twierdzy... zatrzymać Rasaloma.

— Kto to jest Rasalom?

— Ten, którego ty i twój ojciec nazywacie Molasarem. Na wasz użytek odwrócił swoje imię... Naprawdę nazywa się Rasalom. Muszę go zatrzymać.

Znowu próbował usiąść i znowu Magda mu przeszkodziła.

— Już prawie świta. Wampir nie może nic zrobić za dnia, więc...

— Boi się słońca nie bardziej niż ty!

— Przecież wampiry...

— On nie jest wampirem! Nigdy nie był. Inaczej — w głosie Glenna zabrzmiała rozpacz — nie męczyłbym się, żeby go zatrzymać.

Poczuła strach, jakby chłodna dłoń dotknęła jej pleców.

— Nie jest wampirem?

— Jest źródłem wszystkich legend o wampirach, ale nie pożąda niczego tak prymitywnego jak krew. Ten mit trafił do baśni, ponieważ ludzie mogą widzieć krew, mogą jej dotykać. Tego, czym żywi się Rasalom, nie można ani zobaczyć, ani dotknąć.

— Masz na myśl to, co mówiłeś ostatniej nocy, zanim żołnierze... nadeszli? — nie chciała pamiętać tych wydarzeń.

— Tak. On czerpie siłę z ludzkiego bólu, nieszczęścia

i szaleństwa. Może się żywić cierpieniem tych, którzy giną z jego ręki, więcej jednak daje mu okrucieństwo człowieka wobec człowieka.

— To śmieszne! Nie może żywić się czymś takim! To zbyt... niematerialne!

— Czy światło słońca jest zbyt niematerialne dla kwiatu, by wystarczyło mu do rozkwitu? Uwierz mi: Rasalom żywi się tym, czego nie można dotknąć ani zobaczyć i co jest złe.

— Mówisz tak, jakby był samym Wężem!

— Masz na myśl Szatana? Diabła? — Glenn uśmiechnął się słabo. — Możesz zapomnieć o wszelkich znanych religiach. Rasalom prześladowa je wszystkie.

— Trudno uwierzyć...

— Ocalał z Pierwszej Ery. Udał przed wami, że jest pięćset-letnim wampirem, bo pasowało to do historii twierdzy i tego regionu. A że w ten sposób wzbudzał trwogę... to jeszcze jedna z jego przyjemności. Naprawdę jest o wiele, wiele starszy. Wszystko, co mówił twojemu ojcu, wszystko było kłamstwem. Z wyjątkiem tego, że jest teraz słaby i musi odbudować swą siłę.

— Wszystko? Przecież mnie uratował. Uleczył Papę. A ci wieśniacy, których major wziął na zakładników? Ocalił ich od śmierci. Przecież major by ich rozstrzelał.

— Nikogo nie ocalił. Powiedziałaś, że zabił dwóch żołnierzy, którzy pilnowali wieśniaków. Ale czy ich potem uwolnił? Nie! Do morderstwa dodał obrazę, prowadząc zabitych do kwatery majora, żeby ten wyszedł na dumnie. Rasalom chciał go sprowokować, by natychmiast kazał pozabijać chłopów. Takie bestialstwa zwiększają jego siłę. A po ponad pięciuset latach więzienia potrzebował siły. Szczęśliwie, wydarzenia potoczyły się tak, że zakładnicy przeżyli.

— Więzienia? Przecież mówił Papie... — urwała nagle. — Jeszcze jedno kłamstwo?

Glenn kiwnął głową.

— Wbrew temu, co mówił, Rasalom nie zbudował twierdzy. Ani się w niej nie ukrywał. Twierdza powstała, by go schwytać i uwięzić... na zawsze. Kto mógł przewidzieć, że ona sama, czy cokolwiek na Przełęczy Dinu, stanie się obiektem zaintereso-

powiedział Glenn, gdy cisza wydłużała się. — Rasalom został uwolniony pierwszej nocy, zaraz po przybyciu Niemców do twierdzy. Miał wtedy zaledwie tyle siły, by zabić jednego z nich. Potem odpoczywał. Jego strategią, jak sądzę, było zabijanie ich pojedynczo i żywienie się tymi codziennymi zgonami oraz lękiem, który po każdym morderstwie narastał wśród tych, co pozostali przy życiu. Musiał uważać, by nie zabić zbyt wielu naraz, a zwłaszcza oficerów, gdyż żołnierze mogliby uciec. Liczył na jedną z trzech rzeczy: albo Niemcy wpadną w taką panikę, że wysadzą twierdzę w powietrze i uwolnią go ostatecznie, albo będą sprowadzać posiłki, które on będzie wybijał, żywiąc się strachem i śmiercią, albo zdoła przeciągnąć na swoją stronę kogoś niewinnego.

— Papę — Magda ledwie słyszała własny głos.

— Lu[^] ciebie. Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że przy pierwszym spotkaniu koncentrował się głównie na tobie. Potem jednak kapitan odesłał cię do gospody i znalazłaś się poza jego zasięgiem. Musiał więc przekonać twojego ojca.

— Mógł przecież wykorzystać któregoś z żołnierzy!

— Najwięcej siły daje mu zniszczenie wszystkiego, co w człowieku dobre. Rozpad wartości jednego uczciwego znaczy dla niego więcej, niż tysiąc morderstw. To uczyła Rasaloma. Żołnierze byli beużyteczni. Weterani z Polski i innych kampanii, z dumą zabijali dla swego Führera. Bez wartości. A posiłki... wartownicy obozów śmierci! W tych bestiach nie pozostało nic, co można by zniszczyć. Jedyną więc korzyścią, jaką miał z Niemców, poza ich strachem i przedśmiertnym cierpieniem, było użycie ich jako narzędzi do kopania.

Magda nie zrozumiała.

— Kopania?

— Żeby wydobyć rękojęść. Podejrzewam, że to „coś”, co szurało w podziemiu, kiedy ojciec cię odesłał, to właśnie grupa martwych żołnierzy, wracających pod swoje całuny.

Chodzące trupy... sama myśl była groteskowa, zbyt fantastyczna, by brać ją poważnie. Pamiętała jednak opowiadanie majora o tym, jak para żołnierzy przeszła z miejsca swej śmierci do jego pokoju.

— Jeśli miał moc, by sprawić, że umarli chodzili, to czemu któryś z nich nie mógł wynieść rękojeści?

— Niemożliwe. Rękojeść neutralizuje jego władzę. Kontrolowane przez Rasaloma ciało, gdy tylko jej dotknie, stanie się na powrót zwykłym trupem — zamilkł na moment. — To twój ojciec będzie musiał wynieść rękojeść z twierdzy.

— Ale kiedy Papa jej dotknie, to przecież Rasalom straci nad nim władzę!

Glenn ze smutkiem pokręcił głową.

— Na pewno sama już rozumiałaś, że on pomaga Rasalomowi z własnej chęci... Nawet z entuzjazmem. Bez trudu wyniesie rękojeść, ponieważ działa powodowany jedynie własną, wolną wolą.

Magda poczuła chłód w okolicy serca.

— Przecież Papa nie wie! Czemu mu nie powiedziałaś?

— To była jego walka, nie moja. Poza tym nie mogłem pozwolić, by Rasalom dowiedział się o mojej obecności. Zresztą, twój ojciec i tak by mi nie uwierzył, wołał raczej mnie nienawidzić. To, jak Rasalom pracował nad nim, to istne arcydzieło. Małymi krokami niszczył jego charakter, zdierał kolejne warstwy tego, w co profesor wierzył, pozostawiając w końcu jedynie najbardziej pierwotną, sprzedajną część natury.

To prawda! Magda widziała wszystko na własne oczy i choć nie chciała tego przyznać, to była prawda!

— Mogłeś mu pomóc!

— Być może. Ale wątpię. Twój ojciec toczył bitwę z samym sobą, nie tylko z Rasalomem. A w ostatecznym rozrachunku, ze złem zawsze walczy się samotnie. Twój ojciec usprawiedliwiał zło, które wyczuwał w Rasalomie, a wkrótce potem uznał je za rozwiązanie swych problemów. Rasalom zaczął od religii.

Nie boi się krzyża, udawał tylko, by twój ojciec zważył w całe swoje dziedzictwo, utracił wiarę w wartości z tego dziedzictwa płynące. Potem Rasalom uratował cię od gwałtu — co dowodzi elastyczności i zdolności adaptacji — i ojciec stał się jego dłużnikiem. Dalej, Rasalom obiecał mu szansę zniszczenia faszystów i ocalenia jego narodu. Aż wreszcie ostatnie posunięcie — eliminacja wszelkich objawów choroby, która dręczyła twojego ojca od lat. Wtedy miał już do dyspozycji chętnego

ślugę, który z radością wypełniłby każde niemal polecenie. Rasalom nie tylko zniszczył większą część osobowości człowieka, którego nazywasz Papą, ale uformował z niego narzędzie, które uwolni z twierdzy największego wroga ludzkości.

Glenn usiadł z wysiłkiem.

— Muszę zatrzymać Rasaloma raz na zawsze.

— Zostaw go, niech sobie idzie — szepnęła Magda. Myśl o tym, co zdarzyło się z Papą, a raczej, na co Papa pozwolił, by się z nim stało, sprawiała ból. Nie mogła się powstrzymać od pytań: czy ona sama albo ktokolwiek inny byłby zdolny wytrzymać takie obłężenie osobowości? — Może wtedy ojciec uwolni się od jego wpływu i wszystko znowu będzie jak dawniej.

— Nie będziesz miała życia, do którego mogłabyś wrócić, kiedy Rasalom znajdzie się na wolności.

— W tym świecie Hitlera i Żelaznej Gwardii, cóż może zrobić Rasalom, czego jeszcze by nie zrobiono?

— Nie słuchaś! — przerwał gniewnie Glenn. — Rasalom na wolności sprawi, że Hitlera uznasz za odpowiedniego towarzysza zabaw dla dzieci, które może planujesz urodzić.

— Nie może być nic gorszego niż Hitler — oświadczyła Magda. — Nic.

— Rasalom może. Nie rozumiesz, Magdo, że jakkolwiek zły jest Hitler, zawsze pozostaje nadzieja? Przecież to tylko człowiek. Jest śmiertelny. Pewnego dnia umrze albo zostanie zabity... może jutro, może za trzydzieści lat, ale musi umrzeć. Panuje tylko nad niewielką częścią świata. Wprawdzie wydaje się niezwyciężony, ale czeka go jeszcze rozprawa z Rosją. Anglia nadal się broni. I została jeszcze Ameryka... jeśli Amerykanie zdecydują się użyć swej wynalazczości i mocy produkcyjnych do wojny, żaden kraj, nawet hitlerowskie Niemcy, nie zdoła długo się im opierać. Sama więc widzisz, że nawet w tej czarnej godzinie pozostała jeszcze nadzieja.

Magda powoli kiwnęła głową. To, co mówił Glenn, zgadzało się z jej własnymi odczuciami — nigdy nie straciła nadziei.

— Ale Rasalom...

— Rasalom, jak już mówiłem, żywi się ludzkim cierpieniem. Nigdy jeszcze w historii ludzkości nie było go tak wiele, jak

dziś we wschodniej Europie. Dopóki rękojeść znajduje się w twierdzy, Rasalom jest nie tylko uwięziony, ale też odizolowany od wszystkiego, co dzieje się na zewnątrz. Wystarczy usunąć rękojeść, a wszystko dotrze do niego w jednej chwili — wszystkie te śmierci, nieszczęścia, rzezie w Buchenwaldzie, Dachau, Auschwitz i wszystkich innych obozach, wszelkie okropności współczesnej wojny. Wchłonie to jak gąbka i stanie się straszliwie silny. Jego potęga wzrośnie ponad wszelkie wyobrażenie. To jednak go nie zaspokoi. Będzie chciał więcej. W krótkim czasie okrąży cały świat, mordując głowy państw, wywołując zamieszanie w rządach, zmieniając narody w przerażone tłumy. Jaka armia stawi opór legionom martwych, których potrafi ożywić? Prędko zapanuje chaos. I wtedy dopiero zacznie się to, co najgorsze. Wyobraź sobie, że cały świat jest obozem śmierci.

Umysł Magdy wzdragał się przed opisywaną przez Glenna wizją.

— To niemożliwe!

— Dlaczego nie? Sądysz, że braknie ochotników do prowadzenia obozów Rasaloma? Naziści udowodnili, jak wielu jest ludzi chętnych do mordowania bliźnich. Ale na tym się nie skończy. Widziałas przecież, co działo się dzisiaj we wsi, prawda? Wszystko, co w ludzkiej naturze najgorsze, wypłynęło na powierzchnię. Chłopi reagowali wyłącznie gniewem, nienawiścią i przemocą.

— Ale jak?

— Wpływ Rasaloma. Był coraz silniejszy, żywiąc się śmiercią, strachem i powolnym upadkiem twojego ojca. Równocześnie żołnierze stopniowo rozbierali mury twierdzy. Każdego dnia demontowali część wewnętrznego struktury, niszcząc jej spójność. I każdego dnia wpływ Rasaloma sięgał dalej za mury. Twierdza została wzniesiona według pradawnego planu, wizerunki rękojeści tworzyły w murach specyficzny wzór, mający odciąć Rasaloma od świata, ograniczyć jego zasięg, zamknąć we wnętrzu. Ten wzorzec uległ częściowemu zniszczeniu i ludzie z wioski za to płacą. Gdy Rasalom ucieknie i wchłonie ludzkie cierpienia z obozów śmierci, podobną cenę zapłaci cały świat. On nie będzie wybierał ofiar, jak Hitler,

jego celem stanie się każdy. Rasa czy religia nie będą miały żadnego znaczenia. W tych sprawach Rasalom wyznaje prawdziwą równość. Bogaci nie zdołają się wykupić, pokorni wyprosić łaski, sprytni wymkną się. Będą cierpieć, a najbardziej dzieci i kobiety. Ludzie będą się rodzić do nieszczęść, żyć w rozpacz i umierać w bólu. Pokolenie za pokoleniem, wszyscy będą karmić Rasaloma.

Przerwał, by zaczerpnąć tliu. Po chwili kontynuował:

— A najgorsze jest to, Magdo, że nie będzie żadnej nadziei. Ani końca! Rasalom jest niedotykalny, niezwycięzony, nieśmiertelny. Jeśli wydostanie się teraz na wolność, nic go już nie powstrzyma. Zawsze w przeszłości ten miecz trzymał go w szachu. Teraz jednak, gdy świat jest taki, jaki jest... stanie się zbyt silny, by nawet ostrze połączone z rękojęścią mogło mu zagrozić. Nie może opuścić twierdzy!

Magda zrozumiała, że Glenn chce tam pójść.

— Nie! — krzyknęła, obejmując go ramionami. Nie mogła na to pozwolić. — Zginiesz w tym stanie! Czy nie ma nikogo innego?

— Tylko ja. Nikt inny nie zdoła tego uczynić. Tak jak twój ojciec, muszę tę walkę stoczyć sam. Przecież to moja wina, że Rasalom nadal istnieje.

— Jak to?

Glenn milczał. Magda spróbowała innego podejścia.

— Skąd pochodzi Rasalom?

— Był człowiekiem... kiedyś. Ale oddał się potędze ciemności, która odmieniła go na zawsze.

Lęk ścisnął Magdę za gardło.

— Ale jeżeli Rasalom służy „potędze ciemności”, to komu ty służysz?

— Innej potędze.

Wyczuła jego opór, lecz nie zrezygnowała.

— Mocy dobra?

— Może.

— Od jak dawna?

— Przez całe życie.

— Jak to możliwe? — bała się usłyszeć odpowiedź. — Dlaczego mówisz, że to twoja wina.

Odwrócił wzrok.

— Nie nazywam się Glenn, tylko Glaeken. Jestem równie stary jak Rasalom. To ja zbudowałem twierdzę.

Od zejścia do wykopu Cuza nie widział Molasara. Wampir powiedział, że Niemcy muszą zapłacić za zajęcie twierdzy, po czym jego głos ucichł. Ciała poruszyły się znowu, wychodząc z podziemia w ślad za mityczną istotą, władającą ich ruchami.

Profesor pozostał sam z zimmem, szczurami i talizmanem. Żałował, że nie mógł pójść z nimi. Najważniejsze jednak, że już niedługo wszyscy zginą, oficerowie i żołnierze, bez różnicy. Mimo to z przyjemnością obserwowałby śmierć majora Kaempffera, patrzyłby jak cierpi, tak samo jak tyłu bezradnych niewinnych ludzi, którzy zginęli z jego polecenia.

Molasar jednak kazał czekać. Słyszając słabe echa strzelaniny na dziedzińcu Cuza zrozumiał, dlaczego: wampir nie chciał narażać człowieka, któremu powierzył źródło swej siły, na przypadkową śmierć od jakiejś zabłąkanej kuli. Zresztą po krótkiej chwili strzały umilkły. Pozostawiając talizman, profesor chwycił latarkę i wydostał się z wykopu na górę. Stał wśród niezliczonych szczurów, którymi przestał się już niepokoić — zbyt był skupiony na oczekiwaniu powrotu Molasara.

Wkrótce usłyszał kroki, i to nie pojedyncze. Błysnął latarka w stronę wejścia i zobaczył, jak zza zakrętu wylania się major Kaempffer. Cuza krzyknął słabo i niewiele brakowało, by wpadł do wykopu, lecz zaraz dostrzegł zaszkłone oczy SS-mana i jego nieruchomą twarz. Zrozumiał, że major nie żyje. Za nim szedł martwy Woermann ciągnąc za sobą zapętłony na szyi kawał sznura.

— Pomyślałem, że chętnie zobaczysz tę dwójkę — wyjaśnił Molasar, wchodząc do komory. — Zwłaszcza tego, który zamierzał wybudować tak zwany obóz śmierci dla naszych rodaków Wołochów. A teraz odszukam Hitlera i zabiję go, wraz z jego sługusami — przerwał na moment. — Ale najpierw talizman. Musisz ukryć go w bezpiecznym miejscu w górach. Dopiero wtedy będę mógł poświęcić swe siły usunięciu ze świata naszego wspólnego wroga.

— Tak — Cuza czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. — Jest tutaj!

Zsunął się do dołu, chwycił talizman, wsunął go pod pachę. Kiedy wspinał się z powrotem, zauważył, że Molasar cofa się o krok.

— Zawiąń go — polecił. — Szlachetne metale mogą zwracać uwagę.

— Oczywiście — profesor sięgnął po odrzucone opakowanie. — Owinę go szczelnie, jak tylko będę miał lepsze światło. Na górze. Nie martw się, dopilnuję wszystkiego.

— Zawiąń go natychmiast! — krzyk odbił się echem od ścian skalnej komory.

Cuza znieruchomiał, zaskoczony wybuchem Molasara. Nie uważały, by tamten zachowywał się odpowiednio krzyżąc na niego. No trudno, piętnastowieczni bojarzy mają swoje prawa.

Westchnął.

— Dobrze — przykucnął na dnie wykopu i zapakował talizman w dwie warstwy szorstkiego materiału.

— Świetnie — głos dobiegał z góry i gdzieś z tyłu. Cuza podniósł głowę. Molasar przeszedł na drugą stronę wykopu, naprzeciw wejścia. — Spiesz się teraz. Im szybciej dowiem się, że talizman jest bezpieczny, tym szybciej wyruszę do Niemiec.

Cuza wyczołgał się z dołu najszybciej jak mógł i ruszył korytarzem do stopni, które miały wyprowadzić go na światło nowego dnia, nie tylko dla niego samego i jego narodu, ale dla całego świata.

— To długa historia, Magdo... trwa całe wieki. Obawiam się, że braknie czasu, by ją opowiedzieć.

Głos Glenna dobiegał jakby z końca długiego, ciemnego tunelu. Powiedział, że Rasalom prześladowuje judaizm... i jeszcze, że on sam jest tak samo stary. Ale to niemożliwe! Człowiek, którego kochała, nie mógł być jakąś pozostałością z zapomnianych czasów! Był realny! Był istotą ludzką! Z krwi i kości!

Jakiś ruch zwrócił jej uwagę i sprowadził na powrót do rzeczywistości. To Glenn próbował wstać, podpierając się

klina. Udało mu się uklęknąć, lecz był zbyt słaby, by się podnieść.

— Kim ty jesteś? — spytała patrząc na niego tak, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. — I kim jest Rasalom?

— Ta historia zaczęła się dawno temu — odparł. Był zły i opierał się na ostrzu. Nie mógł utrzymać równowagi. — Przed czasami faraonów, przed Babilonem, nawet przed Mezopotamią. W innej epoce, za czasów innej cywilizacji.

— Pierwsza Era — powiedziała Magda. — Wspominałeś o niej.

Sama idea nie była nowa. Czytała już o tej niepewnej hipotezie w czasopiśmie historycznych i archeologicznych, gdy pomagała Papie przy studiach. Głosiła ona, że cała pisana historia dotyczy jedynie Drugiej Ery ludzkości; że dawno, dawno temu w Europie i Azji istniała inna cywilizacja — niektórzy z jej wyznawców posuwali się do tego, by włączyć do tego pradawnego świata także wyspy Atlantyda i Mu. Cywilizację tę, jak twierdzili, zniszczył jakiś globalny kataklizm.

— Ta idea została zdyskredytowana — oświadczyła niepewnie. — Wszyscy historycy i archeolodzy o uznanym autorytecie uznają ją za szaleństwo.

— Wiem o tym — Glenn skrzywił się ironicznie. — Takie same autorytety szczyły z teorii, że Troja istniała naprawdę. A potem Schliemann ją znalazł. Nie mam jednak zamiaru dyskutować. Pierwsza Era jest faktem. Urodziłem się wtedy.

— Ale jak...?

— Pozwól mi skończyć. Nie mamy wiele czasu, a chcę, byś zrozumiała pewne sprawy, zanim wyruszę na spotkanie Rasaloma. Świat w Pierwszej Erze wyglądał inaczej niż dziś. Był polem bitwy między dwoma... — szukał właściwego słowa. — Nie powiem bogami, gdyż odniosłabyś wrażenie, że były to oddzielne jedności i osobowości. Chodzi o dwie ogromne, niepojęte... siły... Moce, istniejące na ziemi. Jedna, Moc Ciemności, zwana Chaosem, podejmowała wszelkie wrogie ludziom działania. Ta druga...

Znów przerwał. Magda nie mogła się powstrzymać od podpowiedzi:

— Masz na myśli Moc Jasności... potęgę Dobra?

— To nie takie proste. Nazywaliśmy ją Światłem. Liczyło się tylko to, że sprzeciwiała się Chaosowi. Świat Pierwszej Ery podzielił się w efekcie na dwa obozy: tych, którzy poprzez Chaos dążyli do władzy, i tych, którzy się opierali. Rasalom był wtedy czarnoksiężnikiem, wyróżniającym się adeptem Mocy Ciemności. Oddał się jej całkowicie i w końcu został Reprezentantem Cliaosu.

— A ty postanowiłeś być Reprezentantem Światła... Dobra? — tak bardzo Chciała, by to potwierdził.

— Nie... Niezupełnie ja o tym decydowałem. I trudno powiedzieć, by Moc, której służę, była całkowicie dobra czy jasna. Zostałem... powołany, można by rzec. Okoliczności zbyt złożone, by je tu wyjaśniać, a które dawno już straciły dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, doprowadziły do tego, że przyłączyłem się do armii Światła. Wkrótce stwierdziłem, że nie potrafię się wycofać i po niedługim czasie znalazłem się na czele, jako przywódca. Wtedy otrzymałem miecz. Ostrze i rękojeść wykuła rasa niewielkiego ludu, dawno już wymarła. Został stworzony dla jednego tylko celu: zniszczenia Rasaloma. Doszło do ostatecznego starcia między przeciwnymi potęgami — Armageddon, Ragnarök, wszystkie legendarne bitwy złączone w jedną. Kataklizm, który wybuchł w rezultacie — trzęsienia ziemi, burze ogniowe, fale — starty z powierzchni ziemi wszelki ślad po Pierwszej Erze Człowieka. Pozostała jedynie garstka ludzi, by zacząć wszystko od nowa.

— A obie Moce?

Glenn wzruszył ramionami.

— Nadal istnieją, lecz po katastrofie przestały się nami interesować. Niewiele dla nich pozostało w zniszczonym świecie, którego mieszkańcy dziczeili powoli. Przeniosły swą uwagę w inne miejsce, a Rasalom i ja walczyliśmy przez wieki i kontynenty. Żaden nie zyskiwał trwałej przewagi, żaden się nie starzał i nie chorował. I gdzieś po drodze coś utraciliśmy.

Spojrzał na odlamek lustra, który wypadł z pudła, a teraz leżał koło jego kolana.

— Podnieś je, żebym mógł się przejrzeć — polecił.

Magda przysunęła fragment lustra do jego pochzka.

— Jak w nim wyglądam? — zapytał.

Spojrzała... i z cichym krzykiem upuściła odłamek. Lustro nie pokazywało niczego! Tak samo jak wtedy, kiedy Papa patrzył na Rasaloma!

Człowiek, którego kochała, nie odbijał się!

— Moce, którym służymy, odebrały nam odbicia, może jako stałe przypomnienie, że nasze życie nie należy już do nas — zamyślił się. — To dziwne uczucie, nie widzieć siebie w lustrze czy kałuży wody. Nie można się do niego przyzwyczaić. Chyba już zapomniałem, jak wyglądam — dodał ze smutnym uśmiechem.

Magda poczuła, że litość ściska ją za serce.

— Glenn...

— Nigdy jednak nie zaprzestałem pościgu za Rasalomem — mówił dalej, otrząsnąwszy się ze smutnych myśli. — Skądkolwiek dochodziły wieści o śmierci i rzeziach, znajdowałem się i przepędzałem. Lecz kiedy ludzie odbudowywali cywilizację i znowu zaczęli zbierać się w duże gromady, Rasalom udoskonalił swoje metody. Zawsze starał się powodować śmierć i nieszczęścia, a kiedy w czternastym wieku ruszył z Konstantynopola przez Europę, zostawiając w każdym mieście zarażone szczury...

— Czarna Śmierć!

— Tak. Bez Rasaloma byłaby to tylko niewielka epidemia, jak wiesz jednak, stała się jedną z większych katastrof Średniowiecza. Wtedy pojąłem, że muszę go powstrzymać, zanim wymyśli coś jeszcze bardziej potwornego. I gdybym wykonał swoje dzieło dobrze, nie byłoby tu dzisiaj żadnego z nas.

— Jak możesz siebie winić? Przecież to nie przez ciebie Rasalom się wydostał. To Niemcy go wypuścili.

— Powinien nie żyć! Mogłem go zabić pięćset lat temu i nie zrobiłem tego. Przybyłem tutaj szukając Vlady. Słyszałem o jego bestialstwach, świetnie pasujących do Rasaloma. Przypuszczałem, że to on właśnie jest Vladem. Myliłem się. Vlad był zwykłym szaleńcem, pozostającym pod wpływem Rasaloma, który czerpał siłę z cierpień tysięcy niewinnych, konających na palach ofiar. Ale nawet czyny Vlady są niczym w porównaniu z tym, co dzieje się każdego dnia w obozach śmierci. Zbudowałem twierdzę. Zwaбіłem Rasaloma do wnętrza, związałem mocą

rękojeści i zamknąłem w murze piwnicy, gdzie miał pozostać na zawsze — westchnął. — Przynajmniej myślałem, że na zawsze. Mogłem go wtedy zabić, powinienem go zabić, ale nie zrobiłem tego.

— Dlaczego nie?

Glenn przyknuł oczy i milczał długo, nim odpowiedział.

— Niełatwo to wyjaśnić... Bałem się. Widzisz, żyłem na świecie jako przeciwwaga dla Rasaloma. Co by się stało, gdybym w końcu zwyciężył i zabił go? Gdyby zniknęło zagrożenie, co stałoby się ze mną? Przeżyłem całe epoki, ale nie chciałem umierać. Trudno uwierzyć, lecz zawsze dzieje się coś nowego — otworzył oczy i spojrzał na Magdę. — Zawsze. Lękam się jednak, że istnienie jednego z nas zależne jest od drugiego. Jestem jak Jang dla jego In. Nie chcę jeszcze umierać.

— Możesz umrzeć? — Magda musiała wiedzieć.

— Tak. Nie jest łatwo mnie zabić, ale to możliwe. Nie przeżyłbym ran, które dzisiaj odniosłem, gdybyś nie przyniosła klingi. Byłem już bħski granicy... zginąłbym bez ciebie — patrzył na nią przez chwilę, po czym odwrócił głowę ku twierdzy. — Rasalom myśl pewnie, że już po mnie. Może potrafię to wykorzystać.

Magda chciała zarzucić mu ręce na szyję, ale nie umiała się zmusić, by go dotknąć. Jeszcze nie. Zrozumiała przynajmniej, skąd brało się poczucie winy, jakie czasem widziała na jego twarzy.

— Nie chodź tam, Glenn.

— Mów do mnie: Glaeken — poprosił. — Już tak dawno nikt nie nazywał mnie prawdziwym imieniem.

— Dobrze... Glaeken — przyjemnie było wypowiadać to słowo, jakby zwracając się do niego prawdziwym imieniem silniej się z nim wiązała. Tyle jednak pytań pozostało bez odpowiedzi.

— A skąd wzięły się te potworne księgi? Kto je tu ukrył?

— Ja. W niewłaściwych rękach mogą się stać niebezpieczne, ale nie mogłem pozwolić, by je zniszczono. Każda wiedza, zwłaszcza wiedza o siłach zła, zasługuje na przetrwanie.

Wahała się z zadaniem następnego pytania. W miarę, jak mówił, pojmowała, że nie dba o to, ile ma lat. Nadal był tym

samym człowiekiem, którego znała. Ale jakie uczucia żywił wobec niej?

— Co ze mną? — spytała w końcu. — Nic mi nie powiedziałaś... — Chciała wiedzieć, czy była dla niego jedynie przystankiem

na drodze, kolejną zdobyczą? Czy uczucie, które widziała w jego oczach było tylko sztuczką, której nauczył się w ciągu wieków? Czy w ogóle był zdolny do miłości? Nie umiała wypowiedzieć na głos tych pytań. Nawet myślenie o nich sprawiało ból.

Glaeken jakby czytał w jej myślach.

— Uwierzyłabyś?

— Ale wczoraj...

— Kocham cię, Magdo — powiedział, ujmując ją za rękę. — Zbyt długo byłem zamknięty w sobie. Ty potrafiłaś sięgnąć do wnętrza. Od bardzo dawna nikomu się to nie udało. Jestem starszy niż potrafisz sobie wyobrazić, ale nadal jestem mężczyzną. Tego mi nie odebrano.

Magda wolno objęła go i przytuliła, delikatnie, lecz zdecydowanie. Chciałaby zatrzymać go tutaj, w tym miejscu, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo twierdzy.

Po długiej chwili szepnął jej do ucha:

— Pomóż mi wstać, Magdo. Muszę zatrzymać twojego ojca.

Wiedziała, że mimo lęku musi mu pomóc. Chwyliła go pod ramię i próbowała podnieść, ale Glaeken nie potrafił utrzymać się na nogach. Wreszcie upadł i uderzył pięścią o ziemię.

— Potrzebuję czasu!

— Ja pójdę — oświadczyła Magda, nie rozumiejąc, skąd wzięły się te słowa. — Spotkam się z ojcem przy bramie.

— Nie! To zbyt niebezpieczne!

— Porozmawiam z nim. Może mnie wysłucha.

— Nie zdołasz go przekonać. Teraz słucha tylko Rasaloma.

— Muszę spróbować. Masz lepszy pomysł?

Glaeken milczał.

— Więc idę — żalowała, że nie może dumnie podnieść głowy, by mu pokazać, że się nie boi. Ale była zanedo przerażona.

— Nie przekraczaj progu — ostrzegł ją Glaeken. — Cokolwiek się stanie, nie wchodź do twierdzy. Teraz włada tam Rasalom

„Wiem — pomyślała Magda, ruszając biegiem w stronę mostu. — I nie mogę pozwolić, by Papa wyszedł na zewnątrz. W każdym razie nie wtedy, gdy będzie miał rękojeść miecza”.

Cuza miał nadzieję, że kiedy dotrze na poziom piwnic, latarka nie będzie mu już potrzebna. Żarówki jednak nie paliły się. Mimo to korytarz nie był zupełnie ciemny. Na ścianach widział lśniące plamy. Kiedy przyjrzał się im bliżej stwierdził, że to wmurowane w kamień wizerunki podobne do krzyża talizmanu. Rozjaśniały się, gdy podchodził, i przygasały z wolna, kiedy je mijał, reagując na obecność tajemniczego obiektu.

Theodor Cuza znalazł się w stanie szoku. Nigdy jeszcze to, co nadprzyrodzone, nie było tak blisko. Już nigdy nie zdoła spojrzeć na świat czy istotę bytu tak, jak dawniej. Pojął swą zarozumiałość, gdy zdawało mu się, że wszystko już widział. Nie dostrzegając kłapek, jakie nosił na oczach. Teraz zniknęły, a wokół odsłonił się zupełnie nowy świat.

Przycisnął mocno do piersi zawinięty talizman. Czuł się bliski rzeczom nadprzyrodzonym... a mimo to oddalony od swego Boga. Ale w końcu, co Bóg uczynił dla swego Narodu Wybranego? Ile tysięcy, milionów zginęło przez ostatnie lata, bezskutecznie wzywając Jego imienia?

Wkrótce świat usłyszy odpowiedź. A on, Cuza, był pomocnikiem w tym wielkim dziele.

Wspinając się po schodach na dziedziniec poczuł ukłucie niepokoju i zatrzymał się w pół drogi. Patrzył, jak po stopniach, niby strumyki białego miodu, sączą się pasma mgły. Myśli krążyły niespokojnie.

Zbliżała się chwila jego tryumfu. Wreszcie mógł coś zrobić, odegrać jakąś rolę w walce z nazistami. Skąd więc wrażenie, że nie wszystko dzieje się tak, jak powinno? Musiał przyznać, że dręczą go pewne wątpliwości co do Molasara. Nic konkretnego. Na pozór wszystko się zgadzało...

Czy na pewno? Cuza nie potrafił powstrzymać zdziwienia kształtem talizmanu. Zbyt był podobny do krzyża, którego Molasar tak się lękał. Ale może w ten właśnie sposób próbował

go chronić — kształt powinien zmylić ścigających, tak samo jak „krzyże” w murach twierdzy. Czemu więc nie chciał go nawet dotknąć, dlaczego się upierał, by go od razu zabrać? Jeśli ten przedmiot był tak ważny, jeśli naprawdę był źródłem jego mocy, to czemu sam nie poszukał odpowiedniej kryjówki?

Wolno, mechanicznie, profesor przeszedł ostatnie stopnie i znalazł się na dziedzińcu. Przymknął oczy, porażone szarym światłem nadchodzącego dnia, równocześnie znajdując odpowiedź na swoje pytania: dzień. Oczywiście! Molasar nie może poruszać się swobodnie w świetle dziennym, potrzebuje więc kogoś, komu to nie przeszkadza. Cóż za ulga, wyjaśnić własne wątpliwości. Dzień tłumaczył wszystko.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do blasku, Cuza spojrział poprzez okryty mgłą dziedziniec w stronę bramy. Ktoś tam stał, czekając na niego. Na chwilę znieruchomiał, przerażony. Pomyślał, że któryś z wartowników ocalał z rzezi. Zaraz jednak spostrzegł, że postać jest zbyt niska i szczupła, by mogła być niemieckim żołnierzem.

To była Magda. Ruszył ku niej, czując radość i ulgę.

Zza progu twierdzy Magda spoglądała na dziedziniec, absolutnie cichy i pusty, pełen jednak śladów bitwy: otwory po kulach w plandekach i szoferkach ciężarówek, strzaskane szyby, odpryski na murach, dym unoszący się z rozbitych generatorów... Nic się nie poruszało. Zastanawiała się, co kryje mgła, snująca się tuż nad ziemią.

Zastanawiała się także, co właściwie tu robi, drżąca w chłodzie przedświt, czekając na Papę, który może, ale nie musi, nieść w rękach przyszłość świata. Teraz, w chwili spokoju, mogła przemyśleć wszystko, co powiedział jej Glenn, to znaczy Glaeken. W jej myśl zaczęły wkradać się wątpliwości. Słowa szeptane w ciemności straciły swą wagę wraz ze zbliżaniem się dnia. Łatwo było uwierzyć Glaekenowi, kiedy słuchała jego głosu i patrzyła mu w oczy. Teraz jednak, z dala od niego, samotna... nie była już taka pewna.

To czyste szaleństwo — straszliwe, niewidzialne, nieznanne

potęgi... Światło... Cliaos... walczące o władzę nad ludzkością. Absurd! Bajka, obłąkany sen palacza opium.

A przecież...

...istniał Molasar — czy też Rasalom, albo jakkolwiek naprawdę się nazywał. Nie był snem, był za to czymś więcej niż człowiekiem, przekraczał granice wszystkiego, co w życiu spotkała czy chciałaby spotkać. I był zły. Wiedziała o tym od chwili, gdy pierwszy raz poczuła jego dotknięcie.

Istniał też Glaeken — o ile to było jego prawdziwe imię — który wprawdzie nie wydawał się zły, ale przecież mógł być szalony. Był prawdziwy i miał ostrze miecza, które lśniło w ciemności oraz leczyło rany, wystarczające do zabicia dwudziestu ludzi. Widziała to na własne oczy. I nie odbijał się w lustrze...

Może to ona oszalała?

Ale przecież nie zwariowała. Jeśli świat naprawdę stanął na rozdrożu, tutaj, w tej górskiej przełęczy... to komu powinna zaufać? Rasalomowi, który według własnych słów, potwierdzonych przez Glaekena, czekał zamknięty przez pięćset lat i teraz, uwolniony, obiecywał położyć kres Hitlerowi i jego okrucieństwom? Czy temu rudowłosemu mężczyźnie, który stał się miłością jej życia, ale oszukał ją w tak wielu sprawach, nawet w sprawie własnego imienia? Którego jej ojciec oskarżał, że jest sprzymierzeńcem faszystów?

„Czemu muszę nieść ten ciężar?”

Dlaczego właśnie ona musi wybierać, gdy wszystko jest niepewne? Komu ma wierzyć? Ojcu, któremu ufała przez całe życie, czy obcemu, który odkrył tę część jej istoty, o jakiej dotąd nie miała pojęcia? To niesprawiedliwe!

Westchnęła. „A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?”

Musiała podjąć decyzję. I to szybko.

Wspomniała ostatnie słowa Glenna: „Cokolwiek się stanie, nie wchodziś do twierdzy. Teraz władza tam Rasalom”. Wiedziała jednak, że musi przekroczyć próg. Nienawistna aura wokół twierdzy sprawiała, że nawet przejście przez most wymagało wysiłku. Teraz miała się przekonać, jak jest wewnątrz. To pomoże jej zdecydować.

Wysunęła stopę do przodu i zaraz ją cofnęła. Czują, jak pot oblewa całe ciało. Nie chciała tego robić, lecz okoliczności nie pozostawiły jej wyboru. Zaciskając zęby zamknęła oczy i przestąpiła próg.

Wybuch nienawiści odebrał jej oddech, ścisnął żołądek, sprawił, że zatoczyła się jak pijana. Zło było potężniejsze, bardziej

intensywne niż kiedykolwiek. Zawahała się, rozpaczliwie walcząc z pragnieniem ucieczki. Z najwyższym wysiłkiem stawiała opór szalejącej burzy wrogości. Samo powietrze potwierdzało to, co podejrzewała od dawna: z twierdzy nie może wyjść nic dobrego.

Tutaj właśnie musi spotkać się z Papą. I zatrzymać go, jeśli będzie miał rękojeść miecza.

Dostrzegła jakiś ruch na drugim krańcu dziedzińca — to Papa wynurzył się z piwnicy. Przez chwilę stał nieruchomo, potem zobaczył ją i ruszył biegiem. Kiedy zdołała się pogodzić z widokiem swego kalekiego kiedyś ojca, teraz biegnącego ku niej, zauważyła, że ubranie ma zabrudzone gliną i że niesie jakiś pakunek — coś ciężkiego i niedbale owiniętego w materiał.

— Magda! Mam to! — wysapał, zatrzymując się przed nią.

— Co masz. Papo? — własny głos brzmiał glucho i obco w jej uszach. Bała się usłyszeć odpowiedź.

— Talizman Molasara. Źródło jego siły.

— Wykradłeś mu?

— Nie. Sam mi dał. Mam znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę na czas, kiedy on wyruszy do Niemiec.

Zimny dreszcz przebiegł Magdzie po plecach. Papa wynosił ten przedmiot z twierdzy, dokładnie według przewidywań Glaekena.

Musiała sprawdzić, jak wyglądał.

— Pozwól mi go obejrzeć.

— Nie ma na to czasu. Muszę...

Skręcił, by ją wyminąć, lecz Magda przesunęła się tak, by nadal zastępować mu drogę, nie wypuszczać go poza próg twierdzy.

— Proszę — powiedziała. — Pokaż mi.

Wahał się, obserwując ją badawczo. Wreszcie odwinął tkaninę i pokazał jej to, co nazywał talizmanem Molasara.

Magda zdołała się na ten widok. O Boże, jakże...

w duchu. Przedmiot był najwyraźniej ciężki, wykonany ze złota i srebra — wyglądał dokładnie tak, jak te dziwne krzyże na murach. A na szczycie miał nawet otwór o rozmiarze idealnie pasującym do szpikulca na końcu klingi Glaekena.

To była rękojeść jego miecza. Rękojeść... klucz do twierdzy... jedyne, co chroniło świat przed Rasalomem.

Magda patrzyła wstrząśnięta. Ojciec powiedział coś, czego nie rozumiała. Słowa do niej nie docierały. Słyszała jedynie Glaekena, opisującego świat, jakim się stanie po uwolnieniu Rasaloma. Wszystko w niej burzyło się na myśl o decyzji, którą musiała podjąć, lecz nie miała wyboru. Musiała zatrzymać Papę — za wszelką cenę.

— Wracaj, Papo — w jego oczach starała się znaleźć choć cząstkę tego człowieka, którego kochała przez całe życie. — Zostaw to w twierdzy. Molasar okłamywał cię przez cały czas. To nie jest źródło jego siły. To jedyna rzecz, która potrafi oprzeć się jego sile! On jest wrogiem wszystkiego, co dobre na świecie! Nie możesz go uwolnić!

— Bzdura! On już jest wolny! I jest sprzymierzeńcem. Spójrz, co dla mnie zrobił: mogę chodzić!

— Ale tylko za bramę. Tak daleko, by usunąć to z twierdzy. On sam nie może wyjść, dopóki ten przedmiot pozostaje w granicach murów!

— Kłamstwo! Molasar zabije Hitlera i zlikwiduje obozy śmierci!

— Będzie chłonał to, co się dzieje w obozach! Papo — to było jak rozmowa z głuchym. — Posłuchaj mnie chociaż raz w życiu! Zaufaj mi! Zrób to, o co cię proszę! Nie wynoś tego z twierdzy!

Nie zwracając uwagi na jej słowa próbował precyzyjnie się obok.

— Przepuść mnie!

Magda oparła dłonie o jego pierś, zbierając wszystkie siły, by sprzeciwić się człowiekowi, który ją wychował, tak wiele nauczył, tyle dał z siebie.

— Wysłuchaj mnie. Papo!

— Nie!

Magda stanęła pewniej i z całej siły pchnęła go do tyłu.

Zatoczył się. Nienawidziła siebie za ten czyn, ale nie zostawił jej innego wyjścia. Musiała przestać o nim myśleć jak o kalece — był teraz zdrowy, silny, i równie zdeterminowany jak ona.

— Podnosisz rękę na własnego ojca?! — odezwał się szorstkim, stłumionym głosem. Jego twarz wyrażała zdumienie i wściekłość. — Do tego doprowadziła cię jedna noc rozpusty z tym twoim rudym kochankiem? Jestem twoim ojcem! Rozkazuję ci: pozwól mi przejść!

— Nie, Papo — odparła i łzy stały jej w oczach. Nigdy nie śmiała mu się przeciwstawić, teraz jednak była zdecydowana — dla dobra ich obojga i całego świata.

Widok jej łez trochę go uspokoił. Rysy twarzy wygładziły się i przez jedną chwilę przypominał dawnego Papę. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz zamknął je i zgrzytnął zębami. Warcząc z wściekłości skoczył naprzód i zamachnął się rękojęścią, mierząc w jej głowę.

Rasalom czekał w podziemnej komorze, pogrążonej w mroku i ciszy, zakłócaney jedynie drapaniem szczurów pełzających po trupach dwóch oficerów, którym pozwolił opaść bezwładnie, kiedy kaleka wyszedł z tą przeklętą rękojęścią. Wkrótce wyniesie ją z twierdzy i da mu wolność.

Już niedługo zaspokoi głód. Jeśli to, co mówił kaleka, jest prawdą — rozmowy żołnierzy zdawały się to potwierdzać — Europa stała się morzem ludzkich nieszczęść. A więc, po wiekach starć, po tak wielu porażkach w walce z Glaekenem, spełni się wreszcie jego przeznaczenie. Bał się już, że wszystko stracone, gdy Glaeken zwabił go do tego kamiennego więzienia, w końcu jednak zwyciężył. Ludzka chciwość uwolniła go z małej celi, gdzie czekał zamknięty przez pięć wieków. Ludzka nienawiść i żądza władzy uczynią go teraz panem świata.

Czekał. A jego głód wciąż pozostawał nie zaspokojony. Spodziewany przyływ sił nie nadchodził. Coś musiało się nie udać. Kaleka zdążyłby już dwa razy dojść do bramy. Trzy razy!

Coś się stało. Pozwolił swym zmysłom badać twierdzę, aż

wykrył obecność córki kaleki. To na pewno ona była powodem opóźnienia. Ale czemu? Przecież nie mogła wiedzieć...

...chyba, że Glaeken powiedział jej o rękojęści, zanim zginął.

Rasalom wykonał ręką nieznaczny gest. Za nim, w ciemności, ciała majora Kaempffera oraz kapitana Woermanna powstały i stanęły sztywno w oczekiwaniu.

Ogarnięty zimną pasją wyszedł z komory. Poradzi sobie z tą dziewczyną bez trudu. Dwa trupy ruszyły za nim, a ich śladem szła armia szcurów.

Magda patrzyła przerażona, jak lśniąca rękojęść zbliża się do jej głowy, by uderzyć z miażdżącą siłą. Nigdy nie myślała, że Papa naprawdę zechce zrobić jej krzywdę. Teraz jednak wymierzył morderczy cios. Ocalił ją jedynie instynkt samozachowawczy — cofnęła się w ostatniej chwili, po czym skoczyła do przodu, przewracając ojca na ziemię, zanim zdołał odzyskać równowagę po szerokim zamachu. Rzuciła się na niego, chwyciła za srebrne ramię i wyrwała mu talizman.

Walczył jak zwierzę, rozdrapując jej skórę na rękach, próbując powalić, by rękojęść znalazła się w jego zasięgu.

— Oddaj mi to! — krzyczał. — Oddaj! Wszystko przepadnie!

Magda stanęła na nogi i cofnęła się pod łuk bramy. Obiema rękami trzymała rękojęść za złoty uchwyt. Znalazła się niebezpiecznie blisko progu, lecz talizman pozostawał ciągle wewnątrz twierdzy.

Papa wstał z wysiłkiem. Ruszył ku niej, opuszczając głowę i rozkładając szeroko ramiona. Magda uskoczyła przed atakiem, zdołał jednak zahaczyć dłonią o jej łokieć i szarpnąć mocno. A potem skoczył na nią, bijąc po twarzy i wrzeszcząc coś niezrozumiale.

— Przestań, Papo — krzyknęła, ale nie słyszał. Przypominał dziką bestię. Gdy jego połamane, brudne paznokcie wyciągnęły się ku jej oczom, uderzyła rękojęścią. Nie myślała, co robi — zareagowała instynktownie. — Przestań!

Dźwięk metalu trafiającego w czaszkę Papy sprawił, że ogarnęły ją mdłości. Patrzyła oszołomiona, jak oczy za szklami

okularów zachodzą mgłą, jak Papa osuwa się na ziemię i nieruchomieje. Pasma mgły przepłynęły nad jego ciałem.

„Co ja zrobiłam?”

— Dlaczego musiałam cię uderzyć? — krzyknęła do leżącej postaci. — Czy chociaż raz nie mogłeś mi zaufać? Jeden raz?

Musiała go stąd wydostać — nawet parę metrów za bramę powinno wystarczyć. Najpierw jednak trzeba się pozbyć rękojeści, ukryć ją gdzieś w twierdzy. Potem spróbuje odciągnąć Papę w bezpieczne miejsce.

Po drugiej stronie dziedzińca widziała wejście do piwnic. Mogłaby wrzucić tam talizman. Ruszyła biegiem, lecz zatrzymała się w pół drogi. Ktoś wchodził po schodach.

Rasalom!

Zdawało się, że płynie, wznosi się niby wielka, śnięta ryba, wypływająca z dna mętneho stawu. Kiedy ją zobaczył, jego oczy stały się dwoma punktami czarnej furii, atakowały ją, kłuły spojrzeniem. Wyszczерzył zęby, szubując ku niej przez mgłę.

Magda nie cofnęła się. Glaeken mówił, że rękojeść ma władzę nad Rasalomem. Czowała się silna. Nie ustąpi.

Dostrzegła jakieś poruszenie za plecami upiora. Z piwnicy wynurzyły się dwie ludzkie postacie, postacie o białych nieruchomych twarzach, idące za Rasalomem. Magda rozpoznała je: kapitan i ten straszny major. Nie musiała się przyglądać, by wiedzieć, że obaj nie żyją. Glaeken opowiadał o chodzących trupach i właściwie spodziewała się spotkania z nimi, lecz mimo to krew zastężyła jej w żyłach. Czowała się jednak dziwnie bezpieczna.

Rasalom zatrzymał się o kilka metrów od niej i wolno podnosił ramiona, aż stały się podobne do rozpostartych skrzydeł. Przez chwilę nic się nie działo. Potem zauważyła jakiś ruch wśród kłębow mgły, zaścielającej dziedzińiec i wijącej się jej wokół kolan. Wszędzie wokół z szarej masy wynurzały się ręce, chwytające palcami powietrze, potem głowy i torsy. Niczym obrzydliwe grzyby wyrastające z wilgotnej ziemi, niemieccy żołnierze, jeszcze niedawno okupujący twierdzę, podnosili się na nogi.

Magda stała w miejscu, choć widziała ich poszarpane ciała

i rozdarte gardła. Miała rękojeść. Glaeken mówił, że potrafi zneutralizować magię Rasaloma. Wierzyła mu. Nie miała wyboru.

Trupy stanęły za Rasalomem i po jego bokach. Nikt się nie ruszał.

„Może boją się rękojeści? — pomyślała i serce zabiło jej szybciej. Może nie mogą podejść bliżej?”

Wtedy zauważyła dziwne drgania we mgle wokół nóg zabitych. Spojrzała w dół. W miejscach, gdzie mgła była rzadsza, dostrzegła biegnące kształty, szare i brązowe. Szczury! Odrza ścisnęła jej krtań, po skórze przebiegł dreszcz wstrętu. Zbliżały się do niej niejednolitym frontem, ale chaotycznie, zderzając się i przepychając. Zaczęła się cofać. Mogła znieść wszystko, nawet ożywione trupy, ale nie szczury!

Spostrzegła, że Rasalom uśmiecha się tryumfująco i wiedziała, że reaguje dokładnie tak, jak się tego spodziewał — krok za krokiem cofa się coraz bliżej bramy. Próbowwała stanąć, rozkazać nogom, by znieruchomiały, lecz te same z siebie cofały się coraz szybciej.

Wokół Magdy zamknęły się mury. Znowu znalazła się pod kamiennym łukiem bramy. Jeszcze metr czy dwa i przekroczy próg — a Rasalom będzie wolny.

Zamknęła oczy i zatrzymała się.

„Do tego miejsca... — myślała. — Tutaj i ani kroku dalej... ani kroku dalej...” Powtarzała to sobie raz za razem... dopóki coś nie musnęło jej kostki i nie odbiegło. Coś małego i kosmatego. Potem jeszcze jedno. I jeszcze. Przygryzła wargę, by powstrzymać krzyk. Rekojeść nie działała. Szczury atakowały. Wkrótce pokryją ją całą.

W panice otworzyła oczy. Rasalom podszedł bliżej. Oczy bez dna wpatrywały się w nią poprzez mgliste półświatło. Za nim stał legion trupów, przed nim armia szczurów. Pędził je naprzód, ku jej stopom i kostkom. Magda wiedziała, że nie wytrzyma tego długo i lada chwila rzuci się do ucieczki. Czowała wzbierający w niej potworny strach, który zaraz zatopi i zburzy resztki zdecydowania.

„Rękojeść mnie nie chroni!”

Podbiegła kawałek, lecz zatrzymała się. Szczury ocierały się

0 nią, ale nie gryzły i nie drapały. To rękojeść! Trzymała ją i Rasalom tracił panowanie nad zwierzętami, gdy tylko dotknęły jej stóp. Magda poczuła przyływ odwagi. Uspokoila się.

„Nie mogą mnie ugryźć. Nie mogą mnie dotykać dłużej, niż przez moment”.

Najbardziej bała się tego, że zaczną wspinać się po nogacli. Teraz wiedziała, że to niemożliwe.

Rasalom musiał wyczuć w niej przemianę. Skrzywił się i machnął rękami.

Trupy ruszyły z miejsca. Wymijały go i zwieraly szeregi, tworząc litą niemal ścianę martwych ciał, idącą niepewnie i sztywno do miejsca, gdzie stała. Zatrzymały się o kilka centymetrów od niej, patrzyły pustymi, zaszklonymi oczami na martwych, nieruchomych twarzach. W ich ruchach nie było wrogości, celowości. Zwykle mięso. Ale byli tak blisko! Gdyby żyli, czułaby na twarzy ich oddechy. Lecz byli martwi i kilku zaczynało się już chyba rozkładać.

Znowu zamknęła oczy, walcząc ze wstrętem, który odbierał jej siły. Przycisnęła rękojeść do piersi.

„Dotąd i ani kroku dalej... ani kroku... dla Glaekena, dla mnie, dla tego, co zostało z Papy, dla wszystkich... tylko dotąd i dalej nie!”

Coś ciężkiego i zimnego upadło na nią. Cofnęła się odepchnięta, krzycząc z zaskoczenia i odrazy. Najbliższe ciała pochylały się ku niej bezwładnie. Kolejne pchnęło ją dalej do tyłu. Usunęła się, pozwalając, by upadło na ziemię. Zrozumiała, do czego zmierza Rasalom — nie mógł jej zmusić do ucieczki, postanowił więc rzucić na nią fizyczną masę swej martwej armii. I udawało mu się. Pozostało jej ledwie kilka centymetrów. A kolejne ciała wciąż padały. Musiała coś zrobić!

Zdobyła się na rozpaczliwe posunięcie. Chwyliła mocniej obiema rękami uchwyt rękojeści i machnęła nią szerokim łukiem, trafiając w najbliższych martwych.

Jaskrawe błyski światła i odgłos skwierczenia wydobyły się z punktów, gdzie talizman stykał się z ciałami; w nozdrza uderzyły smużki żółtego, gryzącego dymu... a trupy szarpały się spazmatycznie i padały jak marionetki, którym odcięto

sznurki. Zrobiła krok naprzód coraz mocniej wymachując rękojęścią — i znowu błyski, trzask i nagła bezwładność wrogów.

Nawet Rasalom cofnął się o krok.

Magda zdobyła się na nikły uśmiech. Teraz przynajmniej miała wokół siebie trochę przestrzeni. Miała też broń i uczyła się, jak ją stosować. Zauważyła, że wzrok Rasaloma pada gdzieś na lewo od niej i obejrzała się, by sprawdzić, co zwróciło jego uwagę.

Papa! Odzyskał przytomność i wstał, a teraz opierał się o mur pod łukiem bramy. Magdzie zrobiło się niedobrze na widok krwi, spływającej mu po policzkach — krwi z rany, którą zadała własną ręką.

— Ty! — zawołał Rasalom, wskazując na Papę. — Zabierz jej talizman! Przyłączyła się do naszycli wrogów!

Magda zobaczyła, jak Papa kręci głową i serce zabiło jej z nową nadzieją.

— Nie! — głos Papy brzmiał słabo i chrapliwie, jednak odbijał się echem od murów. — Wszystko widziałem! Jeśli to, co ona trzyma, naprawdę jest źródłem twojej mocy, nie jestem ci potrzebny, by to odzyskać! Sam sobie weź!

Magda jeszcze nigdy nie była tak dumna z ojca jak teraz, gdy sprzeciwił się potworowi, który próbował zgubić jego duszę, i któremu niemal się to udało. Otarła łzy i uśmiechnęła się, czerpiąc od Papy siłę i próbując mu jej dodać.

— Niewdzięczniku! — syknął Rasalom z twarzą wykrzywioną wściekłością. — Zawiodłeś mnie! Dobrze więc; powitaj na powrót swą chorobę! Ciesz się swym bólem!

Ze stłumionym jękiem Papa osunął się na kolana. Podniósł ręce do oczu i patrzył, jak bieleją i deformują się, stają tak bezużyteczne, jakimi były do wczoraj. Wykrzywił grzbiet i runął na ziemię. Ciało powoli zwinęło się w kłębek. Cierpienie atakowało każdą komórkę. Wreszcie znieruchomiało. Pokrzywiona bólem kreatura embrionu. Magda podeszła do niego.

— Papo! — wołała przerażona. Niemal czuła ból, jaki musiał nim targać.

Cierpiał jednak nie prosząc o litość. To rozgniewało Rasa-

loma jeszcze bardziej. Wśród piskliwych wrzasków szczur> ruszyły naprzód niby fala przyływu obmywająca Papę, zatapiająca, tnąca małymi, ostrymi jak brzytwy zębami.

Magda zapomniała o obrzydzeniu i rzuciła się na pomoc, bijąc szczury rękojęścią i odpychając je wolną ręką. Lecz na miejsce każdego, którego odrzuciła, pojawiała się kilka nowych małych szczęk, próbujących dobrać się do ciała Papy. Magda szlochala i wzywała Boga we wszystkich znanych sobie językach.

Jedyna odpowiedź nadeszła jednak od Rasaloma. Drwiący szept spoza pleców.

— Rzuć rękojęść za bramę, a ocalisz go. Usuń tę rzecz z twierdzy, a on będzie żył!

Magda starała się nie słuchać, lecz gdzieś w głębi wiedziała już, że Rasalom zwyciężył. Nie mogła dopuścić, by ta zgroza trwała dalej — szczury pożerały Papę żywcem! A ona nie mogła mu pomóc. Przegrała. Musi się poddać.

Ale jeszcze nie teraz. Gryzonie nie kąsały jej, tylko Papę.

Rozciągnęła się na ciele ojca, przykrywając je własnym, wsuwając rękojęść między siebie a niego.

— On umrze! — szeptał nienawistny głos. — Umrze i tylko ty będziesz temu winna. To przez ciebie! Wystarczy tylko...

Rasalom przerwał nagle, a jego głos zmienił się we wrzask wściekłości i zdumienia.

— To ty?

Magda podniosła głowę i zobaczyła Glaekena — słaby, blady, ubrudzony zeschlą krwią, opierał się o bramę twierdzy ledwie kilka metrów od niej. Nikogo na świecie nie pragnęła zobaczyć bardziej niż jego.

— Wiedziałam, że przyjdiesz.

Lecz, sądząc po wyglądzie Glaekena, samo pokonanie przez niego mostu granicyło z cudem. W obecnym stanie nie zdoła stawić czoła Rasalomowi.

A jednak był tutaj. W jednej ręce trzymał ostrze miecza, drugą wyciągnął do Magdy. Słowa były zbędne. Wiedziała, po co tu przybył i wiedziała, co musi uczynić. Oderwała się od Papy i włożyła rękojęść w dłoń Glaekena.

Gdzieś za nią rozległ się krzyk Rasaloma:

— Niiieeeee!

Glaeken uśmiechnął się do niej słabo, po czym jednym płynnym ruchem ustawił klingę ostrzem w dół i włożył szpikulec w otwór na rękojeści. Nasunęła się z metalicznym dźwiękiem i natychmiast rozbłysło światło jaśniejsze niż słońce w letnim przesileniu, nieznacznie jaskrawe, rozszerzające się na kształt kuli wokół Glaekena i jego miecza, przechwytywane i wzmacniane wizerunkami rękojeści, wmurowanymi w ścianę twierdzy.

Blask uderzył w Magdę niczym tchnienie paleniska wielkiego pieca, dobry i czysty, suchy i ciepły. Cienie zniknęły, gdy kontury wszystkiego, co znalazło się w zasięgu wzroku, zostały ostro wyrysowane oślepiająco białym światłem. Mgła rozplynęła się, jak gdyby nigdy nie istniała. Szczury uciekały z piskiem we wszystkie strony. Blask kosił stojące jeszcze martwe ciała, które padały jak żdzbla suchej trawy. Nawet Rasalom odwrócił się, zasłaniając twarz rękami.

Wrócił prawdziwy pan twierdzy.

Światło przygasło z wolna, powracało do miecza i po chwili Magda mogła znowu widzieć. Patrzyła na Glaekena, stojącego w bramie, odrodzonego jakby, choć wciąż w poszarpanym, zakrwawionym ubraniu. Zmęczenie, słabość, rany — wszystko zniknęło. Był nowym człowiekiem, biła od niego oszałamiająca moc i nieugięta wola. Jego oczy płonęły tak straszną determinacją, aż poczuła zadowolenie, że jest sprzymierzeńcem, nie wrogiem. Oto był człowiek, który przed wiekami prowadził hufce Światła przeciw Chaosowi. Człowiek, którego kochała.

Runy płynęły migocącą kaskadą po ostrzu połączonego wreszcie miecza. Odwracając się od niej, Glaeken uniósł go w geście salutu.

- Dzięki ci. Pani moja — powiedział cicho. — Wiedziałem, że jest w tobie odwaga, lecz nie marzyłem, że tak wielka.

Magda tryskała dumą.

„Pani moja... nazwał mnie swoją Panią...”

Glaeken wskazał bezwładne ciało Papy.

Zabierz go za bramę. Zostanę na straży, póki nie dotrzesz bezpiecznie do mostu.

Magda podniosła się czując słabość w kolanach. Wszędzie na dziedzińcu leżały nieruchome ciała Niemców. Rasalom znikł.

— Gdzie...?

— Odnajdę go — stwierdził Glaeken. — Najpierw jednak muszę dopilnować, byś znalazła się w miejscu, gdzie będziesz bezpieczna.

Magda pochyliła się, chwyciła Papę pod ramiona i przeciągnęła żałośnie lekkie ciało o kilka metrów, dzielących je od progu i mostu. Oddychał słabo. Krwawił z tysiąca małych ranek. Zaczęła przecierać je spódnicą.

— Żegnaj, Magdo.

To był głos Glaekena i brzmiało w nim przerażające poczucie ostateczności. Podniosła głowę — patrzył na nią, a jego twarz wyrażała nieskończony smutek.

— Żegnaj? Gdzie idziesz?

— Na ostatnią bitwę w wojnie, która powinna się skończyć przed wiekami — głos mu zadrżał. — Chciałbym...

Poczuła lęk.

— Wrócisz potem do mnie, prawda?

Glaeken odwrócił się i ruszył przez dziedziniec.

— Glaeken?

Znikł w wejściu do wieży. Jej krzyk był czymś pośrednim pomiędzy zawołaniem rozpaczony a szlochem.

— Glaeken!!!

XXIX

w wieży panował mrok. Nie zwykły cień, lecz Ciemność, która mogła być jedynie dziełem Rasaloma. Wchłonęła Glaekena, ale ten nie był zupełnie bezradny. Gdy tylko przekroczył próg wieży, pokryty runami miecz zaczął jarzyć się błękitnym blaskiem. Wizerunki rękojeści umieszczone w murach natychmiast zareagowały na obecność wzorca i zapłonęły białozółtym ogniem, pulsując wolno, jakby w rytm uderzeń olbrzymiego, dalekiego serca.

Stał u stóp schodów i starał się nie czuć bólu, jakim napelniał go głos Magdy. Wołała za nim, a on wiedział, że osłabnie, jeśli będzie słuchał. Musiał odciąć się od tych wspomnień, tak samo jak od wszystkiego, co łączyło go ze światem poza twierdzą. Teraz istnieli tylko on i Rasalom. Trwający od tysiącleci konflikt miał się dziś zakończyć.

Pozwolił, by moc lśniącego miecza płynęła przez jego ciało. Dobrze było trzymać go znowu w dłoni — jakby odzyskał utraconą część siebie. Ale nawet ta moc nie sięgała wężła rozpaczy, splątanego gdzieś głęboko we wnętrzu.

Nie mógł dzisiaj zwyciężyć. Jeśli nawet zabije Rasaloma, zapłaci za to wszystkim, co posiada... gdyż zwycięstwo wyeliminuje powód jego istnienia. Moc, której służył, nie będzie go już potrzebować.

Jeśli zabije Rasaloma...

Stłumił wątpliwości. W tym stanie ducha nie powinien przystępować do walki. Nie wolno myśleć o niczym prócz zwycięstwa — jedynie w ten sposób może wygrać. A musi wygrać.

Rozejrzał się. Wyczuwał Rasaloma gdzieś wysoko. Dlaczego? Nie mógł tamtędy uciec.

Wbiegł po schodach na piętro i zatrzymał się, czujny i ostrożny. Rasalom wciąż pozostawał daleko, lecz powietrze tutaj było ciężkie od poczucia niebezpieczeństwa. Kopie rękojeści pulsowały w ścianach słabym blaskiem, niczym latarnie morskie, wskazujące drogę wśród czarnej mgły. Po prawej stronie widział niewyraźny kontur stopni, wiodących na wyższy poziom. Żadnego ruchu.

Zrobił krok ku schodom i zatrzymał się. Nagle coś poruszyło się wokół niego — ciemne postacie uniosły się z podłogi i wysunęły z kątów. Glaeken płynnie odwrócił się w prawo, potem w lewo. Naliczył tuzin trupów niemieckich żołnierzy.

Najwyraźniej Rasalom nie był sam, kiedy uciekał.

Kiedy ciała ruszyły ku niemu, Glaeken stanął plecami do schodów i przygotował się na spotkanie. Nie bał się — znał możliwości i ograniczenia Rasaloma, wszystkie jego sztuczki. Te ożywione bryły martwego mięsa nie mogły zrobić mu krzywdy.

Za to budziły zdziwienie. Na co liczył Rasalom, zastawiając tę pułapkę?

Bez udziału świadomości ciało Glaekena przyjęło pozycję bojową — nogi rozstawione, prawa stopa nieco z tyłu, miecz trzymany oburącz. Trupy zbliżały się. Właściwie nie musiał z nimi walczyć; wiedział, że wystarczy, by przeszedł między nimi, a zaczną padać bezwładnie od samego dotknięcia. To jednak mu nie wystarczało. Instynkt wojownika domagał się walki. I Glaeken z ochotą poddał się temu zadaniu. Nie mógł się doczekać, by uderzyć w cokolwiek, co ma związek z Rasalodem. Martwi Niemcy podsycą płomień, którego będzie potrzebował w ostatecznej rozgrywce z ich panem.

Ciała nabierały rozpędu i zamykały już wokół niego półkrąg mrocznych figur, wyciągających rozczapierzone palce. Gdy tylko pierwsza znalazła się w jego zasięgu, miecz Glaekena zaczął poruszać się krótkimi łukami, odrabując jakieś ramię z lewej strony, ścinając głowę po prawej. Ostrze rozbłyskiwało białym ogniem za każdym trafieniem, syczało i trzaskało, bez wysiłku rozcinając nieżyjące ciała. Martwi padali na podłogę, a ze świeżo zadanych ran podnosił się żółty dym.

Glaeken uderzył, obrócił się, uderzył znowu. Skrzywił się; cała ta scena przypominała koszmarny sen. Nie przeszkadzały mu blade, puste twarze atakujących, szare w przyćmionym blasku, ani odór gnijących ciał, lecz cisza. Nie było słychać komend oficerów, krzyków bólu czy wściekłości, zadnych wołań ani jęków, nic. Tylko szuranie stóp, jego własny oddech i świst miecza, gdy dokonywał swego dzieła.

To nie była walka, to było szatkowanie mięsa. Dodawał tylko kolejne krwawe rany do tych, które Niemcy zadali sobie nawzajem kilka godzin temu. A jednak wciąż napierali na niego niepowstrzymanie. Ci z tyłu popychali tych, którzy byli bliżej i bez przerwy zacieśniali pierścień.

Połowa trupów leżała już u jego stóp i Glaeken cofnął się o krok, by mieć więcej miejsca na zamach. Trafiał stopą na bezwładne ciało i zachwiał się, tracąc równowagę. W tym samym momencie wyczuł za sobą jakiś ruch. Obejrzał się zaskoczony — dwa trupy zbiegały ku niemu po schodach. Nie miał już czasu na unik. Ich ciężar zbił go z nóg i powalił na podłogę. Nim zdążył zrzucić z siebie oba ciała, pozostałe runęły także, przygniatając go do ziemi półtonową masą.

Zachował spokój, choć ledwie mógł oddychać pod ciężarem. Ta odrobina powietrza, która jeszcze do niego docierała, cuchnęła spalonym mięsem, zaschłą krwią i ekskrementami tych, którzy odnieśli rany w brzuch. Dusząc się i stękając, Glaeken zebrał wszystkie siły i wypchnął tułów do góry.

Stał już na czworakach gdy poczuł, że kamienne bloki podłogi zaczynają wibrować. Nie wiedział, co to oznacza i jaka jest przyczyna, czuł tylko, że musi się wydostać. Gwałtownym pchnięciem zrzucił z siebie zabitych i odskoczył na schody.

Za nim rozległ się głośny zgrzyt kamienia o kamień. Ze swego bezpiecznego stanowiska na schodach widział, jak znika fragment podłogi, gdzie leżał jeszcze przed chwilą. Granitowe bloki rozpadły się i runęły, a wraz z nimi kilku nieruchomych już Niemców. Kamienie i ciała z głuchym trzaskiem uderzyły o posadzkę na dolnym poziomie wieży.

Wstrząśnięty Glaeken oparł się o mur, by odetchnąć i oczyścić nozdrza z zapachu trupów. Ta próba opóźnienia pościgu

miała jakiś cel — Rasalom nie robił niczego bez powodu — ale jaki? Glaeken odwrócił się, by iść dalej, gdy coś poruszyło się na dole. Na skraju otworu w podłodze odcięte ramię któregoś z trupów zaczęło sunąć ku niemu, podciągając się wygiętymi palcami. Glaeken w zdumieniu pokręcił głową i ruszył do góry. Starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o Rasalomie, by odgadnąć, co planuje ten szalony umysł. W połowie drogi poczuł na twarzy opadający pył. Nie patrząc w górę odskoczył pod ścianę i przylgnął do niej plecami, w ostatniej chwili unikając spadającego głazu. Z potwornym hukiem kamień uderzył w miejsce, gdzie przed ułamkiem sekundy stał Glaeken.

Spojrzał w górę. Kamień wypadł z wewnętrznej powierzchni muru. Z pewnością dzieło Rasaloma. Czy tamten wciąż ma nadzieję, że zdoła go zranić lub unieszkodliwić? Musi przecież wiedzieć, że tylko odsuwa nieuniknione spotkanie.

Lecz rezultat tego spotkania... na pewno nie był przesądzony. Każdy z nich dysponował pewnymi możliwościami, ale Rasalom miał wyraźną przewagę. Przede wszystkim władał światłem i ciemnością, miał moc rozkazywania zwierzętom i martwym przedmiotom. A co najważniejsze, nie można go było zranić — w żaden sposób, żadną bronią, z wyjątkiem runicznego miecza Glaekena.

Glaeken nie został tak dobrze wyposażony. Wprawdzie nie starzał się, nie chorował i dysponował niespożytą żywotnością, mógł jednak ulec naprawdę ciężkim ranom. Niewiele brakowało, by zdarzyło się to dzisiaj w wąwozie. Przez wszystkie tysiąclecia swego życia, nigdy jeszcze nie czuł tak wyraźnie zimnego tchnienia śmierci. Udało mu się przeżyć tylko dzięki pomocy Magdy.

W tej chwili ich siły były w przybliżeniu równe. Rękojeść połączyła się z klingą, miecz w całości znalazł się w ręku Glaekena. Rasalom dysponował swą mocą, ograniczały go jednak mury twierdzy. Nie mógł się wycofać, odłożyć walki na dogodniejszy moment. Musiała rozstrzygnąć się teraz. Teraz!

Glaeken zbliżył się ostrożnie do drugiego piętra. Było puste — nic się tu nie poruszało, nic nie kryło w ciemności. Gdy jednak szedł ku schodom, wiodącym na wyższy poziom,

poczuł, że cała wieża drgnęła. Podest zatrząsał się, zatrzeszczał pod jego stopami i runął. Glaeken przywarł plecami do ściany. Wąska półka dawała oparcie tylko piętom. Spoglądając ponad czubkami palców widział, jak kamienny blok trafia w podest na dole, wznosząc chmurę duszącego pyłu.

„Było blisko — pomyślał i odetchnął. — A jednak nie dość blisko”.

Rozejrzał się uważnie. Tylko podest runął w dół, pokoje drugiego piętra pozostały nienaruszone za ścianą, o którą się opierał. Odwrócił się i powoli zaczął przesuwać w stronę schodów. Kiedy mijali drzwi, otworzyły się i Glaeken stanął twarzą w twarz z kolejną parą Niemców. Skoczyli na niego równocześnie i zamarli po pierwszym dotknięciu, uderzyli jednak z taką siłą, że niemal runął w dół. Ocalał dzięki temu, że końcami palców wolnej ręki zdążył pochwycić futrynę. Ciało zakolysało się nad przepaścią.

Oba trupy nie mogły się niczego chwycić i spadły, bezwładne i milczące, na potrzaskane szczątki podestu.

Glaeken przesunął się do drzwi i odetchnął głęboko.

„O wiele za blisko”.

Próbował odgadnąć, do czego zmierza jego odwieczny nieprzyjaciel. Czy Rasalom miał nadzieję zepchnąć go w dół, po czym zrzucić na niego całość czy choćby część wewnętrznej konstrukcji wieży? Gdyby nawet tony głazów go nie zabiły, byłby uwięziony.

„To mogło się udać”, pomyślał, sprawdzając wzrokiem, czy w ciemności nie czai się więcej trupów. Rasalom mógłby użyć Niemców do odkopania gruzu przynajmniej na tyle, by odsłonić rękojęść. Potem zaczekałby na przybycie jakiegoś wieśniaka czy podróżnego, którego mógłby namówić do zabrania miecza i wyniesienia go za bramę. To mogło się udać, lecz Glaeken wyczuwał, że Rasalomowi chodzi o coś innego.

Magda patrzyła z lękiem i rozpaczą, jak Glaeken wchodzi do wieży. Chciała biec za nim i prosić, by wrócił, lecz była potrzebna Papie — i to bardziej, niż kiedykolwiek. Z bólem serca odwróciła się plecami do miejsca, gdzie zniknął Glaeken, i pochyliła nad okaleczonym ojcem.

Rany były okropne. Mimo wysiłków nie udawało się zatamować krwawienia i wkrótce Papa leżał w kałuży własnej krwi. Sączyła się między deskami mostu, kapiąc do płynącego dołem strumyka.

Nagle Papa drgnął i otworzył oczy, błyszczące na upiornie bladej twarzy.

— Magda — szepnął. Ledwie go słyszała.

— Nic nie mów. Papo. Nie trać sił.

— Nie ma już czego oszczędzać... Przepraszam cię...

— Pss — przygryzła wargę.

„On nie umrze... nie pozwolę na to!”

— Muszę ci powiedzieć. To ostatnia szansa.

— Nie mów tak!

— Chcę tylko wszystko wyjaśnić. Nic więcej. Nie chciałem ci zrobić krzywdy. Musisz uwierzyć...

Huk i trzask rozległy się w twierdzy, zagłuszając jego słowa. Most zadrżał od wstrząsu. Magda dostrzegła chmury kurzu wokół okien pierwszego i drugiego piętra wieży.

„Glaeken...?”

— Byłem głupcem — mówił Papa, głosem jeszcze słabszym niż poprzednio. — Zaprzedałem naszą wiarę i wszystko, co było mi drogie, nawet własną córkę. Wszystko przez jego kłamstwa. To przeze mnie zginął człowiek, którego kochałaś.

— Nie martw się — uspokoiła go. — Człowiek, którego kocham, żyje! Jest teraz w twierdzy. Raz na zawsze skończy z tym potworem.

Papa próbował się uśmiechnąć.

— Widzę po twoich oczach, co do niego czujesz. Jeśli będziecie mieli syna...

Grzmot rozległ się znowu, tym razem o wiele głośniejszy. Kurz popłynął z okien na wszystkich piętrach. Magda zobaczyła postać stojącą na skraju dachu wieży. Kiedy się odwróciła, oczy Papy zaszyły mgłą, a pierś znieruchomiła.

— Papo? — potrząsnęła nim. Uderzała w ramiona i tors, niezdolna uwierzyć w to, co mówiły jej zmysły i rozsądek. — Papo, obudź się! Zbudź się!

Przypomniała sobie, jak bardzo nienawidziła go w nocy, jak pragnęła, by umarł. A teraz... teraz chciała to wszystko

odwołać, Chciała, by posłuchał jej choćby przez chwilę, by wiedział, że mu wybaczyła, że kocha go i szanuje, że nic się nie zmieniło. Papa nie może odejść, nie pozwalając jej tego powiedzieć?

Glaeken! Glaeken będzie wiedział, co robić! Spojrzała na wieżę — na parapacie widziała teraz dwie postacie, stojące naprzeciw siebie.

Glaeken przebiegł szybko przez dwa ostatnie poziomy, uskokzył przed spadającym głazem, wyminął rozwierające się nagle w podłodze otwory i znalazł się na czwartym piętrze. Stąd dzieliła go od szczytu tylko krótka wspinaczka.

Rasalom stał na parapecie po przeciwnej stronie dachu. Płaszcz zwisał z jego ramion nieruchomo — tuż przed brząskiem wiatr ucichł zupełnie. Za nim i pod nim falowało morze mgły, pokrywające Przełęcz Dinu. Dalej majaczyła jej wschodnia ściana. Szczyty gór płonęły jasno, oświetlone niewidocznym jeszcze słońcem.

Glaeken ruszył do przodu, zastanawiając się, czemu Rasalom oczekuje go z takim spokojem w tym niezbyt dogodnym punkcie. Kiedy dach zaczął pękać i kruszyć się pod stopami, zrozumiał. Zupełnie odruchowo skoczył przed siebie i zdołał przerzucić lewe ramię przez parapet. Zanim podciągnął się do góry, dach i wewnętrzna konstrukcja czwartego, trzeciego i drugiego piętra runęły i przełamały podłogę pierwszego. Uderzenie wstrząsnęło resztką budowli. Tony gruzu zaległy parter, pozostawiając Glaekena i Rasaloma balansujących na krawędzi olbrzymiego, pustego kamiennego cylindra. Murom nie mogło zagrozić nic więcej — wprawione w kamienie wizerunki rękojęści czyniły ściany niewrażliwymi na działanie mocy nieumierającego.

Glaeken ruszył krawędzią, oczekując, że Rasalom zacznie się cofać. Ten jednak pozostał na miejscu i przemówił w Zapomnianej Mowie:

— A zatem, barbarzyńco, znów sprawa rozegra się między nami dwoma, tak?

Glaeken nie odpowiedział. Rozbudził w sobie nienawiść,

syć płomień gniewu myśłami o tym, czego doznała z rąk Rasaloma Magda. Potrzebował wściekłości, by zadać ostateczny cios. Nie mógł sobie pozwolić na myślenie, ważenie argumentów, walenie. Musiał uderzyć. Jego wola osłabła wtedy, pięć wieków temu, gdy uwięził Rasaloma zamiast go zabić. To się już nie powtórzy. Walka musiała dobiec końca.

— Daj spokój, Glaeken — rzekł Rasalom cichym, spokojnym głosem. — Czy nie nadszedł czas, byśmy zakończyli tę naszą wojnę?

— Tak? — warknął Glaeken zaciskając zęby. Spojrzał w dół — na moście mała figurka Magdy pochylała się nad poranionym ojcem. Dawna, szaleńcza furia rozgorzała w nim na nowo, pchnęła do biegu. Błyskawicznie przebył dzielące ich cztery kroki wznosząc miecz do ostatecznego ciosu.

— Pokój! — wrzasnął Rasalom, odskakując. Wreszcie przestał być spokojny.

— Nie ma pokoju!

— Pół świata! Proponuję ci pół świata, Glaeken! Podzielimy się równo i mozesz zatrzymać w swojej części kogokolwiek zechcesz! Druga połowa będzie moja.

Glaeken zwolnił, lecz zaraz na powrót wznosił miecz.

— Nie! Tym razem nie będzie żadnych półśrodków!

Rasalom uciekł się do argumentu, budzącego największy lęk Glaekena.

— Zabij mnie, a przypieczętujesz własną zębę!

— Gdzie to jest napisane? — mimo wcześniejszych postanowień, Glaeken zawahał się.

— Nie musi być nigdzie napisane! To oczywiste! Żyjesz tylko po to, by ze mną walczyć. Jeśli mnie zgładzisz, zniknie przyczyna twego istnienia. Zabijając mnie, zabijesz siebie!

To *było* oczywiste. Glaeken lękał się tej chwili od owej nocy w Tawirze, gdy poczuł, że ktoś uwolnił Rasaloma z jego celi. Cały czas jednak gdzieś w głębokim zakątku umysłu tlił się płomyk nadziei, że zabicie Rasaloma nie będzie równoznaczne z samobójstwem.

Nadzieja okazała się fałszywa. Musiał się z tym pogodzić. Wybór był jasny: uderzyć i zakończyć wszystko albo zawrzeć pokój.

Właściwie, dlaczego nie? Przynajmniej żyłby dalej... z Magdą u boku.

Rasalom odgadł jego myśli.

— Wydaje się, że lubisz tę dziewczynę — powiedział, spoglądając w dół, na most. — Mogłbyś ją zatrzymać. Nie musisz jej tracić. To odważny, mały robaczek.

— Tym właśnie jesteśmy dla ciebie? Robakami?

— „My?” Czyżbyś był takim romantykiem, żeby uważać się za jednego z nich? Wyrastamy ponad wszystko, czym oni mogliby się stać, nawet w marzeniach. Jesteśmy niemal bogami, najpotężniejszymi, jakich kiedykolwiek zobaczą. Powinniśmy się połączyć i działać wspólnie zamiast toczyć wojnę.

— Nigdy nie uważałem siebie za innego. Przez cały czas starałem się żyć jak zwykły człowiek.

— Ale nie jesteś zwykłym człowiekiem. Oni umierają, ty żyjesz. Nie możesz być jednym z nich. Nie próbuj! Bądź tym, kim jesteś naprawdę: istotą wyższą. Przyłącz się do mnie i będziemy nimi władać razem. Zabij mnie, a razem zginieemy.

Glaeken wahał się. Gdyby tylko miał więcej czasu na podjęcie decyzji... Pragnął pozbyć się Rasaloma raz na zawsze. Ale nie chciał umierać. Zwłaszcza teraz, kiedy tak niedawno spotkał Magdę. Nie mógł znieść myśli o tym, że miałby ją zostawić. Tak bardzo chciał być razem z nią.

Magda... Glaeken nie odważył się odwrócić głowy, lecz czuł, że patrzy na niego właśnie teraz. Ciężar decyzji stawał się nie do zniesienia. Tak niedawno narażała wszystko, co kochała, by zatrzymać Rasaloma w twierdzy, a jemu dać jeszcze trochę czasu. Czy może okazać się słabszym i nadal jej godnym? Wspominał jej błyszczące oczy, gdy podawała mu rękojeść mówiąc: „Wiedziałam, że przyjdiesz”.

Opuścił miecz, walcząc z własną słabością. Widząc to Rasalom uśmiechnął się. I ten uśmiech był decydującym impulsem.

„Dla Magdy! — pomyślał i uniósł klingę. I dokładnie w tej chwili słońce wynurzyło się zza gór i zaświeciło mu prosto w oczy. Poprzez blask widział, jak Rasalom skacze ku niemu.

Glaeken zrozumiał, dlaczego przeciwnik był taki rozmowny, dlaczego tyle razy, na pozór bezskutecznie, starał się go zatrzymać. I czemu pozwolił mu zbliżyć się na odległość

skutecznego ciosu, aż wschodzące słońce oślepi go na chwilę. A teraz realizował swój plan, ostatnią, rozpaczliwą próbę usunięcia z twierdzy Glaekena i rękojęści. Chciał ich zepchnąć z wieży w przepaść.

Zaatakował nisko, przesuając się pod ostrzem miecza i wyciągając ręce przed siebie. Glaeken nie miał miejsca na manewr — nie mógł się usunąć ani cofnąć. Stał tylko pewniej i wznosił miecz jak najwyżej, niebezpiecznie wysoko, aż wyciągnął ramiona niemal pionowo nad głowę. Wiedział, że w ten sposób środek ciężkości jego ciała przesuwa się ryzykownie w górę, ale był równie zdesperowany jak Rasalom. Wszystko miało się skończyć, tutaj i teraz.

Kiedy ręce Rasaloma trafiły go w żebra, z siłą tarana odrzucając ciało do tyłu, Glaeken pchnął mieczem w odsłonięte plecy wroga. Ostrze zagłębiło się prawie bez oporu. Z wrzaskiem wściekłości i bólu wampir spróbował się wyprostować, lecz Glaeken trzymał broń mocno.

Razem przewrócili się i runęli w dół.

Glaeken stwierdził zdumiony, że jest nienaturalnie spokojny, gdy zdawali się płynąć w powietrzu ku wąwozowi, do samego końca spleceni w walce. Zwyciężył.

I poniósł klęskę.

Krzyk Rasaloma urwał się nagle, a jego niesamowite, czarne oczy wyszły z orbit. Do samego końca nie chciał uwierzyć, że umiera. A potem zaczął się kurczyć — runiczny miecz wysysał w siebie jego istotę. Skóra marszczyła się, pękała i odpadała. Na oczach Glaekena jego odwieczny wróg rozpadł się w proch.

Tuż nad powierzchnią ziemi Glaeken podniósł głowę. Pochwyił jeszcze obraz stojącej na moście Magdy, przyglądającej się im ze zgrozą. Chciał podnieść rękę w geście pożegnania, lecz zbyt szybko okryły go szare kłęby.

Czekał już tylko na potworne uderzenie o niewidoczne w dole głązy.

Magda obserwowała dwie figurki na szczycie wieży. Stały tak blisko siebie, że niemal się stykały. Widziała, jak ruda czupryna Glaekena rozbłyskuje płomieniem w blasku

wschodzącego słońca, potem dostrzegła błysk metalu; dwie postacie zwały się ze sobą, zakreśliły i zakotywały na krawędzi. I runęły razem.

Jej krzyk wzniósł się w chwili, gdy cichło wycie kogoś z walczących. Zaraz potem obie figury skryły się w oparach mgły.

Na jedną długą, straszliwą chwilę czas się zatrzymał. Magda nie poruszała się, nie oddychała. „Glaeken spadł!” Musiała patrzeć bezradnie, jak mknął ku pewnej śmierci.

Oszołomiona, zbliżyła się do krawędzi mostu i spojrzała w miejsce, gdzie znikł człowiek, który znaczył dla niej wszystko. Bezwład ogarniał ciało i umysł. Ciemność czaiła się na skraju jej widzenia grożąc, że wchłonie ją całą. Drgnęła, budząc się z letargu, tłumiąc pragnienie, by wychylić się jeszcze trochę dalej, by spaść i przyłączyć się do Glaekena. Odwróciła się i rzuciła do biegu.

„To niemożliwe — myślała, gdy jej stopy dudniły po deskach. — Nie obaj naraz! Najpierw Papa, a teraz Glaeken... to niemożliwe, żeby obaj...”

Za mostem skręciła w prawo i pobiegła tam, gdzie kończył się wąwóz. Glaeken przeżył już jeden upadek, więc mógł przeżyć i drugi. Lecz wieża była tak strasznie wysoka! Magda zsuwała się po klinie skalnego osypiska, nie dbając o zardrapania i otarcia skóry. Słońce nie wzeszło jeszcze tak wysoko, by oświetlać wąwóz, ogrzewało jednak przełęcz i rozpędzało mgłę. Szła szybko dnem wąwozu, potykając się, przewracając i podnosząc. Niemal biegła, gdy pozwalał na to nierówny, kamienisty teren. Pod mostem stłumiła myśl o tym, że na górze leży samotnie ciało Papy. Chłapiąc wodą przebrnęła przez strumyk i znalazła się przy fundamentach wieży.

Zatrzymała się zdyszana i rozejrzała dookoła, gorączkowo szukając jakichkolwiek śladów życia pomiędzy głazami. Nie dostrzegła nikogo... niczego.

— Glaeken? — głos brzmiał słabo i chrapliwie. — Glaeken? ‘
Milczenie.

„Przecież musi tu być!”

Coś błysnęło w pobliżu. Magda, podbiegła, żeby sprawdzić... to był miecz, a raczej to, co z niego zostało. Klinga rozprysnęła

się na niezliczone kawałki; wśród nich leżała rękojeść, ogołociona ze swego złotego i srebrnego połysku. Poczucie niezmiernie straty zaciążyło Magdzie nieznośnie, gdy ją podniosła i przesunęła palec po matowej, szarej powierzchni. To było przeciwieństwo wymarzonej przez alchemików transmutacji — szlachetne metale zmieniały się w ołów. Magda nie chciała uznać wypływających z tego faktu wniosków, lecz w głębi jej umysłu pojawiła się pewność, że talizman spełnił już cel, do którego został stworzony.

Rasalom zginął, więc miecz nie był już potrzebny. Tak samo jak człowiek, który go nosił.

Tym razem cud nie nastąpi.

Magda krzyknęła w udręce — nieartykułowany dźwięk wydobył się z jej ust bez udziału świadomości i trwał, długi i głośny, do granic wytrzymałości płuc i krtani, pełen rozpacz po stracie. Odbijał się echem od ścian twierdzy, wąwozu, i dalej, na przełęczy.

A kiedy umilkł ostatecznie, Magda stanęła nieruchomo, zgarbiona, ze spuszczoną głową. Chciała zapłakać, lecz wypłakała już wszystkie łzy. Chciała uderzyć w kogokolwiek czy cokolwiek, co było temu winne, wiedziała jednak, że wszyscy — wszyscy prócz niej — nie żyją. Chciała krzyczeć z wściekłości na ślepą niesprawiedliwość losu, lecz w głębi była jak martwa, zdolna jedynie do suchego, gwałtownego szlochu, płynącego z samego wnętrza jej istoty.

Stała tak bardzo długo, tak przynajmniej jej się wydawało. Starala się znaleźć w sobie chęć do życia. Nic jej nie pozostało. Straciła wszystko, co kochała. Nie było żadnego powodu, by żyć...

Ale przecież jakiś musiał istnieć. Glaeken żył już tak długo i nigdy nie brakło mu powodów, by żyć dalej. Podziwiał jej odwagę. Jeśli podda się teraz rozpacz, czy będzie to aktem odwagi?

Nie. Glaeken chciałby, żeby żyła. Wszystko, czym był, co robił, nawet jego śmierć, wszystko służyło życiu.

Przyciskała rękojeść do piersi, póki nie przestała szlochać. Potem odwróciła się i odeszła, nie wiedząc gdzie i po co, pewna jednak, że jakoś odkryje sposób i cel życia.

Zatrzymała rękojeść. Tylko ona jej pozostała.

EPILOG

„Ja żyję!”

Siedział w ciemności i dotykał swego ciała, by się przekonać, że nadal istnieje. Rasalom zginął, rozpadł się w garść pyłu uniesioną wiatrem. Nareszcie, po wiekach, przestał komukolwiek zagrażać.

„Ja jednak żyję nadal. Dlaczego?”

Spadał przez mgłę, by uderzyć o skały z siłą wystarczającą do połamania wszystkich kości. Rękojeść przemieniła się, ostrze rozpadło.

A on żył.

W chwili upadku poczuł, jak coś z niego uchodzi, i leżał potem, czekając na śmierć.

Ale nie umarł.

Prawa noga bolała go potwornie. Widział jednak, czuł, oddychał, mógł się poruszać. I słyszeć. Kiedy dotarł do niego dźwięk kroków Magdy, przeczołgał się do ruchomego bloku u podstawy wieży, otworzył go i skrył się w podziemiu. Milczał, gdy go wołała, zasłaniając uszy rękami, by nie słyszeć bólu i rozpacz w jej głosie. Pragnął odpowiedzieć, lecz nie mógł. Jeszcze nie. Dopóki nie będzie pewien.

Wreszcie usłyszał plusk wody, gdy wracając przechodziła przez strumień. Odepchnął kamienny blok i spróbował się podnieść. Prawa noga nie dawała oparcia. Czyżby ją złamał? Nigdy jeszcze nie złamał sobie żadnej kości. Nie mógł iść, więc podczołgał się do wody. Musiał sprawdzić. Musiał wiedzieć, zanim cokolwiek postanowi.

Na brzegu zawahał się. Widział w pomarszczonej powierzchni wody coraz jaśniejsze, błękitne niebo. Czy kiedy się pochył, zobaczy coś więcej.

„Błagam — odezwał się w myśl do Mocy, której służył. Mocy która mogła już nie słuchać. — Niech to wszystko się skończy. Pozwól mi przeżyć resztę lat jak zwykłemu człowiekowi. Niech zestarzeję się przy tej kobiecie zamiast patrzeć, jak odchodzi, gdy ja pozostaję młody. Niech wszystko się skończy. Wykonałem swoje zadanie. Oddaj mi wolność!”

Zacisnął zęby i wysunął głowę nad wodą. Ze strumyka spojrzął na niego rudowłosa mężczyzna o niebieskich oczach i oliwkowej cerze. To była jego twarz! Widział siebie! Zwrócono mu odbicie!

Radość i ulga wezbrały jak fala przypiływu. „To koniec — pomyślał. — Nareszcie koniec!”

Podniósł głowę i spojrzął w ślad za malejącą wolno postacią tej, którą kochał jak żadną inną kobietę w całym swym długim życiu.

— Magda! — spróbował wstać, lecz przekłeta noga nie chciała go podtrzymać. Będzie musiał się leczyć, tak samo jak wszyscy. — Magda!

Odwróciła się i na chwilę, długą jak wieczność, zamarła w bezruchu. Pomachał obiema rękami. Zapłakałby głośno, gdyby pamiętał, jak się to robi. Oprócz wielu innych rzeczy, musi znowu nauczyć się płakać.

— Magda!

Upuściła coś, co wyglądało jak rękojeść jego miecza. A potem popędziła ku niemu najszybciej, jak tylko potrafiły nieść ją długie nogi. Jej twarz wyrażała radość i zwątpienie, jak gdyby najbardziej na świecie chciała, by naprawdę tam był, ale bała się uwierzyć, póki go nie dotknie.

Glaeken był tam i czekał na jej dotknięcie.

A wysoko nad nimi błękitnoskrzydły ptak z dziobem pełnym trawy wylądował łagodnie na parapecie okna twierdzy, szukając miejsca na gniazdo.